radar

magazyn literacki literaturmagazin літературний журнал

08
wrzesień
september
вересень
2013

ISSN / ISSN / ICCH 2081-4577

RADAR
magazyn literacki
Kraków 2013, nr 08
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKCJA
Renata Serednicka (redaktor naczelna)
Urszula Pieczek (serwis internetowy)
zespół redakcyjny
Birgit Bauer
Robert Ostaszewski
Ostap Sływynski
Natalka Śniadanko
Andreas Volk
współpracownicy
Iwona Boruszkowska
Ludmiła Berbenec
Ołena Szeremet

RADAR ONLINE
www.e-radar.pl

PROJEKT GRAFICZNY, ILUSTRACJE, SKŁAD
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska-Kruk
(Pracownia Grafiki), Warszawa
www.pracowniagrafiki.pl

PROJEKT OKŁADKI
Dorota Gawryszewska

WYDAWCA
Stowarzyszenie Willa Decjusza
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUK
Drukarnia Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

NAKŁAD
1.000 egzemplarzy

NUMER ZREALIZOWANO ZE ŚRODKÓW:
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNEREM PROJEKTU JEST :
Województwo Małopolskie

ZDJĘCIA
© © Mikołaj Łoziński

РАДАР
літературний журнал
Краків 2013, № 08
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

РЕДАКЦІЯ
Рената Середніцька (головний редактор)
Уршуля Пєчек (веб-редактор)
редколегія
Бірґіт Баўэр
Роберт Осташевський
Остап Сливинський
Наталка Сняданко
Андреас Фольк
співпраця
Івона Борушковська
Людмила Бербенець
Олена Шеремет

РАДАР ОНЛАЙН
www.e-radar.pl

ГРАФІЧНИЙ ДИЗАЙН, ІЛЮСТРАЦІЇ, ВЕРСТКА
Дорота Ґавришевська
Ганна Яворска-Крук
(Pracownia Grafiki), Варшава
www.pracowniagrafiki.pl

ПРОЕКТ ОБКЛАДИНКИ
Дорота Ґавришевська

ВИДАВЕЦЬ
Асоціація Вілла Деціус
вул. 28 Липня 17а
PL 30-233 Краків
www.villa.org.pl

ДРУК
Друкарня Лейко
вул. Романовіча 11
PL 30-702 Краків
www.leyko.pl

НАКЛАД
1 000 примірників

ЗА ФІНАНСОВОЇ ПІДТРИМКИ
Міністра Культури і Національної

ПАРТНЕРОМ ПРОЕКТУ Є
Малопольське Воєводство

ФОТО
© Миколай Лозінський

KRYMSKIE REGIONY POLSKI

Pojechać do Kałmucji, by badać lub tworzyć psychotyczne języki wizualne o wysokiej spoistości, odrywać się od najgłębszych struktur świadomości, korzystać ze wspólnej dla piętnastu osób łaźni, poznać kierownika programu, któremu na imię B.Ó.G. Odwiedzić Wietnam, by przekonać się, że emancypacja kobiet to w rzeczywistości dobrej jakości żywność, którą można kupić niedrogo i na każdym kroku, by „kobiety miały znacznie więcej czasu na pracę, która może zapewnić rodzinie pieniądze, oraz więcej czasu na własne sprawy, na zajmowanie się dziećmi". Poczuć „przeciętny romantyzm" w pobliżu domu Osamy bin Ladena, a później jeszcze w licznych drogich hotelach, opłaconych przez hollywoodzką wytwórnię filmową komuś innemu. Przyjechać do Krakowa po to, by pomieszkawszy w secesyjnej kamienicy i przesiąknąwszy jej duchem, napisać powieść o międzywojennym Stanisławowie, ale zamiast tego znaleźć się w betonowym postsowieckim, na wpół zrujnowanym hotelu gdzieś w nieosiągalnie odległej od śródmieścia proletariackiej dzielnicy. Postać w kolejce do kijowskiego kiosku z tanim alkoholem i sztuczną żywnością. Spróbować trafić na ślad okrutnego zabójcy w kryminale retro. Zanurzyć się w klimacie cudzego dzieciństwa, spędzonego na podwarszawskiej działce, gdzie po jakimś czasie dziadkowi, który wszystko tu zbudował, sądzona była niespodziewana śmierć. Błąkać się po pełnych nostalgii zakamarkach tajemniczego kraju, którego mieszkańcy mówili siedmioma językami, gdzie nawet ich kury gdakały w tychże językach, gdzie jadano nieprawdopodobnie smaczne potrawy i pito cudownie mocne trunki, do czasu, aż ludzie obudzili się pewnego dnia rano i skonstatowali, że kraju tego dawno już nie ma, a zamiast niego pozostały jedynie same ruiny i książki.

Spróbować zbadać własną genealogię w głębinach niepamięci tego nieistniejącego kraju. A na koniec znów zobaczyć kontrast – tym razem już nie „przeciętny romantyzm", lecz jego najprawdziwsze dno: smród, hałas, wyziewy alkoholowe i ciężkostrawne jedzenie krymskich kurortów, zaduch krymskich autobusów, nieprzytulność krymskich mieszkań, niewiarogodne biografie krymskich babć radzieckich, które wynajmują swoje na wpół realne mieszkania. A w ostatnim zdaniu usłyszeć od kierowcy takiego właśnie śmierdzącego autobusu:

„– Byłem kiedyś w Polsce. Nad morzem. Straszny tam u was burdel."

A dla tych, których nie przekonują słowa – jeszcze raz wszystko to samo, ale na zdjęciach, które bardzo podobnie, aczkolwiek w odmienny sposób, połączyły to, czego połączyć się nie da – tęsknotę za czymś, co od dawna nie istnieje, z atmosferą na zawsze zatopionych w czasie krajów, języków, twarzy; atmosferą, którą zatrzymać w słowie czy obrazie udaje się tylko poprzez nieuchwytne rzeczy, prawie niemożliwe do wytłumaczenia, natomiast bardzo łatwo wyczuwalne. I właśnie te nieuchwytności odróżniają zwykłe zdjęcia i teksty od tych, do których chce się wracać i oglądać czy też czytać, znowu i znowu.

Takie teksty zaskakujące i być może także niezbyt przystające do siebie tematycznie oraz w warstwie stylistycznej i fabularnej, wybraliśmy tym razem do „Radaru", który po raz kolejny zmienił format. Z trójjęzycznego i *stricte* literackiego czasopisma przekształcił się on bowiem w magazyn dwujęzyczny, utraciwszy niemiecką część oraz literacką cnotę – dodaliśmy teksty reportażowe, choć przeważnie jednak solidnie naznaczone stylistyką literacką i niecodziennością percepcji świata.

Formalnym pretekstem dla takich zmian stało się konkretne wydarzenie – Polska w roli głównego gościa Lwowskiego Forum Wydawców 2013. Kryminały i reportaże – oto dzisiejsze literackie wizytówki Polski. Oba gatunki przeżywają w ostatnich latach burzliwy rozwój. Postanowiliśmy to podkreślić i zademonstrować również w „Radarze", uzupełniając część ukraińską jeśli nie kryminałami, to przynajmniej próbami reportażu.

W imieniu redakcji
Natalka Śniadanko

КРИМСЬКІ РЕҐІОНИ ПОЛЬЩІ

Поїхати до Калмикії з метою досліджувати або створювати психонетичні візуальні мови високої щільності, розототожнюватися із найтоншими структурами свідомості, користати з ванни, спільної для п'ятнадцяти осіб, познайомитися з керівником програми на ім'я Б.О.Г. Відвідати В'єтнам, щоб переконатися, що жіноча емансипація – це насправді якісна їжа, яку можна недорого купити на кожному кроці, щоб вивільнити жінкам «більше часу на роботу, яка може принести гроші в родину, на власні справи, на заняття з дітьми». Відчути «рутину романтики» поряд із будинком Усами бен Ладена, а потім ще у численних дорогих готелях, оплачених для когось іншого голлівудською кіностудією. Приїхати до Кракова, щоб помешкати у сецесійній кам'яниці і, проникнувшись її духом, написати роман про міжвоєнний Станіслав, а опинитись замість цього у бетонній пострадянській напівруїні готелю десь у недосяжно віддаленій від центру міста пролетарській дільниці. Постояти в черзі до київського кіоску з дешевим алкоголем і штучною їжею. Спробувати натрапити на слід жорстокого убивці у ретро-детективі. Зануритися в атмосферу чужого дитинства, проведеного на підваршавській дачі, де згодом судилося несподівано померти дідусеві, який все тут побудував. Поблукати ностальгійними закутками таємничої країни, мешканці якої розмовляли сімома мовами, і навіть їхні кури кудкудакали тими ж мовами, де їли неймовірно смачні потрави і пили чарівно міцні трунки, аж поки не прокинулися вранці і не змушені були визнати, що країни цієї давно немає, а замість неї залишилися самі руїни й книжки.

Спробувати дослідити власний родовід у глибинах непам`яті цієї неіснуючої країни. А насамкінець – знову відчути контраст, але цього разу не «рутину романтики», а її справжнісіньке дно – сморід, галас, алкогольні випари і нестравну їжу кримських курортів, задуху кримських автобусів, незатишність кримських помешкань, неймовірні біографії кримських радянських бабусь, які винаймають свої напівреальні помешкання. А в останньому реченні ще і довідатися від водія такого смердючого автобусу:

«– Був я колись у Польщі. Біля моря. Страшний там у вас бардак. »

Саме такі тексти, а також ще кілька інших, несподіваних, а можливо, і не надто поєднуваних між собою тематично, лірично і сюжетно ми зібрали цього разу для «Радару», що вчергове змінив формат. Замість тримовного і суто літературного часопису перетворився на двомовний, втративши німецьку складову і літературну цноту – до текстів ми додали щось на зразок репортажів, хоча здебільшого таки добряче підіпсутих літературною стилістикою та незвичністю світосприйняття.

Формальним приводом для таких змін стала подія – Польща як головний гість львівського книжкового форуму 2013. Детективи і репортажі – такими є сьогоднішні літературні візитівки Польщі. Обидва жанри переживають протягом останніх років бурхливий розвиток, і ми вирішили підкреслити і показати це також і в «Радарі», доповнивши українську частину якщо не детективами, то принаймні спробами репортажу.

Від імені редакції
Наталка Сняданко

3 **FELIX AUSTRIA** FELIX AUSTRIA
{**Софія Андрухович Sofija Andruchowycz**} tłum. Katarzyna Kotyńska

12 **WAKACJE W APOKALIPSIE КАНІКУЛИ В АПОКАЛІПСИСІ**
{**Ziemowit Szczerek Зємовіт Щерек**} перекл. Андрій Бондар

20 **КУРИ НЕ ЛІТАЮТЬ KURY NIE LATAJĄ**
{**Василь Махно Wasyl Machno**} tłum. Bohdan Zadura

30 **GŁODNE ZWIERZĘTA ГОЛОДНІ ТВАРИНИ**
{**Małgorzata Rejmer Малґожата Реймер**} перекл. Тарас Прохасько

36 **ЖІНКИ, МОТОЦИКЛИ І ХАРЧ KOBIETY, MOTOCYKLE I JEDZENIE**
{**Євген Положій Jewhen Położij**} tłum. Iwona Boruszkowska

45 **LEWA NIELUCKI ЛЕВА НЕЛЮЦЬКИЙ**
{**Tomasz Różycki Томаш Ружицький**} перекл. Остап Сливинський

56 **МАШИНИ БОГА MASZYNY BOGA**
{**Любко Дереш Lubko Deresz**} tłum. Przemysław Tomanek

64 **EDWARD, CZYLI ZBYSZEK ЕДВАРД, ТОБТО ЗБИШЕК**
{**Andrzej Muszyński Анджей Мушинський**} перекл. Андрій Бондар

69 **ВІРШІ WIERSZE**
{**Ростислав Мельників Rostysław Melnykiw**} tłum. Aneta Kamińska

76 **DZIAŁKA ДАЧА**
{**Sylwia Chutnik Сильвія Хутнік**} перекл. Наталка Сняданко

83 **ЦІЛЬ НОМЕР ОДИН CEL NUMER JEDEN**
{**Наталя Гуменюк Natalia Humeniuk**} tłum. Urszula Pieczek

91 **BLUSZCZ ПЛЮЩ**
{**Radosław Kobierski Радослав Кобєрський**} перекл. Олена Шеремет

99 **LEGENDA O HELENIE KRESOWEJ ЛЕГЕНДА ПРО ЄЛЕНУ КРЕСОВУ**
{**Łukasz Saturczak Лукаш Сатурчак**} перекл. Людмила Бербенець

105 **МАФ* І Я MAF* I JA**
{**Олег Криштопа Oleh Krysztopa**} tłum. Ksenia Kaniewska

111 **МОЖЛИВІСТЬ РЕАЛЬНОГО MOŻLIWOŚĆ REALNEGO**
{**Олена Шеремет Ołena Szeremet**} tłum. Zuzanna Sipior

117 **(MORDERSTWO) TYLKO WE LWOWIE... (УБИВСТВО) ТІЛЬКИ ВІ ЛЬВОВІ...**
{**Robert Ostaszewski Роберт Осташевський**} перекл. Наталка Сняданко

121 **AKUSZER ŚMIERCI АКУШЕР СМЕРТІ**
{**Paweł Jaszczuk Павел Ящук**} перекл. Софія Андрухович

Софія Андрухович Sofija Andruchowycz

FELIX AUSTRIA
FELIX AUSTRIA

© Mikołaj Łoziński

Це була чудова ідея і я носила її кілька років – стільки, скільки років моїй дитині. Вона захоплювала своєю простотою і відлякувала глибиною та багатовимірністю. Солодко було уявляти, як пірнаю з головою в ці зелені глибини, як розгрібаю руками зарості слизьких водоростей, проводжу долонями по ґулястих наростах мушель на скелетах затонулих кораблів. Їхні розбухлі від солоної води черева нафаршировані спотвореними рештками минулого: скрині, кофри, шафи і пудла, набиті корсетами, сукнями, панчохами, туфельками, капелюшками, флаконами від парфумів, схожими на мініатюрні скульптури, сецесійні меблі, увиті рослинними візерунками, вітражні лампи з бабками, портьери з ірисами, вази з жіночими силуетами, керамічні глечики з тюльпанами на опецькуватих боках, срібні чайники з вигравіюваними коропами і лататтям, цісарський рояль *Bösendorfer* (така спокуса поселити в його корпусі, серед струн, яких-небудь морських губок або огірків), майолікові жардиньєрки, камінні годинники з вирізьбленими на них тонкими панями, млосно вигнутими, ніби ніяк не можуть струсити з себе вегето-судинну сонливість… Тут мені доведеться зробити над собою зусилля і вийти з трансу, випірнути на поверхню, набрати повні легені дошкульного різкого вітру з кількома березневими сніжинками – і опритомніти. Тому що зараз я хочу розповісти трохи іншу історію.

Отож, ідея полягала ось у чому: я вирішила написати книгу, дія якої відбуватиметься рівно 100 років тому, себто перед самим потопленням імперії Габсбургів, а місцем дії обрала Станиславів, провінційне місто на сході цієї імперії, яке, тим не менше, було одним із трьох найважливіших міст Галичини, регіону Центральної Європи. Таким чином я збиралась зобразити якусь уявну точку на перетині часів і культур, спробувавши натякнути при цьому на реальні деталі місця і часу: аромат оббивки у фіакрах, нервове миготіння зображень у фотопластиконі, запах гасу у вуличних ліхтарях і покахикування старого, обов'язком якого було стежити за рівнем гасу.

І складалося все якнайкраще: я стала стипендисткою певної мистецької програми, яка обіцяла мені всі можливості для роботи. Більше того: місцем для здійснення свого проекту я вибрала Краків, перше з трьох найважливіших міст Галичини. Чому? Тому що Станиславів перетворився на Івано-Франківськ, і слідів габсбурзької епохи в ньому дедалі менше, а ті, які ще залишилися, доводиться ретельно відколупу-

вати з-посеред новітніх наростів. По-своєму це також чарівно: помічати серед металопластику торгових центрів кількох атлантів з каріатидами, знати, що будинок, повз який проходиш щодня вулицею Шевченка (там, здається, роблять тепер зубні протези) – це кам'яниця Штернґеля, збудована 1903 року, що синагогу (в якій сьогодні заодно вмістився меблевий магазин), колись прикрашали чотири неймовірно красивих вежі з зірками Давида.
Це було досконало. Я уявляла, як прокидатимусь у крихітному помешканні в історичній частині Кракова, розташованому у мансарді старої кам'яниці – можливо, від бадьорого побрязкування трамваїв або віддаленого хейналу з Маріацького костьолу. Як обмацуватиму поглядом стільці та стіл із різьбленими ніжками, горіховий комод із дзеркалом, поїдженим чорними плямами, схожими на старечі (так і хочеться написати: «в якому вряди-годи тьмяно проступають тіні минулого»). Як пеститиму поглядом швейну машинку Singer, нижня частина якої – мов уламок Ейфелевої вежі, вільхове бюрко, що було колись, вочевидь, морене в зелений колір, а тепер потемніло майже до чорного, зелено-бузкові шпалери з вигнутим та закучерявленим малюнком, що постійно повторюється. Уявляла, як спускатимусь униз коованими крученими сходами, що пам'ятають, наприклад, служницю, яка виносила надвір родинний ночник, туго запеленавши голову вовняною шаллю, щоб уберегтися від підступних, смертельно небезпечних протягів.
Як у колодязі внутрішнього дворика, де зберігається така приємна прохолода навіть у найбільшу спеку, стоятиме сильний аромат свіжозвареної кави, котячої сечі, минулорічної картоплі і капусти, кухонного жиру, нафталіну, бродіння у смітнику – кожна нота цього букету щодня заново освіжається, вже навіть не протягом століття, а набагато довше. Я намагатимусь відчитати історію людських буднів, що розтанули в повітрі, в цьому простому коді, схованому у парфумах пивниць і лунких під'їздах, де ще збереглися закіптюжені підставки для нафтових ламп.
Як виходитиму на викладений австріяцькими плитами ґанок і роззиратимусь вгору та вниз по Кремеровській, Сємірадського або Міхаловського. Дивитимусь на викладені бруківкою хідники – і подумки вкриватиму їх шаром вугільного пилу. У моїй кімнатці до цього часу збережеться запах паленого вугілля, від чого іноді снитиметься, що я живу на вокзалі з заскленим дахом і вигнутими кованими балками, де тільки недавно провели електрику. В електрику поки що ніхто не вірить – і недарма: надто часто вокзал западає у повну темряву, полегшуючи життя кишеньковим злодіям.
Щойно мені заманеться – і я вже на площі Матейка, німію перед імперською величчю Академії образотворчого мистецтва, Дирекції залізниць та Польського Банку; чи перед Палацом мистецтв на Щепанській площі; йду собі до Театру ім. Словацького або Старого Театру ім. Моджеєвської; чи просто їм тістечко в «Ямі Міхаліка», колишній «Львівській цукерні», відкритій прибулим зі Львова Аполінарієм Яном Міхаліком у 1895 році – тут дотепер збереглись неймовірні сецесійні інтер'єри: вітражі, інкрустація, різьблення, гнуті ніжки і спинки стільців, стримана вигадливість, елегантна функціональність – в охрі, зелені, коричневій барві.
А, може, я винайму помешкання десь на Казімєжі і вивчу кожен його закамарок, як п'ять власних пальців. Зачаївшись там, розмірковуватиму над життям станиславівських мільйонерів Лібермана, власників фабрики спирту і пресованих дріжджів: чи справді Філіп мав такий непередбачуваний характер? Чи справді Бабета не відчувала різниці у віці між нею і чоловіком? Яким міг бути інтер'єр їхньої вілли, розташованої на території фабрики? На віллі, що коштувала дорожче, ніж вся фабрика разом узята – навіть із півторакілометровою залізницею, якою вивозили каністри спирту.
Смакуючи тим, як гарно писатиметься мені про Станиславів початку 20 століття у Кракові початку століття 21-го, я дійшла до чудової і простої ідеї: місце не має великого значення. Станиславів, про який я збиралась писати, весь компактно вміщався у досить надійній, зручній, транспортабельній скриньці: моєму власному черепі. Не було сенсу зазіхати на об'єктивність, реалізм та історичну достовірність: я не історик, не науковець, і завдання, яке собі ставлю – інакше.
Існує теорія, згідно з якою наше тіло може містити в собі молекулу, яка належала колись Клеопатрі чи Григорієві Сковороді – адже ці фізичні часточки вічні, знову і знову вони з'єднуються між собою, щоб утворити яблуко, бджолу, людину, і розривають свої зв'язки – раніше або пізніше.
Моя бабця народилася в Івано-Франківську, колишньому Станиславові. Мій батько народився там. І там же моя мама була мною вагітна – і народила мене.
Це означає, що існує велика ймовірність того, що моє тіло складається з безлічі молекул, які належали, наприклад, коневі Андрія Потоцького, розписам Парафіяльного костьолу, які виконав Еразм Рудольф Фабіянський у 1877 році, пчихові популярного лікаря, доктора Шимона Кляара, якого переслідував дискомфорт постійно подразненої слизової, а він сам через це переслідував кожного, хто наважувався чхнути у його присутності, котромусь із вірменських сап'янників або кушнірів, отців-єзуїтів, сестер-василіянок, братів-альбертинців, робітників, які страйкували у серпні 1895 року, літакові системи «Моран», на якому Міхал Скіпіо дель Кампо зробив три великих кола над Загвіздям і парком – зрештою, звуглілій мармуляді (сливовій? грушевій?), через яку згоріло пів міста і ратуша у вересні 1868 року, а, може, і цій стародавній великій ратуші.
Ви розумієте, до чого я хилю? У моєму тілі є безліч молекул, які належать моєму містові, а отже – це тіло є частиною цього міста, розповідаючи про місто – я розповідаю про себе, і навпаки.
Таким чином байдуже, де перебуватиму я, пишучи про Станиславів, бо Станиславів – у мені. Якщо ж це відбуватиметься у Кракові, по вінця наповненому натхненням, то робота заповідається плідною та несказанно приємною.
Озброєна такою струнокою логікою і гострим, неначе бритва, науковим підходом, сповнена якнайкращих очікувань, я сиділа у варшавському офісі культурної організації, яка надавала стипендію. Кімнатка зі скісним дахом ледве вміщала в собі двох людей, себто мене, втомлену та досить вим'яту з дороги, і тонку сувору пані вікторіанської зовнішності з темним волоссям, зібраним у тугий вузол на потилиці, окулярах з майже невидимою, мов сріблиста павутина, оправою. З огляду на свою невпевненість я поводилась надміру ввічливо, перебільшувала з дякуванням і перепрошуванням, як це заведено серед нас, галичан, була запобігливою, всім задоволеною та передбачливою (а отже – і передбачуваною).
Надворі сипав мокрий сніг, але пані, вбрана у діловий чорний костюм в тонку смужку, який визирав з-під безрозмірної сірої вовняної шалі, навстіж відчинила вузьке вікно. На стільці, який стояв відразу під вікном і на який я несміливо присіла, від опадів утворилась калюжа, і я негайно ввібрала її светром та джинсами. Вдавши, наче нічого не сталось, я продовжувала люб'язно посміхатись.
Найважливішим елементом цієї сцени в крихітному кабінеті була, мабуть, музика. З невеликого музичного центру, розташованого на мокрому від талої води підвіконні, лунало щось грізне і до болю класичне.
Я могла б зараз за півтори хвилини знайти у Вікіпедії кілька розкішних варіантів для конкретизування – самі знаєте, наскільки просто сьогодні письменникові вдаватися у найдрібніші деталі будь-якої можливої царини – але цього не робитиму. Вистачить мого суб'єктивного враження: били литаври, нервово іржали скрипки, вкрадливо басував тромбон, не віщуючи нічого хорошого.
Пані простягнула мені папірець із адресою, і промовила (як і годиться, зловісно поблискуючи скельцями окулярів):
– Це готель, у якому ви будете мешкати, пані Софіє. Не згубіть аркуша.
Замість того, щоб зірватися на рівні ноги, витріщити очі і заволати не своїм голосом від несказанного подиву (а як же моє помешкання на Казімежі? Як же служниця з ноцником? Як запах гнилої капусти з брам Середмістя?), я неспокійно – і непомітно – пойорзала мокрим задом в калюжі, заусміхалась, щасливо сяючи очима і заходилась дякувати наліво й направо.
– Яка чудова новина! – волала я, і голос мій зливався із литаврами. А сама думала: «Але ж раніше усім стипендистам давали можливість винаймати помешкання!»
– Як великодушно, що ви, несказанно заклопотані, вже наперед подбали про моє житло! – «І чому від вашої інституції не надійшло ані слова про умови, в яких я тут житиму?»
– Яке полегшення, що мені не доведеться вже нічого шукати, витрачати сили і час на неважливі й марні побутові моменти, що я зможу негайно по приїзді, розпакувавши валізку, братися за писання роману, який порскає з мене нестримно навсібіч! – «Якби я знала, що на мене чекає такий поворот подій, я би сотню разів подумала, перш ніж сюди приїхати, або вибрала місто, в якому є більше можливостей керувати власною долею».
– Дякую! Я вам страшенно вдячна, ціную кожну мить, яку ви присвятили моїй скромній особі і наперед перепрошую за незручності, яких, можливо, завдам вам у майбутньому – але, повірте, це буде абсолютно ненавмисне, без жодного лихого наміру! – «Я втомлена, збентежена, розчарована. Не знаю, що думати і казати. У мене мокрий зад від талої води і я страшенно змерзла. Від флейти-пікколо тріщить голова. І взагалі, знаєте, мені, мабуть, варто повернутись додому».
Ми довго заповнювали офіційні папери, залагоджували формальності, з'ясовували різні моменти (наприклад, мене попередили, що коли я зловживатиму алкоголем та наркотиками і загрожуватиму громадському спокоєві, то мене ганебно позбавлять стипендії і виставлять із готелю «Фелікс» серед глупої ночі босоніж на сніг), а потім я, ще кілька тисяч разів подякувавши й перепросивши, опинилась у нічній темряві Варшави, по коліна в лютневих шмарклях. Плечі мої відтягував важезний наплічник з порваною правою лямкою, коліщатка заляпаної валізи, навантаженої книжками про Галичину початку двадцятого століття, відмовлялися обертатись.

***

Рівно через добу я прибула на краківський вокзал. Пішла за першим-ліпшим таксистом, вклала забрьохані клунки до багажника і, з полегшенням всівшись на сидіння, у кубло з пуховика, шалика і светрів, повідомила таксиста:
– Осєдлє Злотей Єсєні, 15. Готель «Фелікс».
Таксист присвиснув і ми рушили.
Дорогою я кілька разів засинала і бачила сни про потяги, де культурні фундації надавали мені житло для творчої стипендії, і в яких доводилось терпіти довгими годинами, перш ніж провідниця відчиняла тісний і смердючий туалет, звідки негайно починали виливатись могутні селеві потоки нечистот.
Нечистоти, кажуть, до грошей. А «фелікс» латиною – «щасливий».
Я довго не могла прийти до тями, розбуджена таксистом посеред широкої вулиці, оточеної бетонними багатоповерхівками. Однак мене швидко повернула до дійсності сума, яку він назвав. Було очевидно, що готель «Фелікс» розташований не в самому серці Кракова (згодом виявилось – якщо послуговуватись такими фізіологічними метафорами – що то був радше ніготь великого пальця ноги, почорнілий і напівоблізлий від травми).
Будівля розкинулась в обидва боки бетонними крилами і десь там, невідомо де, тонула в темряві. Я потягла свої речі до скляних дверей входу, крізь які лилось світло, обіцяючи затишок, безпеку і відпочинок. Попутно зауважила, що на вивісці з назвою готелю зяє чимала прорвана діра.
Дівчина на рецепції зустріла мене посмішкою.
За кілька хвилин я вже побрязкувала ключами, шукаючи на другому поверсі свою кімнату.
Вузькі коридори, де слабенькі тьмяні лампи світили чітко через одну, тягнулися в далечінь. Їхні стіни були пофарбовані олійною фарбою, підлога вистелена незрозумілого кольору лінолеумом, потрісканим, надщербленим та вигнутим. Я минала десятки дверей, не здатна збагнути логіки їхнього розташування, нарешті дісталась кінця коридору, який, як виявилось, переходив у коридор паралельного крила, де все повторилося знову: десятки кімнат з обох боків, лискучі стіни, лінолеум, мої лункі кроки, безлюдний і безликий лабіринт. В кінці коридору розвівалась бліда тюль, що, вочевидь, прикривала вихід на нещільно зачинений балкон.
Нарешті я натрапила на номер кімнати, який збігався

із числом на моєму ключі. Замок піддався не відразу, але за якийсь час я ступила досередини, на зачовгану бурувату доріжку. В ніс мені вдарив застояний запах затхлості та тютюнового диму, що, судячи з усього, вріс у стіни, в ліжко, у штори і коц, ставши частиною інтер'єру – такий запах долинає з підвальних кнайп, де відбуваються нічні безтямні пиятики.
Кімната була тісною, як карцер: від ліжка до стіни можна було зробити один крок. Жоден колір не вибивався з каламутної темної гами. Коц на ліжку гостинно зяяв дірою.
Зробивши півтора кроки у бік вікна, я наткнулась на несподіванку: удвічі вужчу від кімнати кишку, уздовж стіни якої було вмонтовано дошку, що мала правити за робочий стіл, а над нею – довге дзеркало, вочевидь, для візуального розширення простору. Ось де судилось писати мені мою книгу про мигдальову зупу з рижом, карнавали в касині та поступове галицьке жіноцтво під впливом новітньої доби!
Від входу можна було відразу потрапити до дверей, що провадили до зручностей: душової кабіни та унітазу. На десятій хвилині мого перебування в номері я виявила, що в унітазі не зливається вода.
На рецепції вже сиділа інша пані: старша, зіщулена так, ніби страшенно чогось боїться.
Спершу вона намагалась переконати мене залишитися в номері до понеділка: зараз п'ятниця вечір, якихось два дні – і майстри полагодять унітаз, все буде чудово. Але я не спокусилась, тож пані неохоче видала мені ключ від іншої кімнати, поверхом вище.
Я взяла речі і вирушила на пошуки свого нового пристанища. Все повторилось: нескінченні порожні коридори, наче символи людської приреченості та самоти, несміливе світло, підозрілі запахи. Тюль на балконних дверях, що надималась, вдаючи з себе когось живого.
Друга кімната виявилась точнісінько такою ж, як перша. Я вийняла комп'ютер, поставила його на дошку під дзеркалом, увімкнула і сіла, дивлячись на себе в дзеркало. Так минуло кільканадцять хвилин. І раптом до моєї збентеженої свідомості почало вторгатися два чужорідних подразники, які, при всій своїй початковій непримітності, дошкуляли дедалі більше.
По-перше, усвідомила я, в кімнаті було з біса зимно. Я тільки нещодавно одужала від затяжного катару – і мені зовсім не усміхалося знову захворіти тут, на цьому гігантському бетонному острові, де ніхто не знайде мене й не допоможе. Я помацала батареї крижаними долонями і виявила, що ті залізні удави, скручені тугими спіралями, вже давно й безнадійно неживі. Холод скував зап'ястя і литки, половина обличчя також заніміла. Хотілося чогось гарячого – але де тут візьмеш щось гаряче? Хотілось залізти до теплого ліжка, але ліжко сумно провисало до підлоги металевою сіткою, накрите лише благеньким дірчастим коцом.
Другий подразник діяв на слух. Звідкілясь долинав чийсь голос – завивання чи плач, якесь невиразне бубніння. Інтенсивність звуків дедалі наростала, ставала все настирливішою, обростаючи внутрішньою пристрастю.
Спочатку я намагалась ігнорувати звуки, концентруючись на холоді. Але чим більше відмовляли кінцівки, чим виразнішою ставала молочна пара мого подиху, тим чіткіше впивалось у вуха загадкове блеяння, схоже на котяче нявчання, на дитячий плач, на українські колядки у виконанні передсвітанкових пиячків, на шелестіння листя, на булькотіння води в крані.
Чесно кажучи, мені ставало дедалі моторошніше, я навіть підійшла до вхідних дверей і прислухалась. На коридорі нікого не було. Знову стояла мертва тиша. Розвівалася сіра тюль в кінці тунелю.
Пані з рецепції сиділа оніміло і дивилась просто попереду себе. Коли я виросла перед нею, вона здригнулась, ніби прокинулася з глибокого сну.
– В моїй кімнаті страшенно зимно. Я не можу там бути, – сказала я.
Пані зітхнула і проказала:
– Але ж вам уже змінювали кімнату.
Це була правда. Я навіть розгубилася. Мені справді змінювали вже кімнату. Очевидна раціональність її слів прибила мене до земної кулі раптово помноженою силою тяжіння.
– Все правильно, – погодилась я, прийнявши правила гри. – Мені змінювали вже кімнату, оскільки там не працював унітаз. А в цій кімнаті не працюють батареї, я не зможу в ній бути.
Жінка надовго замислилась. Нарешті погребла рукою в столі і простягнула мені ключ із цифрою «522».
– Це єдиний одномісний номер, який залишився, – розвела вона руками.
Я повернулася до холодної кімнати, взяла речі, спустилася з ними додолу, віддала ключ жіночці і поповзла сходами на саму гору, відчуваючи, що руки от-от обірвуться, але заспокоюючи себе, що це зараз закінчиться, і я нарешті зможу відпочити в теплі.
На шостому поверсі (тому що «п'ятий поверх» у Польщі насправді є шостим) я пригадала про нелогічність розташування кімнат. Побрела в один бік коридору, дійшла до його кінця з залізними дверима, зачиненими на висячий замок. Повернулась і рушила в протилежному напрямку, втрачаючи надію. Кімнати з номером «522» не було. Я повернулась на сходи і зупинилась, щоб перевести дух. Мій одяг змок від поту, пальці посиніли від пакетів, які перетискали їх лямками, в очах було чорно. Принаймні, холоду я вже не відчувала – кінцівки пульсували жаром.
Я спустилась на рецепцію (речі тягнула з собою, не сумніваючись, що не знайду їх більше, якщо ризикну залишити бодай на хвилину) і повідомила жіночку:
– Я не можу знайти кімнату.
Вона згорьовано на мене зиркнула, і видихнула:
– Гаразд, пошукаємо разом.
Я не мала певності, що витягаючи цього разу речі на шостий поверх, не помру. Але ж я не могла про це сказати пані з рецепції, не могла себе видати! Піт котився чолом, волосся стало зовсім мокрим, та я мовчала і посміхалась.
Ми разом дійшли до залізних дверей, жіночка заради годиться поторгала замок, обернулась до мене і проказала:
– Не розумію.
Після цього вона оцінила місячну доріжку з моїх речей, яка пролягла позаду нас коридором, і запропонувала:
– Ви на мене почекайте на сходах, я сама пошукаю вашу кімнату в протилежному крилі.
Віддаляючись, вона бурмотіла:
– Не розумію. Нічого не розумію. Як її може не бути. А де ж вона поділась. Кудись зникла. Нічого не розумію.
Повернулась пані ні з чим. Мовчки кивнула мені головою, запрошуючи йти слідом. Я ледве утрималась від бажання скинути речі додолу сходами. Витрусити з валізи книжки про станиславівські ратуші, про синагоги та орден езуїтів, про вірменську спільноту, «Союз українок», енциклопедію «Austriackie gadanie», спогади мешканців Станиславова про міжвоєнний період, альбоми про сецесію, книги про fin de siècle, Гашекового «Швейка», кілька томів Стефана Цвайґа, Йозефа Рота, фон Захера-Мазоха… І слідом жбурнути комп'ютер, напханий ще більшою кількістю матеріалів, старими станиславівськими, львівськими та чернівецькими газетами, врешті-решт.
Жіночка повернулась до свого столу, знову покопирсалась в шухляді і простягнула мені ключ з написом «101».
– До понеділка можете побути в двомісному номері, а тоді майстри поремонтують унітаз, і ви повернетесь до своєї кімнати.
Опинившись у номері 101, я зрозуміла, що нікуди звідти не піду – ні в понеділок, ні у вівторок. Ніколи. Нехай мені навіть доведеться забарикадуватись, підперти двері журнальним столиком, шафою, телевізором. Я не повернусь до одномісного номеру.
Готель «Фелікс» – гігантський бетонний криголам – розташований в індустріальному районі Кракова, Новій Гуті. Район планували для робітників металургійного комбінату, починаючи з 1949 року, він мав поєднувати в собі риси ідеального міста та міста-саду. Грандіозний задум ще й досі можна відчитати на мапі: симетричність, гармонія, широкі проспекти, алеї троянд, веселі коробки зручних помешкань, садки-ясла-школи, будинки культури, спортивні майданчики; архітектура району замислювалась, як логічний перехід від старого Кракова до великої промисловості новітньої соціалістичної доби.
Подорожі до центру Кракова тривають годину часу в один бік. Ти вдивляєшся в меланхолійні сніжинки, що тануть, торкнувшись вікна трамваю, стікають слізками додолу, вимальовуючи на склі хвилясті маршрути.
Весь час всередині себе, в теплі і затишку, ти плекаєш маленьке місто, де серед лип постають красиві модернові вілли, а мешканці симпатизують цісареві Францу-Йосифу, бо він так і не погодився, щоб до його палацу провели телефон; де пані купують у доктора Байлля на Ринку мигдалеву пудру для вмивання обличчя та рук, «скребачки» для язика і «трікоґен» для зміцнення волосся, де протягом цілого тижня в «певному закладі» і в товаристві «певної особи» перебувала шістнадцятирічна донька краківського мільйонера, Міхаліна Аратенувна, видаючи себе за Гелену Кіліан, гаптувальницю; де їдять «паштетики з мозку на мушлях» і труфлі на свіжо, «на десер» – мармуляду з морелів і лєґуміну з каштанів, п'ють сік із ананасу і вино з порічок, розмовляючи про погоду, плітки, хвороби, політику, скандали і ціни (кілограм свіжої риби – 2 корони і 40 сотиків, десяток яєць – 35 сотиків).
Ти знімаєш вивіску «Заборонене місто» і глибоко видихаєш. Зовсім скоро, хоч у це й важко повірити, весна таки розпочнеться. Тебе ласкаво запросять пожити до просторого будинку з терасою і зеленим моріжком, і упродовж перших кількох тижнів ти ніяк не зможеш до того звикнути. Працюватимеш в бібліотеці, відчинені вікна якої виходять на краківську площу Ринок, і музичним супроводом до твоєї роботи буде цокання кінських копит, уривки фраз іноземними мовами і щогодинний хейнал з вежі Маріяцького костелу.

To był fantastyczny pomysł, chodził za mną przez kilka lat – tyle, ile ma moje dziecko. Zachwycał swoją prostotą, odstraszał głębią i wielowymiarowością. Słodko było wyobrażać sobie, jak zanurzam się z głową w tych zielonych odmętach, jak rozsuwam rękami gąszcze śliskich wodorostów, przesuwam dłonią po guzowatych naroślach muszli na szkieletach zatopionych statków. Ich nabrzmiałe od słonej wody brzuchy wypchane są zdeformowanymi resztkami przeszłości: skrzynie, kufry, szafy i paki, wypchane gorsetami, sukniami, pończochami, pantofelkami, kapelusikami, flakonikami po perfumach, przypominającymi miniaturowe rzeźby, secesyjne meble, oplecione roślinnymi ornamentami, witrażowe lampy z ważkami, kotary z irysami, wazony z kobiecymi sylwetkami, ceramiczne dzbanki z tulipanami na krągłych boczkach, srebrne czajniki z grawerowanymi koronami i nenufarami, cesarski fortepian *Bösendorfer* (jakże kusi, by zamieszkać w jego pudle, wśród strun i wszelkich morskich gąbek czy strzykw), majolikowe żardiniery, kamienne zegary z wyrzeźbionymi na nich szczupłymi damami, wygiętymi słabowicie, jakby w żaden sposób nie mogły pozbyć się neurowegetatywnej senności… Tu będę musiała wziąć się w garść i wyjść z transu, wypłynąć na powierzchnię, nabrać pełne płuca nieprzyjemnego, ostrego wiatru z kilkoma marcowymi płatkami śniegu – i oprzytomnieć. Dlatego, że teraz chcę opowiedzieć nieco inną historię.
Tak więc pomysł był następujący: postanowiłam napisać książkę, której akcja będzie się działa równo sto lat temu, czyli przed samym zatonięciem imperium Habsburgów, a na miejsce akcji wybrałam Stanisławów, prowincjonalne miasto na wschodzie tegoż imperium, które mimo to było jednym z trzech najważniejszych miast Galicji, części Europy Środkowej. Zamierzałam w ten sposób pokazać jakiś wyobrażony punkt na przecięciu czasów i kultur, a równocześnie postarać się przywołać realne szczegóły miejsca i czasu: zapach obić w dorożkach, nerwowe migotanie obrazów w fotoplastykonie, woń nafty z ulicznych latarń i pokasływanie starego latarnika, którego obowiązkiem było pilnowanie poziomu paliwa.
I wszystko układało się doskonale: zostałam stypendystką pewnego programu artystycznego, co miało pozwolić mi na spokojną pracę. Więcej nawet: na miejs;ce realizacji mojego projektu wybrałam Kraków, pierwsze z trzech najważniejszych miast Galicji. Dlaczego? Dlatego, że Stanisławów przeistoczył się w Iwano-Frankiwsk i śladów

epoki habsburskiej wciąż w nim ubywa, a te, które jeszcze pozostały, trzeba porządnie odskrobywać z nowszych nawarstwień. Co także ma swój urok: zauważać pośród centrum handlowego kilku Atlantów z Kariatydami, wiedzieć, że mijany każdego dnia dom na ulicy Szewczenki (teraz jest tam chyba pracownia protetyczna) to kamienica Sterngla, zbudowana w 1903 roku, że synagogę (w której dziś i tak rozsiadł się sklep meblowy) niegdyś ozdabiały cztery niezwykłej urody wieże z gwiazdami Dawida.
Wszystko układało się idealnie. Wyobrażałam sobie, jak będę się budzić w maleńkim mieszkaniu, położonym na mansardzie wiekowej kamienicy w starej części Krakowa – być może od rzeźkiego pobrzękiwania tramwajów albo dolatującego z oddali hejnału mariackiego. Jak będę wodzić wzrokiem po krzesłach i stole o rzeźbionych nogach, orzechowej komodzie z lustrem, pocętkowanym czarnymi plamami, przypominającymi starcze zmiany (chciałoby się napisać: „w którym od czasu do czasu mgliście przemykają cienie przeszłości"). Jak będę pieścić wzrokiem maszynę do szycia marki Singer, której dolna część przypomina ułamek Wieży Eiffla, olchowe biurko, które niegdyś było najwyraźniej zabejcowane na zielono, a teraz pociemniało niemal do czerni, zielono-fioletowe tapety z falistym, zawikłanym, nieustannie powtarzającym się wzorem.
Wyobrażałam sobie, jak będę schodzić po kutych, kręconych schodach, pamiętających – na przykład – służącą, która wynosiła na pole rodzinny nocnik, ciasno owinąwszy głowę wełnianym szalem, by uchronić się przed podstępnymi, śmiertelnie niebezpiecznymi przeciągami. Jak w studni wewnętrznego podworca, gdzie nawet w największy upał trwa tak przyjemny chłodek, wisiał będzie silny aromat świeżo zaparzonej kawy, kociego moczu, zeszłorocznych ziemniaków i kapusty, kuchennego tłuszczu, naftaliny, fermentujących śmieci – każda nuta tego bukietu codziennie jest odświeżana, już nawet nie od stu lat, a znacznie dłużej. Będę próbowała odczytać historię ludzkich dni codziennych, które rozwiały się w powietrzu, w tym prostym kodzie, ukrytym w woniach piwnic i w dudniących echem bramach, w których przetrwały zakopcone podstawki pod lampy naftowe.
Jak będę wychodzić na wyłożony austriackimi płytkami ganek i rozglądać się w górę i w dół po Kremerowskiej, Siemiradzkiego czy Michałowskiego. Będę patrzeć na chodnikowe płyty – i w myślach pokrywać je warstwą węglowego pyłu. W moim pokoju do dziś przetrwał zapach płonącego węgla i dlatego czasem będzie mi się śniło, że mieszkam na dworcu z przeszklonym dachem i giętymi, kutymi belkami, na który dopiero niedawno doprowadzono elektryczność. W elektryczność na razie nikt nie wierzy – i nie bez powodu: nazbyt często dworzec ogarniają całkowite ciemności, ułatwiając życie kieszonkowcom.
Gdy tylko zapragnę – już jestem na placu Matejki, zastygam przed imperialnym dostojeństwem Akademii Sztuk Pięknych, Dyrekcji Kolei i Banku Polskiego; albo przed Pałacem Sztuki na placu Szczepańskim; idę sobie do teatru Słowackiego albo Teatru Starego imienia Modrzejewskiej; albo zwyczajnie jem ciastko w Jamie Michalika, byłej Cukierni Lwowskiej, otwartej przez przybyłego ze Lwowa Apolinarego Jana Michalika w 1895 roku – do dziś zachowało się tu niesamowite secesyjne wnętrze: witraże, inkrustacje, rzeźbienia, gięte nogi i oparcia krzeseł, powściągliwa wymyślność, elegancka funkcjonalność – w ochrze, zieleni, brązie.
A może wynajmę mieszkanie gdzieś na Kazimierzu i poznam każdy jego zakamarek jak własną kieszeń. Zaszyję się tam i będę rozmyślać nad życiem stanisławowskich milionerów Liebermanów, właścicieli fabryki spirytusu i prasowanych drożdży: czy naprawdę Filip miał tak impulsywny charakter? Czy naprawdę Babette nie odczuwała różnicy wieku między nią a jej mężem? Jakie wnętrza mogły być w ich willi, położonej na terenie fabryki? W willi, która kosztowała więcej niż cała fabryka razem wzięta – nawet z półtorakilometrowymi torami, którymi wywożono cysterny spirytusu.
Rozkoszując się tym, jak fantastycznie będzie mi się pisało o Stanisławowie początku XX wieku w Krakowie początku wieku XXI, doszłam do pięknego i prostego wniosku: miejsce nie ma większego znaczenia. Stanisławów, o którym zamierzałam pisać, w całości mieścił się w dość bezpiecznym, poręcznym i łatwym do transportu pojemniku: w mojej własnej głowie. Nie było sensu zamachiwać się na obiektywność, realizm i wiarygodność historyczną: nie jestem historykiem ani naukowcem i stawiam przed sobą inne zadanie.
Jest taka teoria, wedle której nasze ciało może zawierać cząsteczkę, która niegdyś należała do Kleopatry czy Hryhorija Skoworody[1] – bo te fizyczne cząstki są wieczne, wciąż i wciąż łączą się ze sobą, by stworzyć jabłko, pszczołę, człowieka, i zrywają swoje związki – wcześniej czy później.
Moja babcia urodziła się w Iwano-Frankiwsku, niegdysiejszym Stanisławowie. Mój ojciec tam się urodził. I moja mama też tam była ze mną w ciąży – i urodziła mnie. Oznacza to, że z dużym prawdopodobieństwem moje ciało składa się z niezliczonych cząstek, które należały na przykład do konia Andrzeja Potockiego, fresków kościoła parafialnego, wykonanych przez Erazma Rudolfa Fabiańskiego w 1877 roku, kichnięcia popularnego lekarza, doktora Szymona Klaara, któremu nie dawały spokoju problemy z wiecznie podrażnioną śluzówką, i który sam z tego powodu nie dawał spokoju nikomu, kto odważył się kichnąć w jego obecności, któregoś z ormiańskich safianników lub kuśnierzy, ojców jezuitów, sióstr bazylianek, braci albertynów, robotników strajkujących w sierpniu 1895 roku, samolotu systemu Moran, na którym Michał Scipio del Campo zrobił trzy wielkie koła nad Zagwoździem i parkiem – wreszcie, spalonych powideł (śliwkowych? gruszkowych?), przez które we wrześniu 1868 roku poszło z dymem pół miasta i ratusz, a może nawet do tego starego, wielkiego ratusza.
Rozumiecie, o co mi chodzi? W moim ciele jest mnóstwo cząstek, należących do mojego miasta, a więc – to ciało jest częścią tego miasta, opowiadając o mieście – opowiadam o sobie, i odwrotnie.
Dlatego nie ma znaczenia, gdzie będę się znajdować, pisząc o Stanisławowie, bo Stanisławów jest we mnie. Jeśli zaś nastąpi to w Krakowie, po brzegi wypełnionym natchnieniem, to zapowiada się płodna i niewymownie przyjemna praca.
Uzbrojona w tak jasną logikę i ostre niczym brzytwa podejście naukowe, pełna jak najlepszych oczekiwań, siedziałam w warszawskim biurze organizacji przyznającej wspomniane stypendium. Pokoik ze skośnym dachem z trudem mieścił dwie osoby, to znaczy mnie, zmęczoną i cokolwiek wymiętą po podróży, oraz chudą, surową damę wiktoriańskiej urody, z ciemnymi włosami, ściągniętymi w ciasny kok na potylicy i w okularach o niemal niewidocznej niczym srebrzysta pajęczyna oprawce.
Z powodu braku pewności siebie zachowywałam się nazbyt uprzejmie, przesadzałam z dziękowaniem i przepraszaniem, jak to mamy w zwyczaju my, Galicjanie, byłam uprzedzająco grzeczna, ze wszystkiego zadowolona i przewidująca (a więc również przewidywalna).
Na zewnątrz sypał mokry śnieg, ale dama, przyodziana w oficjalny czarny kostium w drobne prążki, wystający spod ogromnego szarego, wełnianego szala, na oścież otworzyła wąskie okienko. Na stojącym tuż pod oknem taborecie, na którym nieśmiało przysiadłam, utworzyła się kałuża, i natychmiast zebrałam ją swetrem i dżinsami. Udając, że nic się nie stało, wciąż miło się uśmiechałam.
Najważniejszym elementem tej sceny w maleńkim gabinecie była chyba muzyka. Z niewielkiej wieży, stojącej na mokrym od tającego śniegu parapecie, rozbrzmiewało coś groźnego i do bólu klasycznego. Mogłabym teraz w półtorej minuty wyszukać w Wikipedii kilka znakomitych pomysłów na konkretne tytuły – sami wiecie, jak łatwo dziś pisarzowi znaleźć najdrobniejsze szczegóły z dowolnej dziedziny – ale tego nie zrobię. Wystarczy moje subiektywne wrażenie: waliły kotły, nerwowo rżały skrzypce, basem wkradał się puzon, nie wróżąc nic dobrego.
Dama podała mi kartkę z adresem i rzekła (jak należy, złowieszczo pobłyskując szkłami okularów):
– To hotel, w którym będzie pani mieszkać, pani Sofijo. Proszę nie zgubić kartki.
Zamiast zerwać się na równe nogi, wytrzeszczyć oczy i wrzasnąć w niebogłosy z totalnego zaskoczenia (a co z moim mieszkaniem na Kazimierzu? Co ze służącą i jej nocnikiem? Co z zapachem zgniłej kapusty w śródmiejskich bramach?), niespokojnie – i niepostrzeżenie – poszurałam mokrą pupą po kałuży, uśmiechnęłam się z blaskiem szczęścia w oczach i zaczęłam dziękować na prawo i lewo.
– Cóż za wspaniała wiadomość! – wołałam, a głos mój zlewał się z grzmotem kotłów. A przy tym myślałam: „Ale przecież wcześniej wszystkim stypendystom pozwalano wynajmować mieszkania!"
– Jak to miło, że państwo w swoim niewypowiedzianym natłoku spraw już z góry zadbali o mieszkanie dla mnie!
– „I dlaczego pani instytucja ani słowa mi nie napisała o warunkach, w których mam tu mieszkać?"
– Cóż to za ulga, że nie będę już musiała niczego szukać, marnować sił i czasu na nieistotne, banalne kwestie życia codziennego, że będę mogła od razu po przyjeździe rozpakować walizkę i usiąść do pisania powieści, która niepowstrzymanie tryska ze mnie na wszystkie strony!
– „Gdybym wiedziała, że czeka mnie coś takiego, sto razy bym się zastanowiła, zanim bym przyjechała, albo wybrała miasto, w którym jest więcej możliwości decydowania o własnym losie". – Dziękuję! Jestem państwu ogromnie wdzięczna, doceniam każdą chwilę, którą państwo poświęcili mojej skromnej osobie i z góry przepraszam za ewentualne kłopoty, które sprawię państwu w przyszłości – proszę wierzyć, to będzie całkowicie niechcący, bez żadnych złych intencji! – „Jestem zmęczona, zbita z tropu, rozczarowana. Nie wiem, co myśleć i co mówić. Mam mokry tyłek od stopionego śniegu i strasznie zmarzłam. Od fletu piccolo głowa mi pęka. I w ogóle, wie pani, chyba powinnam wrócić do domu". Długo wypełniałyśmy oficjalne dokumenty, załatwiałyśmy formalności, wyjaśniałyśmy różne szczegóły (na przykład uprzedzono mnie, że jeśli będę nadużywać alkoholu i narkotyków oraz zagrażać ładowi publicznemu, to zostanę karnie pozbawiona stypendium i wyrzucona z hotelu Felix w środku nocy boso na śnieg), a potem, po kolejnych kilku tysiącach podziękowań i przeprosin, znalazłam się w nocnym mroku Warszawy, po kolana w lutowym błocku. Ramiona urywał mi ogromny plecak z naderwaną prawą szelką, kółka brudnej walizy, wypchanej książkami o Galicji początku XX wieku, nie chciały się kręcić.
Równo w dobę później znalazłam się na krakowskim dworcu. Poszłam za pierwszym lepszym taksówkarzem, włożyłam utytłane toboły do bagażnika i, z ulgą umościwszy się na siedzeniu, w gnieździe z puchowej kurtki, szala i swetrów, poinformowałam kierowcę:
– Osiedle Złotej Jesieni 15. Hotel Felix.
Taksówkarz gwizdnął i ruszył.
Po drodze kilka razy zasypiałam i śniłam o pociągach, w których fundacje na rzecz kultury zapewniały mi mieszkanie podczas stypendiów twórczych, i gdzie trzeba było czekać długie godziny, zanim konduktorka otworzy ciasną, śmierdzącą toaletę, z której natychmiast zaczynały wylewać się rwące potoki nieczystości.
Powiadają, że nieczystości znaczą pieniądze. A „felix" to po łacinie „szczęśliwy".
Długo nie mogłam oprzytomnieć, kiedy taksówkarz obudził mnie na środku szerokiej ulicy, otoczonej betonowymi blokami. Jednak szybko otrzeźwiła mnie wymieniona przez niego kwota. Było jasne, że hotel Felix nie jest położony w samym sercu Krakowa (później okazało się – jeśli użyć tak fizjologicznej metafory – że był to raczej paznokieć wielkiego palca u nogi, scierniały i obolały po doznanym urazie).
Budynek rozrzucił betonowe skrzydła na obie strony i gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, tonął w mroku. Powlokłam swoje rzeczy do szklanych drzwi wejściowych, przez które wylewało się światło, obiecując spokój, bezpieczeństwo i odpoczynek. Po drodze zauważyłam, że na tabliczce z nazwą hotelu zieje spora, poszarpana dziura.
Dziewczyna w recepcji powitała mnie uśmiechem.
Po kilku minutach pobrzękiwałam już kluczami, szukając na pierwszym piętrze swojego pokoju.
Wąskie korytarze, w których paliła się dokładnie co druga słabiutka, niepewna lampa, ciągnęły się w dal. Ich ściany były pomalowane farbą olejną, podłoga wyłożona linoleum nieokreślonego koloru, popękanym, dziurawym i powyginanym. Mijałam dziesiątki drzwi, niezdolna pojąć logiki ich ułożenia, wreszcie dotarłam do końca korytarza, który, jak się okazało, przechodził w korytarz równoległego skrzydła, gdzie wszystko powtórzyło się od początku: dziesiątki pokojów po obu stronach, błyszczące ściany, linoleum, odgłos moich kroków, bezludny, bezpłciowy labirynt. W końcu korytarza powiewała blada firanka, najwyraźniej zasłaniająca wyjście na niedomknięty balkon.
W końcu trafiłam na numer pokoju, który pasował do liczby na moim kluczu. Zamek nie od razu się poddał, ale po chwili weszłam do środka, na wydeptany bury chodniczek. W nozdrza uderzył zastany zapach stęchlizny i dymu papierosowego, który najwyraźniej wrósł w ściany, w łóżko, w zasłony i koc, i stał się częścią tego wnętrza – taki zapach dolatuje z piwnicznych knajp, w których odbywają się szaleńcze nocne pijatyki.
Pokój był ciasny jak karcer: od łóżka do ściany jeden krok. Żaden kolor nie wyróżniał się z mętnej, ciemnej gamy.

Koc na łóżku gościnnie ział dziurą.
Kiedy zrobiłam półtora kroku w stronę okna, natknęłam się na niespodziankę: dwukrotnie węższą niż pokój, kiszkę, gdzie wzdłuż ściany zamontowano deskę, która miała służyć jako biurko, a nad nią – długie lustro, zapewne dla optycznego poszerzenia przestrzeni. Oto gdzie sądzone mi było pisać moją książkę o zupie migdałowej z ryżem, karnawałach w kasynie i postępowych galicyjskich kobietach pod wpływem nowej epoki!
Od wejścia od razu widać było drzwi prowadzące do wygód: kabiny prysznicowej i sedesu. W dziesiątej minucie pobytu w pokoju odkryłam, że w sedesie nie da się spuścić wody.
W recepcji siedziała już inna kobieta: starsza, skulona tak, jakby straszliwie się czegoś bała.
Najpierw próbowała przekonać mnie, żebym została w pokoju do poniedziałku: jest piątek wieczór, ze dwa dni – i fachowcy naprawią spłuczkę, wszystko będzie idealnie. Ale nie dałam się tym skusić, więc pani niechętnie wydała mi klucz do innego pokoju, piętro wyżej.
Wzięłam rzeczy i wyruszyłam na poszukiwanie mojego nowego schronienia. Wszystko się powtórzyło: niekończące się puste korytarze, niczym symbole ludzkiego fatum i samotności, nieśmiałe światło, podejrzane zapachy. Wydęta firanka na drzwiach balkonowych, udająca żywą istotę.
Drugi pokój okazał się dokładnie taki sam, jak pierwszy. Wyjęłam komputer, postawiłam go na desce pod lustrem, włączyłam i usiadłam, patrząc na siebie w lustrze. Tak minęło kilkanaście minut. I nagle do mojej stropionej świadomości zaczęły przedzierać się dwa obce bodźce, które przy całej swojej początkowej niedostrzegalności dokuczały coraz mocniej.
Po pierwsze, dotarło do mnie, że w pokoju było wściekle zimno. Dopiero niedawno wyleczyłam się z chronicznego kataru – i zupełnie nie uśmiechało mi się znowu zachorować tutaj, na tej ogromnej betonowej wyspie, gdzie nikt mnie nie znajdzie i mi nie pomoże. Dotknęłam kaloryfera lodowatymi dłońmi i odkryłam, że te żelazne wężyska, zwinięte w ciasne spirale, są już od dawna i nieodwracalnie martwe. Chłód skuwał nadgarstki i łydki, pół twarzy też mi zdrętwiało. Miałam ochotę na coś gorącego – ale skąd tu wziąć coś gorącego? Miałam ochotę wskoczyć do ciepłego łóżka, ale łóżko smętnie zwieszało się do podłogi metalową siatką, przykryte tylko cienkim, dziurawym kocem.
Drugi bodziec działał na zmysł słuchu. Skądś dobiegał czyjś głos – wycie czy płacz, jakieś niewyraźne mamrotanie. Intensywność dźwięków wciąż rosła, stawała się coraz bardziej natarczywa i obrastała wewnętrznym napięciem. Początkowo próbowałam ignorować dźwięki, koncentrując się na zimnie. Ale im bardziej sztywniały mi kończyny, im wyraźniejsza robiła się mleczna para mojego oddechu, tym wyraźniej wbijało się w uszy zagadkowe popiskiwanie, przypominające koci miaukot, dziecięcy płacz, ukraińskie kolędy w wykonaniu nocnych pijaczków, szelest liści, bulgot wody w kranie. Szczerze mówiąc, czułam się coraz dziwniej, podeszłam nawet do drzwi wejściowych i nadstawiłam ucha.
Na korytarzu nikogo nie było. Znów wisiała martwa cisza. Powiewała szara firanka w końcu tunelu.
Pani z recepcji siedziała w bezruchu i patrzyła wprost przed siebie. Gdy wyrosłam przed nią, wzdrygnęła się, jakby obudzona z głębokiego snu.
– W moim pokoju jest strasznie zimno. Nie mogę tam zostać – powiedziałam.
Pani westchnęła i powiedziała:
– Ale pani miała już przecież zmieniany pokój.
To była prawda. Nawet straciłam wątek. Rzeczywiście zmieniono mi już pokój. Oczywista racjonalność jej słów przycisnęła mnie do kuli ziemskiej gwałtownie zwielokrotnioną siłą ciążenia.
– Zgadza się – potwierdziłam, akceptując reguły gry.
– Miałam już zmieniany pokój, bo nie działało wc.
A w tym pokoju nie działają kaloryfery, nie mogę tam mieszkać.
Kobieta zapadła w długi namysł. Wreszcie pogrzebała w biurku i podała mi klucz z liczbą 522.
– To ostatnia jedynka, jaka została – rozłożyła ręce.
Wróciłam do zimnego pokoju, zabrałam rzeczy, zeszłam z nimi na dół, oddałam kobiecie klucz i ruszyłam schodami w górę, czując, że ręce zaraz mi odpadną, ale uspokajałam sama siebie, że to się zaraz skończy i wreszcie będę mogła odpocząć w cieple.
Na szóstym piętrze (bo polskie piąte piętro to nasze szóste, w Polsce parter się nie liczy) przypomniałam sobie o braku logiki w ułożeniu pokojów. Podreptałam korytarzem w jedną stronę, doszłam do jego końca z metalowymi drzwiami, zamkniętymi na kłódkę. Zawróciłam i ruszyłam w przeciwną stronę, tracąc nadzieję. Pokoju z numerem 522 nie było. Wróciłam na schody i zatrzymałam się by złapać oddech. Moje ubranie było mokre od potu, palce zsiniały od zaciskających je uszu toreb, w oczach mi poczerniało. Przynajmniej chłodu już nie czułam – kończyny pulsowały żarem.
Zeszłam do recepcji (rzeczy ciągnęłam ze sobą, bo nie miałam wątpliwości, że więcej ich nie znajdę, jeśli zarezygnuję zostawienie ich choćby na chwilę) i poinformowałam kobietę:
– Nie mogę znaleźć pokoju.
Spojrzała na mnie ze smutkiem i westchnęła:
– Dobrze, poszukamy razem.
Wcale nie byłam pewna, czy nie umrę, kolejny raz wyciągając rzeczy na szóste piętro. Ale nie mogłam przecież powiedzieć o tym recepcjonistce, nie mogłam się zdradzić! Pot spływał mi po czole, włosy miałam całkiem mokre, ale milczałam i uśmiechałam się.
Doszłyśmy razem do metalowych drzwi, pani dla porządku szarpnęła kłódkę, odwróciła się do mnie i powiedziała:
– Nie rozumiem.
Po czym zmierzyła wzrokiem ścieżkę usypaną z moich rzeczy, która ułożyła się za nami w korytarzu, i zaproponowała:
– Proszę poczekać na mnie na schodach, sama poszukam pani pokoju w tamtym skrzydle.
Oddalając się, mruczała:
– Nie rozumiem. Nic nie rozumiem. Jak może go nie być. Gdzież on się podział. Gdzieś zniknął. Nic nie rozumiem.
Pani wróciła z niczym. W milczeniu skinęła głową, pokazując, że mam iść za nią. Z trudem powściągnęłam chęć spuszczenia rzeczy po schodach. Wytrząśnięcia z walizy książek o stanisławowskich ratuszach, o synagogach i zakonie jezuitów, o wspólnocie ormiańskiej, Związku Ukrainek, encyklopedii *Austriackie gadanie*, wspomnień mieszkańców Stanisławowa o okresie międzywojennym, albumów o secesji, książek o fin de siècle, Haškowego *Szwejka*, kilku tomów Stefana Zweiga, Józefa Rotha, von Sacher-Masocha… I ciśnięcia w ślad za nimi komputera, wypchanego jeszcze większą ilością materiałów, w tym także starymi stanisławowskimi, lwowskimi i czerniowieckimi gazetami.
Recepcjonistka wróciła do swojego biurka, znów pogrzebała w szufladzie i podała mi klucz z napisem 101.
– Do poniedziałku może pani mieszkać w dwójce, potem fachowcy naprawią spłuczkę i wróci pani do swojego pokoju.
Kiedy znalazłam się w pokoju 101, zrozumiałam, że nigdzie się stąd nie ruszę – ani w poniedziałek, ani we wtorek. Nigdy. Nawet jeśli będę się musiała zabarykadować, podeprzeć drzwi stolikiem, szafą, telewizorem. Nie wrócę do jedynki.
Hotel Felix – ogromny betonowy lodołamacz – stoi w przemysłowej dzielnicy Krakowa, Nowej Hucie. Dzielnica powstawała dla robotników huty od 1949 roku, miała łączyć w sobie cechy miasta idealnego i miasta-ogrodu. Gigantyczną ideę do dziś można odczytać z mapy: symetria, harmonia, szerokie prospekty, aleje róż, wesołe pudełka wygodnych mieszkań, przedszkola-żłobki-szkoły, domy kultury, boiska; architektura tej dzielnicy była pomyślana jako logiczne przejście od starego Krakowa do wielkiego przemysłu nowoczesnej epoki socjalizmu.
Podróż do centrum Krakowa trwa godzinę w jedną stronę. Wpatrujesz się w melancholijne płatki śniegu, które topnieją po dotknięciu okna tramwaju i spływają łezkami w dół, malując na szkle kręte ścieżki.
Przez cały czas w swoim wnętrzu, w cieple i spokoju, hodujesz małe miasto, gdzie wśród lip powstają piękne secesyjne wille, których mieszkańcy sympatyzują z cesarzem Franciszkiem Józefem, bo nigdy nie zgodził się , żeby do jego pałacu doprowadzono telefon; gdzie panie kupują u doktora Beilla na Rynku mączkę migdałową, skrobaczki do języka i trikogen na wzmocnienie włosów, gdzie przez cały tydzień „w pewnym zakładzie" i w towarzystwie „pewnej osoby" przebywała szesnastoletnia córka krakowskiego milionera, Michalina Aratenówna, udając Helenę Kilian, hafciarkę; gdzie je się paszteciki z mózgu w muszelkach i świeże trufle, a jako wety – marmoladę morelową i leguminę z kasztanów, pije sok z ananasa i wino porzeczkowe, rozmawiając o pogodzie, plotkach, chorobach, polityce, skandalach i cenach (kilogram świeżej ryby – 2 korony i 40 halerzy, dziesięć jaj – 35 halerzy). Zdejmujesz wywieszkę „Miasto zakazane" i bierzesz głęboki oddech. Już wkrótce, choć trudno w to uwierzyć, jednak zacznie się wiosna. Dostaniesz miłą propozycję, żeby przeprowadzić się do przestronnego domu z tarasem i zielonym ogródkiem, i przez kilka pierwszych tygodni będzie ci trudno do tego przywyknąć. Będziesz pracować w bibliotece, której otwarte okna wychodzą na krakowski Rynek, i podkładem muzycznym do twojej pracy będzie stukot końskich kopyt, urywki obcojęzycznych zdań i cogodzinny hejnał z wieży kościoła Mariackiego.

[1] Hryhorij Skoworoda (1722-1794), ukraiński filozof i poeta, panteista, propagator prostoty i ufności we własne sumienie.

[Tłumaczenie: Katarzyna Kotyńska]

СОФІЯ АНДРУХОВИЧ (1982, Україна) – письменниця, перекладачка та публіцистка. Авторка прозових книжок «Літо Мілени» (2002), «Старі люди» (2003), «Жінки їхніх чоловіків» (2005), «Сьомга» (2007) та численних публікацій у пресі. Лауреатка премії видавництва «Смолоскип» (2001). Стипендіатка стипендіального проекту Homines Urbani на Віллі Деціуса у Кракові (2004). У 2013 році була учасницею стипендіальної програми Міністра Культури Польщі Gaude Polonia.

SOFIJA ANDRUCHOWYCZ (1982, Ukraina) – pisarka, tłumaczka oraz publicystka. Autorka książek prozatorskich *Lato Mileny* (2002), *Starzy ludzie* (2003), *Kobiety ich mężczyzn* (2005), *Siomga* (2007) oraz licznych publikacji w prasie. Laureatka nagrody literackiej wydawnictwa Smołoskyp (2001). Stypendystka projektu stypendialnego Homines Urbani Stowarzyszenia Willa Decjusza w Krakowie (2004). W roku 2013 uczestniczyła w programie stypendialnym Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej Gaude Polonia.

Ziemowit Szczerek **Зємовіт Щерек**

WAKACJE W APOKALIPSIE
КАНІКУЛИ В АПОКАЛІПСИСІ

Z Bakczysaraju do Pieszczanów odjeżdżał autobus. Pachniał smarem i nagrzaną ludzką skórą. To były fajne zapachy. Kierowca wziął kasę, nie dał biletów i tylko mrugnął okiem. Usiadłem na skaju. Też był nagrzany i też fajnie pachniał. Ruina autobusu toczyła się przez ruiny infrastruktury i nikt, podobnie, jak w Polsce, nie zauważał, że coś jest nie tak. Zresztą, może i wszyscy zauważali, może się przejmowali, ale co z tego, że zauważali.
Ruiny, ruiny. Radziecji, carstwa, trochę tatarstwa, ale niewiele. I pośród tych ruin nowe, które było jakimś żartem. Trudno powiedzieć, czy ukraińskie, czy rosyjskie, czy mieszane, czy po prostu krymskie. Tu było to samo, co w Polsce – gdy tylko przestano budować narodowi, a naród zaczął budować sam, to zaczęło to wyglądać tak, jakby wzięli się za to jacyś nomadzi z mroków średniowiecza. Autobus jechał pomiędzy sklepami spożywczymi przy wysuszonych poboczach, pomiędzy popękanymi domkami okolonymi bladą zielenią za płocinami, mijał babiny w niebieskich podomkach i białych klapkach na wysuszonych stopach, mijał chłopaczków golonych na łyso i dziadków w kapciach i z gołymi klatami, które, jak wszystko tu, wyło za lepszymi czasami.
Później zaczął się kurort, i ruiny przykrył nowy nalot. Pojawiły się jakieś baraki, stragany, jakiś nowo wybudowany sklep. Wszystko to rzygało sprzętem plażowym. Można sobie było kupić dmuchanego banana do pływania. Albo dmuchanego kraba. Albo plastykowe kanapki z kawiorem. Albo browar. Albo wódkę.
I w zasadzie nie wiadomo skąd konkretnie, bo zewsząd – napieprzało tekturowe, hucz̨ące i jęczące ruskie disco. Wisiało nad tą krainą wszędzie, nawet tam, gdzie nie było widać ani jednego głośnika. Podejrzewałem, że rodziło się tu w powietrzu. W tym ruskim dichu brodziły panny w błyszczących kostiumach kąpielowych i z tlenionymi włosami. Niektóre miały gumowe klapki na obcasach. Można też było zjeść szaszłyka na przykład. W budzie udającej orientalny pawilonik. Trzeba było zdjąć buty i się tam władować. Jadło się półleżąco, na poduchach. Coś takiego od pewnego czasu jest bardzo popularne na Krymie i jest przyjemne, choć trochę niewygodne: przez cały czas trzeba zmieniać pozycję, bo łokcie bolą.
Ale w Pieszanach coś było jednak nie tak. Kelnerka, na przykład, patrzyła na mnie jak na okupanta. Gdy niosła do stołu szablę od szaszłyka, wyglądała, jakby chciała mi ją wbić w oko. Była wściekła jak sto nieszczęść, i ja ją w sumie rozumiałem.
Przedramieniem ocierała pot. Było bardzo, bardzo gorąco. Miała kolczyk w brwi i krótko obcięte włosy. Nie pasowała do tego miejsca. Jej koleżanki kucały pod plastykową budą, która robiła za kuchnię, kopciły papierosy i plotkowały o jakimś Igorze. Jedna z nich na szyi nosiła telefon komórkowy, z którego do wszechogarniającego dicho dołączało się jej własne diszeczko. Ta kelnerka z kolczykiem w brwi musiała ich nienawidzić. Nie wyglądała na taką, co kocha disco i panny, które to disco noszą na szyi. Przy okazji nienawidziła też mnie i całego świata. Wcale jej się nie dziwiłem. Też bym nienawidził, gdyby to mnie na czole i szyi skraplał się stary tłuszcz, na którym smażono frytki i szaszłory. I to w rytmie „łoj, łoj, łoj, bojczik młoj”. Rzuciła mi tę szablę z mięsem na stół i odwróciła się, wściekła, na pięcie.
Nie było tu ani przytulnie, ani przyjemnie. Pomiędzy pseudoorientalne pawilony wszedł jakiś koleś w klapkach i podrabianych kąpielówkach Nike. Nie bardzo było wiadomo, po co wszedł. Stał tylko i gapił się na jedzących wzrokiem potwora. Mógł być naćpany, albo po prostu pieprznięty. Ale wyglądał groźnie. Był cały zielony od nieforemnych dziar. Wbił we mnie wzrok. Zastanawiałem się, jak często w takich sytuacjach, co robić, jak przyjdzie co do czego. Teraz ja zacząłem rozważać wykorzystanie szabli do szaszłyka w celu innym, niż mówi instrukcja obsługi. To było coś, co na Ukrainie od czasu do czasu sprawiało, że podskakiwała mi adrenalina. To uczucie, że jestem całkiem sam. Zdany tylko na siebie. Daleko od domu i znikąd pomocy. Bo nie miałem poczucia, że – na przykład – milicja mogłaby mi w czymkolwiek pomóc. Milicja nie była tu od pomagania, tylko od przeszkadzania. Instytucje poradzieckiego ukraińskiego państwa nie działały dla człowieka, raczej wbrew człowiekowi. Podobnie jak w Polsce, tylko jakoś jednak nawet bardziej. Unikałem kontaktów z nimi, jak tylko mogłem. Tutaj nikt nikogo nie chronił, nikt nikomu nie służył. No, chyba, że za ekstra kasę. Koleś jednak pogapił się tylko i poszedł siać niepokój kawałek dalej. Trochę jak drapieżne zwierzę. Popatrolował i poszedł dalej. Żujący szaszłyki goście parататarskiej restauracji odetchnęli z ulgą.
Poszedłem w stronę morza, choć w sumie było mi wszystko jedno, czy je zobaczę, czy nie. Odruchowy wybór kierunku. Kierunek, zresztą, można było określić za pomocą obserwacji natężenia występowania plażowego badziewia, tych wszystkich muszelek na postumentach, dmuchanych statków kosmicznych i ręczników udających wielkie dolarowe i eurowe banknoty. Ulicą jechał wielki, biały hummer. Biały i wysadzany bling-blingiem. Rejestracje miał rosyjskie. Na dachu – mój ty Boże prawosławny w prawosławnych niebiesiech – miał zamontowaną wielką koronę. Nie wątpię, że ze szczerego złota.
Może właściciel odkręcał, jak na noc zostawiał. A może garażował razem z tą koroną. Nie wiem.
Nad samym morzem rozciągał się koktajl betonu, piachu, żwiru, kamieni, wytartej trawy i tłuczonego szkła. Nie byłem w stanie dostrzec dominanty. Wczasowicze zapomnieli, że ta okolica nie ma nic wspólnego z pięknem i zdecydowali, że jednak spróbują się odprężyć. Leżeli na tym betonie plackiem, pomiędzy szkłami, puszkami, drutami bez żadnego sensu sterczącymi skąd się tylko dało – i skwierczeli. To było niesamowite. Wszyscy założyli sobie, że są w pięknym i odprężającym miejscu, miejscu, które nadaje się do spędzania wakacji i nabierania sił do dalszej pracy, założyli i po prostu uwierzyli w to. Doprawdy, dopiero tu, na wschodzie Europy można zrozumieć Polskę. Bo my jesteśmy do serii. Niestety niestety.
Centrum tego wszystkiego, punktem, wokół którego obracał się ten cały Krym, był Symferopol. A właściwie jego dworzec. Stąd odjeżdżały pociągi do całego dawnego Imperium, z Symferopola można było dojechać wszędzie: od Władywostoku po Użhorod. Nie ma sprawy. Dworzec był biało malowany i miał, zapewne, kojarzyć się z europejską południowością. Tyle tylko, że zewsząd opadało go coś, co jest specyficzną, wschodnio-południową jakością, mieszanką słowiańszczyzny i bliskowschodniości. Powietrze było tłuste od oparów benzyny, ludzie spoceni i rozregulowani jak nie do końca sprawne mechanizmy. Wokół trwała sobie permanentna, blaszana prowizorka. W tej prowizorce można było kupić czeburaki smażone na starym tłuszczu, majonez w woreczkach, suszone kalmary i alkohol. To wszystko wylane było asfaltem i betoniszczem, po którym wyły samochody – od trupów ład i zdychających opli po suvska błyszczące, z czarnymi szybami i ochraniaczami od żwirku na pyskach masek. Gdzieniegdzie tylko o litość błagała jakaś wysuszona zieleń, ale każdy miał ją gdzieś.
Po dworcu snuli się wczasowicze. Chcieli wypocząć i dlatego przyjechali tu z tego całego Użhorodu i Władywostoku. Z Norylska i Murmańska. Może nawet z Dikson, kto wie. Wychodzili z dusznych bebechów wagonów i dostawali po twarzy gorącym i tłustym symferopolskim powietrzem. Nie było tu ładniej niż gdzie indziej w byłym ZSRR, tylko bardziej gorąco.
Dlatego od razu walili do marszrutek i autobusów stojących na dworcu nieopodal. Marszrutki nagrzewały się jak puszki z saletrą. Wydawało mi się, że zaraz powybuchają, jedna od drugiej. Kierowcy nosili sandały i palili papierosy, czekając, aż marszrutki się napełnią. Po brzegi. Wczasowicze z Użhorodu i Murmańska pocili się jak myszy, dzierżąc w dłoniach te wszystkie toboły, pakunki, w których były letnie spódniczki wybierane przez miesiąc w butikach i na straganach, japonki, stroje kąpielowe.
I cały ten plażowy sprzęt tortur, który kojarzy się z wakacjami, czyli kremy do opalania (albo przeciw opalaniu), ręczniki do leżenia na plaży, okulary przeciwsłoneczne, cholera wie, co. I to wszystko, napchane do toreb, waliz i pakunków, upchane między różowe, spocone ludzkie ciała, wypełniało marszrutki od ściany do ściany i od podłogi po sufit. Kierowcy kończyli papierosy, pstrykali w dal, po czym wsiadali, zapalali silnik, zbierali hrywny, na które nawet tu już coraz rzadziej mówiono „ruble”, i ruszali ku riwierze. Do Jałty, Ałupki, Ałuszty, Sudaku. Marszrutka przedzierała się przez góry, a po jakimś czasie zaczynało spomiędzy nich łyskać morze. Wtedy wszyscy ci wczasowicze, z Użhorodu, Dikson, Władywostoku czy Norylska, robili głośne „ach”.
A później, gdy marszrutka dojeżdżała do tych Jałt, do Ałupek, do Sudaków i Ałuszt i wypluwała tych wszystkich turystów, z miejsca dopadali je ludzie wynajmujący kwatery. Mieli tekturowe tabliczki z napisem „kwatera nad morzem”, „kwatera blisko morza”, albo choć „kwatera”. Dookoła wrzała muzyka, adin, dwa, tri, ja chacziu bum bum bum s toboju bum bum bum, wrzało powietrze, wrzała krew w żyłach półnagich chłopaczków i panienek, wrzała ta rzeczywistość rozpieprzona w drobiazgi i poukładana z powrotem na chybcika, na pamięć, byle szybciej, bez planu, byle efektowniej. Billboardy, jadłodajnie, piwodajnie, rozrywkodajnie, wszystko na pół gwizdka ale z pełnym rykiem.
Te kwatery to najczęściej były cuda. Na przykład ta w Ałuszcie. Właścicielką była kobieta, która wyglądała jak dawna gwiazda filmowa, codziennie tarzana przez starość w smole i piórach. Gwiazda pracowicie, co rano, ścierała z siebie smołę i pióra, i urządzała swój dom i paraogródek. Dom właściwie też był paradomem. Wyglądał, jakby składał się z kilku prowizorycznie skonstruowanych części, które jakaś turbulencja czasoprzestrzenna wbiła w siebie wzajemnie. Prawo budowlane musiało tu być wyśmiewane mniej więcej w ten sam sposób, co przepisy dotyczące na przykład reklam w przestrzeni publicznej w Polsce.
Na podwórzu kwatery mnóstwo było przeróżnego szajsu. Stał w czymś w rodzaju skalnych ogródeczków (a raczej paraskalnych paraogródeczków) porozrzucanych na podwórku to tu to tam. Jakiś plastikowy miś nasadzony na porcelanowego tygrysa, a to z kolei ustawione na dwóch kamerdolcach: jeden był pomalowany na zielono, drugi – na żółto. A nad werandą – powieszony na kolorowej włóczce – pluszowy zając, do którego klaty przylepiono super glue drewniane czerwone serduszko z napisem I LOVE NEW YORK. I pełno tu było tego typu sprzętów. Motylki, grzybki, jakieś zwierzątka, jednorożce. Nie rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi, to mi gwiazda wytłumaczyła, że sprawa jest prosta: w poprzednim życiu była bowiem japońskim dekoratorem ogrodów. Kiwałem głową i rozglądałem się po tym wszystkim, pełen zrozumienia i rozczulenia, po czym ex-gwiazda dobiła mnie, informując, że jest emerytowanym majorem wojsk rakietowych.
– Ale w poprzednim życiu też? – Chciałem wiedzieć.
– Nie – odpowiedziała. – W normalnym, ludzkim.
I pokazała mi mundur wiszący w szafie.
– Więc to pani bał się cały Zachód – powiedziałem z podziwem, dotykając sukna.
Posmutniała.
– Ale naprawdę, nie było się co bać – odpowiedziała takim tonem, jakby informowała, że pies nie gryzie.
*
Na deptaku w nocy nie dało się wytrzymać. Napieprzało tym muzykoidem z każdej strony, i z każdej inaczej w dodatku. A na środku deptaka, składającego się głównie z popękanego asfaltu, jeszcze urządzili sobie karaoke. Stali jacyś kolesie z telewizorem, mikrofonem i wzmacniaczem. Płaciło się parę hrywien i można było wywrzeszczeć duszę przy Zemfirze czy jakimś ruskim popsie. Młodzi Polacy z plecakami rechotali i filmowali to wszystko komórkami, na chwilę pogrążając się w błogim zapomnieniu, że do ich kraju przyjeżdżają Niemcy czy Czesi i też filmują komórkami.
Wszyscy, ale to wszyscy byli pijani. Morze było faktycznie

czarne i w tej nocy prawie wcale go nie było widać. Nie było tu zresztą najważniejsze. O wiele ważniejsze były świecące żaróweczkami urządzenia do dostarczania rozrywki, jak na przykład worek do boksowania, który mierzył siłę uderzenia, czy inna skala pomiaru krzepy, jak na przykład młotek z czujnikiem, którym trzeba było przypieprzyć z całej pary w kowadło. Albo zwykłe cymbergaje czy stoły bilardowe. Co jakiś czas ponad to wszystko wzlatywało z piskiem coraz to inne dziewczę wystrzelone w górę na jarmacznej gumowej procy. Usiadłem z winem nad wodą – na betonowym bloku wypuszczonym w morze. Patrzyłem na światła statków. I na światła odbijającej się w wodzie wielkiej dyskoteki, którą słychać było na bank nawet w Turcji. Niektórzy skakali po pijanemu do wody, a potem trzeba było ich wyciągać, bo nie mogli wyleźć z powrotem: nabrzeże było wysoko. Śmierć zaglądała im w oczy, bo nagle przypominali sobie wszystkie artykuły prasowe i newsy w telewizji o brawurze wczasowiczów i zuchach, co to zuchowanie przypłacili śmiercią. Nie przychodziło im do głowy, jak łatwo i w zasadzie całkiem naturalnie człowiek staje się takim brawurowym zuchem, gdy popije. Unosili łyse głowy nad powierzchnią wody i wyli żałośnie: „pomogitie, pomogitie". W Sudaku było jeszcze gorzej. Panny pozowały do fotek swoim chłopakom w pozie gwiazd porno. Wiły się przed obiektywami w wodzie, na piachu, pod drzewami, w krzakach. Muzyka, oczywiście, zachrzaniała i nie było dokąd się przed nią schować. Nawet na kwaterze puszczały ją dwie blond panny, które przyjechały tu z Ufy. Rytm miały taki: rano browar, potem śniadanie, potem plaża, potem browar na kwaterze, potem znowu plaża, potem znowu browar, potem browar na plaży, potem znowu browar na kwaterze, potem prysznic i do łóżka. Miały ze sobą magnetofon, który wszędzie nosiły. Nawet pod prysznic. Z magnetofonu puszczały to samo, co leciało wszędzie gdzie indziej. No i tak, uciec się nie dało. Można było tylko pić. Gruzin z targu już się cieszył, kiedy mnie widział i mógł mi opchnąć flaszkę wina z granatów. Poszedłem pod zamek, ale stał tam wypchany centaur. Tak, centaur. Deptak był dramatem z powyłamywanymi nogami i suchym w czasie suszy jak pieprz. Ludzie szli albo z plaży, albo na plażę, bo co mieli robić. Zacząć nagle tańczyć? Robić pompki? Nad tym wszystkim sterczało bryliszcze jakiegoś sowieckiego megalitu, urzędu, przed którym prezentowali swe oblicza „pracownicy miesiąca". Już nie przodownicy. Usiadłem na schodach i wbiłem wzrok w cudownie stuningowaną ładę: była cała oblepiona muszelkami, a w środku wszystko obite miała różowym pluszem. Postanowiłem, że poczekam na właścicielkę/ela tego cuda. Żeby zobaczyć. Ale się nie doczekałem. Podjechała marszrutka. Jedziesz? – spytał kierowca.

– A czemu nie – odpowiedziałem i wsiadłem. Wrzuciłem mu pięć hrywien do plastykowego koszyczka na desce rozdzielczej i usiadłem obok kierowcy, bo tylko tam było miejsce.

– Dokąd?– zagaił kierowca.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – W sumie wszystko jedno.

– A skąd? – spytał on.

– Z Polski – rzuciłem.

– Byłem kiedyś w Polsce – powiedział po chwili, z lekkim współczuciem. – Nad morzem. Ale tam macie bajzel.

З Бахчисарая до Піщаного від'їздив автобус. Він пахнув мастилом і нагрітою людською шкірою. Це були файні запахи. Водій зібрав гроші, квитків не видав і тільки моргнув оком. Я сів на штучну шкіру. Вона теж була нагріта і теж файно пахла. Зруйнований автобус котився через зруйновану інфраструктуру і ніхто, мабуть, так само, як і в Польщі, не помічав, що щось не так. Зрештою, можливо, всі й помічали, можливо, переймались, але що з того, що помічали? Руїни, руїни. Совдепу, царату, трохи татарських, але небагато. І посеред цих руїн – нове, яке було якимсь жартом. Важко сказати, українські, російські чи змішані, чи просто кримські. Тут було так само, як і в Польщі – коли тільки переставали будувати для народу, і народ почав будувати сам, це виглядало так, немовби за це взялися якісь номади з мороку середньовіччя.

Автобус рухався між продуктовими крамницями біля висушених узбіч, між потрісканих будиночків, оточених блідою зеленню за плотами, проминав бабів у синіх халатах і білих босоніжках на висушених стопах, проминав поголених налисо хлопців і дідків у пантофлях і з голим торсом, що, як і все тут, плакало за кращими часами.

Пізніше почався курорт і руїни прикрив новий наліт. З'явились якісь бараки, намети, якийсь новозбудований магазин. І було там пляжної атрибутики, як гною. Можна було купити собі надувний банан для плавання. Або надувного краба. Або пластмасові бутерброди з кав'яром. Або пива. Або горілки.

І взагалі невідомо звідки конкретно – бо звідусіль – накочувалась картонна, гучна і криклива російська попса. Вона висіла на цим краєм усюди, навіть там, де не було видно жодного гучномовця. Я підозрював, що вона народжувалась у тутешньому повітрі.

В цій російській попсі сновигали дівчата у блискучих купальних і з вибіленим волоссям. У декотрих були ґумові босоніжки на каблуках.

Можна було також, наприклад, з'їсти шашлик. У будці із закосом під східний павільйон. Треба було зняти взуття і туди влізти. Їли тут напівлежачи, на подушках. Така мода від певного часу дуже популярна у Криму і це приємно, хоч і трохи незручно: весь час треба змінювати позу, бо лікті болять. Але в Піщаному щось було все-таки не так. Офіціантка, наприклад, дивилася на мене, як на окупанта. Коли вона несла до столу шампур від шашлика, то виглядала так, наче хотіла прохромити мені ним око. Вона була лиха, як сто чортів, і я її загалом розумів.

Передпліччям вона витирала піт. Було дуже і дуже спекотно. У неї був кульчик у брові і коротко стрижене волосся. Вона не пасувала цьому місцю. Її колеги навпочіпки під пластиковою будою, яка грала роль кухні, і пліткували про якогось Ігоря. Одна з них носила на шиї мобільний телефон, з якого до всеосяжної попси долучалася порція її власної попси.

Ця офіціантка з кульчиком у брові, мабуть, їх ненавиділа. Вона не виглядала на любительку попси і дівчину, яка цю попсу носить на шиї. Принагідно вона також ненавиділа мене й увесь світ. Мене вона зовсім не здивувала. Я би теж ненавидів, якби на моєму чолі та шиї збирався старий жир, на якому смажилась картопля фрі та шашлики. Та ще й у ритмі «ой, ой, ой, мальчик мой». Вона кинула мені того шампура на стіл і, люта, різко розвернулась.

Тут не було ні затишно, ні приємно. Між псевдоорієнтальні павільйони зайшов якийсь чувак у шльопанцях і підроблених плавках Nike. Не дуже було зрозуміло, навіщо він зайшов. Він просто став і вирячився на клієнтів поглядом монстра. Він міг бути накуреним або просто вольтанутим. Він виглядав загрозливо. Він був увесь зелений від безформних наколок. Він прикипів до мене поглядом. Я розважав, як часто це буває в таких ситуаціях, що робити, якби раптом дійшло до чогось. Тепер я почав думати, як використати шампур для шашлика з іншою метою, ніж вказано в інструкції з обслуговування. Це був стан, який трапляється в Україні, коли час від часу в мене піднімається рівень адреналіну. Це відчуття цілковитої самотності, коли покладаєшся тільки на себе.

Ти далеко від дому, і нема кому допомогти. Міліція тут не допомагала, а лише перешкоджала. Інституції пострадянської української держави діяли не для людини, а радше всупереч людині. Схоже як у Польщі, тільки все-таки якось іще сильніше. Я старанно уникав контактів із ними. Тут ніхто нікого не захищав, ніхто нікому не служив. Ну, хіба що за окрему плату. Однак чувак тільки повитріщався і пішов сіяти тривогу трохи далі. Трохи подібно до хижого звіра. Він відбув патрулювання й пішов далі. Гості татарськоподібного ресторану, що жували шашлики, відітхнули з полегкістю.

Я пішов у бік моря, хоча загалом мені було байдуже, побачу я його чи ні. Рефлекторний вибір напрямку. Зрештою, напрямок можна було визначити за допомогою спостереження інтенсивності, з якою з'являвся пляжний мотлох: усі ці мушельки на підставках, надувні космічні кораблі та рушники у вигляді великих доларових або євро-банкнот. Вулицею їхав великий білий «гаммер». Білий і прикрашений стразами. Реєстраційні номери були російські. На даху – о, мій Боже православний у православних небесах – у нього була змонтована велика корона. Не сумніваюся, що з чистого золота. Може, власник її відкручував, залишаючи машину на ніч. А може, залишав у гаражі разом із цією короною. Не знаю.

Біля самого моря простягався коктейль із бетону, піску, гравію, каміння, прим'ятої трави й товченого скла. Я не зміг визначити основного компоненту. Відпочивальники забули, що ці околиці не мають нічого спільного з красою, та вирішили, що все-таки спробують розслабитись. Вони лежали на цьому бетоні лежма поміж скла, банок, дротів, які без жодного сенсу стирчали звідусіль – і смажилися. Це була фантастика. Всі уявили собі, що вони в гарному і відпочинковому місці, місці, яке пасує для того, щоб провести відпустку і набратися сил для подальшої роботи, уявили і просто повірили в це. Воістину, лише тут, на сході Європи можна зрозуміти Польщу. Бо ми з тої ж опери. На жаль, на жаль.

Центром цього всього, пунктом, навколо якого обертався увесь цей Крим, був Сімферополь. А саме його вокзал. Звідти відправлялися поїзди до всієї колишньої імперії. З Сімферополя можна було доїхати всюди: від Владивостока до Ужгорода. Без проблем. Вокзал був пофарбований у білий колір і мав, вочевидь, асоціюватися з європейським півднем. От тільки звідусюди його оточувало щось, що є специфічною, південно-східною якістю, мішанкою слов'янщини і близькосхідності. Повітря було масне від випарів бензину, люди – спітнілі та розладнані, наче не зовсім справні механізми. А навколо стояли перманентні бляшані кіоски. В тих кіосках можна були купити смажені на старій олії чебуреки, майонез у пакетиках, сушених кальмарів і алкоголь. Усе це тонуло в асфальті та бетоні, по якому вили автомобілі – від трупів «лад» і напівздохлих «опелів» до блискучих «паркетників» із чорними шибами і пластиковими щитками від гравію на капотах. Лише де-не-де про милість благала якась висушена зелень, але всім вона була по цимбалах. Вокзалом снували відпочивальники. Вони хотіли відпочити, і тому приїхали сюди з усього того Ужгорода і Владивостока. З Норильська й Мурманська. Можливо, навіть і з Діксона, хтозна. Вони виходили із задушливих нутрощів вагонів і діставали в лице гарячим і масним сімферопольським повітрям.

Тут не було краще, ніж деінде в колишньому СРСР, а лише спекотніше.

Тому вони одразу рушали до маршруток і автобусів, що стояли на вокзалі неподалік. Маршрутки нагрівалися, наче банки з селітрою. Мені здавалося, що зараз вони повибухають одна за одною. Водії носили сандалі і курили сигарети, чекаючи, поки маршрутки не наповняться. По вінця. Відпочивальники з Ужгорода й Мурманська пітніли, як миші, тримаючи в руках усі свої сумки та пакунки, в яких були літні спіднички, які вони цілий місяць вибирали в бутіках і на торгових розвалах, в'єтнамки та купальні костюми. І усі ці пляжні засоби тортур, які асоціювалися з відпусткою, тобто креми для засмаги (або від засмаги), рушники для лежання на пляжі, сонячні окуляри і чорт-зна-що. І все це, запхане у сумки, валізи та пакунки, запхане між рожевими, спітнілими людськими тілами, від стіни до стіни та від підлоги до стелі наповнювало маршрутки. Водії докурювали сигарети, викидали їх, після чого сідали, заводили мотор, збирали гривні, які вже навіть тут щоразу рідше називали «рублями», і рушали до рив'єри. До Ялти, Алупки, Алушти й Судака.

Маршрутка продиралася крізь гори, і за якийсь час поміж ними починало проблискувати море. Тоді всі ці відпочивальники – з Ужгорода, Дікстона, Владивостока чи Норильська – робили гучне «ах».

А пізніше, коли маршрутка доїжджала до тих Ялт, Алупок, Судаків і Алушт і випльовувала всіх цих туристів, на них одразу ж нападали люди, які здавали в оренду квартири. У них були картонні таблички з написом «жильё над морем», «жильё біля моря» або просто «жильё». Навколо кипіла музика, один, два, три, я хочу бум бум бум с тобою бум бум бум, кипіло повітря, кипіла кров у жилах напівголих хлопців і дівчат, кипіла реальність, розбита на дрібнички, а потім складена навмання, по пам'яті, якнайшвидше, без плану, аби ефективніше. Білборди, їдальні, пив-

нички, розважальні заклади – усе на соплях, але на повні груди.
Оте жильё найчастіше було фантастичним. Наприклад, в Алушті. Власниця була жінкою, що мала вигляд кінозірки, яку щодня старість вивалювала у смолі та пір'ї. Зірка працьовито, щоранку, стирала з себе смолу та пір'я й доглядала свій будинок і ніби-садок. Будинок, зрештою, теж був недобудинком. Він виглядав так, немовби складався з кількох тимчасово сконструйованих частин, що їх між собою взаємно поєднала якась часопросторова турбулентність. Закони будівництва тут були висміяні, вочевидь, таким самим чином, як і, наприклад, інструкції щодо реклами у публічній сфері в Польщі.
На подвір'ї жилья була купа різноманітного лайна. Воно стояло в чомусь на кшталт альпійських гірок (точніше, недоальпійських недогірок), безладно розкиданих по дворі. Якийсь пластмасовий ведмедик, нахромлений на порцелянового тигра, а вся конструкція поставлена на дві каменюки: одна була помальована в зелений, а друга – в жовтий колір.
А над верандою – підвішений за кольорову мотузку – плюшевий заєць, до грудної клітки якого приліплено супер-клеєм дерев'яне червоне серце з написом I LOVE NEW YORK. І тут повно було подібного типу предметів. Метелики, грибочки, якісь звірятка, єдинороги. Я не розумів, у чому тут справа, і мені зірка пояснила, що справа проста: в попередньому житті вона була японським декоратором садів. Я махав головою і оглядав усе це, сповнений розуміння та розчулення, після чого екс-зірка добила мене, повідомивши, що вона – майор ракетних військ у відставці.
– Але теж у попередньому житті? – запитав я.
– Ні, – відповіла вона. – В нормальному, людському.
І показала мені мундир, який висів у шафі.
– То вас боявся весь Захід, – сказав я захоплено, торкаючись сукна.
Вона посумніла.
– Але насправді не було чого боятись, – відповіла вона таким тоном, немовби повідомляла, що пес не кусається.
*
На набережній вночі було нестерпно. Звідусюди наступала музика – і, крім того, звідусюди різна. А на середині набережної, яка складалася переважно з потрісканого асфальту, влаштували караоке. Стояли якісь чуваки з телевізором, мікрофоном і підсилювачем. Платилося кілька гривень і можна було від душі накричатися Земфірою або якоюсь російською попсою. Молоді поляки з наплічниками реготали й знімали все це на мобілки, на якусь мить піддавшись блаженному забуттю, що до їхньої країни приїздять німці та чехи і також знімають мобілками.
Усі, абсолютно всі були п'яні. Море було по-справжньому чорне, і тієї ночі його взагалі майже не було видно. Зрештою, це не було найважливішим. Набагато важливішими були пристрої для розваги з миготливими лампочками, наприклад, мішок для боксування, який змірював силу удару, чи інший рівень вимірювання міці, як, наприклад, молоток з індикатором, яким треба було з усього розмаху завалити по ковадлу. Або звичайний аерохокей чи більярдні столи. Регулярно, крім цього всього, з пищанням злітала щоразу інша дівчина, якою вистрелили вгору з ярмаркової ґумової рогатки.
Я присів із вином над водою – на бетонну плиту, висунуту в море. Я дивився на вогні кораблів. І на вогні великої дискотеки, які відбивались у воді. Її стопудово було чути навіть у Туреччині. Дехто стрибав п'яний у воду, а потім треба було їх витягати, бо вони не могли вилізти назад: набережна була високо. Смерть зазирала їм в очі, бо вони раптом пригадували всі статті у пресі і новини на телебаченні про безстрашність відпочивальників і зухвальців, які за свою зухвалість заплатили смертю. Їм не спадало на думку, наскільки легко і загалом абсолютно природно людина стає таким безстрашним зухвальцем, коли нап'ється. Вони піднімали лисі голови над поверхнею води і жалібно вили: «Помогите, помогите».
У Судаку було ще гірше. Дівчата позували для фотографій своїм хлопцям у позах порно-зірок. Вони звивалися перед об'єктивами у воді, на піску, під деревами, в кущах. Музика, звісно ж, горлала і не було куди від неї сховатися. Навіть на квартирі її вмикали дві дівчини-блондинки, які приїхали з Уфи. Ритм у них був такий: вранці пиво, потім сніданок, потім пляж, потім пиво на квартирі, потім знову пляж, потім знову пиво, потім пиво на пляжі, потім знову пиво на квартирі, потім душ і в ліжко. Всюди з собою вони носили магнітофон. Навіть у душ. На магнітофоні вони вмикали те саме, що лунало всюди. Ну, й так, втекти не вдалось. Можна було тільки пити. Грузин із базару вже радів, коли мене бачив і міг мені всучити пляшку гранатового вина. Я пішов під фортецю, але там стояло опудало кентавра. Так, кентавра. Набережна, ця драма з повиламуваними ногами, під час засухи була суха, як перець. Люди йшли з пляжу або на пляж, бо що їм ще було робити. Раптом почати танцювати? Робити стійку на руках? Над усім цим стирчала потвора якогось радянського мегаліту, управління, перед яким світили своїми обличчями «працівники місяця». Вже не передовики. Я сів на сходах і задивився на фантастично тюнінговану «ладу»: вона вся була обліплена мушельками, а всередині неї все було оббите плюшем. Я вирішив, що дочекаюся власника/власницю цього дива. Хотілося побачити. Але не дочекався. Під'їхала маршрутка. Ти їдеш? – запитав водій.
– Чому б і ні, – відповів я і сів. – Я кинув йому п'ять гривень у пластиковий кошик на приборній панелі і сів біля водія, бо тільки там було місце.
– Куди?- запитав водій.
– Не знаю, – відповів я. – У принципі все одно.
– А звідки? – запитав він.
– З Польщі, – кинув я.
– Я був колись у Польщі, – сказав він за якусь мить з легким співчуттям. – На морі. Але у вас там і бардак.

[Переклад: Андрій Бондар]

ZIEMOWIT SZCZEREK (1978, Polska) – dziennikarz, pisarz, tłumacz. Autor książki *Przyjdzie Mordor i nas zje* wydanej nakładem Wydawnictwa Ha!Art, współautor książki *Paczka radomskich*. Pisze doktorat z politologii, zajmuje się wschodem Europy i dziwactwami geopolitycznymi, historycznymi i kulturowymi. Jeździ po dziwnych miejscach i o tym pisze. Ostatnio najbardziej inspiruje go gonzo i literatura/dziennikarstwo podróżnicze.

ЗЄМОВІТ ЩЕРЕК (1978, Польща) – журналіст, письменник, перекладач. Автор книжки «Прийде Мордор і нас з їсть», яка вийшла у видавництві «Га!Арт», співавтор книжки «Пачка радомських». Пише дисертацію з політології, цікавиться східною Європою і геополітичними, історичними і культурними дивацтвами. Подорожує незвичайними місцями і пише про них. Останнім часом захопився ґонзо і літературою/журналістикою подорожі.

© Mikołaj Łoziński

© Dorota Gawryszewska

ТУТ НЕ БУЛО
НІ ЗАТИШНО,
НІ ПРИЄМНО.

PACHNIAŁ SMAREM I NAGRZANĄ LUDZKĄ SKÓRĄ

Василь Махно Wasyl Machno

КУРИ НЕ ЛІТАЮТЬ
KURY NIE LATAJĄ

Був час, коли базарські пагорби були найвищими і найзеленішими. А Джуринку я носив за пазухою як знайдені у траві перепеличі яйця. І дощі приходили до нас, як на Покрову гості; і сніги паслися на берегах Джуринки.

Був час, коли заяча губа Горб-долини, сторожке вухо Тої Гори і плавник Заводи разом із передзвонами поливаних відер об криничне каміння, надвечірнім ревінням корів, з обліпленими травою їхніми ніздрями, цупким повітрям, яке пахло коров'ячим молоком, – протікали крізь мене, наче весняна вода Джуринки крізь снігові загати навесні. Я нічого ще не розумів, бо вірив дідовим пророцтвам, що колись ми будемо курами, мурахами і рибами, і наша пам'ять буде легка, як повітря власного дому.

Буде час, коли наші кури нестимуть білі яйця життя і смерті: чи то на різдвяну, простелену по підлозі золоту солому, чи то для наших прозорих слів.

Нью-Йорк

У березні 2013 року я кілька разів безуспішно намагався зв'язатися із незнайомим мені Тоні Созанським, який мешкає на 39 вулиці у Мангеттені і який, за моїм припущенням, мав би мати стосунок до Фердинанда Респалдізи, полковника кавалерії, останнього пана села Базар.

Нью-Йорк відбивався від весняних вітрів, а Тоні відбивався від мене. Я лише записав на автовідповідач моє прохання, щоби Тоні мені відповів. Минув тиждень, і ми з Тоні уже розмовляли про родину Респалдіз, про його батька Ендрю Созанського, що мешкає в Оттаві, телефон якого Тоні продиктував під кінець нашої розмови. Коли черговий дощ заливав вулиці Нью-Йорка, я зайшов у кав'ярню Think Coffee на Четвертій Авеню, замовив чорний англійський чай, знайшов вільне місце і, витягнувши свій ноутбук, почав записувати відомі мені на той час деталі.

Усе розпочалося з 1939 року, важливого для будь-якого європейського закутку, часу, коли Респалдіз викинули з їхнього фільварку, паралізованого полковника і готову прийняти усі виклики долі його дружину Матильду, предки якої володіли базарськими дібрами віддавна. Це дивне, екзотичне слово «Респалдіза» я чув із раннього дитинства від прадіда Михайла Кардинала, який не дотягнув якихось півтора року до сотні своїх зморщених, як шкіра, літ. Він завжди повертався на фільварок, до коней пана Респалдізи і до самого пана Респалдізи, з яким, прослуживши у нього тридцять років старшим форналем, зійшовся, як може зійтися володар і слуга, шляхтич і селянин, з дотриманням відповідної відстані та етикету.

Містечко чи місцина Респалдіза знаходиться неподалік Більбао. Слово іспанське, що свідчить про іспанське коріння самого Фердинанда. У тому базарському просторі знищений фільварок, як виявилося, не зник із пам'яті. До нього поверталися, коли згадували Польщу, 1939 рік, Мошка Ашкеназі, управителя фільварку. Коли на місці знищеного панського будинку та усіх господарських прибудов, необхідних для ведення господарства, вибудували колгоспні курники, які потім також занехаяли, фільварок запав у землю.

Мені розповідали, що біля тих курників знаходили грубе кольорове скло, схоже на скло панських вітражів, запаяне у металеві візерунки. Після нищення все-таки щось залишається, не лише слова і пам'ять, щось западає глибоко у землю. Респалдізу поховали на місцевому цвинтарі біля каплиці панів Волянських. Після війни у 1946, здається, році зруйнують також і каплицю. Вхід до неї буде завалений. А за якийсь час зітліє дерев'яний хрест на могилі Фердинанда Респалдізи, горбик зарасте, зрівняється, і все поглине земля.

Приблизно за тиждень Ендрю Созанський з Оттави, Анджей, внук Фердинанда Респалдізи, задзвонив мені до Нью-Йорку, коли мене не було вдома. А ще через два дні я розмовляв із ним, з'ясовуючи дрібні деталі його родоводу, про його діда, про його маму Блянку Респалдізу, пояснюючи йому, хто я і звідки, і чому мене цікавить Фердинанд Респалдіза. Я не певен, що переконав Ендрю, якому сьогодні 80 років і якого я сполохав цими питаннями про Базар і про Респалдізу. Ендрю не пам'ятав жодного свого приїзду до Базару, але сказав, що має якісь світлини фільварку і, навіть сам уклав дерево свого родоводу. І обіцяв, що надішле мені все це на електронну пошту.

Базар. Повернення

У вересні 2012 року братовим «Шевролє» ми їхали до Базару через Язлівці, через містечко на семи горбах, схоже на підсвічник. Його пагорби з видолинками, з павутинням вулиць, з вежами і церквами тримали колись кордон між Османською імперією і Польським Королівством. А на трасі Бучач – Залізщики нас супроводжували полки жовтої кукурудзи, зарослі посадки, граї псів, які виникали із зелених ще кущів та різнотрав'я.

До Базару ми заїхали збоку Буряківки, минаючи кучугури сміття, які селяни звозять роками, і сад, який спаршивів, тому що ніхто його не доглядає.

А дорожній знак «Базар» позначав перший кордон, за яким лише моя пам'ять могла впоратися з моїми словами. Коли «Шевроле» порівнялося із зеленою брамою, за якою починалося подвір'я, що по ньому ніхто не ходить, і хата, в якій ніхто не живе, а мама, яка також була з нами, довго відчиняла браму, бо за час її відсутності, як це буває, заіржавів замок, потім замок шарпнув я, а тоді ще довго поралися із дверним замком, наче хата на нас образилася і не хотіла впускати.

У хаті застелений цератою стіл навпроти кахлевої грубки, видно, що мама змінила церату, бо стара завжди була з порізами, з брунатними кружальцями від гарячих баняків, із плямами. Тепер чисто, на підвіконниках в обгорнутих фольгою горщиках вазони, які так любила бабця, як їм перезимувати тут самим, той же бамбетель, мальований завжди яскраво-червоною фарбою, яку купувалося у залізному склепі. Якщо була гарна погода, бамбетель виносили надвір і він сохнув собі під сонцем. Підшафок, зроблений старим Шабатом, дверцята, припасовані косо-криво, їх завжди було незручно зачиняти. А під дзеркалом невеличка кишеня для гребінців, вишита грубими кольоровими нитками, колись купленими у Параски Крільової, до якої приходили посилки з Америки. Голки з нитками втикалися у вишивку на кишені. Кілька цих предметів знайшли собі у моїй пам'яті зручний закапелок: дідова фотографія, домоткане полотно, предмети, яких ще не позбулися, знайомі мені з дитинства. Яблуні повсихали, сливи перевелися разом із кущами малин і порічок, каміння на старій пивниці проковтнуло мовчання. Для чогось ще стоїть на оборі поскладана цегла, крихка і поросла зеленим лишаєм, так, наче хтось ще буде з неї щось мурувати. Нема тих господарів, які купували цю цеглу, і нема тих мулярів, які мали би щось із неї мурувати.

У травні 2010 року з цієї хати і з цієї обори повезли на цвинтар 87-річну бабцю Анну і всі права на хату, обору, город, на це каміння і цеглу з лишаєм – перейшли до моєї мами. Коли жила тут бабця, то цвіли по околицях тютюни, росли часник і цибуля, червиві яблука догнивали у картоплинні, а достиглі сливи пахли золотим запахом меду. Джуринка дзвеніла – і риба, б'ючись плавниками об її береги, перелітала хвилі, наче осінні кури гостинець. І обора знала, навіщо вона тримає на собі цеглу, і цегла знала, для чого вона призначена, і картопля знала, коли їй зацвітати, і тютюни знали, коли їх ламатимуть, і хата знала, коли її маститимуть, і бляха знала, коли її малюватимуть, і каміння знало, коли його збиратимуть.

І я знав, де і хто мене чекає, бо не знав я ще Нью-Йорка, а Нью-Йорк не знав мене, – і якось ми один без одного обходилися.

На городах люди копали картоплю, а зі школи поверталися учні – небагато, якихось чотири хлопці у спортивних костюмах.

Чому так давно я не був тут, що навіть Джуринка змінила колір своєї води, і очі мої постаріли?

Базар. Історія

Тепер, коли я перечитав газети, які виходили у Львові й Тернополі за Австрії та Польщі, різноманітні свідчення українців, поляків, євреїв і турків, переглянув сотні світлин, кадри хронік із різних часів у Ю-Тубі, спало мені на думку, що історія села Базар може бути записана у чотирьох книгах, наче це чотири пори року – весна, літо, осінь і зима, наче чотири варіанти Євангелії, в яких сакральність і побут, божественне і людське переплетене, туго зв'язане. Кожен із мною вибраних оповідачів розказав би власну історію, по-своєму визначив би приналежність базарських пагорбів до історії, своєю мовою оповів би жалі і нарікання. Вони б стояли у різних кінцях села – Павшівському, Криволуцькому, Язловецькому та Буряківському – я хотів би, щоби вони зійшлися і почули одне одного.

Для мене особливо цікавою сторінкою Базарської історії, її своєрідною історичною метафізикою було відкриття османського періоду в такій нерівній історії Базару, який зафіксовано єдиною згадкою у турецькому переписі сіл і містечок Поділля, зробленому для потреб турецької адміністрації, котра перебувала у Кам'янець-Подільському.

Згідно Бучацького мирного договору 1672 року, Османська імперія у 1672-1683 рр. тримала в Язлівцях кордон із поляками, і майже одинадцять років урядники Мехмеда IV збирали данину згідно детального перепису майна та населення, а базарськими пагорбами добре озброєні яничари гарцювали своїми кіньми, залишаючи навічно у місцевому ґенотипі зизий розріз очей і тютюновий піґмент шкіри. Чомусь у Базарі стояла турецька митниця і торгові ряди, це поселення називали по різному: то Митниця, то Базар. У складі Османської імперії Базар належав до Чортківської нахії Кам'янецького ейлету Подільського пашалику.

У Базарі жили українці, поляки, євреї. Вірмени заходили із Язлівця, з тих, що належали до вірменської громади, котра ще з середніх віків поселилася на язловецьких пагорбах. Галицькі євреї тримали в Базарі корчми, орендували сад та займалися торгівлею і також тут з'явилися із поширенням польського королівства на Поділлі, а українці, частково вимішавшись із турками, залишалися більшістю, завжди мешкаючи на околицях великих імперій. Після Карловицького конгресу 1699 року Базар знову опинився під польською короною. А ліквідація Польщі у 1795 прикріпила Базар до Австро-Угорської імперії, хоча якийсь час Східна Галичина належала також і Росії. За Австрії – це околиця східних кордонів, за Польщі також околиця.

У «Географічному словнику Польського Королівства та інших слов'янських країн», виданому у Варшаві 1880 року, про Базар поміщено енциклопедичну статтю, у якій сказано, що село розташоване за милю від містечка Язлівець, над річкою Джурин. Всього мешканців 875, з них греко-католиків 745, римо-католиків 94, вірмен 15, ізраелітів 21. Землі орної 1719 га, лук 124, пасовищ 19. Земля плодовита, вирощуються усі ґатунки збіжжя, а також тютюн і кукурудза.

З усіх навколишніх сіл землі в Базарі достатньо жирні та родючі, а пагорби та улоговини рівномірно

балансують між собою, і лише східна частина, на якій знаходився панський горішній фільварок, вивищується над селом, яке розповзлося на чотири кінці, а також проросло хатами вздовж Джуринки.
Історія тут заходила глибоко в землю, стаючи то Волоським гостинцем, то Могилками, то Червоною керницею, то Ставищем. Історія пронизувала базарський простір із усіх століть, із усіх можливих кінців світу і з усіх імперій.
Галичина перетривала саму себе.

Кардинали

Михайло Кардинал прийшов до Базару з Антонівців, за ним прийшло ще шестеро Кардиналів і всі одружилися з місцевими татарками. Так ці селяни з прізвищем найвищої церковної ієрархії стали базарськими і розділили із цим простором усе – і його повітря, і його землю.
У 1945 році приїхали переселенці, серед інших – Юрко Махно. Вони також тепер стали його повітрям і його землею.
Історія знову переплелася і знову заплуталась. Фердинанд Респалдіза вкорінився у кардинальській гілці, бо Михайло Кардинал, мій прадід, двічі одружений і батько чотирьох дітей, служив на горішньому фільварку старшим форналем.
Старший син мого прадіда, Микола, завжди супроводжував Фердинандову дочку, коли вона їздила верхи на коні, а молодша дідова сестра Марія приходила зі своїм батьком побавитися. Мій дідо Василь запам'ятав Фердинанда Респалдізу на все життя після того, як пан упіймав його у своєму саду і сказав про це моєму прадідові. Звичайно, що Фердинанд не знав, як Міхал увечері віжками від кінської упряжі пояснив своєму синові Василеві, що й до чого.
У 1939 році старший дідів брат Микола, який служив у Війську Польському, в уланах, мав повернутися додому, а мій дідо, восени того ж року, мав піти на військову службу. Але не склалося. Микола прийде додому лише у 1947 році після табору інтернованих вояків, а потім його визволять, переодягнуть у радянську військову форму і повезуть потягом на Далекий Схід воювати з японцями. Поки рядовий Микола Кардинал їхатиме на війну, Японія капітулює, але він ще два роки служитиме у Далекосхідному військовому окрузі.
У 1944 році Василя Кардинала, мого діда, розлучить з його молодою дружиною і щойно народженою донькою війна, яка закінчувалася, але ще потребувала і його, та він не стане землею війни. Він повернеться.

Вужі, кури і мурахи

Коли Джуринкою пливли вужі – наставало літо, а я підглядав за нашими курами, які неслися у кущах; туди можна було пролізти, розсунувши руками малинові колючі стебла, або шорсткі листки смородини, які прикривали від мене місця, випорпані нашими безголовими курами. Як тільки з курки викочувалося біле яйце, я просував руку під кущ і, намацавши його, тепле й перемащене глиною, з прилиплим до шкаралупи пір'ям, – урочисто ніс до хати. Курячі яйця скаладали у чорну бляшку з високими стінками, в якій випікали раз на рік калачі на Пасху і раз на рік калачі на Покрову. Деколи у ній ранньої весни товклися щойно вилуплені курчата, а в інші часи там тримали цукор або муку. Свіжі яйця бабця смажила щоранку із зеленою цибулею, а давніші носила до склепу, купуючи хліб чи сірники. Найбільші з березня відкладала окремо, на які наступного року підсаджуватиме квочку. Наші кури неслися в хліві, але були й такі, які кудахкали по кущах, і куниці, які інколи душили й тягали наших курей, ласували також знайденими по кущах курячими яйцями.
У малиннику, що розрісся поміж аґрусу, смородини і порічок, ховалися не тільки кури, ховався також і я, розглядаючи мурах, які облюбували вогкий чорнозем. Мурахи постійно щось зносили до свого дому, то западаючи у потріскану землю, то знову з'являючись на поверхні. Я приносив їм у кишенях цукор і заглядав у шпари в землі за хаотичним життям мурашиного царства, уявляючи себе такою ж мурахою, яка разом із усіма віднаходить шлях під землею до свого дому. Дідо казав, що мурахи кусаються і що виносити їм цукор не можна, бо їх може налізти повна хата, і тоді вони нас заберуть до себе, – просто винесуть уночі, і ми не зможемо розплющити очей. А ще дідо казав, що над Джуринкою бачив перепелиць і що вужі п'ють їхні відкладені у гніздах яйця. «Літо. – казав дідо, – бо вже вужі п'ють перепеличі яйця» .

Тютюн

Ми жили з важким тютюновим присмаком у повітрі, ми жили у грубих стеблах тютюну, широких клапоухих зелених листках із жилами, схожими на коров'ячі, в їхній липкій смолі, що, здавалося, пливла, розчинившись у Джуринці, вода якої одного дня була зеленою, а іншого – брунатною, а ще якогось – жовтою, наче заправлена жовтками перепеличих яєць. Тютюни достигали влітку, а навесні їхню розсаду розбирали з великих дерев'яних контейнерів, кількість розсади ретельно записував колгоспний обліковець. Потім під весняними дощами розсаду садили рівними рядками, – і зелений кволий тютюнець вростав своїм, ще доволі слабким, корінням у землю. Влітку листки і стебла набирали сили, і після цвітіння тютюнові поля пахли чорною смолою своєї зеленої крові, ми всі пахли тютюновим цвітінням, від якого лоскотало у носі. Спочатку обривалися великі листки, залишаючи меншим час для росту, стовбури оголювалися, цвіт осипався. Від ламання тютюну руки чорніли, під нігтями запікався сік, який чорнів і ставав смолою. Усі, хто ламав тютюн, вдихали п'янкий запах і ніяк не могли відмити чорноту своїх рук. Листки складали у верети, акуратно добирали за розміром, а привізши додому, сушили на сонці, обвішуючи хату шнурами, стіни хат на короткий час ставали схожими на зелені води Джуринки. Насиляли на алюмінієву єглицю – велику голку – допасовуючи листок до листка на звичайному сірому шнурку, потім розвішували навколо хати, а на сонці зелені листки тютюну діставали жовті плями, – і вже прив'ялі й зморщені, як рублі у кишені, листки зі шнурами, виносили на піддашшя хати або хліва. Там, заховані від дощу, шнури з листками парилися і перетворювалися на крихкі, коричневі, зморщені від сухого повітря, тютюни. На піддашші шнури, причеплені від крокви до крокви, провисали над головами. Тютюн кришився, і пилюга, яка постійно висіла поміж шнурів, пахла уже справжнім тютюном. Потім шнури обрежно зносили, розстеляли на веретах, якими покривали обору, і стягували кожен листок зі шнурка, розпрямляли долонями і скаладали один поверх іншого. Листки уже були крихкими, і могли розсипатися в руках, тому це робилося з максимальною пильністю. Висушений тютюн потрібно було також сортувати, великі коричневі листки йшли до вищої категорії, і за них платилося більше, менші скаладалися до менших. Посортований тютюн ранньої осені відвозили до заготівельної контори, де завжди було гамірно. Люди сперечалися з заготовачем за якість привезеного тютюну, а заготовач важив набиті спресованими листками верети, щось записував у свій зошит хімічним олівцем, який щоразу слинив. Від цього губи і язик у заготовача були синіми, а кімната, в якій здавали тютюн, коричневою і золотою. Запах тютюну, спочатку достиглого, потім прив'ялозеленого і, нарешті, крихкого і делікатного, – переходив із весни через літо аж до осені, і я виростав із цим запахом. І бабця Анна пахла у цей період тютюнами, і руки її, які вона парила у гарячій воді, відмокаючи, пускали коричневі нитки тютюнового кольору, але не ставали ніколи білими. Після того, як наші тютюни їхали у кузові вантажівки до ферментаційної тютюнової фабрики, і заготовач видавав нам виписану послиненим олівцем квитанцію, в якій було сказано скільки кілограмів і якої якості тютюну ми здали.
А гроші виплачували лише в середині грудня, ближче Різдва. На ці тютюнові гроші купували щось на Різдво, а решту клали на книжку. За зиму руки відмивалися, і десь із березня бабця Анна уже знову клопоталася про розсаду, про верети й шнури і про те, що треба докупити. Чи не тому під кінець свого життя вона була схожа на висушений листок тютюну, з якого вийшло усе життя, таке крихке і таке коричневе?

Війна

У Базарі наприкінці 60-тих ще жили люди, які пам'ятали війни. Одні пам'ятали першу світову, інші другу. Ковалиха пам'ятала обидві. Під час першої війни Ковалисі було 14 років, а під час другої – сорок. А я пам'ятаю Ковалиху і пам'ятаю її війни з її розповідей. Ковалишина найстарша і цупка пам'ять лежала на її язиці, а її кузня видихала чорне повітря назовні, а відколи почепили на вхідні двері замок, це чорне повітря вивітриться, а Ковалишина пам'ять стане моєю.
У 1968 році колони радянських військ проїздили Базаром у напрямку західного кордону. Мабуть, колони спеціально пускали цими сільськими дорогами, щоб не привертати увагу. Зачохлені гармати тягли за собою свіжо вимальовані на зелено військові машини. А у кабіні біля кожного водія сидів офіцер у польовій формі. Ковалиха з висоти свого горба сказала, що буде війна. Наш Федьо служив на Уралі. Я подумав, що коли у нас на горбі буде війна – Федьо з Уралу однаково знатиме, що в нас і як. Ковалиха казала, що так само їхали канони гостинцем перед війною за Австрії. Бабця, сплеснувши в долоні, скрикнула, що потрібно позаганяти курей, бо невідомо скільки того війська їхатиме гостинцем, і ті військові машини з канонами порозбивають увесь дріб. Потім ми вечеряли при запаленому каганцеві, який кіптявив стелю, а ґніт стирчав на пів сантиметра. На цілу хату пахло солодкою нафтою, а з кухні, крізь діри поміж чавунними дверцятами, просівалося світло вогню і стрибало по стінах. Бабця Анна молилася, поминаючи усіх нас, розсувала фіранки і роздивлялася у вікні, хто з сусідів ще не спить. Зранку бабця Анна, будячи мене, розповідала, що військо цілу ніч їхало нашим гостинцем, а Ковалишина ялівка буде мати теля, але теля ніяк не можуть витягнути, тому вже зранку ветлікар і хлопи ходять по оборі. І якщо швидко вмиюся і поснідаю, то ще зможу побачити як витягують теля з Ковалишиної корови. Я дуже хотів зранку підгодувати цукром мурах, але народження Ковалишиного теляти пропустити ніяк не міг. Бабця сказала, що мусить йти до Мельнички забрати для діда двох голубів, яким вже по два тижні, поки не почалася війна. Старий Мельник грав по весіллях на бубні, а два його сини служили у війську так, як наш Федьо. Мельники тримали голубів. Небагато – одну чи дві пари. Коли черговому голубиному приплодові виповнювалося кілька тижнів, Мельничка кликала бабцю до себе. Приставивши драбину до голубника, витягувала з неї двох молоденьких голубів, які ще не літали, і передавала бабці, та замотувала їх своєю запаскою і несла додому. При мені молодим голубам голови ніколи не скручували. Бо одного разу, коли я побачив, як бабця сціджувала голубину кров, ламаючи їм шиї, як стебла, а вони корчилися в конвульсіях у полірованій білій мидниці, я блював перед кущем смородини. Коли дідо кашляв – його лице набирало чорнильного кольору. Прокашлявши, він спльовував у відро з тирсою і перемішував своє харковиння кухонною лопаткою. Хтось порадив пити юшку з молодих голубів, ось саме чому бабця носила голубів від Мельнички. І я пішов до Ковалихи. Бабця зверталася до Ковалихи «Нанашко» , – і тоді Ковалишині очі з напівопущеними повіками закисали більмом, наче в чубатої курки, яку минулого року збила на дорозі машина. Ковалиха ніколи не скидала вишитої сорочки і кабата, який купила перед своїм шлюбом у Чорткові ще за Австрії. Саме того дня, коли Ковалишина корова, запінена і знесилена, лежала біля кузні, дідо мав їхати за кахлями. А Ковалиха з Марією тримали її за голову, коли ветлікар уже відв'язував грубі шнури від тонких ніг теляти, яке намагалося підвестися.
Того ранку, коли народилося Ковалишине теля, дідо таки поїхав бортовим газоном за кахлями до нової грубки. Стара грубка була поставлена відразу після мого народження майстром, якого привів дідо, вона ж стал постійним предметом війни між дідом і бабцею. «Партач» – казала бабця, – і її татарський профіль розсікав ятаганом пару і дим, які валували з усіх тріщин і дір помальованої зеленуватою фарбою грубки з синіми дзвінками. Тому нині, коли Ковалишина корова і Мельникові голуби стали для нас із бабцею нашим ранком, дідо їхав на Буковину, до якогось села, в якому випалювали кахлі.
«Хлібовозка, за графіком, приїде з полудня, – думав я. Якщо у Павшівці водій не питиме пиво, або по дорозі нічого не поламається». Черга старих людей і підлітків могла простояти аж до вечора, але без хліба ніхто додому не повертався. Бабця Анна, збираючись у поле на Рудку, залишила 54 копійки на столі, застеленому цератою, порізаною ножем у багатьох місцях, – і сказала купити два чорних і один білий хліби. Ми вийшли з хати разом, і я побіг, затискаючи у кулаці копійки.

Два чорних і один білий хліб
В одному місці Джуринка була перегороджена дамбою, і там ми купалися. Береги річки були обшиті зеленою травою, кущами будяків і полину; там попискували польові миші,
а ескадрильї комах, літаючи над річкою, дірявили повітря. Вище, у напрямку Павшівки, шкірила свої рожеві ясна закинута каменоломня, а польовою дорогою на Травну вантажівки збурювали літню пилюгу, яка поволі осідала сірою мрякою. Пам'ятаючи про хліб, я роздягнувся до трусів і майки, затискаючи у кулаці копійки. Залишати гроші на березі у траві було небезпечно, і я вирішив купатися з ними. На прибережних комишах сиділи, похитуючись, польові жайворонки, кілька бузьків ходили понад берегом, вишукуючи жаб, а зелена вода Джуринки, нагрівшись, пахла коров`ячим молоком. Нас було троє – і ніхто з нас не вмів плавати, ми трималися за берег, б'ючи щосили ногами, а також, розсікаючи воду своїми тонкими долонями, складали їх, наче плавники. Ми хотіли бути рибами. Джуринка пливла паралельно гостинцеві, я забув про хліб, про гроші
у кулаці, як і про обіцянку бабці Анні не йти купатися на річку. Я знав, що хлібовозка їхатиме гостинцем і я її побачу, а тоді, висохши на вітрі і викрутивши труси та майку, побіжу за нею купувати два чорних і один білий хліби. Хлібовозки не було видно,
– і ми лежали на траві й дивилися на небо, по якому пливли перини літніх хмар, а іноді куряче пір'я дірявої хмаринки ставало над нами і над річкою, затуляючи сонце, і сиротами вкривалися наші тіла, а з носів витікала зелена вода. Я постійно тримав долоню затиснутою, впевнений, що копійки у мене надійно сховані. І лише тепер, розтуливши її, побачив брудний пасочок, як спогад, який залишили вимиті Джуринкою копійки, які, можливо, проковтнула риба. Мені хотілося плакати, коли хлібовозка мчала до села, проминаючи цегельню і мене з Джуринкою. Я вдивлявся, як машина, здолавши пагорб дороги, повезла і два моїх чорних і один білий хліби, які я тепер не міг купити. Найприкріше, що бабця Анна тепер знатиме, що я купався, і що загубив гроші, а на вечерю, коли дідо повернеться з Буковини з кахлями, і вони з шофером запиватимуть могорич, в хаті не буде й крихти хліба. І винен у цьому я.
На горбі я побачив стару Ковалиху, вона дивилася на нашу обору – значить, кахлі привезли. Я заховався за поскладані й накриті від дощу мішками кахлі.
Я чекав поки вийде хтось з хати. Ніхто не виходив, і тоді, набравшись сміливості, я зайшов і побачив діда, бабцю і шофера. Вони про щось розмовляли, шофер намащував смалець на чорний житній хліб, а бабця, розвеселіла від привезених кахлів і самогону, навіть не запитала про хліб і про гроші. Накидаючи мені до миски смаженої картоплі, вона розповідала, що наші кури, повертаючись із Ковалишиного окопу додому, перелітали дорогу. Ні дідо, ані шофер не знали цієї прикмети.
[...]

© Dorota Gawryszewska

Był czas, kiedy bazarskie wzgórza były najwyższe i najzieleńsze. A Dżurynkę nosiłem za pazuchą jak znalezione w trawie przepiórcze jajka. I deszcze przychodziły do nas jak goście w święto Opieki Matki Boskiej, i śniegi pasły się na brzegach Dżurynki.
Był czas, kiedy zajęcza warga Doliny Garb, czujne ucho Tamtej Góry i płetwa Zawody wraz z pobrzękiwaniem polewanych wiader o kręgi studni, z przedwieczornym ryczeniem krów, z ich nozdrzami oblepionymi trawą, z ciężkim powietrzem, które pachniało krowim mlekiem – przepływały przeze mnie, jak wiosenne wody Dżurynki przez śniegowe groble.
Niczego jeszcze nie rozumiałem, bo wierzyłem w dziadkowe proroctwa, że kiedyś będziemy kurami, mrówkami i rybami, a nasza pamięć będzie lekka, jak powietrze własnego domu.
Nadejdzie czas, kiedy nasze kury zniosą białe jajka życia i śmierci: czy to na bożonarodzeniową słomę, rozesłaną na podłodze, czy to dla naszych przezroczystych słów.

Nowy Jork
W marcu 2012 parę razy bezskutecznie próbowałem skontaktować się z nieznanym mi osobiście Tonym Sozańskim, mieszkającym na Manhattanie przy 39 ulicy, który wedle moich przypuszczeń powinien mieć jakiś związek z Ferdynandem Respaldizą, pułkownikiem kawalerii, ostatnim panem wsi Bazar.
Nowy Jork odbijał się od wiosennych wiatrów, a Tony ode mnie. Zostawiłem mu tylko na automatycznej sekretarce prośbę, żeby do mnie oddzwonił. Minął tydzień i już rozmawialiśmy o rodzinie Respaldizów, o ojcu Tony'ego Andrew Sozańskim, mieszkającym w Ottawie, którego numer telefonu podyktował mi pod koniec rozmowy.
Kiedy kolejny deszcz zalewał ulice Nowego Jorku, zaszedłem do kawiarni Think Coffee przy Czwartej Alei, zamówiłem czarną angielską herbatę, znalazłem wolne miejsce i wyciągnąwszy swój laptop zacząłem zapisywać znane mi w tamtym czasie szczegóły.
Wszystko zaczęło się w 1939 roku, ważnym dla każdego europejskiego zakątka, w czasie, kiedy Respaldizów, sparaliżowanego pułkownika i jego, gotową przyjąć wszystkie wyzwania losu, żonę Matyldę, której przodkowie władali bazarskimi dobrami od dawna, wyrzucono z ich własnego folwarku. To dziwne, egzotyczne słowo „Respaldiza" słyszałem już we wczesnym dzieciństwie od pradziadka Mychajła Kardynała, któremu zabrakło półtora roku do osiągnięcia pomarszczonych jak skóra stu lat. On zawsze wracał do folwarku, do koni pana Respaldizy i do samego pana Respaldizy, z którym służąc u niego przez trzydzieści lat jako starszy fornal, zżył się, jak mogą zżyć się pan i sługa, szlachcic i chłop, z zachowaniem odpowiedniego dystansu i etykiety.
Miasteczko czy mieścina Respaldiza znajduje się w pobliżu Bilbao. To hiszpańskie słowo świadczy o korzeniach samego Ferdynanda. Zniszczony folwark, jak się okazało, nie znikł z pamięci bazarskiej przestrzeni. Powracano tam do niego, kiedy wspominano Polskę, 1939 rok, Moszkę Aszkenazego, zarządcę folwarku. Nawet gdy na miejscu dworu i wszystkich zabudowań gospodarczych, niezbędnych do funkcjonowania gospodarstwa, wybudowano kołchozowe kurniki, które potem porzucono, i folwark zapadł się w ziemię. Opowiadano mi, że w pobliżu tych kurników znajdowano kawałki grubego kolorowego szkła, możliwe, że pochodzącego z pańskich witraży, gdzie wprawione w metalowe ramki tworzyły barwne wzory. Po zniszczeniu mimo wszystko zostaje coś materialnego, nie tylko słowa i pamięć, coś, co zapada głęboko w ziemię. Respaldizę pochowano na miejscowym cmentarzu koło kaplicy panów Wolańskich. Po wojnie, chyba w 1946, zniszczona zostanie także kaplica. Wejście do niej zostanie zawalone. A po pewnym czasie zgnije drewniany krzyż na mogile Ferdynanda Respaldizy, grób zarośnie, zapadnie się i wszystko pochłonie ziemia.
Mniej więcej po tygodniu Andrew Sozański z Ottawy, Andrzej, wnuk Ferdynanda Respaldizy, zadzwonił do mnie do Nowego Jorku, gdy nie było mnie w domu.
A po kolejnych dwóch dniach rozmawiałem z nim o jego dziadku, jego matce Blance Respaldizie, uściślając szczegóły jego rodowodu, tłumacząc mu, kim jestem i skąd, i dlaczego interesuje mnie Ferdynand Respaldiza. Nie jestem pewien, czy przekonałem Andrew, który dziś ma 80 lat i którego wystraszyłem tymi pytaniami o Bazar i o Respaldizę. Andrew nie pamiętał żadnego swojego przyjazdu do Bazaru, ale powiedział, że ma jakieś zdjęcia folwarku i że nawet sam opracował swoje drzewo genealogiczne. I obiecał, że wyśle mi to wszystko pocztą elektroniczną.

Bazar. Powrót
We wrześniu 2012 chevroletem brata jechaliśmy do Bazaru przez Jazłowiec, miasteczko na siedmiu pagórkach, podobne do lichtarza. Jego wzgórza z parowami, z pajęczyną ulic, z wieżami i kościołami wyznaczały kiedyś granicę między Imperium osmańskim i Królestwem Polski. A gdy wyjechaliśmy na trasę Buczacz – Zaleszczyki, towarzyszyły nam pułki żółtej kukurydzy, zarośnięte sady i zgraje psów, które wyłaniały się z zielonych jeszcze krzaków i zarośli.
Do Bazaru wjechaliśmy od strony Burakówki, mijając hałdy śmieci, które chłopi zwozili tu przez lata, i sad, który zdziczał, bo nikt go nie doglądał. Tablica drogowa z napisem BAZAR oznaczała pierwszą granicę, po przekroczeniu której moja pamięć mogła podołać moim słowom. Kiedy chevrolet zrównał się z zieloną bramą, za którą było podwórze, po którym nikt nie chodzi, i dom, w którym nikt nie mieszka, mama, która też była z nami, długo otwierała bramę, bo przez czas jej nieobecności, co się zdarza, zardzewiała kłódka, wtedy ja też za tę kłódkę szarpnąłem, a potem jeszcze długo mocowaliśmy się z zamkiem w drzwiach, jakby dom się na nas obraził i nie chciał nas wpuścić. W środku naprzeciw kaflowego pieca stał stół, przykryty ceratą, widać, że mama ją zmieniła, bo stara cerata zawsze była pocięta, były na niej brązowe okrągłe plamy od gorących garnków. Teraz czysto, na parapetach kwiatki, które tak bardzo lubiła babcia, w owiniętych folią doniczkach, jak one same tu przezimowały, ta sama drewniana kanapa, malowana zawsze jaskrawo czerwoną farbą kupowaną w sklepie żelaznym. Jeśli była ładna pogoda, robiło się to na dworze i schła sobie na słońcu. Kredens, wykonany przez starego Szabatę, drzwiczki krzywo dopasowane, zawsze był kłopot z ich zamykaniem. A pod lustrem niewielka, wyszyta grubymi kolorowymi nićmi, kiedyś kupionymi od Paraski Krilowej, do której zawsze przychodziły paczki z Ameryki, kieszeń na grzebienie, a igły z nitkami wtykało się w wyszycia. Tych kilka przedmiotów, które znalazły sobie w mojej pamięci jakiś wygodny zakamarek, i jeszcze fotografia dziadka, płótno domowej roboty, te przedmioty, których

jeszcze się nie pozbyto, znane mi z dzieciństwa. Jabłonki pousychały, śliwy znikły wraz z krzewami malin i porzeczek, kamienie starej piwnicy połknęło milczenie. Czemuś jeszcze leży na podwórzu poskładana cegła, krucha i pokryta liszajem zielonego nalotu, tak jakby ktoś z niej jeszcze miał coś budować? Nie ma gospodarzy, którzy tę cegłę kupili i nie ma murarzy, którzy z tej cegły mieliby coś murować.
W maju 2010 roku z tego domu i z tego podwórza wyprowadzono na cmentarz 87-letnią babcię Annę i wszystkie prawa do domu, gospodarstwa, ogrodu, do tych kamieni i cegły z zielonym liszajem przeszły na moją mamę. W czasach, kiedy żyła tu babcia, kwitł w okolicy tytoń, rósł czosnek i cebula, robaczywe jabłka gniły na kartoflisku, a dojrzałe śliwki pachniały złotym zapachem miodu. Dżurynka dźwięczała – i ryby, uderzając płetwami o jej brzegi, przelatywały przez fale, jak jesienią kury przez gościniec. I podwórze wiedziało, dlaczego przechowuje tę cegłę, i cegła wiedziała, na co jest przeznaczona, i kartofle wiedziały, kiedy mają kwitnąć, i tytoń wiedział, kiedy go będą zrywać, i dom wiedział, kiedy go będą bielić, i blacha wiedziała, kiedy ją będą malować, i kamień wiedział, kiedy go zabiorą. I ja wiedziałem, gdzie i kto na mnie czeka, bo nie znałem jeszcze Nowego Jorku, a Nowy Jork nie znał mnie – i jakoś obchodziliśmy się bez siebie.
W ogrodach ludzie kopali kartofle, a ze szkoły wracali uczniowie – niewielu, jakichś czterech chłopców w sportowych ubraniach.
Dlaczego nie było mnie tutaj od tak dawna, że nawet Dżurynka zmieniła kolor swej wody, a moje oczy się postarzały?

Bazar. Historia

Teraz, kiedy przeczytałem gazety, które wychodziły we Lwowie i Tarnopolu za Austrii i za Polski, poznałem różnorodne świadectwa Ukraińców, Polaków, Żydów i Turków, przejrzałem setki zdjęć, kadry kronik różnych czasów na YouTube, przyszło mi do głowy, że historia wsi Bazar mogłaby być zapisana w czterech księgach, jak cztery pory roku – wiosna, lato, jesień i zima. Jak cztery warianty Ewangelii, w których sakralność i codzienność, boskość i człowieczeństwo są przeplecione, mocno ze sobą powiązane. Każdy z wybranych przeze mnie narratorów opowiedziałby swoją historię, po swojemu określiłby przynależność bazarskich wzgórz do historii, w swoim języku wyraziłby żale i narzekania. Staliby na różnych krańcach wsi – Pawszywskim, Krzywołuckim. Jazłowieckim, Burakowskim – chciałbym, żeby się spotkali i wysłuchali wzajemnie.
Szczególnie ciekawą dla mnie kartą w historii Bazaru, jego swego rodzaju historyczną metafizyką było odkrycie okresu osmańskiego, który został utrwalony w jedynej wzmiance o nim w tureckim spisie wsi i miasteczek Podola, sporządzonym na potrzeby tureckiej administracji, mieszczącej się w Kamieńcu Podolskim.
W latach 1672-1683 na mocy Buczackiego traktatu pokojowego z 1672 roku Jazłowiec należał do Imperium osmańskiego i graniczył z Polską. Niemal przez jedenaście lat według tego szczegółowego spisu majątku i ludności urzędnicy Mehmeda IV zbierali haracz, a po bazarskich pagórkach harcowali na swoich koniach dobrze uzbrojeni janczarzy, pozostawiając na wieki w miejscowym genotypie skośny rozstaw oczu i tytoniowy pigment skóry. Czemuś to w Bazarze znajdowała się turecka komora celna i targowisko, ze względu na to umiejscowienie wieś nazywano różnie: a to Mytnicą, a to Bazarem. W składzie osmańskiego imperium Bazar należał do Czortkowskiej nahii ejaletu Kamienieckiego paszałyku Podolskiego.
W Bazarze żyli Ukraińcy, Polacy, Żydzi. Ormianie trafiali tu z Jazłowca, rekrutowali się z ormiańskiej społeczności, która jeszcze w średniowieczu osiadła na jazłowieckich wzgórzach. Galicyjscy Żydzi prowadzili w Bazarze karczmy, arendowali sad i zajmowali się handlem, pojawili się tutaj wraz z powiększeniem Królestwa Polskiego o Podole, a Ukraińcy, częściowo wymieszawszy się z Turkami, pozostali większością, mieszkającą zawsze na peryferiach wielkich imperiów. Po kongresie w Karłowicach w 1669 roku Bazar znów znalazł się w granicach Korony Polskiej. Po upadku Polski w 1795 roku włączono go w skład Imperium Austro-Węgierskiego, choć przez jakiś czas Wschodnia Galicja należała także do Rosji. Za Austrii to były wschodnie kresy, za Polski również kresy.
W *Słowniku geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, wydanym w Warszawie w 1880 roku, Bazarowi poświęcono encyklopedyczny artykuł, w którym powiedziano, że wieś leży o milę od miasteczka Jazłowiec nad rzeką Dżuryn. Ogółem liczy 875 mieszkańców, w tym grekokatolików 745, rzymskich katolików 94, Ormian 15, izraelitów 21. Ziemi ornej 1719 ha, łąk 124, pastwisk 19. Ziemia żyzna, nadająca się do uprawy wszystkich gatunków zbóż, a także tytoniu i kukurydzy. Ze wszystkich dookolnych wsi ziemie w Bazarze są dostatecznie żyzne i urodzajne, a wzgórza i doliny harmonijnie się równoważą, i tylko wschodnia część, gdzie znajduje się pański górny folwark, góruje nad wsią, która rozpełzła się na cztery strony, a jej chaty ciągną się także wzdłuż Dżurynki. Historia weszła tu głęboko w ziemię, stając się to Wołoskim Traktem, to Mohyłkami, to Czerwoną Krynicą, to Stawiszczem. Historia ze wszystkich stuleci przenikała bazarską przestrzeń, ze wszystkich możliwych krańców świata i wszystkich imperiów.
Galicja przetrwała samą siebie.

Kadrynałowie

Mychajło Kardynał przyszedł do Bazaru z Antoniwców, po nim przyszło jeszcze sześciu innych Kardynałów i wszyscy ożenili się z miejscowymi Tatarkami. Tym sposobem ci chłopi o nazwisku oznaczającym wysokiego kościelnego hierarchę stali się bazarczykami i podzielili z tą przestrzenią wszystko – i jej powietrze, i jej ziemię.
W 1945 roku przyjechali przesiedleńcy, wśród innych – Jurko Machno. Oni też teraz stali się powietrzem i ziemią Bazaru.
Historia znowu się splotła i zagmatwała.
Ferdynand Respaldiza wrósł w kardynalską gałąź, bo Mychajło Kardynał, mój pradziadek, dwukrotnie żonaty ojciec czworga dzieci, służył na górnym folwarku jako starszy fornal.
Starszy syn mojego pradziadka – Mykoła zawsze towarzyszył córce Ferdynanda, kiedy jeździła wierzchem konno, a młodsza siostra dziadka Maria przychodziła ze swoim ojcem się pobawić. Mój dziadek Wasyl zapamiętał Ferdynanda Respaldizę na całe życie, po tym jak pan przyłapał go w swoim sadzie i powiedział o tym mojemu pradziadkowi. Oczywiście Ferdynand nie wiedział, że Michał lejcami od końskiej uprzęży wytłumaczył wieczorem swojemu synowi Wasylowi, co i jak.

W 1939 roku starszy brat dziadka Mykoła, który służył w Wojsku Polskim, w ułanach, miał wrócić do domu, a mój dziadek jesienią tego roku miał pójść do wojska. Tak się jednak nie stało. Mykoła wróci do domu dopiero w 1947 roku, najpierw trafi do obozu dla internowanych żołnierzy, a potem, gdy go stamtąd uwolnią, ubiorą go w radziecki wojskowy mundur i powiozą pociągami na Daleki Wschód, by walczył z Japończykami. Ale kiedy szeregowy Mykoła Kardynał jechał na wojnę, Japonia już skapitulowała, on jednak jeszcze przez dwa lata służył w Dalekowschodnim Okręgu Wojskowym.
W 1944 Wasyla Kardynała, mojego dziadka, rozłączy z jego młodą żoną i dopiero co narodzoną córeczką wojna, która kończąc się, potrzebowała jeszcze i jego, ale on nie stanie się ziemią wojny. On wróci.

Węże, kury i mrówki

Kiedy Dżurynką płynęły węże – nastawało lato, a ja podglądałem nasze kury, które niosły się w krzakach; można było tam przeleźć, rozsunąwszy rękami kłujące pręty malin albo szorstkie listki czarnej porzeczki, które ukrywały przede mną miejsca, wygrzebane przez nasze głupie kury. Gdy tylko z kury wytaczało się białe jajko – wsuwałem rękę pod krzak i namacawszy je, ciepłe i posmarowane gliną, z przylepionym do skorupki pierzem – niosłem uroczyście do domu. Kurze jajka składało się do czarnej wysokiej blaszki, w której raz do roku piekło się kołacze na Paschę i raz do roku kołacze na święto Opieki. Czasami wczesną wiosną tłoczyły się w niej dopiero co wyklute pisklęta, a w innej porze trzymało się w niej cukier albo mąkę. Świeże jajka babcia smażyła co rano ze szczypiorkiem, a starsze nosiła do sklepu, kupując chleb czy zapałki. Największe, na które posadzi kwokę, odkładała osobno. Nasze kury w zasadzie niosły się w chlewie, ale niektóre gdakały też po krzakach i kuny, które czasami dusiły i wynosiły nasze kury, wyjadały też znalezione w krzakach jajka.
W maliniaku, który rozrósł się między agrestem, czarnymi i czerwonymi porzeczkami, chowały się nie tylko kury, chowałem się także i ja, przyglądając się mrówkom, które upodobały sobie wilgotny czarnoziem. Mrówki stale coś znosiły do swojego domu, znikając w popękanej ziemi, to znowu pojawiając się na powierzchni. Przynosiłem im w kieszeniach cukier i śledziłem w szczelinach ziemi chaotyczne życie mrówczego królestwa, wyobrażając sobie, że też jestem mrówką, która razem z wszystkimi innymi odnajduje pod ziemią szlak do swego domu. Dziadek mówił, że mrówki gryzą i że nie można im wynosić cukru, bo może ich najść pełen dom i wtedy nas zabiorą do siebie – po prostu wyniosą w nocy i nie zdołamy nawet otworzyć oczu. Dziadek mówił też, że nad Dżurynką widział przepiórki i że węże wypijają ich złożone w gniazdach jajka. „Jest lato – mówił dziadek – bo już węże piją przepiórcze jajka".

Tytoń

Żyliśmy z ciężkim tytoniowym posmakiem w powietrzu, żyliśmy w grubych łodygach tytoniu, w szerokich zielonych kłapouchych liściach z żyłami podobnymi do krowich, w ich lepkiej smole, która zdawała się płynąć, żeby rozpuścić się w Dżurynce, której woda jednego dnia była zielona, a innego brunatna, a jeszcze innego – żółta, jakby zaprawiona żółtkami przepiórczych jajek. Tytoń dojrzewał w lecie, a na wiosnę jego rozsadę brało się z wielkich drewnianych pojemników, których ilość skrupulatnie zapisywał kołchozowy rachmistrz. Potem rozsadę pod wiosenny deszcz wysadzało się równymi rządkami – i zielony wątły tytoń wrastał swoimi jeszcze dość słabymi korzeniami w ziemię. Latem, kiedy liście i łodygi nabierały siły, po kwitnieniu tytoniowe pola pachniały czarną smołą swojej zielonej krwi, my wszyscy pachnieliśmy tytoniowymi kwiatami, od których łaskotało w nosie. Z początku obrywało się wielkie liście, zostawiając mniejszym czas, by urosły. Łodygi były coraz bardziej ogołocone, kwiat opadał. Od obrywania tytoniu czerniały ręce, pod paznokciami zapiekał się sok, który czerniał i stawał się smołą. Wszyscy, którzy zrywali tytoń, wdychali odurzający zapach i w żaden sposób nie mogli zmyć czerni ze swych dłoni. Liście układało się w stosy, dokładnie dobierając mniej więcej jednakowego rozmiaru, a przywiezione do domu suszyło się na słońcu, obwieszając dom sznurami, którego ściany przez krótki czas przypominały zielone wody Dżurynki. Przy pomocy aluminiowej iglicy – wielkiej igły nawlekano tytoń na zwyczajny szary sznurek, dopasowując listek do listka, a potem rozwieszano dookoła domu, tam na słońcu zielone liście tytoniu dostawały żółtych plam – i już przywiędłe i pomarszczone, jak ruble w kieszeni, wynoszono je na poddasze domu albo stodoły. Tam, chronione przed deszczem, liście na sznurach wygrzewały się i zamieniały w kruchy brązowy, pomarszczony od suchego powietrza tytoń.
Na poddaszu sznury wisiały ponad głowami, rozwieszone od krokwi do krokwi. Tytoń kruszył się i pył, który nieustannie unosił się między sznurami, pachniał już prawdziwym tytoniem. Potem sznury ostrożnie znoszono, kładziono na płachtach, rozłożonych na podwórzu, ściągano każdy liść ze sznurka, rozprostowywano w dłoniach i składano jedne na drugich. Liście były już kruche i mogły rozsypać się w rękach, dlatego robiono to z maksymalną ostrożnością. Wysuszony tytoń trzeba też było posortować, duże i brązowe liście szły do wyższej kategorii i za nie płacili więcej, mniejsze składano do mniejszych. Posortowany tytoń wczesną jesienią odwożono do punktu skupu, gdzie jak zawsze, było gwarno. Ludzie sprzeczali się z prowadzącym skup o jakość przywiezionego tytoniu, a on ważył nabite sprasowanym tytoniem pakiety, coś zapisywał w swoim zeszycie chemicznym ołówkiem, który za każdym razem ślinił. Od tego jego usta i język były niebieskie, a pokój, w którym oddawano tytoń, brązowy i złoty. Zapach tytoniu, najpierw dojrzałego, potem przywiędło zielonego i w końcu kruchego i delikatnego – przechodził z wiosny przez lato aż do jesieni i ja wyrastałem z tym zapachem. I babcia Anna pachniała w tym czasie tytoniem, i jej ręce, które wkładała do gorącej wody, odmakając, puszczały barwne nitki tytoniowego koloru, ale nie stawały się nigdy białe. Po tym, jak nasz tytoń pojechał na skrzyni ciężarówki do zakładów tytoniowych i pracownik skupu wydał nam kwit wypisany poślinionym ołówkiem, gdzie było napisane, ile kilogramów oddaliśmy i jakiej jakości, pieniądze wypłacali dopiero w połowie grudnia, bliżej świąt. Za te tytoniowe pieniądze kupowało się coś na święta, a resztę odkładało na książeczkę. Przez zimę ręce się odmywały i gdzieś od marca babcia Anna znowu troszczyła się o rozsadę, o płachty i sznury i o to, co trzeba dokupić. Czy to nie dlatego pod koniec swojego życia przypominała wysuszony liść tytoniu, z którego uszło całe życie, taki kruchy i taki brązowy?

Wojna

W Bazarze pod koniec lat 60. jeszcze żyli ludzie, którzy pamiętali wojny. Jedni pamiętali pierwszą światową, inni drugą, Kowalicha pamiętała obie. Za pierwszej miała czternaście lat, a za drugiej – czterdzieści. A ja pamiętam Kowalichę i pamiętam wojny z jej opowieści. Najstarsza i najlepsza pamięć Kowalichy ukryta była w jej języku, a jej kuźnia wydychała na zewnątrz brudne powietrze, które się wywietrzyło, gdy na wejściowych drzwiach kuźni zawisła kłódka, i pamięć Kowalichy stała się moją pamięcią.
W 1968 roku kolumny radzieckich wojsk przejeżdżały przez Bazar w stronę zachodniej granicy. Być może specjalnie kierowano je takimi wiejskimi drogami, żeby nie przyciągały uwagi. Pomalowane na zielono wojskowe samochody ciągnęły za sobą przykryte brezentem armaty. A w kabinie obok każdego kierowcy siedział oficer w polowym mundurze. Kowalicha z wysokości swojego wzgórza orzekła, że będzie wojna. Nasz Fedio służył na Uralu. Pomyślałem, że kiedy u nas na wzgórzu będzie wojna – Fedio z Uralu mimo wszystko będzie wiedział, co się z nami dzieje. Kowalicha mówiła, że tak samo artyleria jechała gościńcem przed wojną za Austrii. Babcia klasnąwszy w dłonie, krzyknęła, że trzeba zagonić kury, bo nie wiadomo, ile tego wojska będzie jechać gościńcem, i te wojskowe samochody z armatami wybiją nam cały drób. Potem jedliśmy kolację przy zapalonej lampie naftowej, która okopcała sufit, a knot w niej sterczał na pół centymetra. W całym domu pachniało słodko naftą, a z kuchni, przez żeliwne drzwiczki, sączyło się światło ognia i skakało po ścianach. Babcia Anna modliła się, wymieniając nas wszystkich, rozsuwała firanki i wyglądała przez okna: który z sąsiadów jeszcze nie śpi. Rano babcia Anna, budząc mnie, opowiadała, że wojsko całą noc jechało naszym gościńcem, a jałówka Kowalichy się cieli, ale cielęcia w żaden sposób nie mogą wyciągnąć, dlatego już od rana weterynarz i chłopi biegają po obejściu. I jeśli szybko umyję się i zjem śniadanie, to jeszcze zdążę zobaczyć, jak wyciągają cielę z Kowalichowej krowy. Bardzo chciałem z rana nakarmić cukrem mrówki, ale narodzin Kowalichowego cielaka nie mogłem sobie odpuścić. Babcia powiedziała, że póki jeszcze nie zaczęła się wojna, musi iść do Melnyczki po dwa gołębie dla dziadka, które już mają po dwa tygodnie. Stary Melnyk grywał na weselach na bębnie, a jego dwaj synowie służyli w wojsku, tak jak nasz Fedio. Melnykowie trzymali gołębie. Niewiele – jedną czy dwie pary. Gdy tylko kolejny gołębi pomiot osiągał wiek kilku tygodni, Melnyczka wołała babcię do siebie. Przystawiwszy drabinę do gołębnika, wyciągała z niego młodziutkie gołębie, które jeszcze nie latały i przekazywała babci, ta owijała je w swoją zapaskę i niosła do domu. Przy mnie młodym gołębiom nigdy nie ukręcano głów. Bo pewnego razu, gdy zobaczyłem, jak babcia spuszcza z gołębi krew, łamiąc im szyje jak łodygi, a one skręcają się w konwulsjach w polerowanej białej miednicy, zwymiotowałem pod krzak czarnej porzeczki. Kiedy dziadek kasłał – jego twarz nabierała koloru atramentu. Po kaszlu spluwał do wiadra z trocinami i zagrzebywał swoją flegmę kuchenną szufelką. Ktoś mu poradził rosół z młodych gołębi, i właśnie dlatego babcia przynosiła gołębie od Melnyczki. I poszedłem do Kowalichy. Babcia zwracała się do Kowalichy „Nanaszko" – i wtedy oczy Kowalichy, z na pół opuszczonymi powiekami, zachodziły bielmem, jak u czubatej kury, którą w zeszłym roku zabił na drodze samochód.

Kowalicha nigdy nie zrzucała z siebie wyszywanej bluzki i kaftana, który kupiła przed swoim ślubem w Czortkowie jeszcze za Austrii. Właśnie tego dnia dziadek miał jechać po kafle, kiedy krowa Kowalichy pokryta pianą i bezsilna leżała koło kuźni, a Kowalicha z Marią trzymały ją za głowę, a weterynarz już odwiązywał grube sznury od cienkich nóg cielęcia, które usiłowało się podnieść.
Tego ranka, kiedy ocieliła się Kowalichowa krowa, dziadek pojechał odkrytym ciężarowym gazem po kafle na nowy piec. Stary piec był nie tylko postawiony tuż po moim narodzeniu przez majstra, którego przyprowadził dziadek, ale stanowił też stały przedmiot wojny między dziadkiem i babcią. „Partacz" - mówiła babcia i jej tatarski profil przecinał jataganem parę i dym, które wydobywały się z wszystkich szczelin i dziur tego pomalowanego zieloną farbą pieca w niebieskie dzwonki. Dlatego teraz, kiedy krowa Kowalichy i gołębie Melnyków stały się moim i babci porankiem, dziadek jechał na Bukowinę, do jakiejś wsi, w której wypalano kafle.
„Samochód z chlebem, wedle grafiku, przyjedzie w południe – myślałem. – Jeżeli w Pawszywce kierowca nie będzie pił piwa albo po drodze nic się nie zepsuje". Kolejka starych ludzi i nastolatków mogła stać aż do wieczora, ale bez chleba nikt do domu nie wracał. Babcia Anna, wybierając się na pole do Rudki, zostawiła 54 kopiejki na stole zakrytym poprzecinaną w wielu miejscach ceratą, – i powiedziała, żebym kupił dwa czarne i jeden biały chleb. Wyszliśmy z domu razem i pobiegłem, zaciskając w garści kopiejki.

Dwa chleby czarne i jeden biały

W pewnym miejscu Dżurynka była przegrodzona tamą i tam się kąpaliśmy. Brzegi rzeki były obrośnięte zieloną trawą, krzewami ostów i piołunu; popiskiwały tam polne myszy, a eskadry komarów latające nad rzeką dziurawiły powietrze. Wyżej w kierunku Pawszywki, wyszczerzały swoje różowe dziąsła nieczynne kamieniołomy, a na polnej drodze na Trawnę ciężarówki wzbijały letni kurz, który powoli osiadał szarym mrokiem. Pamiętając o chlebie, rozebrałem się do majtek i koszulki, zaciskając w garści kopiejki. Zostawić pieniądze na brzegu w trawie nie było bezpiecznie, postanowiłem kąpać się z nimi.
Na przybrzeżnym sitowiu siedziały, kołysząc się, polne skowronki, kilka boćków chodziło po brzegu, szukając żab, a zielona woda Dżurynki, nagrzawszy się, pachniała krowim mlekiem. Była nas trójka – i nikt z nas nie umiał pływać, trzymaliśmy się brzegu, bijąc nogami ze wszystkich sił, a także siekąc wodę swoimi cienkimi dłońmi, które składaliśmy jak płetwy. Chcieliśmy być rybami. Dżurynka płynęła równolegle do gościńca, zapomniałem o chlebie, o pieniądzach w garści i o tym, że obiecałem babci Annie, że nie pójdę się kąpać w rzece. Wiedziałem, że wóz z chlebem będzie jechał gościńcem i go zobaczę, a wówczas, wyschnąwszy na wietrze i wyżąwszy majtki i koszulkę, pobiegnę za nim, by kupić dwa czarne chleby i jeden biały. Samochodu nie było widać – leżeliśmy na trawie i patrzyliśmy na niebo, po którym płynęły pierzyny letnich chmur, a czasami kędzierzawe pierze dziurawej chmurki zatrzymywało się nad nami i nad rzeką, zasłaniając słońce i wtedy nasze ciała pokrywały się gęsią skórką, a z nosów ciekła nam zielona woda. Dłoń trzymałem stale zaciśniętą, będąc pewnym, że kopiejki w niej są dobrze schowane. I dopiero teraz otworzywszy ją, zobaczyłem brudny piasek, jak wspomnienie, pozostawione przez wymyte przez Dżurynkę kopiejki, które być może połknęły ryby. Chciało mi się płakać, kiedy samochód z chlebem mknął do wsi, mijając cegielnię i mnie z Dżurynką. Przyglądałem się, jak maszyna, wspiąwszy się na pagórek drogi, powiozła także dwa moje czarne i jeden biały chleb, którego już nie mogłem kupić. Najgorsze, że babcia Anna teraz się dowie, że kąpałem się i zgubiłem pieniądze, a na kolację, kiedy dziadek wróci z Bukowiny z kaflami i z szoferem będą opijać zakup, w domu nie będzie nawet okruszka chleba. I to z mojej winy.
Na wzgórzu zobaczyłem starą Kowalichę, patrzyła na nasze obejście – widać przywieźli kafle. Schowałem się za kaflami, ułożonymi w stos i nakrytymi workami przed deszczem. Czekałem, aż ktoś wyjdzie z domu. Nikt nie wychodził, wtedy, zebrawszy się na odwagę, wszedłem i zobaczyłem dziadka, babcię i szofera. Rozmawiali o czymś, szofer smarował smalcem czarny żytni chleb, a babcia, rozweselona przywiezionymi kaflami i samogonem, nawet nie spytała mnie o chleb i pieniądze. Nakładając mi na talerz odsmażone kartofle, opowiadała, że nasze kury, wracając z kowalichowego rowu do domu, przefruwały nad drogą. Ani dziadek, ani szofer, nie znali ich od tej strony.
[…]

[Tłumaczenie: Bohdan Zadura]

ВАСИЛЬ МАХНО (1964, Україна) – поет, есеїст, перекладач. Закінчив Тернопільський педагогічний інститут, викладав літературу в Тернопільському національному педагогічному університеті та Яґеллонському університеті (Краків). З 2000 року живе в Нью-Йорку. Є автором дев'яти поетичних збірок, серед яких – «Схима» (1993), «Самотність Цезаря» (1994), «Книга пагорбів та годин» (1996), «Лютневі елегії та інші вірші» (1998), «Плавник риби» (2002), «38 віршів про Нью-Йорк і не тільки» (2004), «Cornelia Street Café» (2007), «Зимові листи» (2011), «я хочу бути джазом і рок-н-ролом» (2013), книг есеїстики «Парк культури та відпочинку імені Ґертруди Стайн» (2006), «Котилася торба» (2011), драматичних творів «Coney Island»(2006) «Beach/Bitch Generation» (2007). Перекладає сучасну американську, польську, сербську поезію.

WASYL MACHNO (1964, Ukraina) – poeta, eseista, tłumacz. Ukończył Tarnopolski Instytut Pedagogiczny, wykładał literaturę na Tarnopolskim Państwowym Uniwersytecie Pedagogicznym oraz Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Od 2000 roku mieszka w Nowym Jorku. Jest autorem dziewięciu tomów poetyckich, m.in. – *Schemat* (1993), *Samotność Cezara* (1994), *Księga wzgórz i godzin* (1996), *Lutowe elegie i inne wiersze* (1998), *Płetwa ryby* (2002), *38 wierszy o Nowym Jorku i nie tylko* (2004), *Cornelia Street Café* (2007), *Zimowe listy* (2011), *pragnę być jak jazz i roc'n'roll* (2013), książki eseistycznej *Park kultury i wypoczynku imienia Gertrudy Stein* (2006), dramatów *Coney Island* (2006) *Beach/Bitch Generation* (2007). Tłumaczy amerykańską, polską i serbską poezję współczesną.

Małgorzata Rejmer Малгожата Реймер

GŁODNE ZWIERZĘTA ГОЛОДНІ ТВАРИНИ

Lubię myśleć, że gdybym miała w domu pistolet, zrobiłabym z niego użytek. Moja przyjaciółka popełniła samobójstwo, wieszając się na pasku, ale ona zawsze była sprytniejsza ode mnie.
Kobiety nie lubią się wieszać, wolą, żeby po śmierci nie było żadnych śladów. A po pasku jest bruzda wisielcza sina, szeroka na dwa palce. Wiem, bo odcinałam Kingę, jak się powiesiła. Było rano, było zimno i świeciło słońce. Szary, biały i siny, takie pamiętam kolory.
Podejrzewałam, że się zabije, może nawet tej nocy, ale poczekałam do świtu. Zamówiłam taksówkę, pojechałam. Klucz do jej mieszkania miałam własny.
Potem miałam inne koleżanki, niektóre nadal mam. Wszystkie nadal żywe. Kinga jest nadal nieżywa.
Matka moja nigdy się nie skarżyła i nie mówiła o samobójstwie. Ona zna inne sztuczki. Na przykład dzwoni o szóstej rano, chociaż proszę ją, żeby nigdy tego nie robiła, bo telefon tak wcześnie, kiedy wstaje słońce, kojarzy mi się ze śmiercią.
Pamiętam czerwone słońce na tle żółtego nieba o piątej pięćdziesiąt, kiedy zadzwonił telefon z wiadomością, że umarła babka. To nie ja podniosłam słuchawkę, ale gdy usłyszałam sygnał telefonu, wiedziałam już, kto dzwoni i w jakiej sprawie. Dziadek dzwonił. Że babcia nie żyje. Ale. Jest jeszcze ciepła. Więc przyjeżdżajcie tutaj, trzeba ją szybko umyć i ubrać.
Matka prosiła mnie, bym z nią pojechała, a ja nie umiałam jej odmówić.
Potem powtarzałam: nigdy nie dzwoń do mnie wcześnie rano. Chyba, że ktoś umarł.
Matka mówiła: dobrze, wiem, nie będę dzwonić.
Kiwała głową, że rozumie.
Ale potem: dzwoni.
I zaczyna tak: Ty wiesz co się stało?
Ja oczywiście nie chcę ani wiedzieć, ani jej słuchać, ale mimo to pytam: Co?
A ona mówi: Wiesz, że bociany nasze jakiś bocian obcy zaatakował i najpierw zadziobał im małe bocianiątka, a potem już tylko dziobał dużego bociana.
Po co mi to mówisz? – pytam.
Tak strasznie trzepocze mi serce, że chce mi się płakać, ale przede wszystkim wściekłość zalewa mnie do bezdechu.
A ona: Bo on cały zakrwawiony chodził po drodze i nie mogłam go złapać. Chciałam po lekarza dzwonić, ale gdzie? Jest lekarz od bocianów?
Nic nie mówię.
A ona: I tak chodził, i się zataczał, bo latać nie mógł, aż go psy zagryzły.
Mam przed oczami ten obraz: bocian jest biały, czarny i czerwony, kołysze się na boki, idąc ostatkiem sił, a wokół niego na szarej drodze kłębią się szare psy. Pośród nieprzebranych połaci brunatnej ziemi szarobrązowy kwadrat, nasz dom.
Pytam: Czemu na to pozwoliłaś?
A ona, że to nie nasze psy, tylko sąsiada. Że chciała mu pomóc, psy przegonić, ale od tygodnia coś z nogą ma, boli ją kolano i nie może chodzić. Nie mówiła, żeby mnie nie martwić.
Płacze. Strasznie płacze, jakby coś się z niej wyrywało. Słucham tego przez chwilę, czekam aż skończy. Ale ona nie kończy, tylko płacze dalej, właściwie bardziej rzęzi niż szlocha.
Pytam ją, dlaczego płacze.
Ona mówi, że bociana jej żal.
Myślę sobie, czego chcesz ode mnie, kobieto, że rzucę wszystko i przyjadę do ciebie, ratować tego cholernego bociana?
Więc czekam, aż ścichnie trochę, i mówię jej, żeby nie płakała, bo i tak nic nie można było zrobić.
Ona pyta, kiedy przyjadę, więc mówię, że pewnie niedługo, i się rozłączam.
Wiem, że dzwoni tak wcześnie, bo całą noc nie spała, czekając na szóstą rano, kiedy kończy się cisza nocna i mogą rozdzwonić się telefony.
Odkładam telefon i nie płaczę, bo to jest luksus, na który mnie nie stać. Raz w tygodniu gotuję w dużym garnku jedzenie dla kota i to jest taka chwila dla mnie, kiedy mogę sobie rekreacyjnie popłakać, dla odstresowania i higieny. Gotowanie zajmuje mi jakieś dwadzieścia minut i tyle czasu płaczę, cicho, z małą ilością łez. Gotuję wątróbki, które szybko miękną i nabierają szarawej barwy, wydzielając duszący smród, którego nie cierpię. Ale wątróbki są dobre dla kota, pożywne.
Ten smród rozmiękającego mięsa doprowadza mnie do rozpaczy. Razem z wątróbkami gotuję kurze serca, którym wycinam najpierw błony i białe aorty, pod tępym nożem czuję ich sprężystość.
Zawsze zapominam naostrzyć noże, potem złoszczę się, że są tępe.
Jak nakładam kotu jedzenie do miski, to akurat przestaję płakać.
Prostuję się i rozglądam dookoła, co tu jeszcze można zrobić.
Wszystko już dawno temu zostało zrobione, więc co najwyżej mogę coś popsuć, a potem poprawić. Mieć miłe poczucie, że nałożyłam kolejną warstwę porządku w chwilowo nieporządnej rzeczywistości, w której, jednakowoż, wszystko ma swoje miejsce. Nowych rzeczy kupować nie lubię, dla nowych rzeczy trzeba szukać nowej przestrzeni, znajdować dla nich odpowiednie miejsce.
Nie lubię ryzykować, że mogę coś zepsuć. Człowiek coś zmienia, kombinuje, wydaje mu się, że to, co robi, nie ma żadnego znaczenia, a dzieją się rzeczy nieodwracalne. Idziesz przed siebie i zostawiasz za sobą ziemię jałową nieodwracalnych decyzji. Ciągle zastanawiasz się, ile jeszcze uda ci się z życia wyżebrać, i co roku jest tego mniej. To, co wyżebrałeś, odkładasz na kupkę, zanim zamienisz się w kupę popiołu. To, co po tobie zostanie, to parę przedmiotów, ale wkrótce wszyscy zapomną, że należały do ciebie.
Lubię myśleć o tym pistolecie, co go nie mam. Że biorę go do ręki, podejmuję decyzję, a dalej jest już ciemność, i ta ciemność niczego ode mnie nie chce. Jakbym siedziała w czarnym spa, w czarnym jacuzzi z czarną wodą i moczyła w nim swoje czarne ciało. Siedzę, relaksuję się, niczego nie czuję i o niczym nie myślę. Matka nie może do mnie zadzwonić, bo w tym stanie, co jestem, niczego nie ma, więc nie ma także telefonów, drutów, wtyczek i w ogóle nie ma mojej matki. Jestem w tej ciemności czarną kropką i mnie też nie widać, i ja siebie nigdy nie zobaczę.
Nie mam twarzy, tej dziwnej konstelacji skóry, tłuszczu i kości, dzięki której wszyscy rozpoznają, że ja to jestem ja, że kierują we właściwą stronę wszystkie wyrazy, które chcieli do mnie wypowiedzieć.
Nie mam piersi. Tych piersi, o które tak się martwiłam, że są coraz większe i cięższe, i że zaczynają ciążyć do ziemi.
Nie mam macicy, łona tak zwanego, które było twarde i małe jak zaciśnięta pięść.
Nie mam pochwy, która zawsze była albo za wilgotna, albo za sucha.
Niczego nie mam z tego wszystkiego, co zawsze mnie brzydziło: twarzy z naprężonymi mięśniami, która coraz bardziej przypomina miękką szmatę, piersi ciężkich, pustej macicy, pochwy zawilgoconej albo zaschniętej.
Oczywiście, jest jeszcze pistolet, którego nie mam. Ale żadna ze mnie artystka, tylko rzemieślnica, jak się zabija ktoś taki jak ja, to można się nad nim tylko litować. Kinga zabiła się, bo była artystką, pięknie żyła, umarła wzniośle, w kwiecie swojego wieku, mając sylwetkę szczupłą, twarz piękną. Tak ludzie mówili, bo nikt jej nie widział po śmierci, zadbałam o to. Wszystko sama przygotowałam, bo matka Kingi obraziła się, że nawet na koniec Kinga wywinęła jej takie świństwo, zawsze była złośliwa i nieprzewidywalna.
Minęło dziesięć miesięcy, jak Kingę ubraną na biało my wszyscy ubrani na czarno złożyliśmy w trumnie białej do ziemi czarnej. Matka Kingi zabunkrowała się za woalką. Kinga była nieprzewidywalna, bezczelna i znowu jej się wymknęła, a teraz nie ma sposobu, żeby ją ukarać.
I nie żyje Kinga, która starzała się wolniej ode mnie, która wyglądała na pięć lat młodszą ode mnie, a w dobrym świetle na dziesięć, ponieważ wszystko miała w twarzy drobne, proporcjonalne i ładne. Ludzie lubili patrzeć na twarz Kingi, Kinga cerę miała bez głębokich zmarszczek i zawsze wyglądała na umytą. Ona się nie umiała cieszyć z tego, że jest ładna, że z tą urodą mogłaby mieć łatwiej, ona widziała się wewnętrznym okiem osobą nieładną, niezadowalającą, miała proste grube włosy, to chciała mieć lekkie i kręcone, miała jasną cerę, to wolałaby być śniada, wszystko co w niej było ładne, wolała mieć na odwrót.
Potem nie chciałam widzieć, jak jej ciało się zmienia, bo nie chciałam jej takiej zapamiętać, ale widziałam i zapamiętałam. Przed zaśnięciem czasem, jak się z nią żegnam, myślę, że się nie obudzę więcej. Ale i tak niebo zawsze bieleje i następuje jutro, bo nigdy nie jest tak, jak sobie pomyśleliśmy, że będzie, zawsze jest na odwrót i zawsze gorzej, niż się spodziewaliśmy.
Już dawno przestałam się malować przy dziennym świetle. Widzę twarz, tę fasadę, którą tynkuję codziennie, i żal mi wszystkich włókien, które nie są w stanie udźwignąć ciężaru komórek, żal mi tego zwierzęcego białka. A przecież znam tylu ludzi, którzy są starsi ode mnie. Znam tylu ludzi, którzy już umarli. Tyle grobów, na których nikt nie zapala świeczki i ja też nie zapalam. A przecież jestem jeszcze młoda. Jeszcze mogłabym urodzić dziecko.
Za szybko się zorientowałam, że ludzie umierają. Przeczuwałam w jakiś instynktowny sposób, że skoro jest życie, to musi być śmierć, jest początek, to będzie i koniec, nie umiałam się nabrać na żadne historie o niebie, mało tego, nawet myśl o piekle nie dawała mi poczucia bezpieczeństwa, w sprawiedliwość i karę za grzechy też nie wierzyłam. Kara za grzech to był jeden z pasków, które zostawił po sobie ojciec, w rękach mojej matki. Miałam sześć lat, kiełkującą świadomość i błyskawiczne rozeznanie czym jest sprawiedliwość, czym jest prawda, a czym nieprawda. Pasek to był sprawiedliwość, ból to była prawda, a „zmuszasz mnie do tego” matki to była nieprawda.
Pierwszy koszmarny sen, jaki pamiętam, to czarna, zgarbiona postać prababki, która nachyla się nade mną (już wtedy rozumiałam: jestem dzieckiem, więc przed zaśnięciem głaszcze mnie babcia, a mama babci, czyli moja prababka, jest stara i ją przed zaśnięciem głaszcze śmierć). Prababka była wyschnięta i biała i mówiła do mnie „cipeczko”. Nienawidziłam jej za to, bo wiedziałam, że w ten sposób ludzie nazywają to, czym sikam. Ona mówiła do mnie przy wszystkich „cipeczko”, a ja gryzłam wargi ze złości i myślałam gorączkowo, dlaczego nikt nie obroni mnie przed takim upokorzeniem. Miałam sześć lat. Prababka umarła rok później, a gdy się o tym dowiedziałam, nie czułam smutku, czułam ulgę, że wreszcie zniknęła osoba, która nazywała mnie „cipeczką”. Myślałam też o tym, że babcia, która zajmowała się swoją matką i swoim mężem, czyli moim dziadkiem, będzie mogła wreszcie odpocząć.

Czasem matka biła mnie tak, że nie mogłam chodzić. Wtedy odpoczywałam. Za każdym razem ma rację, bo faktycznie jestem nieznośnym dzieckiem. Teraz jej to wybaczyłam, ale jako młoda dziewczyna nie mogłam. Kiedy byłam młoda, zawsze umiałam znaleźć sposób, żeby zemścić się na niej za to, jak pamiętałam swoje dzieciństwo. Byłam coraz silniejsza, a matka była coraz słabsza. Teraz ja jestem słaba, a ona jest bardzo słaba. Nie jest już dla mnie żadnym przeciwnikiem. Gdybym podrapała jej twarz, tak jak to zrobiłam, gdy byłam młoda, jej rana na policzku by się nie zagoiła.
Jeśli matka nie dzwoni, żeby mnie dręczyć, to dzwoni, żeby poopowiadać mi o swoim kocie. Ja mam kota dużo ładniejszego i bystrzejszego, ale ona ma kota bez jednego oka, więc w kategorii kot dostaje zwycięstwo walkowerem, bo kot bez oka jest uszlachetniony cierpieniem i trzeba kochać go bardziej. Twój kot, mówi moja matka, jest zepsuty i rozpasany, bo nie potrafisz go wychować, a do tego ma podły, złośliwy charakter.
Nieprawda, mówię. Staram się nie krzyczeć. Twój, mówię, ma obrzydliwy oczodół, cały nabrzmiały krwią i ropą, bo nic innego nie robi, tylko ciągle rozdrapuje sobie ten strzęp po oku. Dlaczego do diabła nie pójdziesz z nim do lekarza, żeby zaszył mu powiekę, żaden normalny człowiek nie może na niego patrzeć bez wstrętu.
Mnie to nie przeszkadza, odpowiada matka. Zaraz coś jej wypada i musi się rozłączyć.
Głaszczę swojego kota, żeby się uspokoić, i obiecuję sobie, że nie zadzwonię do niej przez najbliższy tydzień.
Nazajutrz dzwonię, bo boję się, że coś mogło jej się stać, może umarła. Ale jak słyszę jej głos, to zaraz żałuję, że zadzwoniłam. Ona mówi do mnie tak, jakby też żałowała, że dzwonię. Żegnamy się cierpko. Na drugi dzień ona dzwoni, z samego rana, bo śniło jej się, że stało mi się coś złego. Byłaś nieznośnym dzieckiem i nieprzewidywalnym, wspomina matka.
To samo mówiła matka Kingi o niej i Kinga nie żyje, odpowiadam.
Widzę, że ją to boli. Lubiła Kingę, może nawet bardziej niż mnie. Kinga to byłam ja, ale lepsza i ładniejsza. Kinga była cudzym dzieckiem, więc była idealnym dzieckiem. Ja mogłam nie urodzić dziecka, ale Kinga urodziłaby coś ślicznego.
Dzwoni matka, informuje mnie, że nogi tak bardzo ją bolą, że nie może chodzić.
Nie skarży się, po prostu mnie informuje.
Mamy na podwórku kilka kur, kozę, bo matka jest uczulona na krowie mleko, i dwa psy. Prezesem zwierząt jest kot, ten, który nie ma oka. Kot czasem wychodzi na dwór na audiencję, ale z niczego już nie czerpie przyjemności.
Pytam: Kto karmi zwierzęta?
Przestań mnie zadręczać, mówi, przecież widzisz, że nie mam siły, żeby się nimi zajmować. Powinnaś tu przyjechać, żeby się nimi zająć, bo chodzą głodne.
Proszę: Zbierz siły i zajmij się nimi, albo poproś kogoś, żeby ci pomógł.
Albo mówię: W dupie to mam, niech wyzdychają wszystkie z głodu.
Albo błagam: Zrób coś wreszcie z tymi kolanami.
Ona mówi: Przyjedź. Przyjedź, trzeba nakarmić zwierzęta.

Я люблю собі думати про те, що, якби мала вдома пістолет, то скористалася б ним. Моя приятелька убила себе, повісившись на ремені, але вона завжди була вправніша від мене.
Жінки не люблять вішатися, їм хочеться, щоби після смерті не залишалося жодних слідів. А після ременя залишається синя смуга на шиї, шириною на два пальці. Я це знаю, бо знімала Кінгу, коли та повісилася. Був ранок, було холодно і світило сонце. Сірий, білий і синій, такі кольори запам' яталися.
Я підозрювала, що вона може себе вбити, можливо, навіть тієї ночі. Але дочекалася світанку. Я викликала таксі і поїхала. У мене був свій ключ від її квартири. Потім у мене були інші приятельки, деякі з них досі є моїми приятельками. Всі вони все ще живі. А Кінґа далі мертва.
Моя мама ніколи не нарікала і ніколи не говорила про самовбивство. Вона знає інші прийомчики. Наприклад, дзвонить о шостій ранку, хоч я прошу, щоби вона ніколи такого не робила, бо дзвінок на світанко, як і колись, асоціюється мені зі смертю.
Я пам' ятаю червоне сонце на тлі жовтого неба о п' ятій п' ятдесят, коли задзвонив телефон, повідомляючи, що померла бабця. То не я взяла трубку, але, почувши сигнал телефону, вже знала, хто дзвонить і чому. Дзвонив дідусь. Що бабця померла. Але. Вона ще тепла. Їдьте вже сюди, треба її швидко помити і одягнути.
Мама просила, щоб я поїхала з нею, а я не вміла їй відмовляти.
Згодом повторяла:
– Ніколи не дзвони мені з самого ранку. Хіба би хтось помер.
Мама казала:
– Добре, знаю, не буду дзвонити.
Кивала головою, що розуміє.
Але потім: дзвонить.
І починає так:
– Ти знаєш, що сталося?

Зрозуміло, що я не хочу ні знати, ні її слухати, та все ж запитую:
– Що?
А вона каже:
– Ти знаєш, що на наших бузьків напав якийсь чужий бузьок. Спочатку він задзьобав маленьке лелеченя, а тоді вже тільки дзьобав великого бузька.
– Навіщо ти мені це кажеш? – питаю.
Серце тріпотить так жахливо, що мені хочеться плакати, але найголовніше, що така лють, аж задихаюся.
А вона:
– Бо він весь закривавлений ходив по дорозі, а я не могла його впіймати. Хотіла дзвонити до лікаря, але куди? Чи є лікар для бузьків?
Я мовчу.
А вона:
– І він так ходив, хитаючись, поки його не загризли пси.
У мене перед очима цей образ: лелека біло-чорно-червоний, хитається з боку на бік, йде з останніх сил, а навколо нього – на сірій дорозі звиваються сірі пси. Посеред неприбраної смуги брунатної землі – сіро-коричневий квадрат – наш дім.
Питаюся:
– Як ти таке допустила?
А вона, що це не наші пси, а сусідські. Що хотіла йому допомогти, відігнати псів, але вже тиждень щось у неї з ногою, болить коліно і не може ходити. Не хотіла мені нічого казати, щоб я не переживала.
Вона плаче. Плаче страшенно, ніби з неї щось вирвається.
Я трохи слухаю, чекаю, поки перестане. Але вона не перестає, лиш плаче далі, насправді більше хрипить, ніж плаче.
Питаю, чому вона плаче.
Вона каже, що їй шкода бузька.
Я собі думаю, чого ти хочеш від мене, жінко, що я все кину і приїду до тебе, рятувати цього проклятого бузька?
Тож чекаю, коли вона трохи стихне, і кажу їй, щоб не плакала, бо і так нічого не можна було зробити.
Вона питає, коли я приїду, тому кажу, що ясно, що невдовзі, і кладу трубку.
Я знаю, що вона дзвонить так рано, бо цілу ніч не спала, чекаючи шостої години, коли закінчується нічна тиша, і можуть видзвонювати телефони.
Відкладаю телефон і не плачу, бо ця розкіш не для мене.
Раз на тиждень я варю у великій ринці їжу для кота, і це є для мене тим моментом, коли можу собі поплакати для рекреації, для зняття стресу і задля гігієни.
Їжа вариться біля двадцяти хвилин, і стільки часу я плачу, тихо, з малою кількістю сліз. Варю печіночки, які швидко м`якнуть і набувають сірого забарвлення, виділяючи задушливий сморід, якого я не терплю. Але печіночки добрі для кота, поживні.
Цей сморід розвареного м`ясива доводить мене до розпачу. Разом із печіночками я варю курячі серця, попередньо вирізаю з них оболонки і білі аорти, відчуваючи їхню пружність під тупим ножем.
Зажди забуваю нагострити ножі, потім злюся, що вони тупі.
Перестаю плакати аж тоді, коли накладаю котові їжу до миски.
Випростовуюся і розглядаюся навколо, що тут ще можна зробити. Все вже давно зроблено, хіба би щось зіпсувати, а тоді поладнати. Отримати приємне відчуття, що нанесла черговий шар порядку на тимчасово невпорядковану дійсність, в якій, однак, все має своє місце. Нових речей я не люблю купувати, для нових речей потрібно шукати нового простору, знаходити для них відповідне місце.
Я не люблю ризикувати, знаючи, що можу щось зіпсувати. Людина щось змінює, комбінує, їй здається, ніби те, що вона робить, не має ніякого значення, а насправді відбуваються незворотні речі. Ідеш вперед і залишаєш після себе безплідну землю незворотних рішень. Постійно задумуєшся, скільки ще вдасться випросити від життя, і кожного року цього стає менше. Те, що випросив, складаєш на купку, поки сам не перетворишся на купку попелу. Те, що після тебе залишиться, – це кілька предметів, але невдовзі всі забудуть, що вони були твоїми.
Я люблю думати про пістолет, якого в мене немає. Як беру його в руку, приймаю рішення, а далі вже тільки темрява, і ця темрява нічого від мене не хоче. Неначе б сиділа у чорному спа, у чорному джакузі з чорною водою і мочила б у ньому своє чорне тіло. Сиджу, релаксую, нічого не чую і ні про що не думаю.
Мама не може до мене подзвонити, бо в тому стані, в якому я перебуваю, нічого немає, тож немає також телефонів, дротів, розеток і взагалі немає моєї мами. Я в цій темряві є чорною крапкою, і мене також не видно, і я себе ніколи не побачу.
У мене немає обличчя, цього дивного поєднання шкіри, жиру і кісток, завдяки якому всі розпізнають, що я – це я, і спрямовують у відповідний бік усі слова, які хотіли мені сказати.
Не маю грудей. Тих грудей, через які я так переживала, що вони щораз більші та важчі, і починають обвисати.
Не маю матки, так званого лона, яке було тверде і мале, як кулак.
Не маю піхви, яка завжди була або надто мокра, або засуха.
Не маю нічого того, що завжди викликало у мене огиду: обличчя з напруженими м`язами, яке щораз більше нагадує шмату, важких грудей, порожньої матки, надто вологої або надто висохлої піхви.
Зрозуміло, що є ще пістолет, якого у мене немає. Але який з мене художник, я тільки ремісник. Коли себе убиває хтось такий, як я, то його можна тільки пожаліти. Кінґа убила себе, бо була художником, гарно жила, померла велично, у розквіті свого віку, маючи тонкий профіль і гарне обличчя. Так казали люди, бо ніхто її не бачив після смерті, я про це подбала.
Я все залагодила сама, бо мама Кінґи образилася, що навіть у кінці Кінґа влаштувала їй таке свинство, вона завжди була злою і непередбачуваною.
Минуло десять місяців відтоді, як Кінгу, одягнену в біле, ми всі, одягнені в чорне, поклали у труні білій до землі чорної. Мама Кінґи забарикадувалася вуаллю. Кінґа була непередбачуваною, нахабною і знову втекла від неї, і тепер нема як її покарати.
І нема більше Кінґи, яка старіла повільніше за мене, яка виглядала на п' ять років молодшою за мене, а при доброму освітленні – і на десять, оскільки все в її обличчі було дрібним, пропорційним і гарним.
Люди любили дивитися на її лице. Кінґа мала шкіру без глибоких зморщок і завжди виглядала так, ніби щойно вмилася. Вона не вміла радіти з того, що є гарною, що з такою вродою їй могло би бути легше, внутрішнім оком вона бачила себе якоюсь негарною, непривабливою, вона мала пряме грубе волосся, тому хотіла мати легке і кучеряве, у неї була світла шкіра, тож хотіла би бути смуглою, усе, що в ній було гарним, вона хотіла мати протилежним.
Потім я не хотіла бачити, як змінюється її тіло, бо не хотіла її такою запам' ятати, але я бачила і запам' ятала. Іноді, перед тим, як заснути, коли прощаюся з нею, я думаю, що більше не прокинуся. Але небо далі завжди ясніє і надходить ранок, бо ніколи не є так, як ми собі подумаємо, що так буде, завжди є навпаки і завжди є гірше, ніж сподіваємося.
Я вже давно перестала малюватися при денному світлі. Я бачу обличчя, той фасад, який щоденно штукатурю, і мені шкода всіх тих тканин, які не можуть витримати ваги клітин, мені шкода того тваринного білка. Але ж я знаю стількох людей, старших від мене.

Знаю стільки людей, які вже померли. Стільки могил, на яких ніхто не запалює свічки, і я теж не запалюю. Але ж я ще молода. Я ще могла би народити дитину.
Я надто швидко зрозуміла, що люди помирають. Якось інстинктивно я передчувала, що раз є життя, то мусить бути і смерть, є початок, то буде і кінець, мене неможливо було обдурити жодними історіями про рай, мало того, навіть думка про пекло не давала мені почуття безпеки, у справедливість і кару за гріхи я теж не вірила. Карою за гріх був один із ременів, який залишився після батька, у руках моєї мами.
Мені було шість років, свідомість розросталася, і я блискавично розпізнала, що таке справедливість, що таке правда, а що – неправда. Ремінь був справедливістю, біль був правдою, а мамине «ти змушуеш мене до цього» – неправдою.
Перший кошмарний сон, який я пам' ятаю, – це чорна згорблена постать прабабки, яка схилилася наді мною (я вже тоді розуміла: я дитина, тож перед сном мене гладить бабця, а мама бабці, тобто прабабка, є старою, і я перед сном гладжу смерть). Прабабка була висохлою та білою і зверталася до мене «пісечко».
Я ненавиділи її за це, бо знала, що так люди називають те, чим я пісяю. Вона казала мені при всіх «пісечко», а я кусала губи від люті і гарячково думала, чому ніхто не захистить мене від такого приниження. Мені було шість років. Прабабка померла через рік, і я, дізнавшись про це, не відчувала смутку, я відчувала полегшення, що нарешті щезла особа, яка називала мене пісечкою. Ще я думала про те, що бабця, яка доглядала свою маму і свого чоловіка, тобто, мого дідуся, нарешті зможе перепочити.
Іноді мама била мене так сильно, що я не могла ходити. Тоді я відпочивала. Щоразу вона мала рацію, бо я дійсно була нестерпною дитиною. Тепер я їй пробачила, але, коли була молодою дівчиною, не могла. Коли я була молодою, то завжди уміла вигадати, як відімстити їй за те, яким пам`ятаю своє дитинство. Я ставала щораз сильнішою, а мама – щораз слабшою. Тепер я є слабкою, а мама – дуже слабкою. Для мене вона вже не може бути супротивником. Якби я подряпала їй лице так, як зробила це тоді, коли була молодою, рана на її щоці вже б не загоїлася.
Якщо мама дзвонить не для того, щоб мене мучити, то дзвонить, щоб порозповідати про свого кота.
Мій кіт гарніший і спритніший, але вона має кота без одного ока, тож у цьому змаганні він отримує технічну перемогу, бо цей кіт без ока облагороджений стражданням, і його треба любити більше. «Твій кіт», – каже моя мама, – «Є зіпсутим і розбещеним, бо ти не можеш його виховати, до того ж у нього ниций злісний характер».

«Це неправда», – кажу я. Намагаюся не кричати.
- «У твого», – кажу, – «Огидна очниця, наповнена кров`ю і сукровицею, бо він тільки й те робить, що роздряпує собі струп на місці ока. Чому ти, до дідька, не підеш із ним до лікаря, щоб зашити йому повіку, жодна нормальна людина не може дивитися на нього без огиди».
– Мені це не шкодить, – відповідає мама. Відразу щось у неї стається, і вона мусить припиняти розмову.
Я гладжу свого кота, щоб заспокоїтися, і обіцяю собі, що не подзвоню їй цілий наступний тиждень.
Наступного дня дзвоню, бо боюся, що щось могло з нею статися, може, померла. Але щойно почувши її голос, шкодую, що подзвонила. Вона говорить зі мною так, ніби теж шкодує, що я дзвоню. Прощаємося холодно. На другий день вона дзвонить рано-вранці, бо їй снилося, ніби зі мною сталося щось погане.
– Ти була нестерпною і непередбачуваною дитиною, – пригадала собі мама.
– Таке саме говорила про Кінґу її мама, і Кінґа мертва, – відповідаю.
Я бачу, що їй це болить. Вона любила Кінґу, може, навіть більше, ніж мене. Кінґа була мною, але кращою і гарнішою. Кінґа була чужою дитиною, а це означає, що була ідеальною дитиною. Я могла не народити дитини, але Кінґа вже б народила щось чудесне.
Дзвонить мама, повідомляє – у неї так сильно болять ноги, що не може ходити.
Не скаржиться, а тільки інформує.
Ми тримаємо кілька курей, козу, бо мама не переносить коров' ячого молока, і двох псів. Президентом тварин є кіт, той, що не має ока. Іноді він виходить у двір на аудієнції, але ніщо вже не приносить йому приємності.
Я питаю:
– Хто годує тварин?
– Перестань мене мучити, – каже вона, – Адже бачиш, що я не маю сили, щоб займатися ними. Ти мусиш приїхати, щоб подбати про них, бо ходять голодні.
Я прошу:
– Зберися зі силами, або попроси когось, щоб тобі допоміг.
Або кажу:
– Мені до сраки, нехай вони всі поздихають з голоду.
Або благаю:
– Зроби щось нарешті з тими колінами.
Вона каже:
– Приїдь. Приїдь, треба погодувати тварин.

[Переклад: Тарас Прохасько]

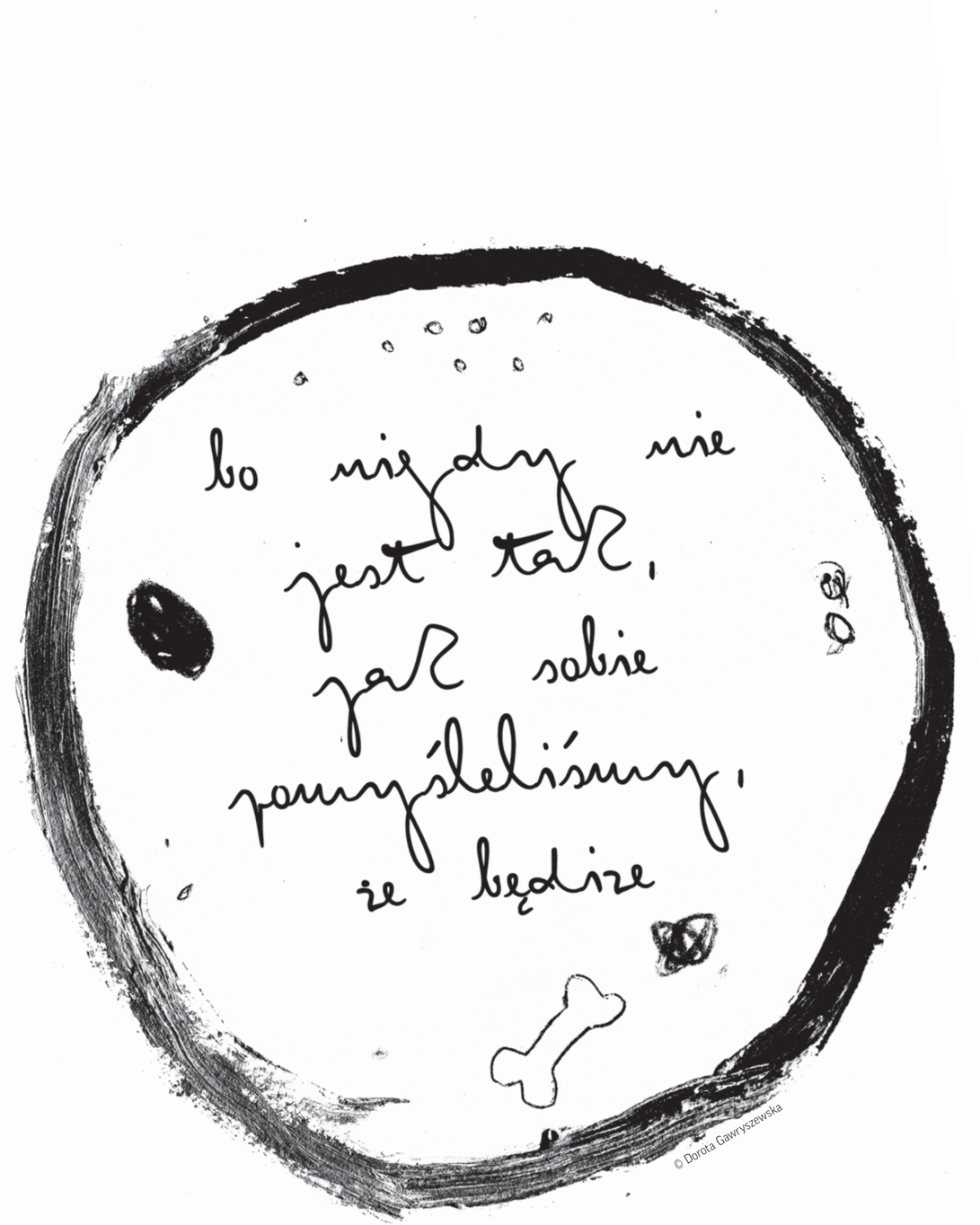

© Dorota Gawryszewska

MAŁGORZATA REJMER (1985, Polska) – prozaiczka, doktorantka w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego, autorka powieści *Toksymia* (2010) nominowanej do Literackiej Nagrody Gdynia; jesienią nakładem Wydawnictwa Czarne ukaże się jej książka reportażowa *Bukareszt. Kurz i krew.*
Mieszka w Warszawie.

МАЛҐОЖАТА РЕЙМЕР (1985, Польща) – пише прозові твори, навчається в аспірантурі Інституту польської культури Варшавського університету, авторка роману «Токсимія» (2010), номінованого на Літературну премію Ґдиня; восени у видавництві Чарне вийде її книжка-репортаж «Бухарест. Пил і кров».
Живе у Варшаві.

Євген Положій Jewhen Położij

ЖІНКИ, МОТОЦИКЛИ І ХАРЧ
KOBIETY, MOTOCYKLE I JEDZENIE

© Dorota Gawryszewska

У світі є мало чого неуніверсального або по-справжньому недосяжного. В ідеалі людина може отримати все потрібне, не сходячи з місця. Для цього досить або мати гарну уяву, або часто молитися, або вміти медитувати. Щоб пізнати себе/світ, зовсім не обов'язково механічно пересуватися планетою Земля. Для само/пізнання достатньо само/проникнення. Тож у мандри, певно, першими вирушили люди, які не вміли молитися і не хотіли медитувати.

Це лише припущення, яке стосується винятково сучасних шукачів нових вражень. Проте що таке місячна поїздка порівняно з часом, який залишився нам до смерті? Лише підготовка до майбутніх змін. Бо короткотривалі подорожі часто переростають у дозволи на постійне проживання, туристичні путівки конвертуються у нелегальне заробітчанство – люди Сходу тоненькими рівчаками течуть через кордони на Захід, щоб опанувати новий, уже підготовлений для більш комфортного існування, простір.

Назустріч їм ідуть люди, які натомість мають квитки в обидва кінці – вони обов'язково повернуться додому. І вони мають надію повернутися іншими – люди Заходу перетинають континенти у прагненні знайти на Сході екзотичний вимір буття або втрачений сенс. Зустріти десь в Індії невеличкий натовп європейців із напівбезумними очима, поголеними головами та в білих шатах – буденна справа. Ашрамів, монастирів, шкіл єдиноборств, гуру, йогів та інших надзвичайних товариств і людей, які за невеличку плату протягом десяти днів можуть допомогти вам осягнути сенс існування, тут приблизно стільки ж, скільки в Західній Європі забігайлівок східної кухні та кіосків шаурми. Так цивілізації обмінюються найдорожчим та найціннішим, що в них є.

В авангарді руху Сходу на Захід – Індія та Китай. Дві древні могутні цивілізації, дві країни з найбільшим населенням на планеті, дві економіки, які… Певно, досить. Хіба зауважимо: протистояти їхньому напору західному світові все складніше.

Проте є в Південно-Східній Азії місцина, де, незважаючи на багатовікові впливи Індії та Китаю наочно продемонстровано, що протистояти цим гігантам таки можна. Знаходиться ця місцина дуже близько до великих сусідів, точніше, поміж ними, і має характерну назву Індокитай. Цього року мені нарешті пощастило проїхатися цим «золотим маршрутом», як його називають бекпекери: В'єтнам, Камбоджа, Лаос (на жаль, північний Таїланд не вписався в час).

– Зрештою, – сказав мій найкращий друг і колега по мандрах Сашко, – якщо вже цивілізації так активно інтегруються, то є сенс придивитися тут до найважливіших речей. Може, колись це знання стане в пригоді нашим дітям.

– До яких саме речей?

– Жінки, мотоцикли і харч.

Щось мені видалося знайомим у цьому порядку слів і сенсів, але я ніяк не міг пригадати, що саме, аж доки не збагнув, уперше керуючи мопедом і пітніючи від напруги й уваги, що приблизно таку назву має книга Джареда Даймонда «Зброя, мікроби і харч: витоки нерівностей між народами». І тут усе надзвичайно вдало і цілком випадково стало на свої місця: і зброя, і жінки, і мотоцикли (Сашко – байкер із двадцятиріч-ним стажем), і мікроби, і, само собою, харч, витоки, народи і першопричини. Що цікаво, Сашко цієї книги не читав, просто окреслив своїм спостережливим поглядом те, що його цікавило найбільше.

З усіх трьох країн найбільше часу ми провели у В'єтнамі, він і справив найсильніше враження атмосферою та людьми, а також соціалізмом, який значно більше схожий на капіталізм, ніж те, що в Україні зараз називають цим словом.

Війна тут закінчилася 1978 року, а почалася у 40-х роках минулого століття, але у підсумку вони відстояли не тільки територіальну цілісність (Китай), але й незалежність (Франція, Японія) та свій особистий соціалізм (громадянська війна між Північчю та Південем, яка переросла у війну зі США). І у всіх цих війнах в'єтнамці жодного разу не дали приводу світові засумніватися у власному праві жити, як їм заманеться.

Китай, цей історично великий сусід і одвічний агресор, нагадує про себе зараз хіба що економічним впливом, якому В'єтнам опирається з усіх сил. Найвеличніші рештки індійської культури зберігаються в музеї Тямської скульптури у місті Дананґ. Решта – суцільний В'єтнам із шеститональною мовою та латинським письмом, яке їм залишили французи після сторіччя колонізації. Усе інше тут суто місцеве, в тому числі – різновид буддизму, кілька оригінальних релігій власного виробництва і, звісно ж, дядечко Хо, він же Хо Ши Мін – покійний лідер в'єтнамських комуністів, який тепер, як і інші подібні лідери (Ленін, Мао, Кім Ір Чен) вічно спочиває забальзамований у власному мавзолеї.

Цікаво, чим думали американські генерали, коли посилали помирати сюди своїх солдатів?

Достатньо десять хвилин поспостерігати за ханойським трафіком, щоб зрозуміти, що цю націю перемогти неможливо. Тисячі скутерів та мопедів, неймовірна кількість пішоходів перетинають проїжджу частину, не зупиняючись ні на секунду, не звертаючи уваги на жоден із чотирьох дорожніх знаків (більше ми не знайшли). Таке враження, що ці люди спілкуються телепатично, інакше важко пояснити ту неймовірну взаємодію, яка виникає між ними на дорозі.

У лютому у В'єтнамі за календарем та кліматичними умовами – зима, +17–20 °C. Очевидно, для місцевих – це лютий холод, багато хто ходить у светрах і куртках, і лише іноземці вишивають у шортах і футболках. Проте в Ханої сонця ми так і не побачили. Чи то справді зима така, чи через гази, що їх викидає в повітря неймовірна кількість мопедів та скутерів, невідомо. Напевно, це і є найперше найсильніше враження – божевільний нескінченний потік транспорту, і, на перший погляд, абсолютний хаос дорожнього руху. Але, якщо придивитися, то можна переконатися, що цей хаос – єдиний живий організм, який функціонує і дихає на подив ритмічно та гармонійно. Здається, це не багатомільйонний Ханой рухається перед тобою, а одна людина, – настільки взаємопов'язаним і послідовним є рух людей та транспорту на дорозі. Парадоксальна для нашого вуха сентенція: ніщо так не підкреслює єдність нації, як відсутність дорожніх знаків. Жодних зіткнень, негативних емоцій, усі водії дуже спокійно та по-діловому керують своїми транспортними засобами, в тому числі школярі, пенсіонери та яскраво нафарбовані жінки на високих підборах та в міні-спідницях. О, це справді знак оклику!

– Така-от какофонія, що триває з сьомої ранку до дванадцятої ночі, – це те, з чим нам доведеться миритися вже років через десять! – жартує Сашко.

– Зате тут не бахкають, як у нас, салюти і феєрверки до дванадцятої ночі, – зауважую я. Дійсно, феєрверки у В'єтнамі заборонені – люди думають, що почався артобстріл або повітряний наліт, і за звичкою падають на землю, закриваючи голову руками. Війна закінчилася порівняно недавно, тож більшість населення добре знає, що це означає – убивати і бути вбитим. Тож якщо Даймонд стверджує, що колись давно на території, де зараз розташована Україна, був одомашнений дикий кінь, то мопед по-справжньому був, якщо можна таке порівняння, «одомашнений» саме у В'єтнамі, де сенс його існування перевищив, певно, всі сподівання, закладені винахідниками і конструкторами. Мопеду у В'єтнамі потрібно поставити пам'ятник – він зробив і без того мобільних та завзятих людей ще мобільнішими й завзятішими. Без цього механічного двоколісного дива техніки сучасна економіка країни перетворилася б на повний нуль. Родина з чотирьох осіб їде на роботу – будь ласка! Товари для магазину, навантажені на мопед у людський зріст – немає проблем! Дошки, шафи, мішки, ящики в неймовірній кількості – міцно прив'язали і поїхали! Потрібно забрати дітей зі школи – сідайте свої й сусідські! Словом, скутери та мопеди, які прийшли на зміну велосипедам, – справжні королі доріг. Автомобілів тут зовсім небагато, мито на ввіз становить понад 100%, а свого автопрому немає.

Мотоцикли, мопеди і скутери диктують не лише ритм, але й стиль. В'єтнамська жінка, якщо хоче виглядати модно та привабливо – а таких безліч! – обов'язково підбирає колір сумочки і шолома до кольору скутера. А щоб взагалі стати іконою стилю, потрібно до всього вищезазначеного надягнути чоботи на високих підборах та міні-спідницю, а маска на обличчі мусить гармоніювати з блузкою. Виглядають такі дівчата на мопедах надзвичайно ефектно, а у вмінні керувати транспортним засобом нічим не поступаються чоловікам. Неодноразово доводилося спостерігати, як, не зменшуючи швидкості, дівчата не тільки розмовляють по телефону, але й читають і пишуть (!) смс.

Окремо варто сказати про шоломи та маски на обличчях (Сашко називає їх намордниками, у нього колись був пес, тож його можна зрозуміти). Вибір шоломів вражає уяву, є спеціальні магазини, де продаються тільки шоломи – найрізноманітніших видів, є навіть спеціальна програма на телебаченні, присвячена шоломам. Достатньо сказати, що є спеціальні шоломи з отвором на потилиці, щоб дівчатам було зручно просовувати туди волосся, зав`язане у «хвіст» . Тож зазвичай модні дівчата мають кілька шоломів на вибір, які одягають залежно від погоди, нагоди, одягу або зачіски.

Маска – ще один важливий предмет туалету. Хоча в неї є пряме практичне призначення – захищати від пилу та вихлопних газів, колір та фасон відіграють неабияку роль. Якщо жінка їде в діловому костюмі, то нізащо не надягне маску в цяточку, тільки в тон костюма.

І ось такі красиві і модні жінки почуваються в божевільному ханойському трафіку як риба у воді, зберігаючи спокій, якому на дорозі можуть позаздрити українські чоловіки. Потім ми бачили жінок, які кермують маленькими човнами і великими катерами, виконують важку роботу – скрізь їхні міцні руки впевнено тримали кермо або весло, не поступаючись чоловікам у спритності та вмінні.

Певно, феміністки зраділи б, побачивши, як упевнено крокує ґендерна рівність у В'єтнамі.

Деякі відповіді на свої запитання ми знайшли в єдиному в світі "Музеї жінки", який, як ви здогадалися, знаходиться в Ханої. Велика будівля, чотири поверхи, кільканадцять тематичних залів – найпопулярніший, між іншим, музей серед іноземців. Експозиція відкривається манекеном вуличної перекупки, яка на своєму велосипеді возить у кошиках віники, канцтовари, побутову хімію, повітряні кульки, дитячі іграшки, тобто все, що можна продати. Всі експозиції надзвичайно цікаві, проте не можу не зупинитися на куточку, який прикрашають сотні фотографій матерів-героїнь. Усі світлини зробила жінка-фотограф, яка за два роки об'їздила на своєму мопеді весь В'єтнам. Її мопед і фотоапарат «Лейка» знаходяться тут же, поруч із результатами роботи – світлинами жінок переважно похилого віку. У всіх – неймовірний погляд. І ніякого пафосу, ніяких барабанів та сурм, до яких такий схильний соціалізм. Поруч висить невеличкий монітор, де демонструється телефільм, героїні якого

– звичайні в'єтнамки, що розказують про своє непросте життя. «Я встаю о четвертій ранку, щоб поставити воду на газ та почистити овочі, – так починає розповідь тридцятисемирічна мати двох дітей. – Мої діти хочуть їсти кожного дня, тож я мушу багато працювати…» . Вона з тих, хто годує людей на вулицях. Місцевий харч і південно-східна культура вуличного харчування – це ті феномени, які роблять місцеве суспільство неповторним, а соціальні зв'язки – дуже міцними. У В'єтнамі немає проблеми з тим, щоб дешево і смачно поїсти. Тут скрізь – харчевні, кафе, ресторани. Ось ти виходиш о сьомій ранку з ґестхаусу, а поруч біля входу вона уже розкладає своє скромне обладнання пересувної їдальні – невеличкі пластмасові стільці, каструлі та тарілки. Школярі, чиновники, підприємці, мами з маленькими дітьми і, звісно ж, туристи, підсідають у невеличку чергу і терпляче чекають своєї порції перемеленої рисової каші зі шматочками рисових же хлібців. Десять хвилин – і за невеличку суму ти ситий і задоволений. Через годину, якщо повернутися до гестхаусу, нізащо не повіриш, що тут вживало їжу так багато людей – все чисто, стоять мопеди, йде торгівля у крамничках. Таких годувальниць у Ханої тисячі, їхні страви дешеві і смачні, а головне – завжди свіжі. Правильно кажуть, що в Азії основна їжа – рис, але щодо В'єтнаму особлива рекомендація – місцеві супи. Велика тарілка, в яку за вашим вибором кладеться локшина, м' ясо (свинина, курятина чи яловичина) і обов'язково – випарена окропом зелень. Рекомендується вживати гарячим із червоним перцем. Смачно, свіжо, гостро, дешево – неперевершено!

Вулична система громадського харчування не тільки забезпечує людей дешевою і свіжою (готових страв у холодильнику ніхто не тримає) їжею, а й створює середовище для спілкування і звільняє жінок від необхідності готувати вдома щодня. У таких вуличних кафе, як правило, завжди багато людей, які приїжджають поїсти у "свої" місця цілими родинами. Навіщо стояти біля плити, якщо можна харчуватися неподалік за рогом майже за ті ж гроші, які коштують продукти і час,? Молодь проводить у таких вуличних кафе цілі вечори, загороджуючи тротуари і лузаючи насіння. Тож у жінки з'являється значно більше часу на роботу, яка може принести гроші в родину, на власні справи, на заняття з дітьми. Останні, до речі, починають допомагати батькам, тільки-но досягають змоги тримати в руках щось важче, ніж палички для їжі. Дивлячись, як вправно тирічні малюки ними орудують, мені спала на думку популярна нині в дитячих садках педагогічна теорія Монтесорі, побудована на розвитку моторики рухів у дітей, що дуже впливає на швидкість розумової роботи. Так-от, думаю, жодна ігрова вправа не може розвинути подібні навички у дітей краще, ніж процес поглинання їжі дитиною за допомогою паличок. Моторика на рівні рефлексу, неймовірна робота пальців, чутливість і рухливість. Ми це пропонуємо розвивати за допомогою ігор, вони вкладають розвиток моторики в життєво необхідний і регулярний акт. Харч змушує бути спритним. Можливо, тому в'єтнамці такі, як кажуть, рукасті? За що не візьмуться – все у них виходить вправно і швидко. У місті Хоян, наприклад, шевці знімуть мірку зранку, а ввечері вже можна забрати готовий модний чоловічий костюм. До речі, те саме стосується всіх народів, що використовують для їжі палички – корейців, японців і, звісно ж, китайців. Можливо, секрет успіху цих народів – у способі харчуватися? Проста річ, здавалося б, дві, як правило, дерев'яні палички, а, можливо, саме вони й стали тією точкою опори, завдяки якій перевертається зараз світ.

«Щоб скласти конкуренцію, мусимо вчитися самі і вчити дітей їсти паличками рис. Він розсипчастий, на ньому гарно тренуватися», – лаконічно підсумував Сашко наші спостереження. Навряд чи Даймонд передбачав, що в глобальній конкуренції харчів рис переможе пшеницю і кус-кус саме таким чином і саме через такі чинники.

Якось нам пощастило познайомитися з молодим в'єтнамцем, який довго жив у Москві, але через відсутність роботи, повернувся до Ханоя, де його батько тримає кафе. Ми розпитували його, серед іншого, і про умови ведення бізнесу, бо він, на відміну від своїх співвітчизників, чудово розумів, про що ми питаємо, – Москва не минула дарма. «Ці жінки торгують тільки свіжими харчами, бо якщо в тебе несвіже, ніхто у тебе їх більше ніколи не купить – чутки розходяться швидко, дуже велика конкуренція. Та й просто можуть прогнати з вулиці, так що нам тут санепідемстанція не потрібна, люди набагато краще регулюють ці стосунки, – каже Нгуєн Сон. – Держава притримується думки, що хай краще люди будуть самозайняті і сплачують якісь мінімальні податки, ніж сидітимуть на соціальних виплатах».

Свою тридцятиденну подорож ми закінчували на півночі В'єтнаму, у популярній серед бекпекерів гірській місцевості під назвою Са Па. Тут живе багато так званих малих народів, які зберегли не тільки традиційні звичаї, а й уклад життя. Тож першими, кого ми побачили, коли вранці вийшли на вулицю, були бабці років під шістдесят у національному одязі, які хутко підбігли до нас і на подив непоганою англійською почали розповідати, чому ми маємо відвідати саме їхній віледж. Отримавши нашу згоду, бабці сказали: «Ідіть до церкви, зустрінемося там!» «Дивно, – здивувався Сашко, – як вони там можуть опинитися раніше за нас?!» Проте біля католицького костелу нас чекали три жінки: одна старша, років тридцяти п'яти, друга, двадцятип'ятирічна і третя – ще зовсім школярка, певно, переймала досвід. Найстарша мала на голові капелюх із широкими полями, у середньої була чотиримісячна дитина за спиною, а молодша просто бігала по горах, рвала траву і плела нам коників на пам'ять. Так вони нас і довели до свого віледжу, короткою дорогою, оминаючи шосе. Ми мали змогу зблизька роздивитися знамениті місцеві тераси, на яких вирощують рис уже багато десятків поколінь, а також бачили, як люди працювали на нових ділянках, – переважно вся родина з мотиками обробляла цілину, розгрібаючи каміння і суху землю. У всіх жінок за спинами – малеча, а ті, хто вже може ходити, носять каміння. Живуть тут і справді дуже незаможно, вся надія – на туристів. Дорогою ми ламали голову, скільки ж наші несподівані гіди заправлять за свої послуги, бо фінансовий бік ми не обговорювали, тай ми й самі, якщо чесно, знайшли б сюди дорогу.

Коли ми прийшли у село, жінки запитали: «Ви хочете їсти?» Ми кивнули головами. Весь час, поки ми обідали, вони терпляче стояли біля входу невеличкого кафе і дивилися на нас. Тільки-но ми розрахувалися, дівчата вже стояли поруч і виймали все, що зробили самі: гаманці, срібні сувеніри, сумочки, сережки, брелки і таке інше. Більшість запропонованого мало такий собі вигляд, але школярка сказала лише одне: «Зроби мене щасливою, будь ласка!». Погодьтеся, після таких слів краще купити, тим більше, що коштувало воно справді недорого, і зробити приємну дрібничку цим незвичайним дівчатам і жінкам мені справді видалося щастям.

На прощання ми сфотографували жінок, а вони нам дали на дорогу трохи смачних пиріжків. Ми взяли мопеди напрокат і поїхали вгору до шосе.

«А ти знаєш, – сказав чомусь Сашко уже в літаку, – такий музей жінки не завадив би і в Україні. Невже українські жінки цього не достойні?»

Мені здається, що це якраз та інформація, яка точно знадобиться нашим дітям. Бо у світі дійсно є мало чого неуніверсального або по-справжньому недосяжного. Досить лише мати гарну уяву, хотіти молитися або навчитися медитувати…

Примітка.

Ось для порівняння статистика ДТП в різних країнах: Україна – 25,1 загиблий на 100 тис. мешканців; Росія – 26,2; Європа – 10,2; Південно-Східна Азія – 16,2; В'єтнам – 16,1.

Na świecie niewiele jest rzeczy nieuniwersalnych albo naprawdę nieosiągalnych. W marzeniach człowiek może otrzymać wszystko, czego potrzebuje – i to od ręki. Wystarczy mieć dobrą wyobraźnię albo często się modlić lub medytować. Aby poznać siebie/świat, wcale nie trzeba mechanicznie przemierzać planety Ziemia. Do samo/poznania wystarczy samo/zgłębienie. Zapewne pierwsi na wędrówkę wyruszyli ludzie, którzy nie umieli się modlić i nie chcieli medytować. To tylko przypuszczenie, które dotyczy wyłącznie współczesnych poszukiwaczy nowych wrażeń. Czym jest miesięczna podróż w porównaniu z czasem, jaki został nam do śmierci? Zaledwie przygotowaniem do przyszłych zmian. Krótkoterminowe podróże często zmieniają się w zezwolenia na pobyt długoterminowy, turystyczne wycieczki przekształcają się w pracę na czarno – ludzie Wschodu cienkimi strużkami ciekną przez granice na Zachód, aby opanować nową, już przygotowaną do bardziej komfortowego życia, przestrzeń.

Naprzeciw im wychodzą ludzie, którzy mają bilety w obie strony – wrócą do domu. A mają nadzieję wrócić odmienieni – ludzie Zachodu przemierzają kontynenty w nadziei, że znajdą na Wschodzie egzotyczny wymiar życia albo utracony sens. Spotkać gdzieś w Indiach niewielką grupę Europejczyków o mętnym spojrzeniu, z ogolonymi głowami i w białych szatach – to codzienność. Aśramów, klasztorów, szkół, guru, joginów i wszystkich niezwykłych stowarzyszeń i ludzi, którzy za niewielką opłatę w przeciągu dziesięciu dni pomogą wam odnaleźć sens istnienia, jest tu niemal tyle, ile w Europie Zachodniej przekąskowni ze wschodnią kuchnią i sklepów szałarma. Tak cywilizacje wymieniają się najdroższym i najcenniejszym, co posiadają.

Na czele ruchu Wschód-Zachód znajdują się Indie i Chiny. Dwie potężne starożytne cywilizacje, dwa kraje z najliczniejszą populacją na planecie, dwie gospodarki, które… Już wystarczy. Trzeba pamiętać: zachodniemu światu dużo trudniej oprzeć się ich naporowi.

Jednak w Południowo-Wschodniej Azji istnieją mieściny, gdzie, mimo powszechnie widocznych wielowiekowych wpływów Indii i Chin, można oprzeć się tym gigantom. Te miejsca znajdują się tuż obok potężnych sąsiadów, dokładniej: pomiędzy nimi, i posiadają charakterystyczną nazwę – Indochiny. W tym roku wreszcie miałem sposobność jechać „złotą drogą", jak nazywają ją backpackerzy: Wietnam, Kambodża, Laos (niestety, na północną Tajlandię nie starczyło czasu).

– Ostatecznie, – powiedział mój najlepszy przyjaciel i towarzysz podróży Saszko – jeżeli cywilizacje są tak silnie zintegrowane, warto przyjrzeć się najważniejszym rzeczom. Może kiedyś ta wiedza przyda się naszym dzieciom.

– Jakie dokładnie rzeczy masz na myśli?

– Kobiety, motocykle i jedzenie.

W tym porządku słów i znaczeń coś wydało mi się znajome, jednak nie mogłem przypomnieć sobie, co to jest, dopóki nie wróciłem wspomnieniem do pierwszej jazdy skuterem i odrętwienia ze stresu i uwagi, uświadomiłem sobie, że taki mniej więcej tytuł nosi książka Jareda Diamonda *Strzelby, zarazki, maszyny. Losy ludzkich społeczeństw*. Także tu wszystko nadzwyczajnie dobrze i całkowicie przypadkowo stało na swoim miejscu: strzelby, kobiety, motocykle (Saszko to rowerzysta z dwudziestoletnim stażem), mikroby, no i oczywiście jedzenie, początki, narody, praprzyczyny. Co ciekawe, Saszko nie czytał tej książki, po prostu objął swoim spostrzegawczym okiem to, co interesuje go najbardziej. Ze wszystkich trzech krajów najwięcej czasu spędzaliśmy w Wietnamie, którego atmosfera i ludzie wywarli na nas największe wrażenie, razem z socjalizmem, który znacznie bardziej przypomina kapitalizm, niż to, co na Ukrainie kryje się pod tym słowem.

Wojna skończyła się tu w 1978 roku, a rozpoczęła w latach 40. ubiegłego wieku, ale obroniono nie tylko integralność terytorialną (Chiny), ale i niepodległość (Francja, Japonia) i swój osobisty socjalizm (wojna domowa między Północą a Południem, która przerodziła się w wojnę z USA). I we wszystkich tych wojnach Wietnamczycy ani razu nie dali światu powodu do zwątpienia w prawo, do tego, by żyć, jak im się podoba.

Chiny – w przeszłości wielki sąsiad i odwieczny agresor, teraz przypominają o sobie jedynie wpływami gospodarczymi, którym Wietnam opiera się ze wszech miar. Najbardziej znamienite resztki kultury indyjskiej zebrane są w Muzeum Rzeźby Czampa w Da Nang. Reszta to Wietnam z sześciotonalnym językiem i łacińskim alfabetem, jaki po stuleciach kolonizacji zostawili Francuzi. Wszystko inne jest wyraźnie lokalne, a w tym: różne rodzaje buddyzmu, kilka oryginalnych religii własnej produkcji, no i oczywiście wujek Ho, aka Ho Chi Minh – nieżyjący przywódca wietnamskich komunistów, który teraz, tak jak inni podobni przywódcy (Lenin, Mao, Kim Dzong Il)

W marzeniach człowiek może otrzymać wszystko czego potrzebuje – i to od ręki.

© Mikołaj Łoziński

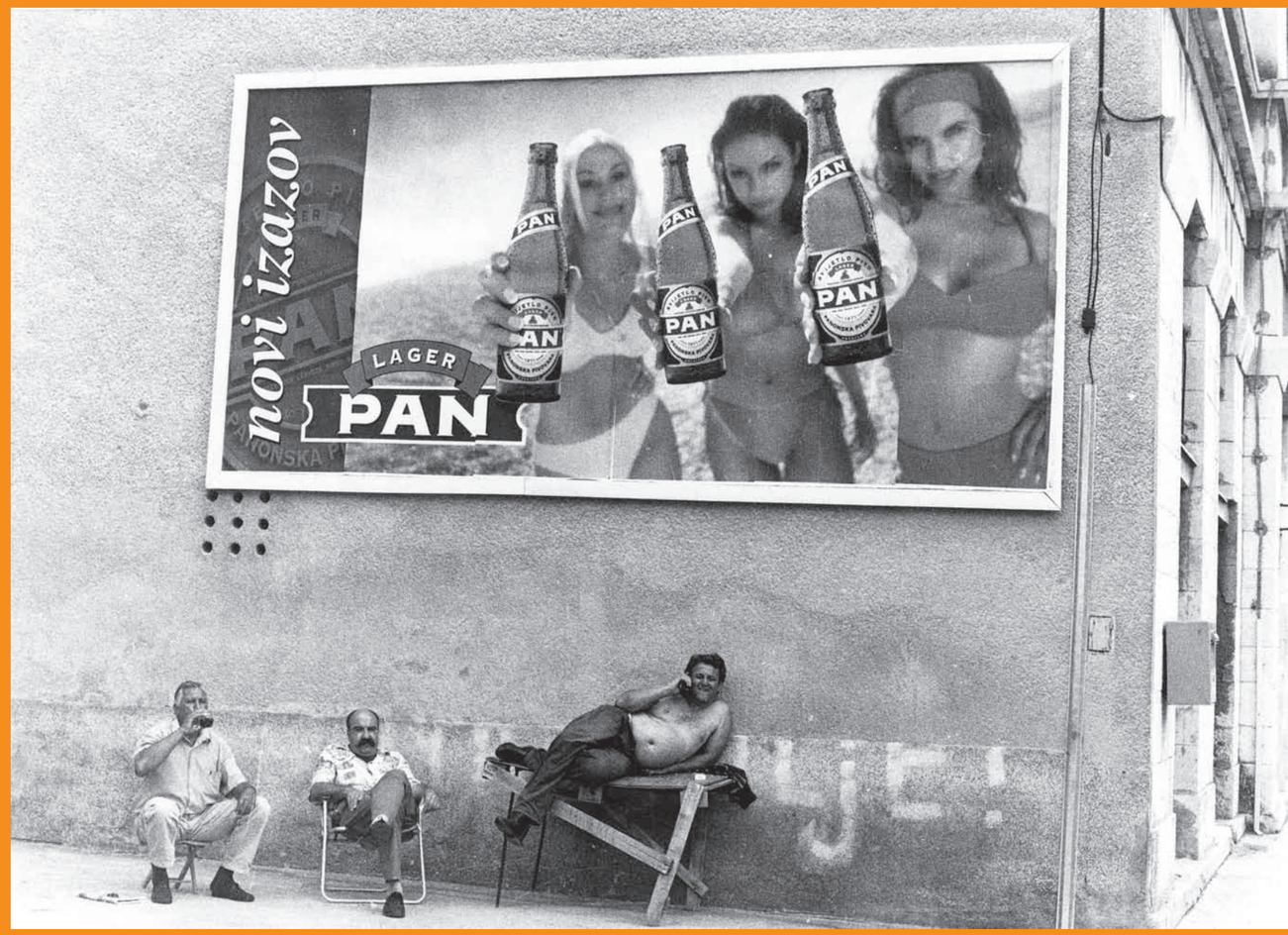

na wieki spoczywa zabalsamowany w mauzoleum. Ciekawe, co myśleli amerykańscy generałowie, kiedy wysyłali tutaj swoich żołnierzy na śmierć? Wystarczy zaledwie dziesięć minut popatrzeć na ruch w Hanoi, żeby zrozumieć, że tego narodu nie sposób pokonać. Tysiące skuterów i motorowerów, niewyobrażalna ilość pieszych przechodzących przez jezdnię, nie zatrzymujących się ani na chwilę, nie zwracających uwagi na żaden z czterech znaków drogowych (więcej nie znaleźliśmy). Zdaje się, że ludzie porozumiewają się telepatycznie, inaczej trudno wyjaśnić tę niesamowitą interakcję, która zachodzi między nimi na drodze.

Luty, Wietnam, kalendarzowa i atmosferyczna zima – +17-20°C. Oczywiście dla miejscowych to siarczysty mróz, wiele osób chodzi w swetrach i kurtkach, a tylko cudzoziemcy chodzą w szortach i koszulkach. W Hanoi i tak nie widzieliśmy słońca. Nie wiadomo, czy to naprawdę przez zimę czy przez zanieczyszczenia, które emituje ogromna ilość motorowerów i skuterów. Z pewnością jest to pierwsze silne wrażenie – szalony nieskończony strumień transportu i na pierwszy rzut oka absolutny chaos ruchu drogowego.

Ale jeżeli przyjrzeć się lepiej, widać, że ten chaos to jedyny żywy organizm, który funkcjonuje i oddycha nadspodziewanie rytmicznie i regularnie. Wydaje się, że to nie wielomilionowe Hanoi porusza się przed tobą, a jeden człowiek – na tyle powiązany i spójny jest przepływ ludzi i pojazdów na drodze. Paradoksalna może się wydać dla naszych uszu sentencja: nic tak nie podkreśla jedności narodu, jak brak znaków drogowych. Żadnych kolizji, złych emocji, wszyscy kierowcy dość spokojnie i zgodnie z przepisami prowadzą swoje środki transportu, w tym uczniowie, emeryci i farbowane blondynki na wysokich obcasach i w minispódniczkach. O! Tu prawdziwy wykrzyknik!

– O, taka kakofonia, która trwa od siódmej rano do północy – coś, z czym przyjdzie nam się zmierzyć już za jakieś dziesięć lat! – żartuje Saszko.

– Ale tu nie puszczają petard i fajerwerków do północy, jak u nas – zauważam.

Rzeczywiście, fajerwerki w Wietnamie są zabronione – ludzie myślą, że zaczął się nalot lub ostrzał i odruchowo padają na ziemię, zakrywając głowy rękoma. Wojna zakończyła się stosunkowo niedawno, więc większość mieszkańców wie, co znaczy zabijać i dać się zabić.

Więc jeśli J. Diamond twierdzi, że kiedyś, dawno temu, na terenie, gdzie teraz znajduje się Ukraina, udomowiono dzikiego konia, to może skuter naprawdę był, jeżeli można użyć takiego porównania, „udomowiony" w Wietnamie, gdzie sens jego istnienia przewyższył wszystkie oczekiwania wynalazców i projektantów. W Wietnamie skuterowi należy się pomnik – spowodował, że i bez tego mobilni i uparci ludzie stali się jeszcze bardziej mobilni i uparci. Bez tego mechanicznego dwukołowego cudu techniki współczesna gospodarka kraju spadłaby do zera. Czteroosobowa rodzina jeżdżąca do pracy – proszę bardzo! Towary do sklepu ładowane na skuter na wysokość człowieka – żaden problem! Deski, szafy, worki, koszyki w niewyobrażalnej ilości – mocno przywiązane, można jechać! Trzeba zabrać dzieci ze szkoły – wsiadają twoje i okoliczne! Słowem, skutery i motorowery, które zastąpiły rowery – to prawdziwi królowie dróg. Samochodów jest tu niewiele, akcyza na wjazd wynosi ponad 100% , a rodzimego przemysłu samochodowego – brak.

Motocykle, motorowery i skutery dyktują nie tylko rytm, ale i styl. Wietnamska kobieta, jeżeli chce wyglądać modnie i atrakcyjnie – a takich jest wiele! – koniecznie dobiera kolor torebki i kasku do koloru skutera. Aby zostać ikoną stylu, trzeba do powyższego zestawu ubrać jeszcze buty na wysokich obcasach i minispódniczkę, a maska na twarzy musi pasować do bluzki. Takie dziewczęta wyglądają na skuterach nadzwyczaj imponująco, a w umiejętności prowadzenia pojazdów nie ustępują mężczyznom. Wielokrotnie można obserwować, jak bez zmniejszania prędkości, dziewczęta nie tylko rozmawiają przez telefon, ale i czytają i piszą (!) sms-y.

Oddzielnie warto powiedzieć o kaskach i maskach na twarz (Saszko nazywa je kagańcami – kiedyś miał psa, można mu wybaczyć). Wybór kasków jest niesamowity, są specjalne sklepy, gdzie sprzedaje się tylko kaski – najróżnorodniejszych rodzajów. W telewizji są nawet określone programy poświęcone kaskom. Wystarczy wspomnieć, że są specjalne kaski z otworami z tyłu, aby dziewczętom było wygodnie wkładać tam włosy związane w „kucyk". Modne dziewczyny zazwyczaj mają kilka kasków do wyboru, noszą je w zależności od pogody, okazji, stroju lub fryzury.

Maska – jeszcze jeden ważny element kosmetyki. Mimo że posiada wiadome praktyczne przeznaczenie – chroni przed pyłem i spalinami, to kolor i fason odgrywają ważną rolę. Kiedy kobieta idzie do biura w garsonce, to za nic nie założy maski w grochy, ale w kolorze stroju. I tak piękne i młode kobiety czują się w szalonym hanojskim ruchu drogowym jak ryby w wodzie, zachowując spokój, jakiego na ulicy pozazdrościć mogą ukraińscy mężczyźni. Później widzieliśmy kobiety, które kierowały małymi łodziami i dużymi motorówkami, wykonując ciężką pracę – swoimi silnymi rękoma pewnie trzymały kierownice albo wiosło, nie ustępując mężczyznom sprytem i umiejętnościami.

Feministki zapewne ucieszyłyby się widząc, jak pewnie kroczy równouprawnienie płci w Wietnamie. Kilka odpowiedzi na nasze pytania znaleźliśmy w jedynym na świecie Muzeum Kobiety, które jak się okazało, znajduje się w Hanoi. Ogromny budynek, trzy piętra, kilkanaście sal tematycznych – najpopularniejsze muzeum wśród cudzoziemców. Ekspozycję otwiera manekin ulicznej przekupki, która wiezie na rowerze kosze gałęzi, materiały piśmiennicze, środki czystości, balony, zabawki, wszystko, co można sprzedać. Całość wystawy jest nadzwyczaj interesująca, nie sposób ominąć rogu ozdobionego setkami fotografii matek-bohaterek.

Wszystkie zdjęcia wykonała fotografka, która dwa lata podróżowała swoim skuterem po całym Wietnamie. Jej skuter i kamera Leica znajdują się w muzeum razem z wynikami pracy – fotografiami kobiet, przeważnie starszych. Wszystkie mają niesamowite spojrzenie. Żadnego patosu, żadnej pompy, do jakiej przywykł socjalizm. Obok wisi niewielki monitor, na którym można zobaczyć film o zwyczajnych Wietnamkach, opowiadających o swoim ciężkim życiu. „Wstaję o czwartej rano, żeby zagotować wodę na gazie i umyć warzywa, – tak zaczyna opowieść trzydziestosiedmioletnia matka dwójki dzieci. – Moje dzieci chcą jeść codziennie, więc muszę dużo pracować…".

Kobieta była jedną z handlujących żywnością na ulicy. Lokalne dania i południowo-wschodnia kultura ulicznego stołowania się to dwa zjawiska, które powodują, że miejscowa społeczność jest niepowtarzalna, a więzi międzyludzkie bardzo silne. W Wietnamie nie ma problemu, żeby zjeść smacznie i tanio. Wszędzie są knajpki, kawiarnie, restauracje. Wychodzisz o siódmej rano z hostelu, a zaraz obok wejścia zauważasz skromne wyposażenie przenośnych stołówek – małe plastykowe krzesła, garnki i talerze. Uczniowie, urzędnicy, przedsiębiorcy, matki z małymi dziećmi i oczywiście turyści stoją w niewielkich kolejkach i cierpliwie czekają na swoją porcję mielonej kaszy ryżowej z kawałkami chleba ryżowego. W dziesięć minut i za niewielką cenę jesteś syty i zadowolony. Po godzinie, kiedy wrócisz do hostelu, za nic nie uwierzysz, że tak wiele osób tu jadło – wszędzie czysto, stoją skutery, w sklepach trwa handel. Takich stołówek są w Hanoi tysiące, jedzenie jest smaczne i tanie, a – co najważniejsze – zawsze świeże. Uważa się, że główną potrawą w Azji jest ryż, ale w Wietnamie warto polecić miejscowe zupy. Duży talerz, na którym wedle zamówienia makaron, mięso (wieprzowina, kurczak lub wołowina) i obowiązkowa suszona zielenina. Zaleca się spożywać na ciepło z czerwoną papryką. Smacznie, świeżo, ostro, tanio – super!

Uliczny system posiłków zapewnia ludziom nie tylko tanie i świeże (gotowych dań nikt nie przechowuje w lodówkach) jedzenie, ale stwarza także warunki do rozmowy i zwalnia kobiety z konieczności codziennego gotowania w domu. W takich ulicznych kawiarniach zawsze jest wielu ludzi, którzy przyjeżdżają zjeść w „swoich" miejscach z całą rodziną. Po cóż stać przy kuchence, skoro można zjeść zaraz za rogiem za cenę prawie taką jak cena składników? Młodzi spędzają w takich ulicznych kawiarniach całe wieczory, zajmują chodniki i łuskają nasiona. Kobiety mają znacznie więcej czasu na pracę, która może zapewnić rodzinie pieniądze, mają też więcej czasu na własne sprawy, na zajmowanie się dziećmi. Nawiasem mówiąc, te ostatnie zaczynają pomagać rodzicom, gdy tylko nauczą się trzymać w rękach coś cięższego niż pałeczki do jedzenia. Patrząc, jak zręcznie trzylatki dają sobie radę, przyszła mi na myśl popularna w przedszkolach teoria Montessori, oparta na rozwoju motoryki dzieci, która wpływa znacznie na szybkość pracy umysłowej. Tak oto, pomyślałem, żadne ćwiczenia nie mogą lepiej rozwinąć podobnych nawyków u dzieci, niż proces pochłaniania jedzenia za pomocą pałeczek. Motoryka na poziomie refleksu, niesamowita praca palców, wrażliwość i mobilność. U nas rozwija się te umiejętności przy pomocy zabaw, tu rozwój motoryki jest częścią życiowej konieczności i regularnym działaniem. Jedzenie wymusza zaradność.

Być może dlatego Wietnamczycy są tak zręczni? Za co się nie zabiorą – wszystko im się udaje. W mieście Hoyan, na przykład, krawcy rano zdejmują miarę, a wieczorem możemy odebrać gotowy modny garnitur. Zresztą, to samo dotyczy wszystkich narodów, które stosują pałeczki do jedzenia – Koreańczyków, Japończyków i oczywiście Chińczyków. Być może sekret tych narodów leży w sposobie odżywiania się? Wydawałoby się prosta rzecz, dwa drewniane patyczki, a być może właśnie one stały się elementem zmiany świata.

„Żeby być konkurencyjnym, trzeba samemu się uczyć i uczyć dzieci jeść ryż pałeczkami. Jest sypki, najlepiej na nim ćwiczyć" – Saszko lakonicznie podsumował nasze spostrzeżenia. Diamond na przykład przewidział, że w globalnej konkurencji żywieniowej ryż prześcignie pszenicę i kuskus, i to właśnie przez takie czynniki.

Udało nam się poznać młodego Wietnamczyka, który mieszkał długo w Moskwie, ale przez brak pracy wrócił do Hanoi, gdzie jego ojciec ma kawiarnię. Pytaliśmy go między innymi o warunki prowadzenia interesów, bo on, w przeciwieństwie do swoich współobywateli, doskonale wiedział, co mamy na myśli – Moskwa nie odeszła w niepamięć. „Te kobiety handlują tylko świeżym jedzeniem, bo jak masz nieświeże, nikt do ciebie już nigdy nie przyjdzie – plotki szybko się rozchodzą, konkurencja jest wielka. No i mogą nas po prostu przegnać z ulicy, tak więc żaden sanepid nie jest potrzebny, ludzie dużo lepiej regulują te stosunki – mówi Son Nguyen. – Państwo uważa, że lepiej, aby ludzie byli samozatrudnieni i płacili jakieś minimalne podatki, niż siedzieli na zasiłku".

Swoją trzydziestodniową podróż zakończyliśmy na północy Wietnamu, w popularnej wśród backpakerów górskiej miejscowości o nazwie Sa Pa. Żyje tu tak wiele tak zwanych małych narodów, które zachowały nie tylko tradycyjne zwyczaje, ale i styl życia. Pierwszymi, kogo spotkaliśmy, kiedy rankiem wyszliśmy na ulicę, były babcie około sześćdziesiątki ubrane w stroje ludowe. Szybko do nas podbiegły i nad podziw dobrą angielszczyzną zaczęły nas pytać, dlaczego chcemy odwiedzić właśnie ich wioskę. Po naszej odpowiedzi, babcie powiedziały: „Idźcie do cerkwi, tam się spotkamy!". „Jak to możliwe, że one będą tam przed nami" – zdziwił się Saszko. Jednak obok katolickiego kościoła czekały na nas trzy kobiety: jedna starsza, około trzydziestu pięciu lat, druga dwudziestopięcioletnia i trzecia – jeszcze uczennica, pewnie się szkoliła. Najstarsza miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, średnia miała czteromiesięczne dziecko na plecach, a młodsza tylko biegała po górach, zrywała zioła i łapała koniki polne. Doprowadziły nas do swojej wioski, na skróty, omijając szosę. Mieliśmy okazję z bliska zobaczyć wyjątkowe tarasy, na których rośnie ryż już od dziesiątek pokoleń i widzieliśmy też, jak ludzie pracowali na nowych działkach – przeważnie cała rodzina obrabiała motykami uprawę, rozkopując kamienie i suchą ziemię. Wszystkie kobiety miały na plecach maluchy, a te, które mogły chodzić, nosiły kamienie. Żyją tu naprawdę niezamożnie – cała nadzieja w turystach. Po drodze zastanawialiśmy się, ile nasze przewodniczki zażyczą sobie za swoją usługę, bo sprawy finansów nie omawialiśmy, choć i my sami, jak wcześniej znaleźlibyśmy drogę.

Kiedy przyszliśmy do wsi, kobiety zapytały: „Chcecie jeść?" Skinęliśmy głowami. Cały czas, póki jedliśmy, cierpliwie stały obok wejścia do kawiarni i patrzyły na nas. Jak tylko się rozliczyliśmy, dziewczęta były już obok i wyjęły wszystko, co same zrobiły: portfele, srebrne pamiątki, torebki, kolczyki, breloczki i inne takie. Większość z proponowanych rzeczy miała byle jaki wygląd, ale uczennica powiedziała tylko jedno: „Spraw, abym była szczęśliwa, proszę!". Po takich słowach lepiej coś kupić, tym bardziej, że wszystko było naprawdę bardzo tanie i zrobić przyjemność tym dziewczętom i kobietom wydało mi się prawdziwym szczęściem.

Na pożegnanie sfotografowaliśmy kobiety, a one dały nam na drogę trochę smacznych pierożków. Wypożyczyliśmy skutery i pojechaliśmy w górę drogi.

„Wiesz – z jakiegoś powodu powiedział Saszko już w samolocie – takie muzeum kobiety przydałoby się i na Ukrainie. Czy Ukrainki nie są tego warte?".

Wydaje mi się, że taka informacja jest w sam raz dla naszych dzieci. Ponieważ na świecie naprawdę niewiele

jest rzeczy nieuniwersalnych albo naprawdę nieosiągalnych. Wystarczy mieć dobrą wyobraźnię, chcieć modlić się albo nauczyć się medytować…

Uwaga!
Dla porównania statystyki wypadków drogowych w różnych krajach: Ukraina – 25,1 śmiertelnych wypadków na 100 tys. Mieszkańców; Rosja – 26,2; Europa – 10,2; Azja Południowo-Wschodnia – 16,2; Wietnam 16,1.

[Tłumaczenie: Iwona Boruszkowska]

ЄВГЕН ПОЛОЖІЙ (1968, Україна) – журналіст, письменник, інколи мандрівник. Працює головним редактором газети «Панорама» (м. Суми). Там і живе. Автор романів «Обрати янгола», «Мері та її аеропорт», «Дядечко на ім`я Бог», «Вежі мовчання», «По той бік пагорба», «Юрій Юрійович, улюбленець жінок».

JEWHEN POŁOŻYJ (1968, Ukraina) – dziennikarz, pisarz, czasami podróżnik. Redaktor naczelny gazety „Panorama” (miasto Sumy). Tam także mieszka. Autor powieści *Wybrać anioła; Mary i jej lotniska; Wujek o imieniu Bóg; Wieże milczenia; Aż do zbocza wzgórza; Jurij Jurijowycz; ulubieniec kobiet*.

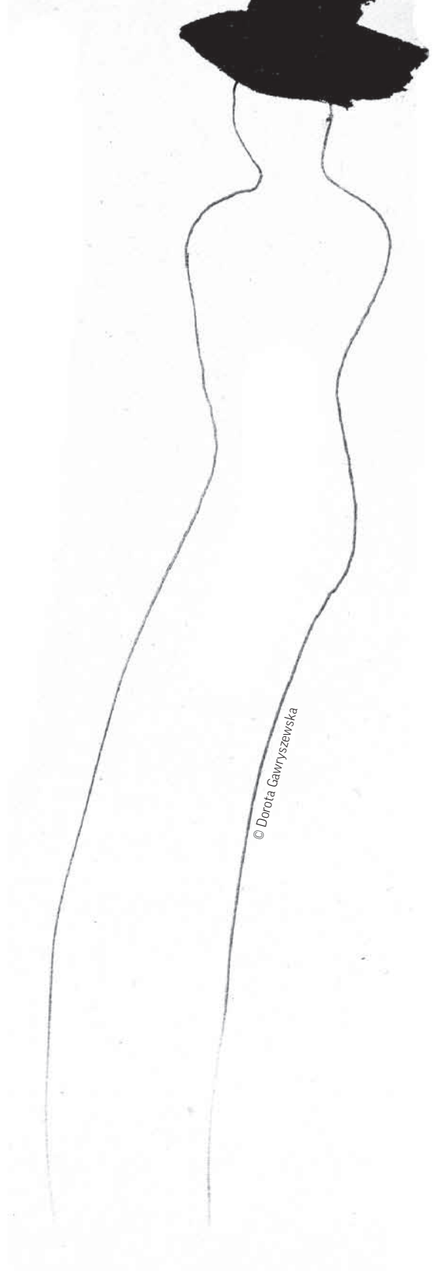

Tomasz Różycki Томаш Ружицький

Lewa Nielucki (fragment)
Лева Нелюцький (уривок)

Jak to się zaczynało?

Gdzieś w Europie Środka żył Lewa Nielucki, o nim ta piosenka. Rodzice jego pochodzili z miasta, które nagle zniknęło. Pewnego dnia
obudzili się i kiedy wyjrzeli przez okno, na rauszu zobaczyli dziwne flagi, i okazało się, że wszystkie nazwy ulic podane są
w innym języku, ba, miasto nazywa się inaczej. Kiedy próbowali protestować, pokazano im muzeum a w nim pamiątki
świadczące o tym, że zupełnie się mylili i że tylko wydawało im się że mieszkali tu od zawsze, a przedtem mieszkali tu
ich dziadkowie. Miasto nigdy bowiem nie było ich, w żadnym szkolnym podręczniku nie było ani wzmianki o takiej możliwości.
Szkoła, którą skończyli, nie miała ich nigdy w swojej ewidencji, potrawy, które jedli nigdy nie miały tej nazwy, jaką je zawsze
nazywali. Ktoś w nocy wymazał ich nazwiska z listy lokatorów, wizytówka była zmieniona, mieszkali od tej chwili u kogoś obcego,
kto wprowadził się po południu. Jakaś biedna rodzina, z płaczącymi dziećmi, która twierdziła, że przydzielono im
wszystkie meble i większość ruchomości. Do wieczora kazano im się spakować. Wytłumaczono to koniecznością: naprawieniem
wielkiej pomyłki egzystencjalnej, w którą wpadli. Wytłumaczono im, że znajdują się obecnie za granicą, która przesunęła się w nocy
na właściwe miejsce po latach niesprawiedliwości. Na pewno zagubili się i ich miejsce czeka na nich gdzie indziej, bardziej
na zachód, powinni tam wrócić. Miasta, w którym się urodzili, już nie ma i prawdopodobnie nigdy nie było. Mogli wybrać:
wyjechać, albo zniknąć razem z miastem, na zawsze. Pozwolono im wyjechać. Ojciec zabrał książki, ponieważ wszystkie były
w ich języku, w języku, którym nikt już nie mówił. Pozwolono im na to – książki również znalazły się nagle za granicą, poza swoją ojczyzną.
Właściwie znikanie ich kraju odbywało się wcześniej, powoli, krok po kroku i gdyby tylko zechcieli uważniej patrzeć,

a nie żyć w rodzaju bajki, ciągłego upojenia młodością i życiem,
zauważyliby, że z dnia na dzień, niepostrzeżenie, znika z ich kraju
dziecięcego po jednym elemencie, że w końcu nie zostało już nic,
poza książkami i snami.

Okolice miasta, w którym mieszkali, należały do siedmiu
albo więcej księstw, siedmiu i więcej kolorów, było też
nazywane Latającym Księstwem, ponieważ jego mieszkańcy gubili się
w sprzecznych opisach, sytuując je zawsze trochę inaczej,
rysując jakieś fantastyczne mapy i plany, które nigdy nie były
ze sobą zgodne. Należały te ziemie raz do Księstw Czerwonych,
potem do Białych, Czarnych, Biało-Czerwonych, Czerwono-Czarnych,
Żółto-Czarnych, Niebiesko-Czerwono-Białych, do Krwawoczerwonych,
Czarno-Białych i Niebiesko-Żółtych, do Księstw Czystych i Księstw Mieszanych,
aż po wojnie, w której to co zmieszane usiłowano odczyścić,
ich mieszkańcy zniknęli lub ulegli rozproszeniu, a niektórzy
przywędrowali aż tutaj. Powrót w tamte strony ich śladami zawsze
oznaczał porażkę. Nie zgadzały się opisy, miejscowi wypierali się,
że kiedykolwiek ktoś taki tu mieszkał, i twierdzili, że nigdy,
przenigdy nie mieli żadnych sąsiadów. Rodzice Lewy opowiadali
o tamtej latającej krainie niestworzone historie: żyło tam
co najmniej siedem ludów i każdy, nawet najmniejsze dziecko
od urodzenia mówiło w siedmiu językach, nawet kura gdakała
po polsku, w jidysz, po ukraińsku, po ormiańsku, niemiecku,
po rosyjsku, po hebrajsku i wreszcie po kurzemu, a także
w dialektach i gwarach, z których najważniejszy był bałak,
łączący w sobie leksykalną pasję i gramatyczną popędliwość,
z intonacyjnym tajojkiem i intencjonalną podpindolką,
oddający specyfikę charakteru tamtejszej
populacji i jej komunikacyjny entuzjazm. Ziemia była
niezwykle żyzna, w glebie dominowały czarnoziemy,
i próchnicza tkanka sięgała ponad metr w głąb, co dawało błoto
o konsystencji masła, rosły w niej marchewki i buraki tak ogromne,
że jednym można było przez dwa tygodnie żywić całą kompanię
wojska albo dzieci sąsiadów, a kiedy wiosną lub jesienią
przychodziły deszcze, w roztopach mogła zatonąć cała dywizja
pancerna Guderiana. Czasem po latach odnajdywano
doskonale zachowane głęboko w błocie czołgi, transportery piechoty,
sztab z dwoma generałami z kompletnymi odznaczeniami,
kuchnie polowe i polowe burdele. Dynamika upraw dyni lub szczawiu,
kartofli lub kukurydzy pozwalała mieszkańcom na przetwarzanie
nadwyżek w domowych rafineriach w celu uzyskania polepszenia
samopoczucia i jakości życia pomimo trudnych i fascynujących
zmian geopolitycznych i często przetaczających się tamtędy frontów.
Klimat był wzorowy: zima była tak zimna, że dzieciom zamarzały
w nosie smarki, dorośli zaś kopali w śniegu wielkie jamy,
w których poszukiwali zasypanych przez śnieżycę pociągów
z kuracjuszami i turystami z Warszawy, wybierającymi się
na narty do Jaremczy lub do uzdrowisk w Truskawcu.
Poruszano się zaprzężonymi w konie saniami, w srebrnym
blasku księżyca, przy wyciu wilków z okolicznych lasów.
Lato było wspaniałe, arbuzy, winogrona, śliwki i gruszki,
występowały w wielkiej obfitości, pękając od upału
i zalewając się sokiem, fermentującym na słońcu
i przyciągającym roje pszczół i os. Wysychały rzeczki, żydowskie
fryzury nabierały dramatyzmu i fantazji. Obfitość i taniość
towarów była powszechna: kilogram kapusty kiszonej kosztował minus
jedenaście groszy, wódka była nalewana do słoików,
zamiast do kieliszków, aby nie tracić czasu.
Wino robiono dosłownie z wszystkiego, co rosło w ogrodzie,
i zawsze w rodzinie znalazł się ktoś starszy posiadający
magiczne zdolności przefermentowywania czegokolwiek,
aby uzyskać alkohol. Podobnie z kuchnią i innymi
przetworami, które miały zdolności silnie uzależniające:
Nigdzie w świecie nie zjedzono już takiego barszczu,
takiego kapuśniaku, takich pierogów, nie wypito takiej jabłczanki
jak u tamtejszej babci, a wspomnienie tego jedynego smaku
dopadało po wielu latach i wyciskało łzy wszędzie, gdzie się to zdarzyło.
Na lotnisku, na imieninach, w pociągu, w wielkim sklepie
spożywczym, w galerii handlowej i na stacji przy autostradzie.
Inaczej niż teraz, prawdziwe były pory roku, prawdziwa
była policja, prawdziwi złodzieje, prawdziwe było błoto i prawdziwe
były deszcze, padające tygodniami, prawdziwe susze,
nawiedzające nad ranem zaraz po przebudzeniu,
prawdziwe pożary, zaczynające się od jednej zapalonej
zapałki, spróchniałego pnia albo zajętego źdźbła wyschniętej trawy,
w których jeśli już coś płonęło, to ze szczętem, całe wsie, lasy
i miasteczka. Prawdziwe także były kłótnie, do których dochodziło
pomiędzy sąsiadami, rozpoczynające się niby niewinnie,
od małej sprzeczki, a kończące prawdziwą wojną, rzezią
i wygnaniem tysięcy. Ale w opowieściach rodziców wszyscy żyli
niezwykle zgodnie w tamtej latającej krainie, pomimo tysiąca
różnic politycznych, religijnych, językowych i kulturowych,
pomimo różnic społecznych i klasowych, statusu ekonomicznego
i uprzedzeń, i Lewa wiedział, że to była bajka, w ludzkim życiu bowiem,
prawdziwym, nie jest to możliwe – ktoś zawistny czuwa zawsze wtedy,
kiedy szczęście pojawi się na mapie w tej części świata. Pop pozdrawiał
rabina i razem z księdzem i pastorem szli do jednego szynku.
Ludzie obchodzili święta swoje i sąsiadów, wydłużając
świętowanie w nieskończoność, czyniąc z życia tam w tamtych okolicach
jedno bezustanne święto lub bezustanne oczekiwanie przedświąteczne,
niecierpliwe wypatrywanie hasła, momentu pierwszej gwiazdki,
pierwszego wystrzału, w którym można już sięgnąć do spiżarki,
otworzyć butelkę, wznieść toast, zacząć śpiewać. W tej krainie
konflikty zdarzały się zbyt rzadko, jak na rzeczywisty kraj, w którym
ziemia nasiąkła jak chyba nigdzie w Europie krwią, bo jeśli

zdarzały się, były wywołane zbyt długim brakiem świąt,
zbyt długa pauzą w libacji, w ekstatycznym biesiadowaniu,
albo były po prostu wywołane syndromem dnia poprzedniego,
kacem, efektem jakiegoś postimprezowego rozdrażnienia,
obniżenia nastroju, ponurej melancholii i spadku samooceny.
Ale skończyło się i teraz już nie ma, nie ma śladu po tym kraju.
Nie widzieli, że wcześniej już powoli znikają poszczególne elementy:
kury zaczynają zapominać gdakać w jidysz, a potem i po polsku,
znika lato i zima i przychodzą okresy latopodobne i zimopodobne,
bez wyrazu, znikają drzewa i domy, napisy i podwórka, aż wreszcie
zniknęło całe miasto i zostały tylko książki. Spakowali je
do kufra i odjechali pociągiem, którego towarowe wagony już były
dla nich przygotowane. Przyjechali aż tutaj i tu się rozpakowali,
a ze skrzyni wyroiły się mole i kurz, i jakieś tańczące w słońcu
cząsteczki, migające na pożegnanie i znikające po chwili.

Lewa w pewnym wieku, mając wciąż w pamięci te opowiadania
i nie ludzkie, ale boskie raczej legendy, wyruszył kiedyś
na poszukiwanie tej zaklętej części świata i nie mógł jej odnaleźć,
pomimo tego, że kieszenie miał wypełnione adresami,
zapisanymi mu przez ojca i dziadka, nazwiskami sąsiadów,
zapisanymi przez babkę i całą rzeszę ciotek, mapami,
narysowanymi przez wuja kartografa, notatkami dotyczącymi
skrótów i tajnych zapomnianych przejść,
uzyskanymi od znajomych rodziców, fotografiami z dawnych
czasów, na których wszystko wyglądało nierealnie,
jakby z jakiegoś fantastycznego, czarno-białego filmu,
kręconego w tych samych czterech studiach
i wynajętych na chwile plenerach, w których
sklecono na chwilę drewniane i kartonowe dekoracje,
a ponad ziemią rozpylono sztuczną mgiełkę pary wodnej
lub po prostu snujący się dym palonej mokrej trawy i papieru,
dodając ujęciu nostalgii i tajemniczości.
Był we wszystkich wskazanych miejscach, przykładał
zdjęcia do murów fotografowanych budynków, przeszedł wiele
kilometrów, ale nic się nie chciało zgadzać. Domów nie było
w miejscach, w których powinny stać, a jeśli były, nie mieszkał
w nich nigdy nikt o takim nazwisku, drzewa stały inaczej,
inna stroną, w pozamienianych miejscach, budynki miały
w sobie coś obcego i twardego. Potrawy, których próbował,
były niedobre i nie miały nic wspólnego z babcinymi specjałami
z tamtych stron. Nikt nie chciał rozumieć jego pytań,
zadawanych w siedmiu językach. Rodzice kłamali, albo sami zostali
okłamani przez czas. W miejscach, w których miał zobaczyć groby,
zobaczył parkingi, w miejscach, gdzie był sad – bazę samochodową,
w miejscach po kaplicy widział przedszkole, w miejscu po przedszkolu
widział bar i targowe hale. Krzaki zarastały dawną drogę, droga
przechodziła przez miejsce, w którym niegdyś stał dom.

Dopiero wyczerpany, w poczuciu skrajnego oszukania
i nieporozumienia, wreszcie zrezygnowany i pogodzony z utratą
odnalazł ślad. Zobaczył kobietę, która zagadnęła do niego
w jednym z siedmiu języków, staruszkę, która wskazała mu
miejsce i przyprowadziła na dziko zarośniętą łąkę za miastem,
na skraj wysypiska śmieci, nad którym krążyły nie wiadomo skąd
tam wzięte mewy, a gawrony rozdrapywały jakieś butwiejące resztki.
Pokazała mu na wpół zasypane wejście do podziemnej
murowanej piwnicy i opowiedziała historię o domu, który kiedyś,
dawno temu nad nią stał, o dzieciach, które biegały po tej łące
i z którymi bawiła się i śpiewała piosenki w ósmym, własnym języku.
O drzewach owocowych w sadzie i o smaku jabłek, jakiego
już nigdzie teraz nie można znaleźć. A potem babinka nagle zniknęła,
zostawiając go samego na tej łące, wśród krzaków i śmieci,
u wejścia do czarnego piwnicznego grobowca, wśród brzęku much,
z bólem głowy jakby po samogonie.

Ojciec na rękach miał tatuaże z syrenami, ponieważ w młodości
był marynarzem, matka pracowała jako księgowa w operze,
a ponieważ podśpiewywała obliczając długie słupki liczb,
wieczorami zaczęła w końcu śpiewać w kabaretach i knajpach,
na ulicy i na urodzinach, w kuchni i w pociągu: potrafiła
wyśpiewać pogodę i deszcz, jak mówiła, była zdolna wyśpiewać
komuś miłość za drobną opłatą i wyśpiewała ją sobie,
kiedy zobaczyła w kabaretowym barze swego przyszłego męża
i jego tatuaże. Pił wówczas rum z sokiem z rabarbaru,
jak prawdziwy marynarz floty śródlądowej. Potrafił
na zawołanie tak poruszać bicepsem, że tatuaże na jego muskułach
ożywały. Syrena kręciła ogonem i kołysała biustem, litery tańczyły,
kotwica opadała w dół brzucha, lew ryczał i mierzwił grzywę,
diabeł stukał kopytkiem. Lewa miał brata, jak mówiono,
ale niewiele o nim wiemy, czytelniku, on sam niczego do tej pory
nie powiedział. Wychowywał się nasz bohater na ulicy,
czasem u babki i dziadka – ojciec często wypływał daleko,
brnąc w kanały i odnogi, błądząc w deltach i rozlewiskach
dorzeczy, dopływów i oczekując całymi miesiącami na otwarcie śluzy,
a zdarzało się często, że raz otwarta, porywała go i niosła
ze sobą daleko z biegiem rzek, aż do delty i dalej, na pełne morze,
gdzie dryfował całymi sezonami, od portu do portu,
wszędzie zdobywając nowe tatuaże i nowe znajomości.
Niektóre z poznanych tam egzotycznych
piękności przysyłały potem do niego kartki pocztowe z ilustracją,
na której widniała palma nad szmaragdowym oceanem,
bądź kasyno w światłach nocnego Monte Carlo; kartki pełne
gorących zaklęć miłosnych we wszystkich językach,
które matka z nieukrywaną wściekłością paliła potem w piecu,
nie pozwalając Lewie nawet odkleić z nich szalenie interesujących,
kolorowych znaczków pocztowych z papugą, kamaleonem,

gakanem lub żaglowcem na pełnym morzu. Prezenty, jakie
czasem przywoził z wypraw, były banalne: błyszczyk do łapania
halibuta lub merlina, kryształowa czaszka służąca za popielniczkę,
zasuszona noga marabuta, fajka pokoju, diadem z korony
książęcej Daniela, włos z grzywy Lwa Judy, puszka musztardy
z czasów berlińskiego mostu powietrznego, trochę mleka
w proszku przemyconego w kieszeni i dym ze spalonego
przez piorun karpackiego lasu, zamknięty do słoika.

Matka rano pracowała w biurze, a wieczorami śpiewała
i wracała nad ranem, z wyschniętym gardłem,
które leczyła sobie cały następny dzień, pokazując mu na migi
przed wyjściem z domu do opery, co ma robić, jak ucierać jej jajka
z cukrem na kogel-mogel, co będą jeść i dokąd pójdą.
Wieczorami znikała, czesząc się i malując długo w swoim pokoju.
Któregoś dnia, kiedy wróciła po szczególnie długiej nocy,
a ptaki już szalały na gałęziach za oknem, położyła się
i po przebudzeniu nie mogła już nic wypowiedzieć ani tego,
ani żadnego następnego dnia. Nie pomogły okłady, płukania,
leki, operacja, lekarz w okularach i lekarz bez okularów,
znachor w odległej o trzysta kilometrów
wiosce gdzieś na wschodzie, leczący za pomocą kociej uryny
i cudotwórca, który przybył z Ameryki. Nie pomogła piesza
pielgrzymka, podjęta do Częstochowy, ani pięćdziesiąt mszy,
zamówionych w intencji odzyskania głosu w pobliskiej parafii
i dwadzieścia mszy w parafii sąsiedzkiej, które ich zupełnie zrujnowały.
Matka była niema – tylko najbliżsi odczytywali jej intencje
z ruchu warg, gestów i pomruków, jakie wydawała.

Як усе починалося?

Десь у Центральній Європі жив Лева Нелюцький, про нього ця пісня.
Батьки його народилися в місті, що зникло зненацька. Одного дня
прокинулись і глянули у вікно, а там на ратуші майоріли
дивні знамена. І виявилося, що назви всіх вулиць написані
іншою мовою, та й місто саме називається геть інакше. Спробували
вони бунтувати, але їм показали музей, а в нім – пам'ятки,
що доводили їхню помилку: їм лише видавалося, ніби
це місто було з діда-прадіда їхнім. Місто ніколи їм не належало,
про таке не було жодної згадки в шкільних підручниках.
Їхніх імен не було у списку випускників школи, яку вони закінчили,
страви, що їх споживали, звалися зовсім інакше, ніж вони звично
їх називали. Хтось уночі викреслив їх зі списку мешканців,
табличку у брамі змінили, тепер вони були квартирантами якихось
чужих людей, що оселилися тут пополудні. Якоїсь убогої сім'ї
з вічно заплаканими дітьми, що твердила, буцімто їй
надали всі ці меблі і майже все дрібніше майно у користування. До вечора
їм наказали зібрати манатки. Пояснили, що це необхідно,
аби виправити гігантську екзистенційну помилку, котра їх спіткала.
Ще пояснили, що зараз вони опинилися за кордоном, який вночі
пересунувся на своє споконвічне місце, як того вимагала історична
справедливість. Вони ж тут – приблуди, їхнє місце – значно далі на захід,
вони мусять туди повернутися. Міста, де вони народилися,
більше немає і, вочевидь, не було ніколи. У них є вибір:
виїхати або зникнути разом із містом назавжди. Їм дозволили
виїхати. Батько забрав книжки, бо всі вони були їхньою мовою,
мовою, якою більше ніхто тут не володів. Ніхто не заперечував – книги
також опинились потойбіч кордону, на чужині.
Кажучи правду, зникання їхньої країни тяглося вже довго, повільне
і поступове, його можна було помітити, якщо придивитися краще;
коли б вони не жили казкою, безнадійно сп'янілі від молодості й життя,
то помітили б, як щодня непомітно в країні їхньої юності
зникала якась одна деталь, один елемент, аж поки не лишилось нічого,
окрім книжок і снів.

Околиці міста, в якому вони жили, належали до семи
чи й більше князівств, до понад семи кольорів, часом їх
називали Летючим князівством, бо місцеві плуталися самі,
оповідаючи, хто вони й що, малюючи якісь мапи і плани,
фантастичні і суперечливі. Ця земля належала то червоним князям,
то білим, то чорним, біло-червоним, червоно-чорним,
жовто-чорним, синьо-червоно-білим, криваво-червоним,
чорно-білим і синьо-жовтим, вона належала
до Князівств чистих і Князівств змішаних,
і лише після війни, коли все змішане намагались очистити,
тутешні мешканці зникли або розпорошилися світом, а дехто
дістався навіть сюди. Повернення давнім слідом вигнанців ніколи
не увінчувалося успіхом. Описи були плутані, місцеві знай заперечували,
що тут колись мешкав той або та, і твердили, буцім ніколи у них
не було ніяких сусідів. Батьки Леви оповідали
про ту летючу країну предивні історії: наче там
жило щонайменше сім племен, і кожна дитина від самого народження
говорила сімома мовами, ба, кожна курка кудкудакала
польською, ідишем, українською, вірменською, німецькою,
російською, гебрейською, врешті – курячим наріччям, а до того ж –
діалектами і жаргонами, з яких найважливішим був балак,
що в собі єднав лексичну пристрасть з граматичною хіттю,
інтонаційне тайойво з інтенційною лаходранкою
і відображав особливості натури тамтешнього
населення, його комунікаційну нестримність. Земля була
неймовірно родючою – майже самі чорноземи,
а гумус сягав на два з лишком метри углиб, через що болото
було консистенції масла, і росли тут морква й буряк таких розмірів,
що одним овочем можна було два тижні годувати цілий

батальйон або громадку сусідських дітей, а коли навесні й восени
наставали дощі, у багнюці могла потонути ціла танкова
дивізія Ґудеріана. Бувало, через багато років у болоті знаходили
чудово збережені танки чи броньовики, або штаб із двома генералами
плюс повні комплекти їх нагород, чи там польові кухні і польові борделі.
Врожаї гарбузів і щавлю, картоплі і кукурудзи були такі, що
вистачало й на харч, і на роботу домашніх ґуралень, що виробляли
необхідну потіху в часи дивовижних і нелегких геополітичних змін
і вічно рухомих фронтів.
Клімат був досконалим: узимку було так холодно, що в носах у малечі
замерзали шмарклі, а дорослі копали в снігу глибокі ями, в яких
шукали заметених у хурделицю відпочивальників і туристів з Варшави,
що мандрували на лижі до Яремча чи на лікування до Трускавця.
Подорожували тут кінними саньми у срібному сяйві місяця,
доки з придорожніх лісів долинало вовче виття.
Літо було чудове: кавуни, виноград, сливи і груші, всього було повно,
все репалося від спеки, стікало соком, що ферментував на сонці,
приваблюючи рої бджіл і ос. Висихали річки, єврейські зачіски
набували драматизму і фантазійності. Повсюдними були ряснота
і дешевизна товарів: кілограм квашеної капусти коштував
мінус одинадцять ґрошів, горілку наливали у слоїки,
замість келишків, аби не марнувати часу.
Вино робили буквально з усього, що росло у саду, і в кожній родині
був хтось старший, хто володів секретами ферментації будь-чого, аби
видобути з нього алкоголь. Те саме з наїдками та іншими
напоями, такими прекрасними, що від них легко було узалежнитися:
ніде у світі більше не готували такого борщу,
такого капусняку, таких вареників, не робили такої яблучанки,
як тамтешня бабця, а спогад про той єдиний смак
повертався через багато років і викликав ностальгійну сльозу,
хоч де би це трапилося.
В аеропорту, на іменинах, у великій продуктовій крамниці,
в торговому центрі, на заправці біля шосе.
Все було не так, як зараз. Справжніми були пори року, справжньою
була поліція, справжніми були злодії, справжнім
було болото і були справжніми дощі, що падали тижнями,
були справжніми посухи у горлі, що
приходили на світанку після бурхливого вечора,
були справжніми пожежі, що починалися від одного
сірника, порохнявого пня чи сухої травинки, бо
якщо вже щось горіло, то гай-гай – цілі села, ліси
і містечка. Справжніми були сварки поміж сусідами, що
починалися ніби невинно,
з дрібної суперечки, а закінчувалися війною, різаниною
і вигнанням тисяч. Але у розповідях батьків усі жили
дивовижно дружно у тій летючій країні, попри тисячі відмінностей –
політичних, релігійних, мовних і культурних, попри різний
економічний статус і упередження, і Лева знав, що то все була казка, бо ж у житті –

справжньому – це неможливо, хтось заздрісний весь час насторожі, аби
щастя не заблиснуло на мапі тієї частини світу. Піп вітався
з рабином, і вони разом із ксьондзом і пастором ішли до однієї корчми.
Люди святкували свята – свої й сусідські, і свята
нанизувалися нескінченно, так що життя в тих сторонах
перетворювалося на суцільне свято або ж на постійне його очікування,
нетерпляче визирання знаків, миті, коли зблисне перша зірка, коли
гахне перший постріл, і можна вже зазирнути до комірчини,
відкоркувати пляшку, виголосити тост, затягнути пісню. На тих землях
конфлікти траплялися надто рідко як на справжню країну, де земля
увібрала крові більше, ніж будь-де у Європі, а коли й траплялися, то
лише через надто довгу відсутність свят, надто довгу паузу в бенкеті,
в екстатичному застіллі,
чи просто були синдромом важкого прокидання,
похміллям, наслідком якогось післябенкетного роздратування,
погіршення настрою, похмурої меланхолії, зниження самооцінки.
Але всьому кінець, пустка, ні сліду від тієї країни.
Вони не помітили, як зникали окремі елементи:
кури забували, як кудкудакати на ідиші, а небавом не вміли і польською,
зникали літо й зима, натомість наставали літоподібні й зимоподібні
періоди, невиразні, зникали дерева й будинки, надписи і подвір'я, аж поки
не зникло ціле місто, залишивши по собі тільки книжки. Вони запакували їх
у скриню й поїхали потягом у спеціально наготованих
товарних вагонах. Приїхали аж сюди і розпакувалися,
а зі скрині здійнялися молі й пилюка, і якісь часточки, що танцювали
у сонці, зблискуючи на прощання і миттю зникаючи.

Лева, досягши певного віку й тримаючи в пам'яті всі ці оповідки,
ті радше божисті, аніж людські легенди, вирушив якось
на пошуки тієї заклятої частини світу й не міг її віднайти,
хоч кишені його були набиті адресами,
що їх він отримав від батька і дідуся, з прізвищами сусідів,
яких пам'ятали бабуся й тітки, з мапами,
накресленими дядьком-картографом, з розшифруваннями
абревіатур і маршрутами таємних забутих ходів,
про які розповіли знайомі батьків, зі старими світлинами,
на яких усе виглядало нереальним,
ніби в якомусь фантастичному чорно-білому фільмі,
що був знятий в одних і тих же чотирьох студіях
і винайнятих ненадовго пленерах, серед
наспіх змайстрованих дерев'яних і картонних декорацій,
що додавали кадрам ностальгійності і таємниці.
Він побував у всіх описаних йому місцях, прикладав
фото до мурів будинків, що були на світлинах, пройшов багато
кілометрів, але ніщо не відповідало описам. Будинків не було
там, де вони мали стояти, а якщо і були, то мешкали в них
цілком інші люди, дерева росли інакше,
іншим боком, в геть не тих, що треба, місцях, кам'яниці

були якісь чужі і тверді. Страви, що їх він куштував,
були несмачні й геть не схожі на бабцині смаколики
з тих країв. Ніхто не розумів його питань, хоч він ставив їх
сімома мовами. Батьки обманювали, або ж
їх самих обманув час. Там, де мав бути цвинтар, він бачив
паркінг, у місці, де мав рости сад, була автобаза,
на місці каплиці стояв дитсадок, а замість дитсадка
були бар і критий ринок. Колишня дорога заросла чагарями,
а нова дорога проходила місцем, де колись була кам'яниця.
Виснажений і обманутий, збентежений і розгублений,
вкінець розчарований, він нарешті натрапив на слід.
Зустрів жінку, яка заговорила до нього
однією з семи мов, стареньку, що вказала йому на місце,
привела його на зарослий лужок за містом,
поблизу сміттєзвалища, куди невідь-звідки злетілися чайки,
а круки шматували якісь напівзогнилі рештки.
Показала йому напівзасипаний вхід до мурованого
підвалу і оповіла історію кам'яниці, яка колись в цьому місці
стояла, розповіла про дітей, які бігали по цьому лужку,
і з якими вона гралася і співала восьмою – рідною – мовою.
Про фруктові дерева в саду і смак яблук, якого більше
ніде не зустрінеш. А потім старенька раптово зникла
і залишила його самого на тому лузі, серед кущів і сміття,
біля входу до чорного підвального склепу, серед дзижчання мух,
з головою, що лускала від болю, наче після самогону.

У батька на руках були татуювання з сиренами, він замолоду був
моряком, в мати працювала бухгалтером в Опері,
а оскільки завжди наспівувала, лічачи довгі стовпчики цифр,
то небавом почала врешті співати в барах і кабаре,
на вулиці, на уродинах, у кухні і в потязі: вміла заспівати
погіддя і дощ, і казала, що може – за невелику плату –
будь-кому заспівати любов, і заспівала її собі,
коли побачила в барі свого майбутнього чоловіка
і його татуювання. Він саме пив ром з соком із ревеня,
як справжній моряк річкового флоту. Умів, коли просили,
так рухати біцепсом, що татуювання на його м'язах
вмить оживали. Сирена крутила хвостом і вихиляла персами,
літери танцювали, якір опускався униз живота, лев ричав і здиблював
гриву, чорт кресав копитцем. Ще у Леви був брат – так казали –
але нам, читачу, мало про нього відомо, він і сам нічого про це
не казав. Виховувався наш герой на вулиці, часом під опікою
бабці і дідуся, батько часто й далеко плавав, запливав у канали
й вузькі притоки, блукав у дельтах і лиманах, чекав місяцями, поки
відкриють шлюз, а бувало й так, що вода
з відкритого шлюзу підхоплювала його і несла далеко руслом ріки –
аж до дельти і далі, у відкрите море, де він дрейфував цілі сезони,
від порту до порту, всюди заводячи нові татуювання

й нові знайомства.
Бувало, знайомився з екзотичними красунями, які згодом
слали йому листівки з пальмами над смарагдовим океаном
або з казино у світлах вечірнього Монте-Карло, листівки, повні палких
любовних клятв усіма мовами світу,
і мати з неприхованою злістю палила потім усі ті листівки у грубці,
не дозволяючи Леві навіть відклеїти від них неймовірно цікаві
кольорові марки з папугою, хамелеоном, ґаканом або вітрильником
у відкритому морі. Подарунки, які він вряди-годи привозив з мандрівок,
були банальні: блешня для лову камбали чи марліна, кришталевий
череп-попільничка, засушена нога марабута, люлька миру, діадема
з голови Даниїла, волос із гриви Лева Юди, банка гірчиці з часів
берлінського повітряного мосту, дрібка сухого молока, провезеного
контрабандою в кишені, дим зі спаленого блискавкою карпатського лісу,
герметично закритий у банці.

Мати вранці працювала в конторі, а вечорами співала,
поверталася на світанні з пересохлим горлом,
яке лікувала цілий наступний день, показуючи йому на мигах,
перш ніж вийти до Опери, що і як він має чинити, як має їй протирати
яйця з цукром на ґоґоль-моґоль, що вони будуть вечеряти і куди
підуть на прогулянку. Вечорами зникала, зачесавшись і старанно
намалювавшись у своїй кімнаті.
Одного дня, повернувшись після особливо довгої ночі,
коли птахи вже шаленіли на своєму гіллі за вікном, вона задрімала,
а коли прокинулася, не змогла геть нічого сказати. Ні того самого,
ні наступного дня. Не допомогли компреси, полоскання,
ліки, операція, лікар в окулярах і лікар без окулярів,
знахар, що жив у селі за триста кілометрів на схід
і лікував котячою сечею,
не допоміг чудотворець, що приїхав з Америки. Не допомогли
піша проща до Ченстохови і п'ятдесят служб Божих, відправлених
за її здоров'я у їхній парафії, а ще двадцять –
у парафії сусідній, що довело їх до цілковитого банкрутства.
Мати все німувала, і лише найближчі читали її бажання з вуст, жестів
і тихих її муркотінь.

[Переклад: Остап Сливинський]

TOMASZ RÓŻYCKI (1970, Polska) – poeta, prozaik, tłumacz, autor tomów wierszy *Vaterland* (1997), *Chata Umaita* (2001), *Kolonie* (2006), *Księga obrotów* (2010), poematu epickiego *Dwanaście stacji* (2004) oraz powieści *Bestiarium* (2012). Laureat kilku nagród, m.in. prestiżowej Nagrody Kościelskich. Książki Różyckiego ukazały się we Francji, Niemczech, Włoszech, na Słowacji i w Stanach Zjednoczonych. Mieszka w Opolu.

ТОМАШ РУЖИЦЬКИЙ (1970, Польща) – поет, прозаїк, перекладач, автор поетичних збірок «Vaterland» (1997), «Хата Умаїта» (2001), «Колонії» (2006), «Книга обертів» (2010), епічної поеми «Дванадцять станцій» (2004), а також роману «Бестіаріум» (2012). Лауреат кількох премій, зокрема престижної Премії Косцєльських. Книжки Ружицького були видані у Франції, Німеччині, Італії, Словаччині, США. Живе в Ополі.

Любко Дереш Lubko Deresz

© Dorota Gawryszewska

Дорога на Калмикію. Степ. За вікном – кілометри, десятки, а може й сотні кілометрів порожнього простору, неоглядна порожнеча й рівнина, де немає за що зачепитися окові. Машину іноді трясе на ямах, але дорога на Елісту загалом рівна. Позаду – світанок, позаду – нічні автостанції на шляху з Одеси до Таганрога, де спросоння жуєш яблуко, намагаєшся знайти туалет, де куриш (усе ще куриш) сигарети в надії на те, що це соковите м'ясисте життя врешті повернеться до тебе своїм усміхненим боком (чи, принаймні, дружнім оскалом).

Мої компаньйони в дорозі – дивна пара, Євген та Марина. Обоє – інтроверти, обоє – логіки, обоє не надто добре дають собі раду зі сенсорними відчуттями і слабо розуміються на гуморі, але тримаються одне за одного – хай на відстані, телепатично, як усі логіки з розвинутою інтуїцією, але все ж (обережно, як їжаки з колючками), вони стають ближчими з місяця в місяць, коли доводиться бачити їх на наукових зборах і сесіях, на виїзних семінарах. Марині давно вже за тридцять, але вона знає, як це приховати – вона схожа на забальзамовану красуню епохи Тутанхамона – великі очі блідо-блакитного, а, може, й сірого відтінку, від якого враз стає холодно на душі; трохи вирячкуваті, вони додають їй містичного вигляду. Так виглядають жінки-медіуми на фотографіях із дев'ятнадцятого століття – сестри Фокс, місіс Леонард, мадам д'Есперанз – сепія фотографії кидає їм під очі трохи тіней, від чого здається, що ночами вони бачать кошмари, але не факт, що в цей час сплять. Такими є погляди медіумів. Марина добре знається на міфології Єгипту, їй відомо, що гачки ієрогліфів із пірамід фараонів – то насправді вигнуті котячі хвости, і позначають вони час. Марина, здається, дизайнер, ще вона – програміст і математик, так, точно, у неї є власне модельне бюро в Одесі, але на дозвіллі вона вивчає Таро і пневматологію Шмакова, малознаного московського містика початку минулого століття. Її компаньйон – хлопець Женя – народився у Челябінську, це на Уралі. Зовсім недавно я бачив відео в інтернеті, страшенно угарне, називалось воно «Киштимський карлик». Зняте майже як пародія на журналістське розслідування, варте премії за найкращий фільм на якомусь авангардному кінофестивалі, воно розповідає несамовиту історію російської глибинки – міста Киштима, що неподалік від Челябінська, такого ж занедбаного і півмертвого, як і вся периферійна Росія. Отож, під час прогулянки кладовищем алкоголічка зі шизофренічними розладами Т., літня жінка без дітей, чоловіка та соціальної допомоги, віднаходить маленького хлопчика, завбільшки з лікоть, і називає його Альошею. Вона приносить Альошу додому, дає карамельки і сир, поїть водою із ложечки, але Альошенька нездужає і, прохворівши два дні, помирає. За цей час Альошеньку встигають побачити невістка-кухарка, чий чоловік саме сидить у в'язниці, сусідка пані Т., така ж стара алкоголічка, але одружена (чи то просто мешкає із партнером-алкоголіком, якого далі у репортажі фамільярно називає «крокодилом»), сам її співмешканець, який сп'яну, валяючись на підлозі зачуханої хати, справді нагадує крокодила, а також кілька дружбанів співмешканця – страшні на вигляд хмирі, які порівнюють розміри Альоші з підлящиком, а форму його голови – з цибулиною (ось вони, реалії алкоголізму). Альошенька, хоч і прийшов у село ненадовго, збурив усю округу – невдовзі про Киштимського карлика починають говорити в сусідньому місті, й за справу береться місцевий слідчий, який намагається з'ясувати, звідки ж узявся карлик. Усі мешканці Киштима – збуджені і дивно не схожі на себе. Названа мама Альоші після смерті прибульця зовсім пустилася берега, лише ворушила язиком у відеокамеру, плакала і безпорадно водила очима, її невістка написала на честь незвичайного гостя вірш, у якому йшлося про те, що Альоша спустився з небес і на мить приніс у її безпросвітне життя дещицю світла. В Альоші, кажуть, за життя очі світилися блакиттю, були «як у котика», зросту він був маленького, наче немовля, ручки і ніжки тоненькі. А голова – загострена. «Як цибулина», – скажуть потім дружбани «крокодила». Звістка про Альошу ширяться не тільки Росією – про нього дізнаються в Японії, і команда з каналу «Асахі-ТБ» їде в російську глибинку відзняти дивну з'яву. Вони переконані – то їхні предки спустилися з небес на вогняних колісницях, і все це – справа дуже серйозна, вона може змінити розклад політичних сил у світі, відхилити двері для світла у серце і те де. Але виявляється, у відхилені двері сердець місцевих мешканців встиг уже вскочити один спеціаліст із такого відхиляння, відомий ще з дев'яностих своїми радикальними семінарами з розковування скутих душ росіян. Цей пан З., знаний біоенергетик і езотерик, на кілька днів раніше, ніж команда японців, прибув до містечка Киштим і викупив тіло Альоші за двісті доларів. Кажуть, його загострену голову він хотів начепити собі на верхівку посоха. Журналісти російського телебачення, автори цього мегахітового відео, віднаходять З. серед лісів, на закритому семінарі, в оточенні учнів та послідовників, – пузатого, в майці, біля намету, з хрестом на шиї. «Де Альошенька?» – питають вони, але З. лише хреститься й каже: «Ушёл».

Такі-от події відбувалися у Киштимі. Женя, звісно, цього всього не знає, але що вдієш – тепер він у мене тісно зв'язаний з Альошею, і на нічних привалах автобуса до Елісти я його бачу саме таким – вісником нової ери, яка мала початися, але не почалась на Уралі.

Врешті, ми прибуваємо до Елісти, центру республіки Калмикія, і дорогою, ще за триста-чотириста кілометрів до міста – беручи до уваги російські відстані, можна сказати, на підступах до нього, – я чую розмови поміж місцевими. Виявляється, Кірсан Ілюмжинов, тодішній їхній президент, а тепер – президент ФІДЕ, напередодні зробив офіційну заяву про свої контакти з НЛО та позаземними цивілізаціями. Місцеві кажуть, їх часто можна побачити над намоленими буддійськими місцями (в Калмикії всі – буддисти). Тут планують зробити великий ретрітний центр, а в небі часто літають різноманітні об'єкти – круглі, дископодібні або схожі на добру кубинську сигару. Місцеві про все це знають, однак, коли Ілюмжинов робить заяву, його підіймають на сміх. Та йому, очевидно, на це начхати – за свої два терміни він виростив близько сотні гросмейстерів серед школярів Калмикії, ввівши обов'язковий предмет – вивчення шахів, побудував найбільший у Європі (Калмикія географічно все ще у Європі) буддійський храм – Золоту обитель Будди Шак'ямуні, і, хоч Калмикію не вдалося перетворити на другий Бахрейн, все ж мозковитих людей там стало суттєво більше.

Серед них – лама Батир Елістаєв, наближена до Президента країни людина з проектним баченням і стратегічним мисленням. Це на його запрошення ми тут, бо в нього є власна візія майбутнього Калмикії. Він влаштовує нашій науковій групі, яка складається із п'ятнадцяти осіб, буддійський прийом з одяганнями шалів на шию, гостинно запрошує усіх (чи, може, найвитриваліших) скуштувати особливий місцевий делікатес – баранячий кюр. Хоч калмики й буддисти, вони не гидують м'ясом – мабуть тому, що, крім м'яса у них більше нічого й не росте, і кюр – це особлива страва, страва пастухів і хитрих мешканців степу, баранячий шлунок, напханий м'ясом із барана і закопаний у землю під місцем, де має палати вогонь. Весь цей міхур із жиром, плоттю і кров'ю мліє там майже добу, а потім його викопують і во славу предків умить з'їдають.

Пристрасть до м'яса у калмиків наскільки сильна, що навіть вегетаріанські страви, які подають на обід у місцевій їдальні нам, кільком вегетаріанцям, що увійшли до складу наукової групи – схожі на политі кров'ю шматки м'яса, хоча насправді це невинні картопля, морква й буряк.

Особливий напій калмиків – зелений чай із молоком і сіллю – мені в горло не лізе, хоч існує думка, що тут він особливо смачний. Кажуть також, ніби він захищає від вітру, неймовірно дошкульного в умовах місцевого суворо-континентального клімату (спекотне літо й холодні зими), ну і сіль – вона ж підіймає вогонь, як дізнаюся з подарованої нам у день приїзду брошури про Аюрведу.

У степу, крім баранів, немає нічого. Десь далі, за місцем, де часто можна побачити НЛО, росте велетенське дерево – його посадив один із патріархів буддизму, що приніс Дгарму сюди, на захід, де, як свідчать перекази, скоро з'явиться Будда Майтрейя. Дерево те, все обвішане стрічками, – особливе. Воно здійснює бажання, хоча я і маю підозру, що на свій, буддійський лад – тобто так, що врешті це бажання в людини зникає. Можна здуру піти у степ і йти дуже довго, навіть, кілька днів, а якщо пощастить, то і тиждень, – і не натрапити на людські поселення.

Степ є степ – це особливий настрій. Про нього знає тільки мій друг, Серьожа. Він родом із Волгодонська, і там теж дещо знають про степ.

Кажуть, на Дону багато ще залишків української мови по селах – це стверджує ще один мій друг і побратим Толясік. Толян народився у робітничій дільниці, але вивчає вже, певно, четверту мову – після чеської, польської та української «он учит немецкий язык», er lernt Deutsch. Так, у Волгодонську, де він працює вантажником у супермаркеті, наразі ще слабо знають слово «психонетика, але Толян уже веде заняття сам для пацанів із гуртка рукопашних. Його гобі – це бойові. Традиційні російські, але він не проти повправлятися з ножем, ланцюгом, мечем або алебардою. У Толіка дивні сни – часом він бачить на коні мене, себе і нашого друга Серьожу, і ми – наче троє братів-звитяжців у слов'янських строях. Не знаю, що й сказати Толяну, але моє серце – з ним.

Серьога теж хлопець особливий. Безстрашний. Рішучий. Розумний, аж страх, шалено любить зефір. Небезпечний, бо бачить тебе наскрізь, але може довго нічого про це не казати. Любить слухати на світанку «Акулу», «Глюкозу» та іншу російську попсу, з якої стібеться страшно, і до якої відчуває прихильність, бо його мучать таємні кошмари – щось моторошне трапилося у нього з жінками, і тільки великі порції медитації, а також зефіру й попси рятують його від туги, а очі в нього такі, ніби він розколює світ на скалки, розбирає його на деталі, а потім складає знову як мозаїку або вітраж, і в цих очах – цікавість,

біль і відчайдушне бажання ступити далі. Серьога тримає тут усіх – можливо, якби не він, ніхто б і не їздив на ці експерименти до безлюдної країни, але в ньому горить той особливий вогонь, за яким хочеться йти. Є ще інші – наприклад, Женя. Цього разу – дівчина, жінка, теж уже відносно немолода, але з купою нерозтрачених почуттів, до того ж знає, що таке гумор. Після Калмикії, в Києві, ми ще проведемо разом приблизно тиждень, будемо гуляти на Труханів, жартувати, зберігати правильну відстань і повагу. Просто тому, що це така пора – пора надламів, і ти дивишся й бачиш надлами іншого вже як власні, дивишся на них зі співчуттям. Вона теж усілякого натерпілася, працювала в наркодиспансері, втратила чоловіка, тепер – старший товарознавець в езотеричній крамниці-книгарні. Нейтральна посада, є час для себе і для своєї глухої туги. Ми зійшлися з Женею на ґрунті Гребенщикова, доктора Вольца і спільної певності в тому, що Цой – живий. Я показую Жені практику ґанджа-йоги – на світанні роблю комплекс Сур 'я-намаскар під музику Майкла Франті «Ganja Babe» із серіалу «Косяки».

Отже, експеримент номер два. Перші знахідки, перші поразки. Режим – майже армійський: на п 'ятнадцять осіб – дві ванни, кожному по п 'ять хвилин на туалет. Сьома ранку – буддисти привозять сніданок: манка, вівсянка і всяке таке. О восьмій годині – збір у робочому залі, кожен за своїм комп 'ютером. Ранкові практики – приблизно сорок хвилин. Вечірні заходи вже будуть глибші, сильніші – години на півтори, з розототожненням із найтоншими структурами свідомості, але то вже під вечір, у тихий калмицький час, зараз ранок – час роботи, час для прориву. Наша мета – психонетичні мови, візуальні мови, мови високої щільності. Побічні продукти – різні творчі розробки, методологічні прийоми, розвиваючі ігри – також мають вартість. Так формується колективна свідомість.

Один із присутніх, Ґена О., медитатор зі стажем, нещодавно зіткнувся з переживанням, описаним у священних текстах тантризму – тепер він знає, що все є космічна свідомість, і тихо дивиться на те, що відбувається під час семінару, крізь свої товсті окуляри. Він не сумний, не веселий, на його вустах легка усмішка: «Тепер я знаю», – означає вона. Ми з Ґеною товаришуємо трохи – не так, як із Борисом, який полонив моє серце рядками Басьо:

Старий ставок.
Пірнуло жабеня –
Вода плеснула.

А все ж Ґена ділиться спогадами про ніч після того, коли до нього прийшло воно: «Я лежав, не спав, пригадував усіх своїх знайомих, пробачав усім, просив пробачення сам». І ще така ремарка: «У мене був приятель, з яким теж це трапилося. Доки це було лише його досвідом, нам не було про що говорити. Тепер це стало й моїм досвідом, і я розумію, що тепер нам тим більше нема про що говорити». Ґена – програміст, грає в ґо, естет, романтик. Він каже: «Мені снилося, ніби ми – ноти однієї симфонії і налаштовуємося в тон, аби звучати… Аби народжувати те, для чого ми приїхали сюди».

Керівник програми, О.Г., колись був знайомий із езотериком З., що хотів помістити голову нещасного Альоші собі на палю. То було ще в часи, коли існував Радянський Союз, коли таємні лабораторії розробляли нечувані засекречені методи психологічної підготовки для космонавтики, спецслужб і операторів атомних станцій. Іноді від нього можна почути жарт про те, як нудить людину на четвертий день у центрифузі «Вертел-1», призначеній для імітації бортових перевантажень під час космічної мандрівки. Або ж якусь іншу історію – наприклад, про командира взводу, який досяг неймовірних висот у польових тортурах, або про людину, яка могла мислити шістнадцять думок одночасно. Приблизно такою є мета його інституту – продукувати людей нового типу, машини, що підкорили собі свідомість, свідомості, що підкорили в собі машинність. Дивлячись на О.Г., Женя якось сказала: «Я бачила, як він іде крізь дощ, на позір проста людина без парасолі, у звичайному чорному жакеті з непокритою головою, сивий, з вусами і широким казахським обличчям, і бачила, який він водночас безформний, поза формами цього світу. Він явно не тут». Один із учнів О.Г. якось спитав у нього: «А як вам живеться з такою абревіатурою імені – Б.О.Г.? Пиха не докучає?». «Періодично буває», – по котячому усміхнувся той. Його очі схожі на розжарену жовту магму. В побуті він простий. Їсть мало, спить небагато. Вивчає життя святих. Все інше він, як мені здалось, уже знає. Колись, на початку знайомства, О.Г. показав мені слід від кульової рани у грудях й сказав: «Ця рана зажила за чотирнадцять днів». Такого не буває. Осколок кулі ще досі в ньому, розмовляючи, він часом покашлює через нього. Він трохи повоював – Придністров 'я, Абхазія, – хоча, попри любов до дисципліни і камуфляжу, завжди був більше ученим, аніж польовим командиром. «Три речі в моїй біографії досі дивують мене самого, – сказав він якось. – Любов до котів, садистичний радикалізм і тонке розуміння буддійських технік».

На восьмий (чи якийсь інший) день, незадовго до закінчення, мені сниться сон. Я – у незнайомій квартирі. Тьмяне світло від лампочки, тужний зимовий вечір. Входить О.Г. в камуфляжі, з АК-47 у руках і розстрілює мене впритул, але я не помираю. Бачу спалахи світла, спершу – червоний, потім – кольору місячної повні. Нарешті – глибоке провалля пітьми. Далі знову з 'являється сон; О.Г. вже немає у квартирі, а я встаю і йду надвір, у сніг. Ходять люди, всі наче трішки запаморочені, а найбільше запаморочений я, бо мені в сні якось ніяк. Врешті, сідаю до першого-ліпшого потяга, і тут до вагона замість кондуктора знову заходить О.Г. з «калашем» і розстрілює усіх, хто їде зі мною. Мене охоплює жах, я питаю себе: «Скільки це може тривати?», поки врешті не згадую, що я – мертвий, і О.Г. в такий спосіб просто пояснює це мені, аби я зрозумів, устав і пішов. Я в Бардо, перехідному стані між двома народженнями, і мені час прокидатись. Прокидаюся ошелешений, не вірю, що живий, вже й не знаю, наскільки достовірним є це відчуття. Розповідаю сон О.Г. «Філософський аспект пояснювати, сподіваюсь, не треба?» – питає він. «Ні, все зрозуміло, – кажу йому. І додаю: – Дякую вам, О.Г.».

Чергові напрацювання за чотирнадцять днів наукового семінару. Жертв немає, у всіх чудовий настрій попри недосип і нічні жахіття. Свідомість тихо гуде. Ходимо в храм Золотої обителі, зустрічаємось із напівзаплющеними очима дванадцятиметрового Будди всередині, походжаємо велетенською територією хурулу, крутимо барабани з мантрами, вивчаємо імена патріархів буддизму школи Каґ 'ю: Тілопа, Наропа, Марпа, Міларепа, Ґампопа… Їхні статуї в пагодах оточують хурул по периметру.

Останнього дня лама Батир Елістаєв проводить нас опівночі до овального кабінету, де засідає парламент Республіки Калмикія. Очна зустріч із Президентом. Тим самим, що заявив днями, буцімто контактує з НЛО. «Про що їм з нами говорити?» – відповідає він, коли його питають, чому прибульці досі відкрито не пішли на контакт. – «Про що з нами можна говорити, якщо ми їмо м 'ясо? Я розповідав про ці зустрічі на зборах ООН, пропонував зробити рік миру – скерувати кошти від військової промисловості на лікування, науку, освіту. Мене ніхто не підтримав. Тоді я запропонував: давайте проведемо місяць без зброї! Або день без зброї! Але мене знову ніхто не підтримав». Зараз пан Ілюмжинов уже не Президент, зате голова ФІДЕ. До речі, він їздив до Лівії, щоб зіграти шахову партію з Муаммаром Каддафі в перерві між бомбардуваннями Тріполі, а заодно поговорити про мир і світ, – ще тоді, коли Муаммар був живий.

День від 'їзду. Подарований на день народження одній із учасниць експерименту Губка Боб, наповнений гелієм, самотньо стирчить у небі, прив 'язаний ниткою до поруччя. На порозі дому, де ми мешкали, слухали вранці «Акулу», робили ґанджа-йогу, сміялись, медитували, сидимо зараз утрьох із Серьогою і Толяном. У Серьоги день народження – він сьорбає із горнятка мате. Говоримо про життя, про шлях і самотність. І все це таке виразне, наче вирізане на моєму серці бритвою. І цей Серьога, чий знак за гороскопом майя – Орел і Толік, схожий на витязя без доброго коника, – все це люди відчаю, вони відчайдушно вдивляються у далечінь, яка підступає з кожним подихом усе ближче. Вони – люди волі. Врешті, в пік розмов про самотність воїна Серьога відв 'язує Губку Боба від поруччя, і той відлітає в небо, квітневе небо над Елістою. Толік знімає його на телефон, і розпачлива блакить неба та сонячне сяйво досягають досконалості. Я курю, припалюючи сигарету від сигарети, і це вже не допомагає, бо цей світ – настільки великий, пекучий, нескорений, настільки тісний, що, здається, я зараз лусну від нього, від того, що його так багато, лусну – або скорюсь йому і тихо відійду в тінь.

Droga na Kałmucję. Step. Za oknem kilometry, dziesiątki, a może i setki kilometrów bezludnych przestrzeni, niezmierzona pustka i równina, gdzie nie ma na czym zawiesić oka. Samochód trzęsie niekiedy na wybojach, lecz ogólnie rzecz biorąc droga na Elistę jest równa. Za nami świt, za nami nocne stacje benzynowe na trasie z Odessy do Taganrogu, na których zaspany żujesz jabłko, próbujesz znaleźć toaletę, gdzie palisz (wciąż jeszcze palisz) papierosy w nadziei na to, że to soczyste mięsiste życie nareszcie odwróci się do ciebie swoją uśmiechniętą stroną (czy też przynajmniej wyszczerzonym przyjaźnie obliczem).

Moimi kompanami w tej podróży jest dziwna para, Jewhen i Maryna. Oboje introwertycy, oboje logicy, oboje niezbyt dobrze dają sobie radę z odczuciami zmysłowymi i mają słabo rozwinięte poczucie humoru, lecz trzymają się zawsze razem – niechby nawet na dystans, telepatycznie, jak wszyscy logicy o rozwiniętej intuicji, lecz jednak mimo wszystko (ostrożnie, jak jeże), stają się sobie z miesiąca na miesiąc bliżsi, kiedy zdarza się widzieć ich na naukowych konferencjach i sesjach, czy też na seminariach wyjazdowych. Maryna dawno już jest po trzydziestce, lecz wie jak to ukryć – przypomina zabalsamowaną piękność z epoki Tutenchamona – wielkie oczy o bladobłękitnym, a może nawet i szarym odcieniu, od którego robi się nagle zimno na sercu; nieco wyłupiaste, nadają jej mistycznego wyglądu. Tak wyglądają kobiety-medium na fotografiach z dziewiętnastego wieku – siostry Fox, Mrs Leonard, Madame d'Esperance – fotografia w sepii rzuca im pod oczy trochę cienia, pod wpływem czego wydawać się może, iż po nocach nawiedzają je koszmary, lecz nie jest prawdą, że śpią o tej porze. Takie są właśnie spojrzenia ludzi-medium. Maryna dobrze zna mitologię Egiptu, wie, że haczyki hieroglifów z piramid faraonów to w rzeczywistości wygięte kocie ogony, i że oznaczają one czas. Maryna jest chyba designerką, do tego jeszcze jest programistką i matematyczką, dokładnie tak: ma własne biuro projektów w Odessie, lecz w wolnych chwilach studiuje Tarota i pneumatologię Szmakowa, mało znanego moskiewskiego mistyka początków ubiegłego stulecia. Jej towarzysz – chłopak o imieniu Żenia – urodził się w Czelabińsku, to na Uralu. Całkiem niedawno widziałem w internecie wideo, niesamowite, nosiło ono tytuł „Karzeł Kysztymski". Nakręcone niemal jak parodia śledztwa dziennikarskiego, zasługujące na nagrodę dla najlepszego filmu na jakimś offowym festiwalu filmowym, opowiada niesamowitą historię rosyjskiej prowincji – znajdującego się nieopodal Czelabińska miasta Kysztym, tak samo zaniedbanego i na wpół martwego jak i cała peryferyjna Rosja. Oto więc podczas spaceru po cmentarzu alkoholiczka z rozstrojem schizofrenicznym T., leciwa kobieta bez dzieci, męża oraz pomocy socjalnej, znajduje malutkiego – długości łokcia – chłopczyka, i nazywa go Alosza. Przynosi Aloszę do domu, daje mu karmelki i ser, poi wodą z łyżeczki, lecz Aloszka czuje się źle i po trwającej dwa dni chorobie umiera. W ciągu tego czasu Aloszkę zdążą zobaczyć bratowa T. – kucharka, której mąż siedzi właśnie w więzieniu, sąsiadka pani T., taka sama stara alkoholiczka jak ona, lecz za to mężatka (czy też może po prostu mieszka z partnerem-alkoholikiem, którego w dalszej części reportażu familiarnie nazywa „krokodylem"), sam wspomniany właśnie jej współlokator, który leżąc po pijaku na podłodze niesprzątanego mieszkania rzeczywiście przypomina krokodyla, a także kilku kumpli współlokatora – straszne z wyglądu menele, którzy porównują rozmiary Aloszy z niedorośniętym leszczem, a kształt jego głowy – z cebulą (tak właśnie wyglądają realia alkoholizmu). Aloszka, aczkolwiek nie przybył do wsi na długo, wzburzył całą okolicę – wkrótce o Kysztymskim karle zaczynają mówić w sąsiednim mieście, i za sprawę bierze się miejscowy śledczy, który stara się wyjaśnić, skąd właściwie wziął się ten karzeł.

Wszyscy mieszkańcy Kysztymia są podekscytowani i dziwnie niepodobni do siebie. Przybrana mama Aloszy po śmierci przybysza całkiem odjechała, przed kamerą wideo z najwyższym trudem poruszała językiem, płakała i bezradnie przewracała oczami, jej bratowa napisała na cześć niezwykłego gościa wiersz, w którym mowa była o tym, że Alosza zstąpił z niebios, na moment wnosząc odrobinę jasności w jej zupełnie pozbawione światła życie. Oczy Aloszy, jak powiadają, za życia świeciły się błękitem, były „jak u kotka", wzrostem był malutki jak niemowlę, rączki i nóżki miał chudziutkie. A głowę miał spiczastą. „Jak cebula" – powiedzą potem kumple „krokodyla". Wiadomość o Aloszy rozchodzi się nie tylko po Rosji – dowiadują się o nim w Japonii, i ekipa kanału „TV Asahi" jedzie na rosyjską prowincję sfilmować dziwną zjawę. Są przekonani, że to ich przodkowie schodzili z niebios na ognistych rydwanach, i wszystko to jest sprawą bardzo poważną: może ona zmienić układ sił politycznych w świecie, uchylić drzwi serca na światło i te de. Okazuje się jednak, że w uchylone drzwi serc miejscowych mieszkańców zdążył już wskoczyć pewien specjalista od takiego uchylania, znany jeszcze z lat dziewięćdziesiątych ze swoich radykalnych seminariów poświęconych oswobadzaniu skutych okowami dusz Rosjan. Ten oto pan Z., znany bioenergoterapeuta i ezoteryk, na kilka dni przed ekipą Japończyków zdążył przybyć do miasteczka Kysztym i za dwieście dolarów wykupił ciało Aloszy. Powiadają, że chciał przymocować jego spiczastą głowę do czubka swojego kostura. Dziennikarze rosyjskiej telewizji, autorzy tego megahitowego wideo, odnaleźli Z. wśród lasów, na zamkniętym seminarium, w otoczeniu uczniów i adeptów. Oto i on koło namiotu – z wielkim brzuchem, w samym tylko podkoszulku, ale za to z krzyżem na szyi. „Gdzie Aloszka?" – pytają, lecz Z. tylko żegna się znakiem krzyża i mówi: „Odszedł".
Takie oto wydarzenia miały miejsce w Kysztymie. Rzecz jasna Żenia o tym wszystkim nie wie, lecz nic nie poradzę, że odtąd już ściśle kojarzyć mi się będzie z Aloszą, i na nocnych postojach autobusu w drodze do Elisty widzę go właśnie takim – zwiastunem nowej ery, która powinna się rozpocząć, lecz nie zaczęła się na Uralu.
Przybywamy w końcu do Elisty, centrum Republiki Kałmucji, a po drodze, niespełna trzysta-czterysta kilometrów od miasta – biorąc pod uwagę rosyjskie odległości, można zatem powiedzieć, że już na jego przedmieściach – słyszę rozmowy prowadzone między miejscowymi. Okazuje się, że Kirsan Ilumżynow, ówczesny ich prezydent (obecnie sprawujący funkcję prezydenta Międzynarodowej Federacji Szachowej FIDE), złożył poprzedniego dnia oficjalne oświadczenie o swoich kontaktach z UFO oraz cywilizacjami pozaziemskimi. Miejscowi mówią, że przybyszy często można zobaczyć nad świętymi miejscami buddyzmu (w Kałmucji wszyscy są buddystami). Planuje się tu wybudować wielki ośrodek odnowy duchowej, a po niebie często latają rozmaite obiekty – okrągłe, o kształcie przypominającym spodek lub podobne do dobrego kubańskiego cygara. Miejscowi o wszystkim tym wiedzą, jednak kiedy Ilumżynow występuje z oświadczeniem, staje się pośmiewiskiem. On jednak ma to wszystko oczywiście w nosie – w ciągu swoich dwóch kadencji wychował spośród uczniów Kałmucji około setki arcymistrzów, wprowadziwszy do szkół naukę szachów jako przedmiot obowiązkowy, zbudował największą w Europie (Kałmucja geograficznie wciąż jeszcze znajduje się w Europie) świątynię buddyjską – Złoty Klasztor Buddy Siakjamuni, i, chociaż Kałmucji nie udało się jeszcze przekształcić w drugi Bahrajn, to jednak rozgarniętych ludzi zrobiło się tam znacząco więcej.
Wśród nich jest lama Batyr Elistajew, zbliżony do kręgu Prezydenta kraju człowiek o dalekosiężnej wizji i myśleniu strategicznym. To właśnie na jego zaproszenie jesteśmy tutaj, gdyż ma on swoją własną wizję przyszłości Kałmucji. Urządza dla naszej, składającej się z piętnastu osób, grupy naukowej buddyjskie przyjęcie z zakładaniem na szyję szali, gościnnie zachęca wszystkich (czy też może raczej najbardziej wytrwałych) do skosztowania szczególnego miejscowego delikatesu – baraniego kiuru.
Kałmucy są buddystami, jednakże nie gardzą mięsem – zapewne dlatego, że oprócz mięsa nic więcej u nich nie rośnie, a kiur to danie szczególne, danie pastuchów i chytrych mieszkańców stepu: barani żołądek, wypchany mięsem z barana i zakopany w ziemię pod miejscem, na którym powinien płonąć ogień. Cały ten worek z tłuszczem, ciałem i krwią dojrzewa tam w odpowiedniej temperaturze prawie dobę, a potem jest wykopywany i ku chwale przodków błyskawicznie zjadany.
Namiętność do mięsa jest w Kałmucji na tyle silna, że nawet dania wegetariańskie, które podawane są w miejscowej jadalni na obiad nam – kilkorgu wegetarianom, którzy weszli w skład grupy naukowej – przypominają polane krwią kawałki mięsa, chociaż są to w istocie niewinne ziemniaki, marchewka i buraczki.
Specyficzny napój Kałmuków – zielona herbata z mlekiem i solą – przez gardło przejść mi nie może, chociaż istnieje pogląd, że ta tutejsza jest szczególnie smaczna. Powiada się również, że jakoby chroni ona przed wiatrem, niewiarygodnie dokuczliwym w warunkach miejscowego surowego kontynentalnego klimatu (upalne lata i srogie zimy), no i ta sól – ona wszak podsyca ogień, jak dowiaduję się z podarowanej nam w dzień przyjazdu broszury o Ajurwedzie.
W stepie, oprócz baranów, nie ma nic. Gdzieś dalej, za miejscem, w którym można często zobaczyć UFO, rośnie olbrzymie drzewo – posadził je jeden z patriarchów buddyzmu, który przyniósł Dharmę tutaj, na zachód, gdzie – jak świadczą o tym przekazy – pojawi się wkrótce Budda Maitreja. Drzewo to, całe obwieszone wstążkami, jest drzewem szczególnym. Spełnia ono życzenia, chociaż mam podejrzenie, że na swój, buddyjski sposób – czyli tak, że koniec końców to pragnienie u człowieka zanika. Można ni z tego ni z owego pójść w step i iść bardzo długo, nawet kilka dni, a jak się poszczęści, to nawet i tydzień – i nie natrafić na żadne ludzkie osiedla. Step to step – to specyficzny nastrój. Wie o nim tylko mój przyjaciel, Sierioża. Rodem jest z Wołgodońska, a tam o stepie też co nieco wiedzą.
Mówi się, że nad Donem dużo jest jeszcze po wsiach pozostałości języka ukraińskiego – twierdzi tak kolejny mój przyjaciel i pobratymiec Tolasik. Tolan urodził się w dzielnicy robotniczej, ale uczy się czwartego już chyba języka – po czeskim, polskim i ukraińskim on uczit niemieckij jazyk, er lernt Deutsch. Tak, w Wołgodońsku, gdzie pracuje jako magazynier w supermarkecie, na razie słabo jeszcze znają słowo „psychonetyka", lecz Tolan prowadzi już samodzielnie zajęcia dla kolesiów z grupy sztuk walki. Jego hobby to właśnie sztuki walki. Tradycyjne rosyjskie, lecz nie ma także nic przeciwko ćwiczeniom z nożem, łańcuchem, mieczem lub halabardą. Tolik ma dziwne sny – zdarza mu się czasem widzieć mnie, siebie samego i naszego druha Sieriożę na koniach: odziani w stroje słowiańskie wyglądamy razem jak trzej bohaterscy bracia. Nie wiem, co na to mógłbym Tolanowi odpowiedzieć, lecz moje serce jest z nim.
Sierioża też jest chłopakiem szczególnym. Jest nieustraszony. Zdecydowany. Mądry, że aż strach, i szalenie lubi owocowe bezy. Niebezpieczny, bo widzi ciebie na wskroś, lecz może o tym długo nic nie mówić. Lubi o świcie słuchać muzyki grup „Akuła", „Glukoz" i innego rosyjskiego popu, z którego robi sobie straszne jaja, i do którego czuje skłonność, ponieważ dręczą go tajemnicze koszmary – coś strasznego zaszło w jego życiu w relacjach z kobietami, i tylko wielkie dawki medytacji, a także jedzenie owocowych bez i słuchanie popu ratują go przed tęsknotą, a oczy ma takie, jakby rozłupywał świat na kawałki, rozbierał go na części, a później składał ponownie jak mozaikę albo witraż, i w tych jego oczach jest ciekawość, ból i desperackie pragnienie, by iść dalej. Sierioża trzyma nas tu wszystkich – być może gdyby nie on, to nikt nawet nie jeździłby na te eksperymenty do bezludnego kraju, lecz płonie w nim ten szczególny ogień, za którym ma się ochotę podążać.
Są jeszcze inni – na przykład Żenia. Tym razem Żenia to ona – dziewczyna, kobieta, również stosunkowo już niemłoda, ale za to z całą kupą nieroztrwonionych uczuć, w dodatku wie, co to takiego poczucie humoru. Po powrocie z Kałmucji, spędzimy jeszcze razem w Kijowie mniej więcej tydzień, będziemy spacerować na wyspę „Truchaniw Ostriw", żartować, zachowując przepisowy dystans i szacunek. Po prostu dlatego, że to taka pora – pora załamań, patrzysz i obserwujesz czyjeś załamanie już jak własne, spoglądasz na nie ze współczuciem. Ona też nieźle się nacierpiała, pracowała w ośrodku dla narkomanów, straciła męża, teraz jest starszym towaroznawcą w księgarni-sklepie ezoterycznym. Posada neutralna, ma się czas dla siebie i na swoją głuchą tęsknotę. Spotkaliśmy się z Żenią na gruncie Grebenszczykowa, doktora Wolca i graniczącego z pewnością przekonania, że Coj żyje. Demonstruję Żeni ćwiczenia z ganja-jogi – wykonuję o świcie zestaw ćwiczeń Surya Namaskara przy muzyce Michaela Frantiego „Ganja Babe" z serialu „Trawka".
Zatem eksperyment numer dwa. Pierwsze wynalazki, pierwsze klęski. Reżim niemal jak w wojsku: na piętnaście osób dwie łazienki, każdy ma po pięć minut na toaletę. Siódma rano – buddyści przywożą śniadanie: manna, owsianka i takie tam. O godzinie ósmej zbiórka w sali zajęć, każdy przy swoim komputerze. Poranne ćwiczenia – w przybliżeniu czterdzieści minut. Wieczorne zajęcia będą już głębsze, poważniejsze (półtorej godziny), z transowym oderwaniem od najgłębszych struktur świadomości, lecz to już pod wieczór, o cichej kałmuckiej porze, natomiast teraz mamy ranek – czas na pracę, czas na przełom.
Naszym celem są języki psychonetyczne, wizualne języki, języki o wysokiej spoistości. Produkty uboczne, czyli rozmaite twórcze opracowania, chwyty metodologiczne, gry rozwijające również mają swoją wartość. Tak kształtuje się kolektywna świadomość.
Jeden z obecnych, Giena O., medytator z dużym stażem, doświadczył niedawno przeżycia, opisywanego w świętych tekstach tantryzmu – teraz już wie, że wszystko jest świadomością kosmiczną, i poprzez swoje grube okulary cicho spogląda na to, co odbywa się podczas seminarium. Nie jest smutny, ani nie jest wesoły, na jego ustach błąka się lekki uśmiech: „Teraz wiem" – mówi ten uśmiech.
Z Gieną trochę się kolegujemy, choć nie tak jak z Borysem, który podbił moje serce wersami Bashō Matsuo:
Stary stawek.
Żabka zanurkowała –
Bryznęła woda.
A jednak Giena dzieli się wspomnieniami o nocy po tym, kiedy doń przyszło ono: „leżałem, nie spałem, przypominałem sobie wszystkich swoich znajomych, przebaczałem wszystkim, sam prosiłem o wybaczenie". I jeszcze taka uwaga: „miałem przyjaciela, którego też to spotkało. Dopóki było to tylko jego doświadczeniem, nie mieliśmy o czym rozmawiać. Teraz stało się to również i moim doświadczeniem, a ja zrozumiałem, że obecnie tym bardziej nie mamy o czym rozmawiać". Giena jest programistą, graczem w go, estetą i romantykiem. Powiada: „Śniło mi się, że jesteśmy nutami jednej i tej samej symfonii i stroimy się do odpowiedniej tonacji, aby zabrzmieć…
Aby urodzić to, dla czego tutaj przyjechaliśmy".
Kierownik programu, O.H., był kiedyś znajomym ezoteryka Z., tego, który chciał ulokować głowę nieszczęsnego Aloszy na swojej lasce. Było to jeszcze w czasach, kiedy istniał Związek Radziecki, kiedy tajne laboratoria opracowywały niesłychane ściśle utajnione metody szkolenia psychologicznego dla celów kosmonautyki, służb specjalnych i operatorów elektrowni atomowych. Niekiedy można od niego usłyszeć dowcip o tym, jak to mdli człowieka na czwarty dzień w wirówce „Wiertieł-1", przeznaczonej do symulacji przeciążeń pokładowych w trakcie podróży kosmicznych. Albo też jakąś inną historię – na przykład o dowódcy plutonu, który osiągnął niewiarygodne mistrzostwo w stosowaniu tortur polowych, albo o człowieku, który mógł myśleć o szesnastu rzeczach w tym samym czasie. Taki mniej więcej jest cel działalności jego instytutu – produkować ludzi nowego typu, maszyny, które podporządkowały sobie świadomość, świadomości, które ujarzmiły w sobie maszynowość. Patrząc na O.H., Żenia pewnego razu powiedziała: „widziałam, jak on idzie w deszczu, na pozór zwykły prosty człowiek bez parasoła, w zwyczajnym czarnym żakiecie z odsłoniętą głową, siwy, o wąsatej i szerokiej kazachskiej twarzy, i widziałam, jaki jest równocześnie amorficzny, nie mieszczący sie w formach tego świata. On ewidentnie jest nie tutaj".
Jeden z uczniów O.H. spytał go kiedyś: „A jak się panu żyje z takimi inicjałami – B.O.H. ? Pycha nie dokucza?". „Okresowo występuje" – z kocim uśmiechem odpowiedział tamten. Jego oczy przypominają rozżarzoną żółtą magmę. W życiu codziennym zachowuje się zwyczajnie. Je mało, śpi niewiele. Studiuje żywoty świętych. Wszystko inne, jak mi się wydawało, już wie. Kiedyś, na początku naszej znajomości, O.H. pokazał mi ślad po ranie od kuli na piersi i powiedział: „Ta rana zagoiła się w czternaście dni". Takie rzeczy się nie zdarzają. Odłamek pocisku jeszcze do teraz znajduje się w jego ciele. Rozmawiając O.H. czasem pokasłuje z jego powodu. Trochę wojował – Naddniestrze, Abchazja – chociaż, mimo uwielbienia dla dyscypliny i kamuflażu, zawsze bardziej był uczonym, niż dowódcą polowym. „Trzy rzeczy w mojej biografii po dziś dzień dziwią mnie samego – powiedział pewnego razu. – Miłość do kotów, sadystyczny radykalizm i subtelne wyczucie technik buddyjskich".
Ósmego (czy któregoś innego) dnia, na krótko przed zakończeniem, mam sen. Znajduję się w nieznanym

mi mieszkaniu. Mdłe światło żarówki, smętny zimowy wieczór. Wchodzi O.H. w panterce, z AK-47 w rękach i rozstrzeliwuje mnie z najbliższej odległości, lecz ja nie umieram. Widzę rozbłyski światła, najpierw – czerwonego, później – koloru pełni księżyca. Na koniec głęboka otchłań ciemności. Następnie znów przychodzi sen; O.H. nie ma już w mieszkaniu, a ja wstaję i wychodzę na dwór, w śnieg. Chodzą jacyś ludzie, wszyscy są jakby ciut zamroczeni, a najbardziej zamroczony jestem ja sam, gdyż we śnie czuję się jakoś nieswojo. Wsiadam wreszcie do pierwszego lepszego pociągu, a tu do wagonu zamiast konduktora znów wchodzi O.H. z „kałachem" i rozstrzeliwuje wszystkich jadących ze mną. Ogarnia mnie przerażenie, pytam sam siebie: „Jak długo to może jeszcze trwać?", dopóki nie uświadamiam sobie wreszcie, że jestem martwy, a O.H. w taki właśnie sposób po prostu daje mi to do zrozumienia, ażebym to pojął, wstał i poszedł. Jestem w stanie bardo, stanie przejściowym pomiędzy pierwszymi i drugimi narodzinami, i pora już na przebudzenie.

Budzę się oszołomiony, nie wierzę w to, że jestem żywy, nie wiem już nawet na ile wiarygodne jest to uczucie. Opowiadam mój sen O.H. „Filozoficznego aspektu wyjaśniać, mam nadzieję, nie muszę?" – pyta. „Nie, wszystko jest jasne – odpowiadam. I dodaję: – Dziękuję panu, O.H.".

Kolejne osiągnięcia wypracowane w trakcie czternastu dni seminarium naukowego. Ofiar nie ma, wszyscy mają świetny humor pomimo niewyspania i nocnych koszmarów. Świadomość cicho buczy. Chodzimy do świątyni Złotego Klasztoru, spotykamy się w środku z półprzymkniętymi oczami dwunastometrowego Buddy, przechadzamy się po olbrzymim terytorium churułu , kręcimy bębenki z mantrami, studiujemy imiona patriarchów buddyzmu szkoły Kagju: Tilopa, Naropa, Marpa, Milarepa, Gampopa. Ich figury w pagodach otaczają churuł po obwodzie. Ostatniego dnia lama Batyr Elistajew przeprowadza nas o północy do owalnego gabinetu, w którym obraduje parlament Republiki Kałmucja. Osobiste spotkanie z Prezydentem. Tym samym, który oświadczył w ostatnich dniach, że jakoby ma kontakty z UFO. „A o czym mieliby z nami rozmawiać?" – odpowiada pytany, dlaczego przybysze dotychczas otwarcie nie zdecydowali się na nawiązanie kontaktu. – „O czym można z nami mówić, jeśli my jemy mięso? Opowiadałem o tych spotkaniach na zgromadzeniach ONZ, proponowałem ogłoszenie roku pokoju – przesunięcie środków finansowych z przemysłu wojskowego na leczenie, naukę, edukację. Nikt mnie nie poparł. Wówczas zaproponowałem: ogłośmy miesiąc bez broni! Albo przynajmniej dzień bez broni! Lecz znów nikt mnie nie poparł". Teraz pan Ilumżynow nie jest już Prezydentem, jest natomiast przewodniczącym FIDE. Nawiasem mówiąc, jeździł do Libii, żeby rozegrać partię szachów z Muammarem Kaddafim w przerwie między bombardowaniami Trypolisu, a przy okazji porozmawiać o pokoju i o świecie – wtedy, kiedy Muammar był jeszcze wśród żywych.

Dzień wyjazdu. Podarowany na urodziny jednej z uczestniczek eksperymentu wypełniony helem SpongeBob samotnie tkwi na niebie, przywiązany nitką do poręczy. Na progu domu, w którym mieszkaliśmy, słuchaliśmy rano „Akuły", ćwiczyliśmy ganja-jogę, śmialiśmy się, medytowaliśmy, siedzimy teraz we trójkę z Sieriogą i Tolanem. Sierioga ma urodziny – siorbie z kubeczka mate. Rozmawiamy o życiu, o drodze i samotności. I wszystko to jest tak wyraźne, jak gdyby wycięte w moim sercu brzytwą. I ten Sierioga, który według horoskopu Majów jest Orłem, i Tolik, podobny do witezia bez rączego konika – wszystko to ludzie rozpaczy, desperacko wpatrujący się w dal, która z każdym ich oddechem podchodzi coraz bliżej. Są ludźmi wolności. W końcu, w apogeum rozmów o samotności wojownika Sierioga odwiązuje SpongeBoba od poręczy, i ten odlatuje w niebo, kwietniowe niebo nad Elistą. Tolik robi mu zdjęcie komórką, a rozpaczliwy błękit nieba oraz słoneczny blask osiągają pełnię doskonałości. Odpalam jednego papierosa od drugiego, lecz to już nie pomaga, ponieważ ten świat jest na tyle ogromny, doskwierający, nieujarzmiony, na tyle ciasny, że chyba zaraz mnie rozerwie; jest go tak dużo, że eksploduję – albo poddam mu się i cicho odejdę w cień.

[Tłumaczenie: Przemysław Tomanek]

© Mikołaj Łoziński

Останнього дня лама Батир Елістаєв проводить нас опівночі до овального кабінету...

ЛЮБКО ДЕРЕШ (1984, Україна) – літератор, прозаїк. Закінчив Львівський національний університет за спеціальністю Облік і аудит, а також Київський університет ефективного розвитку. Публікується з 2001-го року. Автор шести прозових книг, двох книг для дітей, а також статей та есеїв, опублікованих в українських та закордонних часописах. Книги перекладено на польську, німецьку, французьку, італійську та російську мови.

LUBKO DERESZ (1984, Ukraina) – pisarz, prozaik. Ukończył studia na Uniwersytecie Lwowskim o specjalności rachunkowość i audyt, a także kijowski Uniwersytet Efektywnego Rozwoju. Publikuje od 2001 roku. Autor sześciu powieści, dwóch książek dla dzieci, a także artykułów i esejów, publikowanych w ukraińskiej i zagranicznej prasie. Jego książki tłumaczono na polski, niemiecki, francuski, włoski i rosyjski.

© Paula Bochenek

Andrzej Muszyński **Анджей Мушинський**

EDWARD, CZYLI ZBYSZEK
ЕДВАРД, ТОБТО ЗБИШЕК

Wychodził o świcie Edwardem, wracał Zbyszkiem. Pewnie nikt nie wiedział do końca, jakie nosi w dowodzie pierwsze imię i nikomu specjalnie na tym nie zależało, bo chłopska mania nazywania rzeczy szła zawsze w parze ze zrozumieniem umowności świata. No więc dla wielu Edward, dla innych Zbyszek. Stało się pewnie to, co zwykle. Na chrzciny przyszedł wycięty chrzestny, pomylił kolejność – Edward Zbigniew, Zbigniew Edward, i zostało tak, jak być nie miało. Ostatnie takie pokolenie. Byli wolni, więc zmieniali sobie imiona.

Zbyszek otwiera oczy i podnosi z siebie ciężką pierzynę, siada na bukowym łóżku pod świętym malunkiem, krótkie nogi wiszą mu w powietrzu, szuka po omacku bamboszy. Idzie na ganek, by wydobyć z kremowego kredensu stalowy kubek i parzy herbatę. Wszyscy śpią, nawet ona śpi, bo porosłe skrzypem, obłe podwórze wypełnia, jak zimna wata, senna szarość. Edward wychodzi, moczy zgrzebne nogawki o gęstą rosę, otwiera wrota stodoły, które skrzypią w mroku, potyka się o koło roweru, to chwilę obraca się i cyka. Pies zmienia pozycję, buda dudni głucho. Otwiera drugie wrota, ociera ręce o cajg i zabiera się do plewienia. Widać już pierwsze chwasty, których wyrywane korzenie chrzęszczą, nowe krecie dziury, bo za Zamczyskami wstaje słońce i budzi ze snu gęste korony brzóz. Zbyszek mruży oczy, wodząc dłonią po nieogolonej szczeci, podpiera lędźwie i pochyla się znów. Od paru dni na niebie widać do świtu złotawą kometę, której płowa grzywa wygina się jak wierzbowa witka, a łeb przypomina długą gruszkę. Edward podnosi głowę, jest sam, więc czyni to, co nigdy nie zdarza mu się w towarzystwie: nie uśmiecha się. Nad Zamczyskami kołują gawrony, co nie oznacza niemal nic, a już na pewno nie deszcz. Dlatego Zbyszek wraca do domu, by przygotować się na codzienny rejs. Zamyka pierwsze wrota stodoły, zamyka drugie wrota stodoły, potykając się o koło starej ukrainy, które chwilę cyka. Helena już wstała, nalała do miski wody z szarymi mydlinami i dokładnie, starannie płucze dłonie, a na końcu przykłada je do twarzy. Piec już buzuje, bo Zbyszek, zanim wyszedł plewić, wsadził przez otwór w blasze starą Trybunę, wiązkę chrustu i odpalił w ciemności furkoczącą zapałkę. Teraz siada pod krzyżem przy stole, opierając prawą rękę na ceracie w kwiaty, lewą opuszcza w dół i wysuwa do przodu stopy. Patrzy na okno spokojnie i z czystym sumieniem, ponieważ w tym przypadku można odpuścić sobie biblijną zasadę pierwszeństwa. Być może i będzie przez to ranne wstawanie kiedyś ostatnim, ale ten dzień należał najpierw do niego. Helena parzy jajka, odgrzewa zalewajkę i kładzie mu talerz koło prawej ręki. Zbyszek chlipie, krople mleka nabijają się na biały zarost. Zakłada na głowę mechacącą się myckę, otwiera wrota stodoły, ściąga z kierownicy smołowaną płachtę i prowadzi przez podwórze rower. Zbyszek nie chowa już gadziny, bo ostatnie parę lat życia, odkąd na dobre przeszedł na emeryturę, zabrał mu las. Jedzie polną drogą koło dębu do pomnika Nullo na Podlasce, mijając łąki czerwonych maków, zsiada, ukrywa maszynę za krzakami i niknie w nich na cały dzień. Bo potrzeba niejednego życia, żeby poznać w nim każdą ścieżkę i korzeń. Często kuca, gdy zrywa jagody albo czerwone borówki, garbi się, gdy wypatruje podgrzybków i kurek, czai się jak jakiś średniowieczny budnik za drzewem, gdy dostrzeże coś, o czym nigdy nikomu nie opowie. No chyba że samym swoim, nielicznym, wieczorem, bo nigdy rano, jakby poranna opowieść miała zapeszyć i sprowadzić go w zimne jary, bagna i opuszczone poręby, których z jakiś powodów jeszcze nie poznał.

– Dziś w lesie… – tak zaczynają się te historie, gdy wieczorem opiera się łokciem o stół, a Helena stawia na stół gar ciepłego bobu. W opowieściach Zbyszka niemal nie pojawiają się ludzie, raczej przesuwają się jak cienie na krętej rzece, które zaraz i tak porwie nurt. Wypełniają je nazwy ożywionych rzeczy i przedmiotów, które w jego ustach przypominają ludzi. Bielska, Piekiełko, Cupel, Smug, Ptaszek, Łony, Radlica – nazwy miejsc zagęszczają się, osaczają i przypominają nieznane zwierzęta. W ten sposób świat kurczy się, rozrastając jednocześnie do przerażających rozmiarów, odbierając skutecznie wszystkie chęci do przedarcia się na drugą stronę. Graniczy to z zuchwałością, dlatego czynią to nieliczni. Na przykład Zbyszek. Czasem chodzi aż Za Wodę, a wtedy można być pewnym, że będzie o czym słuchać. Za Wodą było zawsze ciemno, gałęzie strzelały głośniej, ścieżki dwoiły się i troiły, by po chwili zniknąć w bezmiarze chrupiącej ściółki. Trzeba jednak leźć aż tam, jeśli chce się przynieść kosz najtwardszych grzybów na marynat, maliny i ostrężyny, kopce zieleniatek, bukiety ziół i cuchnących korzeni, pęki dzikiego kopru i białego bzu, a gdy zbliża się jesień – stosy suchego chrustu. Bo Zbyszek chadza też do lasu zimą. Zimy bywają srogie, gdy Za Wodę prowadzi lodowy, niebieski tunel, albo suche i bezwonne, gdy ziemia twardnieje na kamień, a opadłe bukwie strzelają jak kości. Wtedy Edward mija most na Białce, opiera rower o kapliczkę, klęka, odmawia różaniec i rusza w górę rzeki wzdłuż bezbarwnych trzcin, przez które prześwieca wiszące przy ziemi słońce i ciało Zbyszka rzuca dwa cienie. A potem wraca, zrzuca zdobycz z siodełka, otwiera wrota stodoły, zapala naftówkę i wciska ręce w upchane po sufit gałęzie, które łamie i rąbie do później nocy. Dlatego w ich domu nigdy nie brakuje niczego, a grządki są zawsze starannie doplewione. Nikt do tego nigdy nie widział Zbyszka z papierosem czy wódką, dlatego miał końskie zdrowie. – Zbyszek, a napijże się! – namawiał go zawsze szwagier na imieninach. Edward się tylko uśmiechał, płonął na twarzy i machał ręką. Tak jak teraz, gdy siedząc przy ścianie, łapie nieporadnie w dłoń na prośbę Heleny natarczywą muchę – jakby na samą myśl o zadaniu krzywdy ogarniał go wstyd. Jakby tylko udawał.

Po tygodniu zawsze przychodzi niedziela. Zbyszek wsiada po mszy na rower i jedzie daleko, aż do Rodak, gdzie mieszka jego rodzina. Helena nie pamięta niedzieli, by Zbyszek się tam nie wybrał. Pakuje mu do płóciennej torby jabłko, pomidora z ogródka i kanapkę z serem, którą zapina na tylny bagażnik, bo Edward nie lubi jadać w innych domach. Do Rodak jest z piętnaście kilometrów. Zbyszek zjeżdża szerokim łukiem koło strażackiej remizy, jedzie przez Laski, między Podkrzywdziem a Kopańską Drogą płoży się za śrežogą wał niegowonickich wzgórz z zieloną czapą góry Chełm i srebrny pasek Błędowskiej Pustyni, słońce zaczyna palić, Zbyszek chyli głowę pod sterczącymi jałowcem, bo jedzie tak jak zwykle – przez las. U Fredka siada pod oknem, gryzie jabłko, Fredek podstawia mu bladą herbatę i cukiernicę pełną zbrylonego, żółtego cukru. Zbyszek siorbie ją, nie wyciągając ze szklanki srebrnej, ruskiej łyżeczki, która już dawno powinna wydłubać mu oko, i mniej więcej tak mija mu święty dzień. Helena w każdą niedzielę chodzi na babskie pogaduchy i Zbyszek nie pamięta niedzieli, by było inaczej. Tego listopada stałem na przystanku, czekając na pekaes. Ktoś powiedział: – Słyszałeś o Zbyszku?

– Którym?

– No Edwardzie. Ugięły się pode mną nogi.

Spłynęły od Zamczysk ciężkie mgły, zza których z rzadka przeświecały żółte, ciężkie światła reflektorów. Gdy auto zbliżało się, ich blask zderzał się z mrokiem, tworząc w powietrzu wirującą, jasną kulę, i ci, którzy znajdowali się w jej zasięgu, przylegali ciałami jak najbliżej płotów. Zbyszek wracał od Mariana. Facet jechał z osiemdziesiąt i Edward pofrunął aż pod remizę. Podniósł się, doszedł sam pod drzwi, które otwarła Helena. Nie pamiętał wiele. Na przykład tego, że przyszedł do domu z dwoma złamanymi nogami i żebrami. Gdy do niego potem przychodziłem, wołał do mnie raz Andrzej, raz Mirek. Siadał przy stole, patrzał przez okno, nie przestając się uśmiechać. To był ten sam uśmiech co zawsze, bo tak wolnych ludzi nie są w stanie zmienić nawet nieznani uciekinierzy z miejsc wypadków, kierowcy samochodu marki Ford. Stracił pamięć, przestał chodzić do lasu. Zmarł parę lat później. Opowiadam o nim, bo dzięki Zbyszkowi uwierzyłem w istnienie światów równoległych i nielinearność czasu. Bo jeśli gdzieś tam w podniebnej ekonomii dbają o jakikolwiek bilans, nie dopuszczają na pewno do marnotrawstwa takich dusz. Promienie słońca prześwietlają go, kadry powielają się, jakby ktoś nacisnął w aparacie fotograficznym bracketing i już nie umiał z tego wyjść. W ten sposób wielki świat powiela się w nieskończoność, dlatego Zbyszek nadal wszystko słyszy, kuca, zrywając borówki, podwórze gorzeje od zmierzchu, Edward mruży oczy, Helena dokłada do pieca, pies przewraca się i buda głucho dudni, nad Zamczyskami wschodzi kometa. Zbyszek prowadzi pod górę rower polną drogą z Chechła ku wieczności wśród łanów dojrzałego żyta. Obraca się i uśmiecha, otwierając szeroko oczy, które jak zawsze wypełnia strach pomieszany ze wstydem.

Dlatego gdy zjeżdżam swoim góralem z góry do Rodak koło kapliczki w dziupli, naciskam hamulec, ryjąc kołem w rozżarzonym piachu, bo widzę na dole oślepiający błysk. Światło spływa niebieskim nurtem po wapiennym skałach i gęstnieje w niszy złotych zbóż. W dole na dróżce za rzędem wierzb punkt na zmianę niknie i błyszczy, jakby skrzydła rozpościerała po raz pierwszy młoda, nieporadna ćma.

Він ішов на світанку Едвардом, а повертався Збишеком. Точно нікому до кінця не було відомо, яке ім'я в його паспорті було першим і ніхто цим особливо не переймався, бо селянська манія називання речей завжди йшла в парі з розумінням умовності світу. Тож для багатьох Едвард, а для інших – Збишек. Мабуть, сталося те, що й завжди. На хрестини прийшов хресний напідпитку, переплутав черговість – Едвард Збіґнєв, Збіґнєв Едвард – і стало так, як бути не мало. Останнє таке покоління. Вони були вільні, тому змінювали свої імена.

Збишек відкриває очі і знімає з себе важку перину, сідає на буковому ліжку під святим образом, його короткі ноги висять у повітрі, він шукає навпомацки пантофлі. Йде на ґанок, щоб дістати з кремового серванту сталеву чашку і запарює чай. Усі сплять, навіть вона спить, бо поросле хвощем, округле подвір'я, як холодною ватою, заповнює сонна сірість. Едвард виходить, мочить грубі холоші в густій росі, відчиняє браму стодоли, яка скрипить у темряві, спотикається об колесо велосипеду, що якусь мить обертається і стрекоче. Пес змінює позу, в буді глухе дудніння. Він відчинив другу браму, витер руки об тканину і заходився полоти. Вже видно перші бур'яни, чиє вирване коріння хрумтить, нові кротячі діри, бо за Замчиськами встає сонце і пробуджує від сну густі крони берез. Збишек мружить очі, водячи рукою по неоголеній щетині, підпирає поперек і схиляється знову. Кілька днів на небі видно до світання золотаву комету, чия блідо-жовта грива вигинається як вербова гілка, а голова нагадує довгу грушку. Едвард підводить

голову, він сам, тому робить те, що за ним ніколи не водиться в компанії – не посміхається. Над Замчиськами кружляє гайворонь, що не означає майже нічого і вже точно не дощ. Тому Збишек повертається додому для підготовки до щоденного маршруту. Він замикає першу браму стодоли, замикає другу браму стодоли, спотикаючись об колесо старої «України», яке знову стрекоче. Гелена вже встала, налила в миску води з сіркою милиною і ретельно, старанно полоще руки, а потім прикладає їх до обличчя. Піч уже палахкотить, бо Збишек, перед тим, як почати полоти, запхав крізь отвір у блясі стару «Трибуну люду», в'язанку хмизу і запалив у темряві шурхітливого сірника. Тепер він сідає під хрестом за стіл, спираючись правою рукою на цератy у квіточки, а ліву опускає вниз і простягає вперед ноги. Він спокійно і з чистим сумлінням дивиться у вікно, оскільки в цьому випадку можна вибачити собі біблійний принцип першості. Можливо, він і буде через це раннє вставання колись останнім, але цей день насамперед належав йому. Гелена парить яйця, нагріває каву і кладе йому тарілку біля правої руки. Збишек сьорбає, краплі молока стікають на білу бороду. Він одягає на голову мохнату шапочку, відчиняє браму стодоли, стягає з керма просмолене полотно і веде через подвір'я велосипед. Збишек уже не тримає худобу, бо останні кілька років життя, відколи він вийшов на пенсію, в нього забрав ліс. Він їде польовою дорогою біля дуба до пам'ятника Нулло на Подлясці, проминаючи поля червоних маків, злазить, ховає велосипед у кущах і зникає в них на весь день. Бо потрібно кілька життів, щоб пізнати в ньому кожну стежку і корінець. Він часто присідає, зриваючи чорницю або червону брусницю, горбиться, видивляючись польські гриби і лисички, причаюється, немовби якийсь середньовічний вартовий за деревом, помітивши щось, про що ніколи нікому не розповість. Ну, хіба що своїм найближчим, увечері, бо ніколи вранці, немовби ранкова розповідь може зурочити і запровадити його в холодні яруги, болота і покинуті просіки, яких він іще з якихось причин не пізнав.
– Сьогодні в лісі… – так починаються ці історії, коли він увечері спирається ліктем на стіл, а Гелена ставить на стіл каструлю теплих бобів. В історіях Збишека майже не з'являються люди, радше пересуваються, немов тіні на стрімкій річці, які незабаром і так захопить течія. Вони сповнені назв оживлених речей і предметів, які в його вустах нагадують людей. Бельська, Пекельце, Цупель, Смуг, Пташек, Лони, Радліца – назви місцевостей згущуються, беруть в облогу і нагадують невідомих тварин. У такий спосіб світ стискається, розростаючись водночас до страхітливих розмірів, ефективно позбавляючи будь-якого бажання продертись на інший бік. Це межує з зухвалістю, тому це роблять одинаки. Наприклад, Збишек. Іноді він ходить аж За Воду, а тоді можна бути певним, що тем для розповідей буде чимало. За Водою завжди було темно, гілля тріщало голосніше, стежки двоїлись і троїлись, щоб за якусь мить зникнути в безмірі хрусткої підстилки. Однак треба лізти аж туди, якщо хочеш принести кошик найтвердіших грибів для маринування, купку зелениць, малини й ожини, букети трав і запашного коріння, пучки дикого кропу та білого бузку, а коли наближається осінь – стоси сухого хмизу. Бо Збишек також ходить до лісу взимку. Зими бувають суворі, коли За Воду веде крижаний, синій тунель, або сухі й без запаху, коли земля твердне, як камінь, а опалі букові горішки тріскотять, неначе кістки. Тоді Едвард минає міст на Б'ялці, ставить велосипед під капличкою, стає навколішки, промовляє молитву й рушає вгору річки вздовж безбарвного очерету, через який просвічує нависле над землею сонце і тіло Збишека відкидає дві тіні. А потім повертається, скидає здобич із сідельця, відчиняє браму стодоли, запалює ґасову лампу і встромляє руки у складене аж до стелі гілля, яке він ламає і рубає до пізньої ночі. Тому в їхньому домі ніколи нічого не бракує, а грядки завжді старанно прополоті. Досі ніхто не бачив Збишека з цигаркою чи горілкою, тому він мав кінське здоров'я. – Збишеку, та випий же ж! – намовляв його завжди швагро на іменинах. Едвард лише усміхався, шарівся і махав рукою. Так, як і тепер, коли сидячи біля стіни, він ловить рукою на прохання Гелени набридливу муху – немовби від самої думки про завдану кривду його огортає сором. Немовби він лише вдає. Тиждень завжди закінчується неділею. Після служби Божої Збишек сідає на велосипед і їде далеко, аж до Родак, де мешкає його родина. Гелена не пам'ятає й неділі, аби Збишек туди не вибрався. Вона пакує йому до полотняної сумки яблуко, помідора з городу і бутерброд із сиром, примощуючи його на задньому багажнику, бо Едвард не любить їсти в інших людей. Відстань до Родак близько 15 кілометрів. Збишек описує широку дугу біля пожежного депо, їде через Ляски, між Подкшивдзям і Копанським шляхом стелиться за інеєм вал неґовоніцьких узгір'їв із зеленою шапкою гори Хелм і срібний пояс Блендовської Пустині, починає пекти сонце, Збишек нахиляє голову під стрімким ялівцем, бо їде так, як зазвичай – через ліс. У Фредека він сідає під вікном, гризе яблуко, Фредек подає йому блідий чай і цукерницю, наповнену скам'янілим, жовтим цукром. Збишек сьорбає його, не витягаючи зі склянки срібну, руську ложечку, яка вже давно мала виколупати йому око, й отак більш-менш минає його святий день. Гелена щонеділі ходить на бабські теревені, і Збишек не пам'ятає жодної неділі, щоб було по-іншому.

Того листопада я стояв на зупинці, чекаючи на рейсовий автобус. Хтось сказав: – Ти чув про Збишека?
– Якого?
– Ну, Едварда. – У мене аж ноги підкосилися.
Від Замчиськ спустився густий туман, крізь який просвічували жовті, важкі вогники рефлекторів. Коли автомобіль наближався, їхній блиск стикався з темрявою, утворюючи в повітрі вируючу, світлу кулю, і ті, хто перебував у її радіусі, прилягав тілами якнайближче до парканів. Збишек повертався від Мар'яна. Чувак їхав десь вісімдесят і Едвард полетів аж під депо. Він підвівся, дійшов сам до дверей, які відчинила Гелена. Він пам'ятав небагато. Наприклад, того, що прийшов додому з двома зламаними ногами та ребрами. Коли я до нього потім приходив, він називав мене раз Анджеєм, а раз Міреком. Він сідав за стіл, дивився у вікно, не перестаючи посміхатись. Це була та сама усмішка, що й завжди, бо настільки вільних людей не спроможні змінити навіть невідомі втікачі з місць аварій, водії автомобіля марки «форд». Він втратив пам'ять, перестав ходити до лісу. А за кілька років він помер.

Я розповідаю про нього, бо завдяки Збишекові я повірив в існування паралельних світів і нелінійність часу. Бо якщо десь там, у небесній канцелярії, дбають про який-небудь баланс, то, мабуть, не допускають марнотратства таких душ. Сонячне проміння просвічує його, кадри збільшуються, немовби хтось натиснув у фотоапараті брекетінґ і вже не міг з цього вийти. Таким чином великий світ збільшується до безкінечності, тому Збишек і далі все чує, стає навколішки, зриваючи чорницю, подвір'я палахкотить від заходу сонця, Едвард мружить очі, Гелена підкладає дрова в піч, пес перевертається і буда глухо дудонить, над Замчиськами сходить комета. Збишек веде під гору велосипед польовою дорогою з Хехла до вічності серед ланів зрілого жита. Він обертається і посміхається, широко відкриваючи очі, які, як завжди, наповнює страх, змішаний із соромом.
Тому, коли я з'їжджаю своїм «гуралем» з гори до Родак біля каплички в дуплі, я натискаю на гальма, зариваючись колесом у розпечений пісок, бо бачу внизу сліпучий блиск. Світло спливає синьою течією по вапнякових скалах і густішає в ніші золотого збіжжя. Внизу на доріжці за рядом верб точка навперебій гасне і блищить, немовби вперше розпростирає крила молодий, безпорадний нічний метелик.

[Переклад: Андрій Бондар]

Andrzej Muszyński (1984, Polska) – pochodzi z Krzykawy. Jest pierwszym stypendystą Fundacji „Herodot" im. Ryszarda Kapuścińskiego i laureatem konkursu na najlepsze opowiadanie na Międzynarodowym Festiwalu Opowiadania we Wrocławiu. Wyróżniony również najbardziej prestiżową nagrodą podróżniczą w Polsce Kolosem 2012 za wyprawę w Himalaje Birmańskie. Autor *Południa* – reportaży z globalnego Południa oraz *Miedzy* – prozy o współczesnej polskiej prowincji (obie książki zostały wydane w Wydawnictwie Czarne). W 2014 roku ukaże się jego kolejna reportażowa książka *Szafranowa rewolucja* o Birmie.

Анджей Мушинський (1984, Польща) – родом з Кжикави. Перший стипендист фонду «Геродот» ім. Ришарда Капусчінського і лауреатом конкурсу на найкраще оповідання на Міжнародному фестивалі оповідання у Вроцлаві. 2012 року був нагороджений найпрестижнішою премією подорожей в Польщі «Колос» за експедицію до бірманських Гімалаїв. Автор книг «Південь» (репортажі з географічного Півдня), а також «Межа» (проза про сучасну польську провінцію), обидві були видані у видавництві «Чарне». 2014 року вийде його чергова книга репортажів «Шафранова революцію» про Бірму.

© Mikołaj Łoziński

Ростислав Мельників Rostysław Melnykiw

поїзди моєї республіки
не завжди приходять вчасно
поїзди моєї республіки
не завжди знають своєї наступної станції
інколи вони їдуть безвісти і не повертаються взагалі
тоді розпачливий крик проймає залізницю
подейкують
то голосить привид першого паровоза
рейки для котрого пропалили цей жилавий степ
поїзди моєї республіки
ніколи не зважають на подібні дрібниці
їхні колеса щоразу вибивають нові ритми старих легенд
і це дає підстави не зважати на подібні дрібниці
навіть коли рейки вкриваються іржею і трухнуть шпали
навіть коли вимкнені усі семафори й сигнальні вогні
навіть коли пожовклі від часу мапи сполучень
не передбачають жодного руху
і всі колії ведуть у тупик
поїзди моєї республіки
розрізають тишу
вони їдуть
адже
у них
як і в моєї республіки
немає вибору

pociągi mojej republiki
nie zawsze przyjeżdżają na czas
pociągi mojej republiki
nie zawsze znają swoją następną stację
czasami odjeżdżają w nieznane i nie wracają wcale
wtedy rozpaczliwy krzyk przejmuje kolej
powiadają
że to lamentuje duch pierwszego parowozu
szyny dla którego wypaliły ten żylasty step
pociągi mojej republiki
nigdy nie zważają na podobne drobiazgi
ich koła za każdym razem wybijają nowe rytmy starych legend
i to daje podstawy żeby nie zważać na podobne drobiazgi
nawet kiedy szyny pokrywają się rdzą i butwieją podkłady
nawet kiedy wyłączone są wszystkie semafory i światła sygnalizacyjne
nawet kiedy pożółkłe od czasu mapy połączeń
nie przewidują żadnego ruchu
i wszystkie tory są ślepe
pociągi mojej republiki
przecinają ciszę
jadą
bo przecież
tak samo jak i moja republika
nie mają wyboru

***

Свого часу
Ти
вполював
Птаха
Дідусьо назвав його
Сонцем
і випустив на волю ...
Але
ніхто не знав,
що
уламки
розбитого дзеркала –
все,
що залишилося
від
країни
мандрованих дяків

***

Może trapitись:
буду
серед бруку
площі й дощу
клена самотньою плямою –
Я
нікому тоді не зізнаюсь
що
осінь
суцільна отесаність каменю

***

Swego czasu
upolowałeś
Ptaka
Dziadziuś nazwał go
Słońcem
i wypuścił na wolność...
Ale
nikt nie wiedział,
że
okruchy
rozbitego lustra –
to wszystko,
co zostało
z
kraju
wędrownych diaków

***

Może zdarzyć się:
będę
pośród bruku
placu i deszczu
klonu samotną plamą –
Ja
nikomu wtedy nie wyznam
że
jesień
to **zupełna ociosaność kamienia**

Dorota Gawryszewska

***

Пахне осінню
і димом
і дощем
дивний щем
з кленовим листям
щез
і сльозисто
лиса пісня
огорта гілки
і гіркі
пожовклолисто
шелестять вітри

***

Pachnie jesienią
i dymem
i deszczem
dziwna żałość
z klonowymi liśćmi
szczezła
i łzawiście
łysa pieśń
ogarnia gałęzie
i gorzkie
pożółkłoliście
szeleszczą wiatry

***

сядь
посидь
коло мене
і просто помовч
що може бути ліпше за мовчанку
за мовчанку з тобою
дівчинко з ясними очима
віриш
з тобою можна мовчати про все на світі
зрештою з тобою можна класно мовчати про все на світі
так чомусь саме з тобою
особливо
такого вечора
такого тихого вечора
такого тихого теплого вечора
такого тихого плинного теплого вечора
сонце
цей старий кент
напрочуд ніжно мережить промінням
спальні райони нашого міста
нашого на двох міста
знаєш
я давно маю сумніви стосовно його орієнтації
але поза тим
саме такого вечора
такого тихого вечора
такого тихого теплого вечора
такого тихого плинного теплого вечора
на цьому осонні
коли густа патока тиші
залипає на вустах
і я не знаю
я таки чомусь не знаю
чи стане
у нас снаги
щось чинити
окрім цієї чудової мовчанки
на двох

***

usiądź
posiedź
koło mnie
i po prostu pomilcz
co może być lepszego niż milczenie
niż milczenie z tobą
dziewczynko z jasnymi oczami
wierzysz
z tobą można milczeć o wszystkim na świecie
zresztą z tobą można świetnie milczeć o wszystkim na świecie
z jakiegoś powodu właśnie z tobą
zwłaszcza
takiego wieczoru
takiego cichego wieczoru
takiego cichego ciepłego wieczoru
takiego cichego ulotnego ciepłego wieczoru
słońce
ten stary kumpel
nadzwyczaj czule szydełkuje promieniami
sypialne dzielnice naszego miasta
naszego na dwoje miasta
wiesz
dawno mam wątpliwości co do jego orientacji
ale poza tym
właśnie takiego wieczoru
takiego cichego wieczoru
takiego cichego ciepłego wieczoru
takiego cichego ulotnego ciepłego wieczoru
na tym słońcu
kiedy gęsta patoka ciszy
przylepia się na ustach
i nie wiem
jednak jakoś nie wiem
czy wystarczy
nam energii
żeby coś robić
oprócz tego cudownego milczenia
na dwoje

***

осоння осені –
жовтавий парку колір
біг олень
залишаючи сліди
поверхні яблука
на втомленій долоні
біг олень
падав
сніг
і танув
мріяли туманом
ледь
помітні
постаті мисливців
коні
біг олень
і займався ранок
на аркушах гербарію
щитів
і геральдичних плетив
у звуках сурем
стрілах арбалетів
волань-рапсодій
псових
біг олень
ріг
сохатих
звисали грона
й лоззя винограду
сплітало
вежі й башти
замку
з адамашку
що височів
на твоїм пальці
перснем
йшло полювання сенсу
й починався день
що згодом
стане першим

***

nasłonecznienie jesieni –
żółtawy parku kolor
biegł jeleń
zostawiając ślady
powierzchnie jabłka
na zmęczonej dłoni
biegł jeleń
padał
śnieg
i topniał
marzyły mgłą
ledwo
dostrzegalne
postacie myśliwych
koni
biegł jeleń
i zajmował się poranek
na arkuszach herbarium
szczytów
i heraldycznych plecionek
w dźwiękach surm
strzałach kusz
wołań-rapsodii
psów
biegł jeleń
rogów
rozłożystych
zwisały grona
i witka winogrona
splatała
wieże i baszty
zamku
z adamaszku
górującego
na twoim palcu
pierścieniem
szło polowanie sensu
i zaczynał się dzień
który z czasem
stanie się pierwszy

[Tłumaczenie: Aneta Kamińska]

РОСТИСЛАВ МЕЛЬНИКІВ (1973, Україна) – поет, критик, редактор, упорядник літературних проектів, історик літератури. Поезія перекладалася англійською, боснійською, італійською, німецькою, польською, російською, словенською, чеською мовами. З-поміж відзнак і грантів: літературна премія видавництва «Смолоскип» (Київ, 1995), Short-term Grant of the American Council of Learned Societies (2000), Hermann Kesten Stipendium (Нюрнберг, 2004), Petro Jacyk Visiting Scholar (Університет Торонто, 2005), John Kolasky Fellow (Університет Альберти, 2005), Стипендія Кабінету Міністрів України для молодих учених (2006-2008), The Dr. Jaroslaw and Nadia Mihaychuk Fellow (Гарвардський університет, 2010). Автор книжок: «Полювання на Оленя» (1996), «Подорож Рівноденням» (2000), «Майк Йогансен: ландшафти трансформацій» (2000); «Літературні 1920-ті. Постаті (Нариси, образки, етюди)» (2013). Живе в Харкові.

ROSTYSŁAW MELNYKIW (1973, Ukraina) – poeta, krytyk, redaktor, kierownik projektów literackich, historyk literatury. Jego poezja była tłumaczona na język angielski, bośniacki, włoski, niemiecki, polski, rosyjski, słoweński i czeski. Nagrody i granty: nagroda literacka wydawnictwa Smołoskyp (Kijów, 1995), Short-term Grant of the American Council of Learned Societies (2000), Hermann Kesten Stipendium (Norymberga, 2004), Petro Jacyk Visiting Scholar (Uniwersytet Toronto, 2005), John Kolasky Fellow (Uniwersytet Alberty, 2005), stypendium dla młodych uczonych Rady Ministrów Ukrainy (2006-2008), The Dr. Jaroslaw and Nadia Mihaychuk Fellow (Uniwersytet Harvarda, 2010). Autor książek: *Polowanie na jelenia* (1996), *Podróż równonocą* (2000), *Majk Johansen: przemiany krajobrazu* (2000), *Literackie lata dwudzieste. Postaci (eseje, szkice, etiudy)* (2013). Mieszka w Charkowie.

Sylwia Chutnik Сильвія Хутнік

DZIAŁKA
ДАЧА

W toku prowadzonego postępowania przygotowawczego ustalono następujący stan faktyczny.

Jan Stanisław C. wraz z żoną Barbarą C. zamieszkiwali w Warszawie. W miejscowości Rynia, gmina Dobre, małżonkowie posiadali działkę letniskową. Często zdarzały się takie sytuacje, że Jan C. przyjeżdżał sam na działkę i spędzał na niej czas, a jego żona przyjeżdżała w późniejszym terminie. Gdy Jan Stanisław C. przebywał samotnie na działce, to wówczas kontaktował się telefonicznie z żoną trzy razy dziennie, tj. rano, w południe i wieczorem.
W dniu 24 sierpnia 2011 roku Jan Stanisław C. przyjechał sam na działkę letniskową do miejscowości Rynia, w celu pocięcia drzewa, które wcześniej przewrócił wiatr. W dniu 25 sierpnia 2011 roku Jan Stanisław C. około godziny 11-tej zadzwonił do żony z prośbą, aby ta przyjeżdżając na działkę, zakupiła jakiś środek przeciwko komarom. W tym dniu Jan Stanisław C. nie kontaktował się już z żoną w południe ani wieczorem. Barbara C. zaniepokojona brakiem kontaktu ze strony męża dzwoniła na jego telefon komórkowy, mąż jednak nie odbierał. W związku z tym Barbara C. zadzwoniła na Komisariat Policji w Dobrem, prosząc o sprawdzenie sytuacji na jej działce w miejscowości Rynia. Z polecenia oficera dyżurnego Komisariatu Policji w Dobrem do miejscowości Rynia udali się trzej funkcjonariusze policji.
Funkcjonariusze policji, po dokonanej penetracji posesji, ujawnili ciało mężczyzny leżące przy kawałkach pociętego drzewa, obok ciała znajdowała się piła elektryczna do cięcia drzewa.
Na miejsce zdarzenia została wezwana karetka pogotowia, której lekarz stwierdził zgon Jana Stanisława C.

W toku czynności przeprowadzonych na miejscu zdarzenia wykonano oględziny miejsca ujawnienia zwłok, w trakcie których nie wykryto śladów wskazujących na przyczynienie się osób trzecich do śmierci wymienionego.

W śledztwie przywołano opinię biegłego patomorfologa odnośnie przyczyn zgonu Jana Stanisława C. Z uzyskanej opinii wynika, że oględziny zewnętrzne zwłok wymienionego wykazały pojedyncze płytkie otarcia naskórka w obrębie uda i łokcia po stronie lewej. Powyższe otarcia naskórka mogły powstać na skutek kontaktu z powierzchnią twardą, nie miały bezpośredniego związku ze zgonem. Jako przyczynę zejścia śmiertelnego biegły przyjął ostrą niewydolność układu krążenia.

W przeprowadzonych badaniach krwi Jana Stanisława C. nie stwierdzono obecności alkoholu etylowego.

1. Kiedy byłam bardzo młoda, to pisałam wiersze w zeszycie. Odkryłam śmierć ciemnej klatki schodowej, zimnej klatki schodowej. Odkrywałam całą masę różnych rzeczy. Teraz wiem, że ta śmierć może być też w krzakach, liściach i miękkiej trawie – dotychczas zarezerwowanej dla rusałek, mrówek, niedopałków. Ona – ta śmierć – jest nawet w niewinnej przyrodzie. Czy ktoś mógłby się tym zająć, jakiś rząd czy ruch społeczny? Apeluję o to, bo ja osobiście byłam w głębokim szoku, kiedy zmarł Jan Stanisław C. Tak zwyczajnie, w trawie. Rozrzucony jak cień po południu. Rozrzucony bezwładnie przy drzewie.

2. W rodzinie mówiło się: „działka”. Że się tam jedzie, że trzeba trawę skosić, że opłaty. Wyjeżdżało się w piątek wieczorem, ale jak Polska się zmieniła i ludzie zaczęli jeździć wszędzie samochodami, to w piątek nie było sensu. Bo straszne korki na trasie do Siedlec. I wtedy albo w sobotę o świcie, albo w piątek też, tylko wcześniej. Najpierw się jechało białym Fiatem 126p, z kierownicą taką jakby drewnianą. Z obiciem brąz, skajowym, parzącym w tyłek i uda w czasie lata, bo to był plastik chamski i z FSO ściema.
Działkę kupili Jan Stanisław i Barbara C. w tym samym roku, w którym się urodziłam. Początkowo był tylko plac, nieogrodzony i zarośnięty. Pojedyncze słupki wbite przez geodetę z gminy pokazywały skalę zakupu. Sporo ziemi, jak na rekreację. Wokół las, głównie sosnowy, w ściółce mnóstwo grzybów. Prawdziwki, kozaki, kurki i podgrzybki. Ludzie łazili po nieogrodzonym terenie, myśląc, że to jeszcze wspólna polana, a to już było nasze. Stawialiśmy namiot, obok zaparkowany samochód i podręczna lodóweczka z nabiałem i napojami. Powoli, powoli Jan Stanisław grodził teren, stawiał dom. Przywieziono go w częściach, model „Mikołajki”, ale został szybko przerobiony, dobudowany, ulepszony. Oczkiem w głowie Jana był dach, ponieważ od wielu lat zajmował się tym zawodowo.
Dach to archetypowe poczucie bezpieczeństwa. Motyw zadbania, uchronienia od deszczu, piorunów i oka Złego. Fundamenty są początkiem tworzenia swojego miejsca na ziemi, ale to właśnie dach jest tego końcem, kropką nad „i”, podsumowaniem. I Jan Stanisław wchodził z papą po drabinie, rozpuszczał w wiadrze różne mazie, potem je wylewał między dachówki. Siedział okrakiem na samej górze, wielki i potężny. Pogwizdywał pod nosem stare piosenki. O Czarnej Mańce, o Stachu, Antku Cwaniaku. Wychowany na styku Ochoty i Woli, pomiędzy torami przy Zachodnim a górką Szczęśliwicką tkwił w lumpenproletariacie przez całe swoje życie. Inteligenci – frajerzy nie rozumieli jego paznokci wysmarowanych farbą, jego tatuaży pokrywających całe ciało. Dmuchania nosa bez chusteczki i mówienia ludziom wprost. Ależ panie Janku, co pan mówi. Mówię, co myślę, że się pani to ciasto nie udało, nie smakuje mi, no co mam zrobić. Dziadku, daj już spokój, będzie tej pani przykro.
E tam, przykro, co przykro, przecież mówię, jak jest.
Mijały miesiące, dom rósł. Mała ja spędzałam tam niemal całe wakacje, pomiędzy drzewami i stukającym dzięciołem. Było mi trochę nudno, trochę dziko. Jako jedynaczka umiałam się bawić w samotności, dość wcześnie uzależniłam się od czytania książek i w związku z tym minuty liczyłam stronami. Mam przebłyski siebie lat osiem, siedzącej w leżaku i czytającej *Lassie, wróć!*. Wspominam też dmuchany basenik i domek z materiału, w którym miałam swoje lalki. Czasami przychodził do mnie sąsiad z naprzeciwka, Mariusz. Był starszy, no i poza tym chłopak, więc zabawy były ograniczone.
Słońce wypalało wzory w coraz bardziej wypłowiałym materiale, ledwo się już mieściłam w tym rozkładanym domku. Lalki Barbie zamieniałam na kasety i pierwsze bunty. Dziwne stroje, ulubiona muzyka. Ale to historia dojrzewania, fali zmian. Wpisana zarazem w historię działki, ale jednocześnie bardzo miejska. Wszystko po kolei działo się jak w wielkiej, mądrej książce leżącej na strychu albo w bibliotece typu: „mamy wszystko, co chcesz i twoje życie spisane na pergaminie również”. Więc uważaj.

© Mikołaj Łoziński

Działka była zawsze Domem Letnim, podporządkowanym wszystkim tym czynnościom dbania o ziemię, po której się chodzi. Przesadzanie kwiatów, nawożenie ich taczkami wypełnionymi kompostem. Rękawiczki ubrudzone ziemią, które wisiały na płotku przy werandzie. Podlewanie dwa razy dziennie, ile to się wody lało w te piachy, a to wsiąkało wszystko od razu na pniu. Jak to mówią. Strasznie suchy teren, żeby coś urosło, trzeba było

drugiej ziemi zwozić. Zielony, długi szlauch, podłączony do kranu z tyłu dobudówki rozdawał krople kwiatom i krzewom. Trawie, drzewom, a to trwało i trwało, w sumie nudne ale i podniosłe, uroczyste. Jan Stanisław stojący na swoich rozkraczonych, krzywych nogach i trzymający sztywno polewaczkę.
Sylwia, weź mi ten szlauch wyprostuj, bo się zagiął.
O, już leci woda, dziękuję.

3. Leżeć tam
to jakiś sen
zaraz trzeba wyjść z psem
zaraz trzeba pomalować werandę
zaraz trzeba podlać kwiaty
iść pójść załatwić
radio gra czeka herbata w kubku
a ja leżę
to jakiś chyba sen
tylko nie można się podnieść
a potem to już tylko
noc latarka karetka oględziny nosze zakład
zimno przez tydzień
i bardzo gorąco przez dwie (do trzech) godzin
no ładnie
ciekawy jestem
kto wyjdzie z psem pomaluje werandę podleje kwiaty

4. W warsztacie stoi drewniany stół z imadłem oraz milionami drobiazgów. Plus maska do spawania. Przedmioty wygrywają w konkurencji „dużo", jest ich ponad miarę ogarnięcia i wykorzystania. Trudno je docenić, ponieważ wzrok nie sięga do tych wszystkich pudełeczek, skrzyń i toreb. Człowiek-zbieracz miałby tam bałagan, ale w warsztacie jest on tylko pozorny. W istocie wszystko posiada swoją wewnętrzna logikę, tylko się należy otworzyć na oryginalne zestawienia i przeznaczenia.
Że pudełko po margarynie, a w środku nakrętki.
Jest też specjalny, szeroki pas do wspinania się na drzewo. Człowiek przytula się do pnia i odchyla o 30 stopni. Ale nie spada, bo się uprzednio spina z drzewem pasem i wisi odgięty. Może wtedy piłować, zbierać szyszki albo czyścić ptakom budki. Na nogach stare buty, w których nie można by się już pokazać ludziom na ulicy, ale tutaj nikomu to nie wadzi, że z dziurą podeszwa i przydeptana pięta.
Stara farba, jakaś czarna. To chyba do dachu. Jeśli chodzi o dach to dopasowane są do niego następujące słowa: papa, krajzega, rynna i blachodachówka. Materiały izolacyjne, bariery przeciwśniegowe, wyłazy, stopnie i ławy kominiarskie, wywietrzniki dachowe, gąsiory, taśmy kalenicowe, obróbki komina. Takie określenia latały na werandzie w czasie siorbania kawy. Odpoczywał, wychodził z warsztatu co jakiś czas i siadał. Patrzył. Myślał. Chrząkał i knuł. Bardzo głośno ziewał i klepał się po brzuchu. Ale mi kałdun wyrósł, o, jaki duży. Prawie zimna ta kawa, ja to bym nie mogła czegoś takiego pić, ale on lubił, dwie łyżki cukru.
Te pierdolone szklanki to bym wszystkie pobiła teraz, bo domyć ich nie można i mnie tylko denerwują. Przypominają. Każdy kąt mi przypomina, to można dostać kurwicy, bo człowiek się wybiera z tego miasta na jakiś relaks. Ludzie mówią: „o, działeczkę masz, ale fajnie, a gdzie, to sobie odpoczniesz". I rzeczywiście: rodzina robi a ja się plączę bez ładu i składu, bo sobie miejsca znaleźć nie mogę. Tylko dyryguję innymi albo się wypowiadam w różnych kwestiach. Przygotowuję obiad na stole, noszę i wynoszę. Ale tak ogólnie to nic nie robię, bo nie umiem. O wszystkim coś powiem, każdy przedmiot na działce omówię, ale nic nie wezmę w rękę, bo mi się przypomina. Jak długo to wszystko będzie trwać, to prawie dwa lata minęły, jak długo ja się będę tłukła po terenie jak mucha w szklance. Zdziwiona, te gały tak wybałuszone i się dziwię. Ojej, a jak to się mogło stać. Jak to się mogło tak zakończyć.
Właśnie się zakończyło, dziewczyno, szkoda słów i szlochów twoich. Do roboty się weź, bo tu tyle tego naniesione z dworu, że wstyd w kuchni coś zrobić, bo liście, ziemia, błoto. Kurz.

5. Co u ciebie? A u mnie
Śrubki, rury, silikon
Rękawiczki w farbie, ołówek kopiowy
Piła mechaniczna
Kosiarka spalinowa
Imadło średnie
Komplet kluczy o pełnej numeracji
Zapas papieru ściernego, grabie
Pompka, taczka, emalia ftalowa
Nożyczki, gwinciarka, siekiera, scyzoryk
Zamknięte drzwi i
Resztki zapachu wody brzozowej na poduszce
Bo się dziadkowi ostatnio robiły zakola przy czole
Co u ciebie?
U mnie te wszystkie rzeczy tracące sens

6. Miał strasznie krzywe nogi, tak krzywe, że się o takich mówiło: „na beczce prostowane". Na podwórku chłopaki kiedyś rzucili, że w okolicznej szkole jest taka komisja z baletowej i zapraszają dzieci, żeby się sprawdziły.
A co nam szkodzi, mruknął Janek i wyrzucił papierosa do śmietnika. Przed komisją stał już Piotrek ze Szczęśliwic i Heniek, którego ojca przejechał traktor. Na sali gimnastycznej stał stół z obrusem i na nim woda w butelkach z odskakującym kapslem. Grube ręce dyrektora szkoły oplatały szklankę przyniesioną na tę okazję z kantorka woźnego. Drodzy goście, szanowni państwo, przybyli aż z Miodowej i patrzyli na stado wychudzonych dzieciaków w trykotach, które małpowały jakieś piruety. Taki pokaz z serii: „co nam się wydaje, jak sobie myślimy o balecie".
Były też dziewczynki z matkami, które widać, że od maleńkości marzyły o pointach i poskręcanych kostkach. Te to były jak wzorowe uczennice w sztuce zamiłowania do spięcia ciała jak struna. Między nie wszedł Janek. Stanął przed stołem i starał się wyprostować. Stłumiony chichot przeszedł po sali. Za krótki sweter, stare trampki.
No i nogi. Jeden facet z komisji to aż wstał i niemo wpatrywał się w chłopaka, jak by ten właśnie na niego splunął albo założył koszulkę z napisem „balet to syf".
A taka inna pani to zwyczajnie się wydarła: „już mi stąd, piłkę kopać, z takimi nogami, z takimi nogami!".
Ja mam teraz podobne nogi, chociaż bardziej podobne do nóg mojego taty. Też mało prostych, wywiniętych, z dziwnymi łydkami zarysowanymi jak łodygi. To jak dziwne dziedzictwo ludzi niepasujących do baletu, zbyt podwórkowych na wysokie progi.

7. po jakimś czasie to wygląda na wyciskanie pamięci
a kiedyś to mi powiedział
a dał mi to spojrzał na to i tamto
i jeszcze
ostatnia rozmowa
halo, czy to pani redaktor?
dziadkuuuu
no dobrze, ale pamiętaj, żeby te grzyby
wyjąć z torebki
i rozłożyć w piekarniku
albo po prostu na gazecie
bo wiesz
babka dwa kilo tak zmarnowała że jej spleśniały
a ja że
dziadkuuuu
i on jakby się zreflektował
bo mówi: a co robisz teraz
a ja że: pracuję
a on od razu:
a nie, to ci nie przeszkadzam
i koniec
a potem to już sobie mogę gadać
do nikogo
za późno o jeden telefon

Під час проведення попереднього розслідування було встановлено такі дані:

Ян Станіслав С. разом із дружиною Барбарою С. мешкали у Варшаві. У місцевості Риня, селище Добре, подружжя мало літню дачну ділянку. Часто траплялося так, що на дачі з'являвся спершу Ян С. і проводив там час, а його дружина приїздила пізніше. Коли Ян Станіслав С. перебував на дачі сам, то завжди телефонував дружині тричі на день, тобто вранці, в обід і ввечері.
У день 24 серпня 2011 року Ян Станіслав С. приїхав на літню дачну ділянку до місцевості Риня з метою вирубати дерево, яке перед тим зламав вітер. У день 25 серпня 2011 Ян Станіслав С. близько години 11 подзвонив до дружини і попросив, щоб вона дорогою на дачу купила засіб від комарів. Того дня Ян Станіслав С. більше не контактував із дружиною ні в обід, ні увечері. Барбара С., занепокоєна цим браком контакту, сама дзвонила на мобільний телефон чоловіка, але той не відповідав. У зв' язку з цим Барбара С. подзвонила до відділення поліції у селищі Доброму і попросила перевірити ситуацію на її дачі у місцевості Риня. За наказом чергового офіцера комісаріату поліції селища Добре до місцевості Риня вирушили троє поліцейських.
Службовці поліції знайшли на територію дачі, біля порубаного дерева, тіло чоловіка, біля тіла лежала електрична пилка.
На місце трагедії була викликана машина швидкої допомоги, і лікар підтвердив факт смерті Яна Станіслава С.

Під час проведення попереднього розслідування і обстеження місця, де було знайдено тіло, не виявили слідів, які би вказували на причетність до смерті вищевказаного третіх осіб.

У слідстві наводиться коментар патологоанатома щодо причин смерті Яна Станіслава С. З цього коментаря випливає, що зовнішнє обстеження трупа показало окремі незначні подряпини на шкірі поблизу стегна і лівого ліктя. Ці подряпини могли виникнути внаслідок тертя об тверду поверхню, але не мали безпосереднього зв'язку зі смертю. Причиною смерті лікар назвав загострення патології системи кровообігу. Під час проведеного аналізу крові Яна Станіслава С. не було виявлено слідів етилового спирту.

1. Коли я була дуже молода, то записувала у зошит вірші. Я відкрила для себе смерть темної сходової клітки, холодної сходової клітки. Відкривала ще неймовірну кількість інших речей. Зараз я знаю, що та смерть може чаїтися також у кущах, у листі й у м'якій траві – усе це раніше було забронюване для русалок, мурах і недопалків. Вона – ця смерть – присутня навіть у невинній природі. Чи хтось міг би зайнятися цим, якийсь уряд чи громадська організація? Я закликаю до цього, бо особисто я пережила страшний шок, коли помер Ян Станіслав С. Помер так просто і звичайно, у траві. Розпростертий як пообідня тінь. Безвладно розпростертий біля дерева.

2. У родині говорили „дача". Казали: треба туди поїхати, щоб скосити траву, треба заплатити внески. Їхали у п'ятницю ввечері, але після того, як Польща змінилась і люди почали пересуватися на машинах, то в п'ятницю їхати вже не було сенсу. Бо на трасі у напрямку до Седлець утворювалися страшенні затори. І тоді слід було їхати або в суботу вдосвіта, або таки у п'ятницю, але раніше. Спершу їздили білим «Фіатом 126-П» з рулем, який здавався дерев' яним. У цій машині була темно-брунатна оббивка зі штучної шкіри, яка влітку парила зад і стегна, бо то була жахлива пластмаса, зібрана абияк на польській фабриці легкових автомобілів.
Ян Станіслав і Барбара С. купили дачу того ж року, коли я народилася. Спершу це була просто ділянка землі, необгороджена й заросла бур'янами. Поодинокі стовпці, які вбив у землю місцевий геодезист, показували межі придбаної території. Як на відпочинкову зону, доволі багато землі. А довкола – ліс, здебільшого сосновий, під деревами можна знайти багато грибів. Білі, підосиновики, лисички і боровики. Люди блукали на необгородженій території, вважаючи, що то все ще спільна галявина, але то вже було наше.
Ми ставили намет, поряд паркували автомобіль і портативний холодильник з молочними продуктами й напоями. Поволі, дуже поволі Ян Станіслав обгороджував територію, будував дім. Будинок привезли розібраним на частини, модель «Міколайкі», але його незабаром перебудували, добудували, покращили. Ян зациклився на тому, як зробити дах, бо багато років займався дахами професійно.
Дах – це архетипне відчуття безпеки. Мотив упорядкованості, захисту від дощу, громовиці і злого ока. Фундаменти – це початок створення свого власного

місця на землі, але саме дах є завершенням цього створення, крапкою над «і», підсумком. І Ян Станіслав вилазив на драбину з металочерепицею в руках, розводив у відрі різні мастила, потім наливав їх поміж плитки даху. Сидів верхи на даху, великий і могутній. Насвистував собі під ніс старі пісеньки. Про Чорну Маньку, про Стаха, про спритного Антка. Він виріс на межі двох варшавських дільниць – Охоти і Волі, поміж рельсами поблизу Західного вокзалу і Щесливицькою горою, тож на все життя застиг у культурі люмпенпролетаріату. Самовпевнені інтелігентики не розуміли його вимащених фарбою нігтів, татуажів на усьому тілі. Не розуміли, коли він сякався без паперової хустинки й говорив людям в очі все, що думав. «Але ж пане Янку, що Ви таке кажете». «Кажу, що думаю, бо цей торт Вам не вдався, не смакує мені, ну і що я маю зробити». «Діду, досить уже, не додавай жіночці прикрощів». «Які там прикрощі? Чого це раптом? Я ж кажу, як є».
Минали місяці, будинок ріс. У дитинстві я проводила там майже всі канікули, поміж деревами і стукотами дятла. Мені іноді бувало нудно, а часом занадто відлюдькувато. Я була єдиною дитиною, тож уміла бавитися сама, у ранньому віці узалежнилася від читання книг, тож хвилини рахувала сторінками. Пригадую себе у семирічному віці, коли я лежала в гамаку і читала «Лессі, повернись!». Пригадую також надувний басейн і будиночок із тканини, у якому мешкали мої ляльки. Іноді до мене приходив сусід із будинку навпроти, Маріуш. Він був старший, а до того ж хлопець, тож ми нечасто бавилися разом. Сонце випалювало візерунки на тканині, яка все більше вицвітала, і я сама вже ледь поміщалася у цьому розкладному будиночку. Ляльок Барбі я виміняла на касети і перші підліткові бунти. Почала вбиратися у дивний одяг, у мене з'явилася улюблена музика. Але це вже історія дозрівання, хвилі змін. Ця історія вписана в історію дачі, але водночас це і дуже міська історія. Усе діялося по черзі, як у великій, мудрій книзі, яка лежала на стриху, або в бібліотеці зразка «у нас є все, що ти хочеш, і навіть твоє життя уже записане на пергаменті». Тож будь обережна.
Дача завжди була літнім будинком, який підпорядковувався усім відповідним заняттям доглядання землі, по якій ходиш. Пересаджування квітів, підсипання їх компостом, який підвозився тачками. Рукавички, вимазані землею, висіли на плоті біля веранди. Підливання двічі на день, скільки води доводилося лити у ті піски, а вода зникала миттєво, відразу, не встигнеш оком змигнути. Як то кажуть. Там було страшенно сухо, аби щось виросло, треба було привезти іншої землі. Зелений довгий шланг, під`єднаний до крана ззаду добудови, роздавав коду квітам і кущам. Траві, деревам, а це тривало дуже і дуже довго. Це було доволі нудно, але водночас урочисто і піднесено. Ян Станіслав стояв на своїх розкарячених кривих ногах і міцно тримав у руках шланг.
– Сильвіє, випростуй мені цей шланг, бо він зігнувся. О, дякую, вже усе гаразд, пішла вода.

3. Лежати там
це якийсь сон
уже потрібно вийти з псом
уже час фарбувати веранду
уже час підлити квіти
вибратися піти залагодити
радіо грає чекає чай у горняті
а я лежу
це схоже на сон
тільки не можеш підвестися
а потім це вже тільки
ніч ліхтар швидка огляд ноші лікарня
тиждень дуже холодно
і дуже спекотно протягом двох (до трьох) годин
ну гаразд
мені цікаво
хто тепер вийде з псом пофарбує веранду підливатиме квіти

4. У майстерні стоїть дерев' яний стіл із лещатами, а ще – мільйони дрібниць. Плюс захисна маска для зварювання. Предмети виграють у конкурентній боротьбі за кількість, їх значно більше, ніж можна собі уявити і використати. Їх важко оцінити, бо погляд не сягає усіх тих коробочок, скриньок і торбинок. Людина-збирач тримала би все це у безладі, але у майстерні це лише видається безладом. Насправді тут все має свою внутрішню логіку, тільки слід відкритися на оригінальні порівняння й призначення. Коли коробка з-під маргарину, але в ній лежать гайки.
Є тут також спеціальний, широкий пояс щоб вилазити на дерево. Людина притуляється до пня і відхиляється на 30 градусів. Але не падає, бо чіпляється за дерево поясом і висить під кутом. У такому положенні можна пиляти гілки, збирати шишки або чистити шпаківні. На ногах – старі черевики, у яких уже не можна показатися людям на очі на вулиці, але тут нікому не заважає, що на підошві дірка, а каблук зовсім стоптаний.
Стара фарба, якась чорна. Мабуть, для даху. Якщо ідеться про дах, то до нього підходять такі слова: шифер, електрична пилка, ринва і металочерепиця. Ізоляційні матеріали, захист від снігу, люки, сходи і димоходи, аератори, конькові планки, торцеві планки, комини. Такими виразами обмінювалися на веранді, сьорбаючи каву. Він відпочивав, через певні проміжки часу виходив із майстерні й сідав. Дивився. Думав. Відхаркував і снував плани. Дуже голосно позіхав і поплескував себе по животі. «Ого, яке у мене пузо виросло. Нічого собі». Він пив каву майже зовсім холодною, я би таке не змогла пити, але він любив, дві ложки цукру.
Ці ідотські склянки, я би їх усі побила, бо домитися їх неможливо, і вони тільки нервують. Нагадують. Кожен закуток мені нагадує, так можна здуріти, бо ж вибираєшся з міста, щоб відпочити. Люди кажуть: «О, у тебе є дача, супер, маєш де відпочити». І справді: родина працює, а я ридаю, і це не має змісту, я не можу знайти собі місця. Тільки диригую іншими або висловлююся з різних питань. Готую обід, ставлю на стіл, приношу і виношу. Але загалом, то нічого не роблю, бо не вмію. Про все щось можу сказати, описати кожен предмет на дачі, але нічого не візьму до рук, бо мені одразу приходять спогади.
Скільки це все ще триватиме, вже минуло майже два роки, скільки я ще буду тинятися по периметру як муха в склянці? Здивована, очі вибалушені й дивуюся. «Боже, як це могло трапитися. Як це могло так закінчитися».
Все правда, якраз усе закінчилося, тож у твоїх словах і риданнях немає сенсу. Візьмися нарешті до роботи, бо тут стільки усього нанесено з двору, що соромно робити щось у кухні, бо листя, земля, болото. Пилюка.

5. Що у тебе? Бо у мене
Гайки, трубки, силікон
Рукавички у фарбі, простий олівець
Механічна пилка
Газонокосилка на бензині
Середнього розміру лещата
Комплект ключів з круглими номерами
Запас шліфувального паперу, граблі
Насос, тачка, алкідна емаль
Ножиці, шуруповерт, сокира, складаний ножик
Замкнені двері і
Рештки запаху березового лосьйону на подушці
Бо останнім часом у діда з`явилися залисини біля чола
А що у тебе?
У мене всі ті речі, які втрачають сенс

6. У нього були страшенно криві ноги, про такі ноги зазвичай кажуть: «Їх рівняли на бочці». Хлопці з двору колись сказали, що у місцевій школі працює якась балетна комісія, і всіх дітей запрошують піти перевіритися. «Подумаєш», – буркнув Янек і викинув цигарку до смітника. Перед комісією вже стояв Пйотрек зі Щеслівець і Ґеник, батька якого переїхав трактор.
У спортзалі стояв стіл, накритий скатертиною, а на ньому вода у пляшках з металевими накривками. Грубі руки директора школи обплітали шклянку, спеціально з цієї нагоди принесену з будки двірника. Дорогі гості, шановне панство, яке прибуло аж із вулиці Мьодової, і тепер дивилося на стадо худорлявих дітлахів у трикотажних костюмах, які мавпували якісь піруети. Це був показ із серії: «Те, що ми вважаємо балетом». Були також дівчатка з мамами, по яких було видно, що вони з дитинства мріяли про пуанти і вивихнуті ноги. Вони були зразковими ученицями і майстерними шанувальницями мистецтва натягувати тіло, як струну. Поміж них увійшов Янек. Став перед столом і намагався випростатися. По залі пробіг стишений регіт. Він був убраний у занадто короткий светр і старі кеди. Ну і ноги. Один чоловік із комісії аж підвівся і мовчки вдивлявся у хлопця так, ніби той щойно плюнув йому в обличчя, або ніби мав на собі футболку з написом «балет – це гівно».
А якась інша пані просто закричала: «Геть мені звідси, з такими ногами тільки м' яч копати!»
У мене зараз схожі ноги, хоча і більше нагадують ноги мого тата. У моїх ногах мало прямих ліній, вони всі складаються з кривих, з дивними литками, формою схожими на стебла. Це ніби дивний спадок людей, які не надаються до балету, занадто дворові як на високі пороги.

7. через якийсь час це стає схожим на витискання пам' яті
а колись він сказав мені
і дав мені це подивився на те і інше
і ще
остання розмова
ало, чи це пані редактор?
дідусю
ну гаразд, але не забудь витягнути ті гриби
з мішечка
і розкласти у духовці
або просто на газеті
бо знаєш
бабуся змарнувала так два кілограми і вони вкрилися пліснявою
а я кажу
дідусю
і він ніби отямився
бо каже: а що ти зараз робиш
а я: працюю
а він відразу:
ну тоді добре, не буду тобі заважати
і кінець
а потім то вже собі можу говорити
ні до кого
спізнення на один телефонний дзвінок

[Переклад: Наталка Сняданко]

SYLWIA CHUTNIK (1979, Polska) – działaczka społeczna, pisarka i felietonistka. Autorka książek *Kieszonkowy atlas kobiet* i *Cwaniary*. Laureatka Paszportu Polityki w dziedzinie literatury w 2008 roku.

СИЛЬВІЯ ХУТНІК (1979, Польща) – громадська діячка, письменниця і фейлетоністка. Авторка «Кишенькового атласу жінок» і «Крутій». Лауреатка Паспорту журналу «Політика» в галузі літератури у 2008 році.

© Mikołaj Łoziński

Наталя Гуменюк **Natalia Humeniuk**

ЦІЛЬ НОМЕР ОДИН
CEL NUMER JEDEN

Я прокинулася від риб'ячого смороду поруч із будинком Усами бен Ладена на березі моря, в якому риба не водиться, адже море – Мертве. Увімкнула телевізор. «Євроньюз» показував будинок точнісінько таким, яким я його щойно бачила. Вкрита товстим шаром льоду риба смерділа з великої поролонової коробки. Я перепитала: «А вона у вас випадково не золота?». Коробку відкрили. Риба виявилася золотою. Я не задумала бажання. Інколи стає моторошно, коли бажання здійснюються.

Ця пустеля не має кольору. У попередніх пустелях дюни були червоними, жовтими, пастельними, у найгіршому випадку – пісочними, а ось таких безбарвних я ще ніколи не бачила. На небі висів гібрид місяця та сонця.

Я – мов щасливий палестинський заручник, якого за руку забрали від пакистанського таксиста з поламаним телефоном. I am a happy Palestinian hostage, a hostage from the world "to host". Мені віддають ключі й ліжко. Замикають двері, будять ненароком. Просять пробачення. Приносять їжу і воду. «Цигарку? Джоінт? Зовсім не куриш?».

Я – мов іноземний окупант, який загарбав і їжу, і воду, і ліжко, і вже не піде геть, і не перепросить. Цього разу навіть не маю чим віддячити. Хіба виправдовуюся: моя окупація – легітимна репатріація. Це розплата всієї країни за почуття, які викликають ці вічні піщані землі, де можна вмить все отримати і все зруйнувати.

«Чому ти постійно поспішаєш? Куди? Навіщо? Сама кажеш, що тобі бракуватиме цього місця саме тому, що тут можна просто сидіти, дивитися і слухати. Увесь сенс в тому, що ми вміємо просто жити і не зважати на всі складнощі, які існують на цій землі, не зважати на жахіття, що кояться поряд, ми можемо просто сидіти, споглядати й цінувати те, що маємо», – говорив мені перед вильотом кілька місяців тому автор найкращих графіті у цьому місті, де графіті заборонені.
«Урва, але це не працює зі мною! Урва, не працює! Бо все, що зі мною відбувається, стається лише тому, що я не сиджу на місці. Щоб говорити з тобою зараз, просто сидіти, дивитися й слухати, я мала зробити дуже багато нелогічних кроків і непотрібних дій».

Мені порадили довіритися компетентним людям і пошвидше та з комфортом відправили геть із задушливого порту на півдні королівства. Замість звичних чотирьох годин автобусом мені довелося провести в дорозі понад тридцять, змінюючи автомобілі й автомагістралі, водіїв та поводирів. Зате мене постійно пригощають мигдалем, арахісом та фісташками у пластикових стаканах, розплавленим на сонці шоколадом, пивом і холодним чаєм. Пропонують англійське(!) вино та Редбул без цукру, від якого я втретє намагаюся відмовитися. Відмовитися не виходить, адже напередодні помітили, як я пила щось подібне. Одразу після Редбула приносять ще й міцну бедуїнську каву і гарячий чай із м'ятою. І все це – в машині. «On the Road».

Пізніше я згадала, що в арабських країнах краще промовчати й не казати вголос, що тобі сподобалася якась річ. Інакше її зобов'яні подарувати. У мене вже і так є кишеньковий ліхтарик-дармовис, канадські водонепроникні сірники, зіткана бабцею червона куфія (червоні – йорданські, чорні – палестинські, все решта – вигадки для туристів), пакунок із блискучими наклейками-зірочками, ключ одразу від двох країн, які насправді одна, і мініатюрний Коран, відданий зі словами: «Ти тільки не бери його із собою до туалету, а то англійці так завжди роблять. Подаруєш їм Коран, а вони його в туалеті лишають. Убив би!». Відтоді я не беру Коран нікуди.

З усього перерахованого мені сподобався лише Коран, з яким не склалося. Дівчина мала б читати його з покритою головою, а замотуватися в хустку після десятої сторінки запізно. Принаймні я вчасно скривилася (звісно, когось образивши), помітивши купу погано склеєних пакистанських черевиків зі стразами й загнутими, мов у маленького Мука носаками, а також оберемок кольорових щіточок для чищення кальяну. Насправді черевиків мені не подарували лише тому, що вони чоловічі, а дарувати щіточки для

чищення кальяну без кальяну якось безглуздо.
Я відкриваю торбинку з шампунями. У цьому номері принаймні у ванній кімнаті є дзеркало. Лік готелям втрачено. Ночую я в номерах, зарезервованих для закріпленого за мною чи то янгола-охоронця, чи то збroєносця. Таких як він – людей, які працюють фізично, – розміщують у дешевших кімнатах. Зате так простіше пояснити босу, чому тут має переночувати ще й ця іноземка. Вдень я працюю – пишу і користуюся інтернетом у забронbованих для творчих співробітників п'ятизіркових «Гілтонах» та «Шератонах», де варіант із додатковим випадковим гостем не пройде. І все це за рахунок «Ворнер Браверз»… Ні, перевірила – «Коламбії Пікчерз», яка і не здогадується, що я існую.

Я не маю стосунку до «Коламбії Пікчерз», як і жодної причини перебувати у цих п'ятизіркових готелях, про що не здогадуються їхні співробітники, які за відсутності справжніх господарів відкривають мені чужі номери, щоб я позабирала свої кабелі, зарядки, шнури. Опинилася я тут випадково. Нікого не попередивши.

Мій тюбик із зубною пастою таки тріснув, а я ж звичай загортаю кожен предмет в окремий пластиковий пакетик. Цього разу не встигла. Насправді після кількох днів без сну та численних пересадок в аеропортах думати можеш лише про цю зубну пасту. Попереду не один готель, не один сквот, не одна квартира (шкода, що лише одна з них виявилася дипломатичною), де мене попереджають, що «такого безладу ти ще не бачила». З кожним новим будинком переконуюся, що безлад не має меж.

Я пишу не про дивні помешкання чи дивовижні зустрічі, не про подорожні пригоди у піщаному королівстві чи золоту рибу на березі моря, де риба не водиться. У моїй розповіді немає нічого романтичного, тоді як сама вона – про рутину романтики. Ось про що я постійно думаю.

Рутина романтики – це тріснутий тюбик зубної пасти та пластикові пакети, які закінчилися, а отже, залишки шампуню можуть розлитися. Це відламане коліщатко на валізі, з якою таки вдається перетнути спершу Босфор, а потім широчезний каїрський майдан Тахрір, на якому +45 і смердить сечею. Це дві пляшки горілки, які мене чемно просить купити в duty free хтось із майбутніх арабських друзів. Зате сусід у літаку – одноокий алжирський дід у довгій білій сукні, якому я допомогла заповнити міграційну карту мовою, якої сама не розумію, пропонує допомогти донести пакунок. Ні, якось негарно йому віддати йому торбу – він щойно з Мекки, а там – дві пляшки горілки.

Рутина романтики – це коли, здійснивши посадку, думаєш лише про те, як першою пройти візовий контроль, обігнати в туалеті бабусь та мам із дітьми, а під час обміну валют – занудного британця. Це коли розумієш, що затримка багажу зіпсує геть усе. Прощавай, дешевий автобусе.

Краще я б не була такою метикуватою. Він надто нав'язливо просить сісти поближче та доволі відверто показує на губи. Більш того: жестами намагається пояснити, що все гаразд, і я маю право відмовитися. Цей водій шаттла з аеропорту вже годину возить мене саму нічним містом буцімто для того, щоби довезти до пункту призначення, де я нарешті пересяду на таксі. Та в деяких країнах я просто не вмію сердитися, бо всі довкола посміхаються. Тож, виходячи з автобуса, попри всю відразу, я не стираю недоречної посмішки. Рутина романтики не в пристрастях. Її суть – у таксі, яке о п'ятій ранку проїжджає повз, так і не зупинившись на порожній зупинці.

Рутина романтики – це забутий мозольний пластир і мозоль, який нагадує про себе дорогою під гору, з якої спускаєшся, щоб перевірити, чи не страйкують часом поромники. Це розбита надія на доступ до wi-fi, адже за мою недовгу відсутність пароль змінився, господарі переїхали, а обидва телефони – заблоковані.

Рутина романтики – це коли янгол-збroєносець намагається відшукати шмат серветки серед сотень пластикових торбинок з англійським вином та ковбойськими капелюхами, бо, проінспектувавши черговий прихисток, я звернула увагу на брак туалетного паперу.

Рутина романтики – це коли напередодні, здавалося б, важливої зустрічі і ще важливішої розмови думаєш, якби так непомітно виколупати з кебаба ненависну цибулю.

Рутина романтики – це спроба згадати, в який зі смітників викинуто папірець з номером страхового полісу, поки сидиш на чужому ґанку, непритомніючи від сонця. Це також сумніви, чи кип'ятили ці випадкові люди воду, яку щойно принесли мені. Та немає чим перейматися: аптечка завжди зі мною.

Рутина романтики – це козяче лайно, яке прилипло до останніх вцілілих кедів (дешеві китайські капці мені подарують пізніше) та гардероб, що просмердівся золотою рибою.

Ненадійну мотузку, якою мою валізу прив'язують до вантажного відділення чергового пікапа, я поки що записую до стовпчика «романтика». Так само, як і десятихвилинну зупинку тривалістю у дві години на гірській дорозі задля того, щоб потримати в руках гвинтівку для соколиного полювання.

«Романтика» – це бедуїнське помешкання на горі, що зветься Небо, де барани сплять у змайстрованих для горил клітках – знову ж таки на замовлення «Коламбії Пікчерз», а також водойма, з якої доводиться красти державну воду, щоб поливати оазу.

«Романтика» – це коли потрапляєш у минуле, де немає мобільних телефонів та імейлів, і, мов у дитинстві, в місті без адрес потрібний будинок доводиться шукати по пам'яті. От тільки малою я не робила цього сама посеред ночі в далекій країні. Це коли розумієш, що галерея, в якій була лише один раз, розсташована на схилі, де кожна будівля – це галерея, а отже, треба зазирнути в кожну шибку, орієнтуючись на полотна на стінах. А хвіртка у паркані та сходи другого будинку ведуть на подвір'я, звідки відкривається краєвид на галасливий східний базар, де нині торгують китайським непотребом, і цей будинок треба розшукати на сусідньому схилі, серед численних інших будинків зі східцями та хвірточками у парканах, що ведуть на подвір'я, звідки відкривається краєвид на галасливий східний базар, де нині торгують китайським непотребом.

«Романтика» – це випадкова зустріч о третій ночі біля кіоску з дешевою ліванською піцою, після якої приєднуєшся до дискусії про те, чим робота з мармуром відрізняється від роботи з гранітом, чому мистецтво замінило Бога, про те, що Стенлі Кубрик знімав не висадку на місяць, а документальний фільм, який змусив усіх повірити в грандіозну маніпуляцію. Це розмова про агента Моссаду, який приїхав до Амману з Європи, і, убивши свою жертву на вулиці, як і годиться професіоналові, попрямував далі, ніби нічого не сталося. Агента наздогнали за кілька секунд. Зібралася вся вулиця. Агент помилявся, коли думав, що люди довкола не дивляться в його бік. Тут усі все бачать. Просто вдають, що не звертають уваги, поки в цьому немає потреби.

«Романтика» – це суперечка про те, чи розвивалася арамейська мова паралельно з арабською, чи була її прамовою, це оповідка про схожу на йорданську Петру таємничу пам'ятку в Саудівській Аравії, куди нікого не пускають, бо та – доісламська. Це згадки про запах бактерій, які оживають від першого осіннього дощу, а також стурбованість тим, що схил Аль-Львебдех став нагадувати Джабаль Амман із барами, кав'ярнями і вивісками англійською, яких не було так багато ще півроку тому.

«Романтика» – це коли йорданський скульптор врешті пояснює, чому на іранському телебаченні заборонено показувати музичні інструменти, після того, як перша скрипка тегеранського симфонічного оркестру так і не зміг цього розтлумачити. Мабуть, це тому, що людство створювало інструменти, надаючи їм форму жіночого тіла, а гра на деяких інструментах імітувала любовний акт.

«Романтика» – це випадковий гість, який виріс у Києві, звідки родом його мати. Він має відвідати саме цієї ночі, а отже зможе підкинути мене до аеропорту, бо саме там мешкає його родина. Отже, мені пощастить уникнути водіїв маршруток, а головне – отримати в подарунок ще кілька годин здивування випадковим збігам.

«Романтика» – це коли ніби мимоволі всюди натрапляєш на одного й того ж незнайомого режисера: у магазині, на базарі, у гіпстерській кав'ярні з поганою кавою, де ще через півроку на екрані в ефірі «Королівського телебачення» покажуть телепрограму з твоєю участю, бо випадково довелося позичити камеру оператору, в якого сіла батарейка; натрапляєш на цього режисара на терасі пошарпаної кав'ярні з доброю кавою, тут діди вдають, що грають в нарди, а насправді з осудом дивляться на те, що ти приходиш сюди щоразу з іншими людьми. «Романтика» – це коли за годину до від'їзду з міста двері власного дому, куди тебе запросять на останню каву, відкриє той самий вже знайомий режисер.

«Романтика» – це коли, прощаючись в аеропорту, кажеш: «Не сумніваюся, що випадково зустріну ще когось», і, озирнувшись на паспортному контролі, за кілька хвилин без тіні подиву вітаєшся зі ще одним випадковим знайомим. Тим, кого першим зустріла, коли щойно прилетіла в місто. Зустріла на автобусній зупинці, де чекала на рейс до задушливого порту на півдні піщаного королівства, звідки, довірившись компетентним людям, замість чотирьох добиралася назад усі тридцять годин, змінюючи автомобілі й автомагістралі, водіїв та поводирів.

А от пил, який обліпив увесь багаж поки ми їхали піщаною гірською дорогою, який нічим змити у порожньому будинку з тонким потічком іржавої води, – це знову рутина.

Насправді ніякої романтики і не було. Справа в банальній меркантильності, яка точно не має меж. Адже моя єдина ціль, ціль номер один – мов у собаки – помітити власну територію, і в кожній країні знайти будинок, куди можна прийти посеред ночі без попередження. От тільки цю копію будинку Усами бен Ладена, будинку на піску, на березі Мертвого моря, де не водиться риба, але так смердить золотою рибою, знесуть дощенту вже за тиждень. Знесуть із усім реквізитом, з усіма кінодекораціями: з так і не підключеним джакузі, з намальованими слідами від штучних куль на пластикових дверях, із кривавими плямами на підлозі та в ліжку колишнього терориста номер один. Просто цього вимагає контракт «Коламбії Пікчерз».

Obudził mnie smród ryb w pobliżu domu Osamy bin Ladena nad brzegiem morza, w którym nie mogły pływać ryby, ponieważ morze było – Martwe. Włączyłam telewizor. „Euro News" pokazywały dom dokładnie tak, jak widziałam go przed chwilą. Ryba śmierdziała, choć była okryta grubą warstwą lodu, zamknięta w opakowaniu z pianki. Zapytałam: „A czy ona przypadkiem nie jest złota?". Otworzyli opakowanie. Okazało się, że ryba jest złota. Nie pomyślałam życzenia. Czasem, gdy marzenia się spełniają, robi się przerażająco.

Ta pustynia nie ma koloru. Na poprzednich pustyniach wydmy były czerwone, żółte, pastelowe, w najgorszym wypadku – piaskowe, ale nigdy nie widziałam bezbarwnych. Na niebie wisiała hybryda księżyca i słońca.

Jestem zupełnie jak szczęśliwy palestyński zakładnik z zepsutym telefonem, którego zabrano z palestyńskiej

Я перепитала: «А вона у вас випадково не золота?»

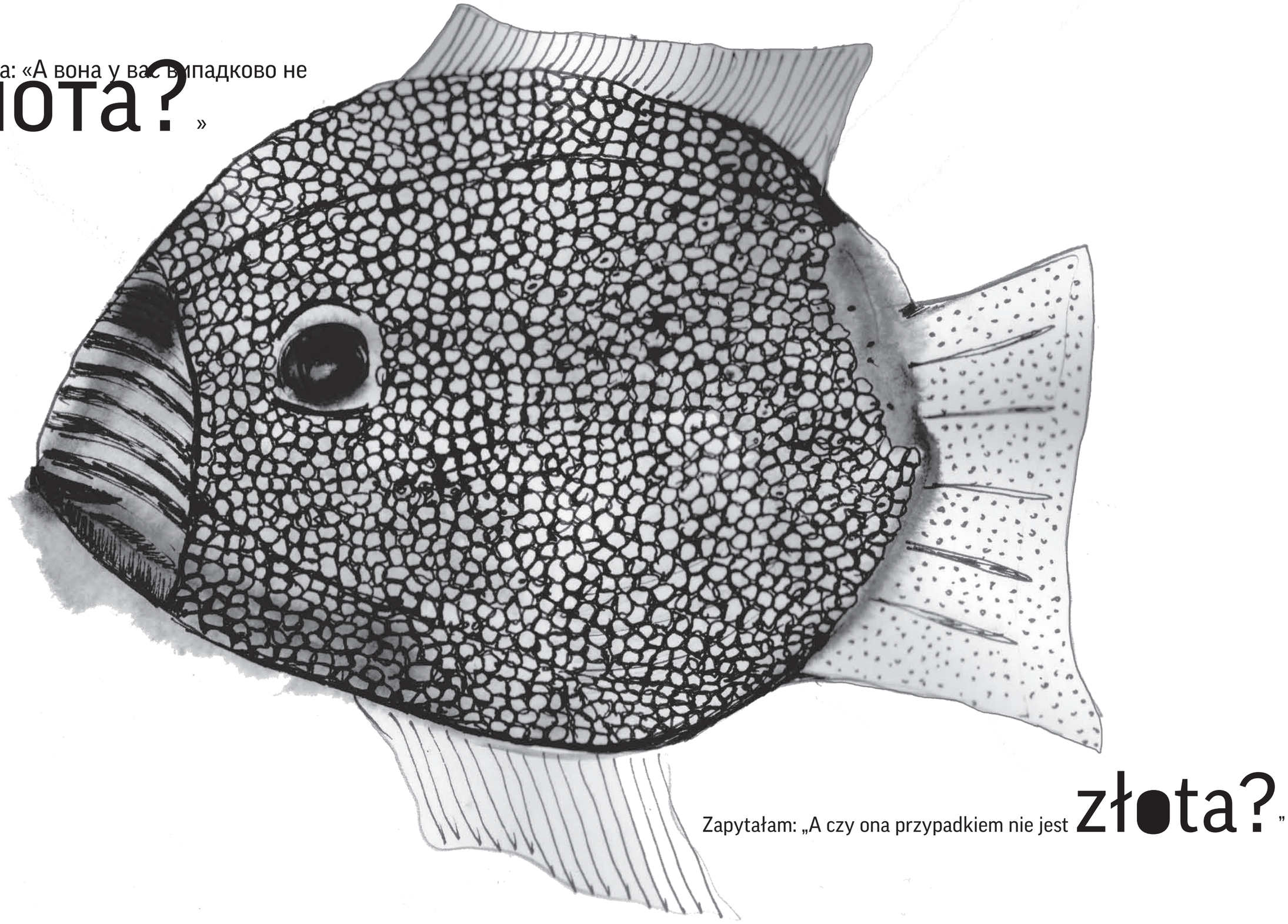

Zapytałam: „A czy ona przypadkiem nie jest złota?”

© Ania Jaworska-Kruk

taksówki. I am a happy Palestinian hostage, a hostage from the world “to host”. Oddają mi klucze i łóżko. Zamykają drzwi, budzą przez przypadek. Przepraszają. Przynoszą jedzenie i wodę. „Papierosa? Jointa? W ogóle nie palisz?”.

Jestem zupełnie jak obcy najeźdźca, który zagrabił wodę, jedzenie i łóżko, i nie pójdzie do diabła, i nie przeprosi. Tym razem nawet nie mam czym się odwdzięczyć. Czy uprawomocniła się moja okupacja – legalna repatriacja? To zapłata całego kraju za poczucie, które wywołują te odwieczne piaszczyste ziemie, gdzie można w jednej chwili wszystko dostać i wszystko stracić.

„Dlaczego ty się bez przerwy śpieszysz? Dokąd? Po co? Sama mówisz, że będzie ci brakowało tego miejsca, właśnie dlatego, że można tu po prostu siedzieć, patrzeć i słuchać. Sęk w tym, że my potrafimy żyć po prostu, nie zważając na trudności istniejące na tej ziemi, zignorować okrucieństwa, które dzieją się obok, możemy po prostu siedzieć, kontemplować i doceniać to, co mamy” – powiedział mi kilka miesięcy temu przed wylotem autor najlepszych graffiti w tym mieście, w mieście, gdzie graffiti jest zabronione.

„Urwa, ale to na mnie nie działa! Urwa, nie działa! Wszystko co mi się przytrafia, przytrafia mi się tylko dlatego, że nie mogę usiedzieć w miejscu. Żeby móc teraz z tobą rozmawiać, po prostu siedzieć tu, patrzeć i słuchać, musiałam zrobić wiele nielogicznych kroków i spowodować wiele niepotrzebnych sytuacji”.

Poradzono mi, żebym zaufała kompetentnym osobom i szybko oraz komfortowo wyjechała z dusznego portu na południu królestwa. Zamiast planowanych czterech godzin autobusem, spędziłam w drodze ponad trzydzieści, zmieniając samochody i autostrady, kierowców i przewoźników. Ciągle częstowali mnie migdałami, orzeszkami arachidowymi i fistaszkami w plastykowych kubkach, rozpuszczoną na słońcu czekoladą, piwem i mrożoną herbatą. Oferowali angielskie (!) wino i Red Bulla bez cukru, któremu po raz trzeci próbowałam się oprzeć. Odmowa nie wchodziła w grę, ponieważ dzień wcześniej zauważyli, że piłam coś podobnego. Zaraz po Red Bullu podali jeszcze mocną beduińską kawę i gorącą herbatę z miętą. I to wszystko w samochodzie. *On the Road*.

Dopiero później zrozumiałam, że w krajach arabskich lepiej przemilczeć i nie mówić na głos, że coś ci się spodobało. W przeciwnym wypadku są zobowiązani ci to podarować. I tak mam już kieszonkową latarkę – darmocha, kanadyjskie wodoszczelne zapałki, utkaną przez babuleńkę kefię (czerwona – jordańska, czarna – palestyńska, wszystkie inne – wymysł dla turystów), paczuszkę błyszczących naklejek-gwiazdek, jeden klucz od dwóch krajów, które tak naprawdę są jednością, i miniaturowy Koran, podarowany ze słowami: „Tylko nie bierz go ze sobą do toalety, bo Anglicy zawsze tak robią. Darujesz im Koran, a oni zostawiają go w toalecie. Zabiłbym!”. Od tej chwili nie zabieram Koranu nigdzie.

Ze wszystkich wymienionych rzeczy podobał mi się jedynie Koran, z którym mi nie wyszło. Dziewczyna musiałaby go czytać z nakrytą głową, a motać chustę na głowie po dziesiątej stronie – za późno. Przynajmniej na czas wzdrygnęłam się (pewnie kogoś obraziłam) na widok masy źle sklejonych pakistańskich trzewików z kryształkami i zakrzywionymi jak u Alladyna noskami oraz kilku kolorowych szczoteczek do czyszczenia fajki wodnej. A tak naprawdę, nie podarowali mi trzewików tylko i wyłącznie dlatego, że były męskie, a podarować komuś szczoteczki do czyszczenia fajki wodnej bez fajki, to jakiś bezsens.

Otwieram torebeczkę z szamponami. Przynajmniej w tym pokoju w łazience jest lustro. Straciłam już rachubę. Nocuję w pokojach zarezerwowanych dla przypisanego mi anioła stróża albo rycerza. Takich jak on – pracowników fizycznych – lokują w tańszych pokojach. Dzięki temu łatwiej jest wyjaśnić szefowi, dlaczego powinna nocować tutaj ta cudzoziemka. W ciągu dnia pracuję – piszę i korzystam z internetu w zarezerwowanych dla pracowników kreatywnych, pięciogwiazdkowych Hiltonach i Sheratonach, gdzie opcja z dodatkowym, przypadkowym gościem nie przejdzie. I to wszystko na rachunek Warner Brothers… Nie, sprawdziłam – Columbia Pictures, która nawet nie wie o moim istnieniu.

Nie mam zdania o Columbia Pictures, tak samo jak nie mam pozwolenia na to, by przebywać w tych pięciogwiazdkowych hotelach, w których współpracownicy nie zorientowali się jeszcze, że podczas nieobecności prawdziwych gospodarzy, otwierają mi obce pokoje, bym pozbierała swoje kable, ładowarki, przedłużacze. Zostałam tu przez przypadek. Nie uprzedziwszy nikogo.

Moja tubka z pastą do zębów pękła, a zazwyczaj wszystko pakuję w oddzielne woreczki. Tym razem nie zdążyłam. Naprawdę po kilku dniach bez snu i wielokrotnych przesiadkach na lotniskach, w głowie ci tylko ta pasta do zębów. Przed tobą niejeden hotel, niejeden squat, niejedno mieszkanie (szkoda, że tylko jedno z nich miało jakiś standard), gdzie uprzedzano mnie, że „takiego bałaganu jeszcze nie widziałaś”. Z każdym nowym miejscem przekonuję się, że bajzel nie zna granic.

Nie napiszę o dziwnych rzeczach czy dziwacznych spotkaniach, ani o podróżnych przygodach w piaskowym królestwie czy o złotej rybie na brzegu morza, w którym ryby nie mogą pływać. W mojej opowieści nie ma nic romantycznego, dlatego właśnie napiszę – o przeciętnym romantyzmie. Bo o nim ciągle myślę.

Przeciętny romantyzm – to pęknięta tubka z pastą do zębów i woreczki, które właśnie się skończyły, i przez to resztki szamponu mogą się wylać. To odłamane kółeczko w walizce, z którą udaje ci się przekroczyć po raz pierwszy Bosfor, a później olbrzymi Plac Tahrir w Kairze, na którym śmierdzi moczem, a temperatura sięga +45°C. To dwie butelki wódki kupione w *duty free*, o które prosi mnie jeden z moich przyszłych arabskich przyjaciół. Albo sąsiad w samolocie – jednooki algierski dziadek w długiej białej sukni, któremu pomogłam uzupełnić karteczkę migracyjną w języku, którego sama nie rozumiem, a on proponuje mi pomoc w doniesieniu bagażu. Nie, jakoś nie mogę oddać mu swojej torby – on wraca z Mekki, a w mojej walizce są dwie butelki wódki.

Przeciętny romantyzm jest wtedy, gdy lądując, myślisz jedynie o tym, jak najszybciej przejść kontrolę wizową, zająć toaletę wcześniej niż babcie i mamy z dziećmi, a podczas wymiany pieniędzy ominąć nudnego Brytyjczyka. Pojawia się wtedy, gdy rozumiesz, że przetrzymanie bagażu wszystko zepsuje. Żegnaj, tani autobusie.

Lepiej żebym nie była aż tak kumata. On bardzo nachalnie prosi, by usiąść bliżej i wyraźnie pokazuje na usta. Co więcej: gestami próbuje pokazać, że wszystko jest w porządku, i mam prawo odmówić. Kierowca *shuttle busa* z lotniska już godzinę wozi mnie samą nocą po mieście – pewnie po to, by dowieść mnie do wyznaczonego miejsca, w którym wreszcie przesiądę się na taksówkę. W niektórych krajach po prostu nie potrafię się gniewać, ponieważ wszyscy dookoła się uśmiechają. Dlatego, wychodząc z autobusu, mimo całej niechęci, nie pozbywam się przyklejonego uśmiechu. Przeciętny romantyzm nie kryje się w namiętnościach. Jego istota tkwi w taksówce, która o piątej nad ranem przejeżdża obok i nie zatrzymuje się na pustym przystanku.

Przeciętny romantyzm – to zapomniany plaster na odciski i odcisk, który daje o sobie znać w drodze pod górę, z której schodzisz, by sprawdzić, czy czasem nie strajkują przewoźnicy. To próżna nadzieja na dostęp do wi-fi, ponieważ podczas twojej krótkiej nieobecności zmieniono hasło, przyjechali gospodarze, zablokowano obydwa telefony.

Przeciętny romantyzm jest wtedy, gdy anioł stróż stara się odszukać kawałeczek serwetki pośród setek reklamówek z angielskim winem i kowbojskimi kapeluszami, ponieważ podczas inspekcji kolejnego miejsca schronienia, zauważyłaś brak papieru toaletowego.

Przeciętny romantyzm jest wtedy, gdy przed – wydawałoby się – bardzo ważnym spotkaniem i jeszcze ważniejszą rozmową, myślisz tylko o tym, jak wyrzucić z kebaba znienawidzoną cebulę.

Przeciętny romantyzm – to próba myślenia o tym, do którego ze śmietników wyrzucono papier z numerem ubezpieczenia, w momencie, gdy siedzisz na cudzym ganku, tracąc przytomność od słońca. To także wątpliwości, czy ci przypadkowi ludzie przegotowali wodę, którą właśnie ci przynieśli. Nie ma się czym przejmować: apteczka zawsze jest ze mną.

Przeciętny romantyzm – to kozia kupa, która przykleiła się do ostatniej pary ocalałych *conversów* (tanie chińskie kapcie podarują ci później) i ciuchy, które prześmierdły złotą rybą.

Niepewną linę, którą przywiązują moją walizkę do bagażowej części kolejnego pick-up’a, póki co zapisuję w słupku „romantyzm”. Tak samo jak dziesięciominutowy postój trwający naprawdę dwie godziny na górskiej drodze tylko po to by, potrzymać w dłoniach strzelbę do polowania na sokoły.

Romantyzm – to beduińskie mieszkanie na górze, która nazywa się Niebo, gdzie barany śpią w zbudowanych dla goryli klatkach – znów na zamówienie Columbia Pictures, a także zbiornik wodny, z którego trzeba kraść wodę, by podlewać oazę.

Romantyzm – to momenty, kiedy przenosisz się w przeszłość, gdzie nie ma telefonów komórkowych ani e-maili, i jak w dzieciństwie, właściwy budynek w mieście bez adresów musisz odszukać pamięcią. Chociaż, kiedy byłaś mała nie robiłaś tego sama, nocą, w odległym kraju. Kiedy zdajesz sobie sprawę, że galeria, w której byłaś tylko raz, znajduje się na skarpie, na której każda budowla to galeria, a więc trzeba zajrzeć w każdą gablotkę, skupić się na obrazach wiszących na ścianach. A furtka w parkanie i schody drugiego budynku prowadzą na podwórze, z którego rozciąga się panorama na gwarny wschodni bazar, gdzie w tej chwili handlują chińskim bublem, a tego budynku należy szukać na sąsiedniej skarpie, wśród wielu innych budynków ze schodkami i furtkami w parkanach, które prowadzą na podwórze, skąd rozciąga się panorama na gwarny wschodni bazar, gdzie w tej chwili handlują chińskim bublem.

Romantyzm – to przypadkowe spotkanie o trzeciej w nocy obok kiosku z tanią libijską pizzą, po której przyłączasz się do dyskusji o tym, czy praca z marmurem różni się od pracy z granitem, czemu sztuka zamieniła Boga, o tym, że Stanley Kubrick nakręcił nie lądowanie na księżycu, ale dokumentalny film, który sprawił, że wszyscy uwierzyli w olbrzymią manipulację. To rozmowa o agencie Mossadu, który przyjechał do Amman z Europy i, zabiwszy swoją ofiarę na ulicy, jak przystało na profesjonalistę, poszedł dalej, jak gdyby nigdy nic. Agenta dogonili w ciągu kilku sekund. Zebrała się cała ulica. Agent pomylił się, kiedy myślał, że ludzie dookoła nie patrzą w jego stronę. Tutaj wszyscy wszystko widzą. Po prostu udają, że nie zwracają uwagi, jeśli nie ma takiej potrzeby.

Romantyzm – to sprzeczki o to, czy język ormiański rozwijał się równolegle do arabskiego, czy był to prajęzyk, to opowieści o podobnej do jordańskiej Petry, tajemniczej pamiątce z Arabii Saudyjskiej, do której nikogo nie wpuszczają, bo jest – preislamska. To wzmianka o zapachu bakterii, które ożywają w czasie pierwszego jesiennego deszczu, a także zakłopotanie tym, że skarpa Jabal Al Lwebdeh przypomina Dżabal Amman przez bary, kawiarnie i informacje w języku angielskim, których nie było jeszcze pół roku temu.

Romantyzm – to momenty, gdy jordański rzeźbiarz wreszcie wyjaśnia ci dlaczego w irańskiej telewizji zabronione jest pokazywanie instrumentów muzycznych, po tym jak widziałaś pierwsze skrzypce teherańskiej orkiestry symfonicznej, a on nie mógł tego wytłumaczyć. Może dlatego, że ludzkość stworzyła instrumenty, nadając im formę kobiecego ciała, a gra na niektórych instrumentach naśladowała akt miłosny.

Romantyzm – to przypadkowy gość, który dorastał w Kijowie, skąd pochodzi jego mama. Odwiedza ją właśnie tej nocy, a więc może podrzucić cię na lotnisko, bo właśnie tam mieszka jego rodzina. Dlatego poszczęściło ci się i uniknęłaś kierowców marszrutek, a przede wszystkim – otrzymałaś w podarunku kilkugodzinne zdziwienie miłymi zbiegami okoliczności.

Romantyzm – to zupełnie nieprzypadkowe spotkania z ciągle tym samym nieznajomym reżyserem: w sklepie, na bazarze, w hipsterskiej kawiarni z okropną kawą, gdzie jeszcze przez pół roku będą puszczać na antenie Królewskiej Telewizji program z twoim udziałem, bo przypadkowo zmuszona byłaś pożyczyć kamerę operatorowi, któremu padła bateria. Spotykasz tego reżysera na tarasie zniszczonej kawiarni z dobrą kawą, w której dziadkowie udają, że grają w tryktraka, a tak naprawdę krytycznie patrzą na to, że przychodzisz tutaj za każdym razem z innymi ludźmi. Romantyzm – to otwarcie drzwi przez tego właśnie nieznajomego reżysera, na godzinę przez wyjazdem z miejsca, gdzie zapraszają cię na ostatnią kawę.

Romantyzm – to pożegnanie na lotnisku, kiedy mówisz: „Pewnie zaraz zupełnie przypadkowo spotkam jeszcze kogoś" i odwracając się na kontroli paszportowej, za kilka chwil bez cienia zażenowania, natkniesz się znowu na przypadkowego znajomego. Tego pierwszego, którego spotkałaś, jak tylko przyleciałaś do miasta. Spotkałaś go na przystanku autobusowym, gdzie czekałaś na rejs do dusznego portu na południu piaszczystego królestwa, skąd, ufając kompetentnym ludziom, zamiast czterech godzin jechałaś trzydzieści, zmieniając samochody i autostrady, kierowców i przewoźników.

I pył, oblepiający cały bagaż, kiedy jechaliśmy piaszczystą górską drogą, którego nie można zmyć w pustym budynku z cieniutką strużką rdzawej wody – to znów rutyna.

Tak naprawdę nie było żadnego romantyzmu. Sęk tkwi w banalnej komercji, która nie ma granic. Tak więc moim jedynym celem – celem numer jeden – jak u psa jest zauważyć własne terytorium, i w każdym kraju znaleźć miejsce, gdzie można przyjść nocą bez zapowiedzi. Właśnie tę kopię domu Osamy bin Ladena, domu na piasku, nad brzegiem Morza Martwego, gdzie nie ma ryb, ale i tak śmierdzi złotą rybą, zburzą doszczętnie w ciągu tygodnia. Zburzą ze wszystkimi rekwizytami, z całą scenografią: z i tak niepodłączonym jacuzzi, z namalowanym śladami sztucznych kul na plastykowych drzwiach, z krzywymi plamami na podłodze i łóżku niegdyś terrorysty numer jeden. Po prostu tak jest zapisane w kontrakcie Columbia Pictures.

[Tłumaczenie: Urszula Pieczek]

НАТАЛЯ ГУМЕНЮК (Nataliya Gumenyuk) (1983, Україна) – журналіст-міжнародник. Висвітлювала політичні, соціальні та культурні події у понад 50 країнах – у Європі, на Близькому Сході, Азії, Східній Африці, Америці, а також на пострадянському просторі. Як незалежний журналіст співпрацює з низкою українських та закордонних видань: «Український тиждень», «Esquire Україна», «Українська правда», телеканал «Студія 1+1», радіо «Голос Столиці», OpenDemocracy Russia та ін. Автор блогу sofarsoclose.net.

NATALIA HUMENIUK (Nataliya Gumenyuk)
(1983, Ukraina) – dziennikarka międzynarodowa. Komentowała wydarzenia polityczne, społeczne i kulturalne w ponad 50 krajach – w Europie, na Bliskim Wschodzie, w Azji, Afryce Wschodniej, Ameryce, a także w krajach byłego ZSRR. Jako niezależna dziennikarka współpracuje z szeregiem ukraińskich i zagranicznych redakcji: „Ukraińskyj Tyżdeń", „Esquire Ukraina", „Ukraińska Prawda", z kanałem telewizyjnym „Studio 1+1", radiem „Głos Stolicy", OpenDemocracy Russia i innymi. Autorka bloga sofarsoclose.net.

Radosław Kobierski Радослав Кобєрський

BLUSZCZ ПЛЮЩ

(fragment powieści)
(фрагмент роману)

„A pamiętasz, jak było w Piramidzie? To była dopiero majówka, nie? Jezu, taki hardstyle, a ja tak się schlałam..."

Pola pociąga sążnisty łyk mojito przez równie zieloną słomkę; plaster cytryny, liść mięty i kostki lodu zjeżdżają na dno pokala, podczas gdy Chris Liebing rozgrywa pierwszy, godzinny set. Jego prążkowane spodnie-rurki ściśle oblegają boskie bokserki, czarny trykot skrywa czarująco umięśnioną architekturę oraz tatuaż na bicepsie. Który jednak trochę się wydostaje na zewnątrz, zupełnie jak tajemnicza infekcja w filmie *Apollo 18*. Podobno właśnie dlatego nikt już poza ruskami nie wylądował na Księżycu, myśli Pola. Kamienie wreszcie przemówiły, po tylu eonach milczenia. I oczywiście immanentnie zagnieździły się wewnątrz ludzkiego ciała. Co by zrobił Chris Liebing, gdyby zrozumiał, że jest zaledwie inkubatorem a antropocentryczny sen, który dotąd śnił, okazał się koszmarem? Jest to jedna z wielu niepotrzebnych asocjacji, które wywołuje Chris w tej chwili, Pola żadnej nie odrzuca.

Oczy Poli wyrażają teraz więc niezmiernie ważne pytania „Gdzie jeszcze są tacy mężczyźni? Dlaczego zawsze oddziela nas kordon ochroniarzy albo okienko YouTube'a?" Od takiego mężczyzny Pola nie mogłaby uciec, od takiej kobiety jak Pola mężczyzna taki jak Chris nie mógłby odejść. Mężczyźni odchodzą, kobiety uciekają. Nieźle brzmi, ale na odwrót też się psuje. Bercie nie powinno przeszkadzać zainteresowanie Poli Chrisem, tylko dlatego że posiada męża, na dowód czego lśni złoty certyfikat na jej palcu serdecznym, męża któremu należą się wszystkie względy; byłoby to jednak nieuczciwe, gdyby Pola przyznała, że Chris Liebing jej się nie podoba. Że nie trafia naraz we wszystkie jej czułe punkty Gie. Ma coś z Szymona Bobrowskiego albo i odwrotnie. Za Szymonem Bobrowskim w wersji psycholog-terapeuta Pola idzie dosłownie w ogień. Oczywiście w ogień jego ramion, żeby ją wymodliły. Ogień pożądania, inne ciałopalenia zostawmy historii, która nigdy nie przestaje się tlić. Trzeba umieć wyrażać siebie, nawet jeśli jest to niewygodne dla innych. Berta w zasadzie zgadza się z tym wyrokiem, mrucząc „mhmmm", ponieważ usta zajęte ma likierem kawowym w wersji alkoholfree. Pola też chciałaby mieć usta czymś zajęte. Nie tylko usta zresztą. Najlepiej Chrisem Liebingiem. Modlitwa powinna odbywać się bez słów, za to z pełnym poświęceniem.

„Nawet mi nie przypominaj! Dwa dni wracałam do Bytomia na azymut, jakimiś lasami, chyba przez Pnioki. Ja się tam za dnia bałam chodzić… same wertepy, doły, nieoświetlone ulice, wszędzie zapach szczyn. Nocowałam chyba w jakimś bunkrze…", jeszcze dziś Berta wzdryga się na to wspomnienie, chociaż zdążyło się zestarzeć. Porusza się również dzieciątko w jej łonie, co objawia się lekkim kopnięciem w kierunku śledziony lub tam, gdzie akurat Berta ją umiejscawia.
„Bunkrze? Nigdy mi o tym nie wspominałaś… Ale jazda!"
„Dawna granica, pełno schronów… Bytom był kiedyś w Bundeslidze (śmiech). Nieważne. Musiałam wyglądać jak dziwka-zombie, rozmazany mejkap, podarte rajstopy, czółenka oblepione gliną, minimózg i zeszłoroczne liście we włosach. Ludzie zatrzymywali się na ulicy, jakbym miała wypisane na czole, ilu mnie przeleciało."
„Pewnie miałaś…"
„No co ty, każdy chciał być pierwszy"(śmiech).
„Czekaj czekaj, a to nie wtedy właśnie poznałaś Oskara?"

W tym miejscu warto zaznaczyć, że Pola jest również w posiadaniu wspomnień związanych z Oskarem oraz toaletą w Piramidzie; są to co prawda ujęcia bardzo nieostre, nazbyt już zamazane, by można było powołać je na materiał dowodowy. Ale też z jakiegoś powodu nierozłączne. W sensie Oskar i toaleta. W sensie ostra muzyka techno, jakiś kawałek Westbama, chyba *Agartha*, lasery i neony, rytm jakiś całkiem przedustawny, według którego człowiek pierwotny opuszczał Afrykę, natomiast Oskar opuszczał spodnie i majtki z Atlantica. To akurat wspomnienie firmowe jest wyraźne. Nie ma właściwie powodu, by ich nie uznać za konfabulację, która często zdarza się po dropsie zapitym Burbonem bez lodu, w odróżnieniu od szybkiego seksu, który często po dropsie się nie zdarza, zwłaszcza facetom, u których brak wzwodu, który nie jest aż takim wydarzeniem, widoczny jest gołym okiem, gdyby nie fakt, że Pola jednak jest zmieszana i odwraca wzrok w kierunku świątyni dumania, która teraz przypomina za ciężką koronę na głowie Chrisa Liebinga. Jest to dobrze przetestowany sposób na uniknięcie bliższych konfrontacji. Sława bywa niestety bynajmniej ciężarem, Pola wie coś o tym. Można by na tym wzroku Poli teraz rozwiesić pranie, to dosyć trwała i silna wiązka, albo zagrać jakiś industrialny kawałek Jarre'a z *Revolutions*…

Jak w tym momencie wygląda Pola? She is very atractive. Jest dobrze nawodniona, skórę ma gładką, kompletne zero zmarszczek i przebarwień na dekolcie, jakby ktoś tutaj użył narzędzia stamp do klonowania zdrowego kawałka skóry. Gotowy żurnal, proszę państwa. Cellulitem też nie ma kogo straszyć. Nawet zwłaszcza po ciąży. Nigdy nie była w solarium, a w taki dzień jak dzisiaj używa kremu z filtrem minimum 30. Grafitowa bluzka mocno wycięta, tak żeby stanik koloru purpury był niesfornie widoczny, szminka, cienie i kolczyki (w kształcie deski surfingowej) w tym samym odcieniu. Plus na dodatek włosy, oberżyna z Palette. Nierówna, dynamiczna i kreatywna grzywka; niech ktoś powie, że do tego obrazu nie pasują jej zielone oczy plus wyraz, w którym jest i zagubiona dziewczynka z zapałkami, i kobieta wamp, trzymająca ją za rączkę?

Pola jakiś czas temu urosła na wysokim koturnie i teraz jest wyższa od Berty o kilka znaczących centymetrów. Nauczyła się równie szybko drzeć fleki o asfalt, co jest piorunującym efektem i ułatwia rozpoznanie wszystkich facetów z kompleksem Edypa. Tacy, wiadomo, najlepiej się kamuflują, ale na podświadomość, na odruchy bezwarunkowe jeszcze nie wynaleziono skutecznej ochrony. Dlatego najważniejsza jest profilaktyka. Poharatany chodnik jest jak poharatany wewnątrz facet, którym oczywiście kierują wszystkie naraz siły wyższe, jakżeby on sam mógł tedy kierować sobą!?

Wcześniej Berta tego nie zauważyła, ponieważ nie zdążyła wstać (czytała „Twój Styl", żeby udać zaskoczenie) i dokonać oficjalnego pomiaru *face to face* przed walką. W ogóle nie znać po niej porodu ani połogu, ani etapu laktacji, chyba że nosi na sobie produkt push up – który ma za zadanie doprowadzić każde cycki do pierwowzoru, który znajduje się w Sevres pod Paryżem, zakłada wyszczuplające majtki, wykonuje trzydzieści brzuszków dziennie oraz robi sobie wycięcie w talii pilarką marki Stihl. Dla Berty jest to ważna informacja, oto żywy dowód na możliwość powrotu. Niestety rozwój zawsze kończy się spowolnieniem funkcjonowania. Wygląd Poli jest więc budujący, na tym fundamencie można opierać trwałą i solidną wiarę. „Albowiem fundamentu innego nikt nie może założyć oprócz tego, który jest założony." Nawet gwiazdy nie mają idealnej skóry.

Jak to dobrze, że się znów spotkały po latach, myśli Berta, dopijając swój drink kawowy, do złudzenia podobny do Sheridan's bez alkoholu, i za chwilę zamawiając następny. Napada ją nostalgiczny nastrój, który utkwił jak kleszcz w sformułowaniu „spotkanie po latach". Czuje się tak, jakby właśnie grała w reklamie piwa Bosman albo EB, w której mężczyźni po czterdziestce, z dwudniowym zarostem i grubych swetrach z nieżywej, angielskiej wełny z golfem ciepłym jak Golfsztrom odnawiają stare, plemienne więzi.

Od pewnego czasu każde spotkanie trzeba przygotować, myśli Berta, trzeba serii z telefonów i koniecznie jakiegoś przypadku na ulicy w rodzaju wpadnięcia na siebie z pełnymi siatkami z H&M-u. O ile oczywiście chcemy siebie dojrzeć przez te zwały amnezji, które produkujemy jak zasłonę dymną… Ostatecznie można skutecznie zagrać rolę dalekowidza i natychmiast przerzucić wzrok niczym błyszczkę ruchem spinningu z niewyraźnego konturu niegdyś-bliskiej-osoby na rząd puszek z pomidorami bez skórki z Dawtony albo słoiczki z marynowanymi rydzami Rolnika.

Nikt nie ma na nic czasu, ciągle tylko praca, dom, przedszkole, kosmetyczka, Silesia City Center, praca, mąż, dobrze mieć męża, który sam przykręci talerz Polsatu albo załatwi za darmo pięć kilo nawozu sztucznego pod trawnik gazonowy, tylko co dalej? A tu proszę, miła niespodzianka, nie dość że wpadamy na siebie, co jest zrządzeniem losu, to nie ma śladu zmieszania towarzyszącego takim sytuacjom, które natychmiast maskujemy kilkoma kłamliwymi formułkami w postaci pytań o co-robienie i czym-się-zajmowanie-teraz. Jakby nam rzeczywiście zależało na tej wiedzy. Umawiamy się na jutro, czyli na dziś w parku, jakbyśmy nigdy nie wpadły.

Liebing miksuje już drugą godzinę i nie widać na nim plamy potu. Tym bardziej, że powietrze jest ciężkie, niedługo stężeje jak żelatyna spożywcza i będzie można ją kroić w poszukiwaniu niszy z tlenem. W końcu zaczyna padać i Pola z Bertą przenoszą się pod parasol. Mają teraz więcej czegoś, co ich nie łączy, całe pięć lat, które jest dość ciężkie, zwłaszcza na początku. Potem już idzie, trzeba tylko odnaleźć punkty styczne, które kiedyś były. Kiedyś dzieliły jedną ławkę w klasie oraz szafkę na wuefie, która na zawsze pożeniła ich zapachy. Jedna drugiej potrafiła wykrakać aurę przedmenstruacyjną po odcieniu skóry. Serio. Nikt inny tego nie potrafił tylko obdarzone szóstym zmysłem Pola i Berta. Były to bardzo użyteczne narzędzia, precyzyjne jak szwajcarski, neutralny barometr. Dlatego też wybrały te same studia, to znaczy wybrała Pola oraz poszła za głosem rozsądku, który nakazywał w połowie lat dziewięćdziesiątych znaleźć się na Wydziale Prawa i Administracji albo Akademii Ekonomicznej. (Głos rozsądku zawsze w rodzinie Poli należał do ojca, u Berty był to i jest głos katolicki wydawany przez radio). Berta się dostosowała, chociaż była przekonana, że to jej własny, integralny wybór.

Przynajmniej do momentu, kiedy pod koniec pierwszego roku zaczęły ją nękać uderzenia gorąca, wzmożona potliwość i kołatanie serca, sprawnie odczytane przez lekarza pierwszego kontaktu jako zaburzenia endokrynologiczne i zapisane ponownie szyfrem na karcie z historią chorób. Tarczyca powiększona jednostronnie, wina katastrofy w Czarnobylu oraz nadmiernie spożywanych grzybów, które jak wiadomo, są nosicielami cezu i świecą w nocy, ale tylko dla wybranych.
Tu się ich drogi rozeszły, Berta postanowiła jednak wybrać studia pedagogiczne i wyjechała do Cieszyna. Znalazła stancję blisko przejścia granicznego, na Stromej. Stamtąd autobusem dojeżdżała na Bielską na zajęcia, na weekendy wracała do domu. Rzadsze teraz spotkania w Piramidzie nabrały niespodziewanej intensywności.

„To były czasy! Naprawdę zajebiście było i nasze białe rękawiczki…"

Które oświetlał Eldżej Tomas Junior młodszy. Ich białe rękawiczki, biały proszek nad górną wargą, nie wspominając już o białym trykocie Oskara, z napisem Minnessota, który wyłaniał się z ciemności jak błysk supernowej. Taki błysk w ciemności, choć nie tak ciemnej, może porazić. Oślepić do reszty, mimo że okulista nie znajdzie żadnych fizycznych uszkodzeń. Oskar był tańczącą iluminacją, nafaszerowany światłem jak figurka Matki Boskiej z fosforu. Hit lat osiemdziesiątych. Naprawdę chętnie by się z nim wówczas Berta ścieśniła. W Cieśninę z Fosforu.
Nie trzeba było długo czekać. Tańczyły wówczas w klatce, lasery cięły ten gęsty ludzki tort na kawałki, gęstą breję materii, z której dopiero miały się wynurzyć jakieś jednokomórkowce, kiedy ją nagle poraziło, zelektryzowało, zadomowiło się na niej, na jej talii albo nawet na pośladkach bez pytania o zdanie, którego w tamtej chwili nie miała przy sobie, bez pytania o klucz do niej, który – jak głosił napis na jej figach w kolorze indygo – znajdował się w „rękach taty". Wdarło się samoprzemocą chłopską i wydarło z niej ostatni listek ogłoszenia „Oddam się w dobre ręce, które mnie obrócą w proch… w pierzynę".

Swoją drogą kupiła tę bieliznę na jakiejś wyprzedaży w Auchan, jednej z pierwszych wyprzedaży, które łączyły się z oblężeniem drzwi wejściowych, a może w którymś z second handów w Cieszynie, ponieważ spodobał się jej fason, ale także odcień błękitu. Dopiero po chwili zobaczyła nadruk „Klucz u taty", który z początku z niczym się jej nie skojarzył.
Po prostu uznała, że te figi są dowcipne.

Oskar i ta jego zła sława… Pola oczywiście o wszystkim wiedziała, Berta również, ale wolała udawać przed sobą, że nie wie, żeby coś z tego wyszło i nic nie ukrzyżowało jej planów. Zamiar był taki, żeby wreszcie zejść z obłoków, codziennie zasilanych i odświeżanych przez matkę i wylądować z kimś w łóżku. W jednej pościeli. Efekt lądowania zawsze jest ekscytujący. W pozycji poziomej, nie – wertykalnej w ciasnym kiblu, do którego Pola podobno chodziła poprawić sobie makijaż i przypudrować przyszłą noc, która po zejściu makijażu zawsze okazuje się nie lada dramatem. Pracowała na trzecią zmianę, żeby zarobić na studia, ewentualnie dla czystej przyjemności, która wcale nie jest aż taka czysta. Na pierwszej zmianie Pola przyjmowała w superjednostce, kiedy miała okienko, w poniedziałek, z nauk politycznych.

Wszystkie pokoje mogła otwierać i z nich korzystać, ale jeden klucz, ten najmniejszy, najmniej pozorny, zagubiony w pęku otwierał drzwi zabronione do Oskara, a może to był ten duży, mosiężny, z trzema ząbkami, na których zdążyła już zeschnąć krew i historia krwi? Dziwne, że kolor indygo skojarzył się jej od razu z kluczem, chociaż mniej dziwne niż pozwolenie na obłapianie przez obcego faceta w klatce, na widoku publicznym. I went to the north pole. I went to the south pole. I stepped in a dark hole…I wspólne drinki po koncercie Westbama.

„Swoją drogą, usidlić takiego faceta jak Oskar", kontynuuje Pola, kiedy Chris Leibing kończy w strugach deszczu, który klaszcze o parasole. „Respekt. Pełen podziw"
„Co masz na myśli, mówiąc takiego faceta jak Oskar?", dopytuje Berta, przegryzając plasterek cytryny, jej kwaśna mina jest tym sposobem uzasadniona. Nieraz słyszała, że sok z cytryny działa szkodliwie na szkliwo, ale to pestka w porównaniu z niszczącym działaniem niektórych pytań. Berta udaje, że nie wie, co chce Pola powiedzieć, że jest nieświadoma, tymczasem jest to przemyślany ruch, pełne zanurzenie z jednoczesnym wystawieniem peryskopu.
„No wiesz… Oskar zmieniał laski jak rękawiczki (białe). Chcę przez to powiedzieć, że powinnaś uważać. To znaczy powinnaś być czujna. Z takimi nigdy nic nie wiadomo".

Pola drobna rada zaraz dopije swojego drugiego drinka, wygładzi fałdy spódniczki, która jest umyślnie za krótka po to, żeby udawać, że jest za krótka i notorycznie ją naciągać pod ciężarem lubieżnego wzroku. Spojrzy na zegarek z czarującym cyferblatem, którego wskazówki właśnie dobijają do godziny, „o boże, ależ się zasiedziałam". Chodzi o to, żeby wyjść w odpowiednim momencie, kropla niedługo wydrąży skałę, jaką jest Berta. Już została zarażona drogą kropelkową.

Wynurza się dopiero w domu, po zamknięciu drzwi wejściowych i rzuceniu torebki na fotel. Telewizor ma proste zadanie – zadać ostateczny cios ciszy, dobić to ciągle podnoszące się zwierzę. Może być nawet Agrobiznes. „Sposobem na uniknięcie faszerowania się chemią jest jedzenie lokalnie rosnących warzyw i owoców sezonowych… Zdaniem ekspertów, nie ma już szans na szybką poprawę sytuacji na rynku drobiu". Wziąć chłodną kąpiel, zmyć z siebie przepocony zapach podrobionego Guerlaina, kupionego na placu Szewczyka, zanim zniknął w kraterze pełnym gruzu i żywych szkieletów, zadzwonić do Oskara, który powinien być teraz w pociągu. Jeśli nie usłyszy w tle stukotu kół, nie uwierzy.

Klucz dostała od ojca, niedługo potem, kiedy matka jej ustami zagroziła mu rozwodem, sama chowając się za falbanką, którą doszywała do sukni pani Rajnerowej.
To dobre schronienie, za terkotem maszyny i dębowymi drzwiami, które skutecznie tłumią wszelkie odgłosy. Kreacja z pewnością nabierze pożądanego szyku chociaż to tylko niemodny dzień działkowicza, zdychające świeckie święto. Jednak nawet zdychające, świeckie święto trzeba jakoś ubrać. Być może to już ostatni raz. Maria woli święta kościelne, które mają właściwą sobie głębię, oprawę, starszą o dwa millenia tradycję niż socrealistyczne relikty w postaci potańcówek i konkursów o pozłacany szpadel. Matka ustali stopkę w pozycji jeden, otrzymując gęsto zebrany materiał. Berta też jest zakodowana, język programowania jest prosty, nie trzeba do tego żadnych kursów, długoterminowych szkoleń, certyfikatów. Materiały kruche, tępe najlepiej wcześniej zwilżyć, z miękkimi można pracować od razu i dają natychmiastowy efekt. Obie będą w tym samym czasie wykonywać zamówienie, Maria – zamówienie pani Rajnerowej, Berta – zlecenie Marii. Jest tu dwuosobowa, sprawna manufaktura, precyzyjny mechanizm, niezastąpiony kolektyw, chociaż Maria woli słowo – wspólnota.

To jest właśnie ten klucz, który Berta teraz zauważa na dnie ostatniego kartonu między stosikiem korespondencji z licealnego okresu, przybornikiem do manicure, kupionym za grosze na targu u ruskich, a zdjęciem w antyramie z Ikei. Fotografia przedstawia mężczyznę w sile wieku, z siwiejącymi włosami zaczesanymi do tyłu i głębokimi zakolami. Popiersie. Przypomina Humpreya Bogarta w *Casablance* albo zamachowca akcji Koppe. Brakuje tylko prochowca, pod którym lśni zimny, czarny

i odbezpieczony sten. I kapelusza, który łagodnym łukiem ocienia mu wysokie, zafrasowane czoło i głęboko osadzone oczy. Może zdążył go już zdjąć, dając tym samym znak Elżuni pseudonim Dewajtis, ta zaś sygnał przekazała chłopcom na placu Kossaka? Dzisiaj ostrzeliwać będziemy Williego jadącego mercedesem, jutro nas wystrzelają jak bażanty buszujące w zbożu. Gdzieś pod Wolbromiem. Nie ma kapelusza, jest za to w tweedowej marynarce zamówionej i uszytej u Doskocza na Wolce, w białej koszuli z bytomskich zakładów odzieżowych i krawacie z miękkiej, angielskiej wełny, grafitowym w granatowy groszek. Też dobrze. Z powodu braku innych zdjęć Leona, spalonych przez matkę w ogrodzie, w palenisku wędzarni, którą postawił z panem Nowakiem, to jedno, wyrwane z kontekstu, nieautorytatywne – ponieważ zrobione na długo przed narodzeniem Berty – spełnia rolę szczególną.

Klucz jest mosiężny z trzema ząbkami. Podczas gdy matka terkocze swoją przedwojenną maszyną, którą pan Reiner przerobił na elektryczną, Berta otwiera drzwi do przedpokoju i stawia ciężkie kroki, jakby przez noc przybyło jej pół tony, aż dziw, że podłoga się nie zapada pod nią, nie rozwiera piekielna przepaść dla niegrzecznych dziewczynek, tak jak Berta zapada się ze wstydu.
„Jesteś najstarsza, jesteś ulubioną dziewczynką tatusia", słyszy szept pochylonej matki, ten szept jednak łomoce w jej głowie jak flaga, która odważnie daje odpór sztormom.
„Mnie nie posłucha, nigdy mnie nie słuchał, ale ze zdaniem małej Berty zawsze się liczył, prawda?".
Ojciec już się goi po otwarciu wszystkich ran. Kiedy trzeźwieje nad ranem, dociera do niego jego własne położenie, beznadziejne, suchy kaszel, który też zapił, jakieś strzępy uczuć, jakieś warianty zachowań, pojawia się natychmiast obrzydzenie, które albo natychmiast zaleje, o ile ma czym, albo przetrwa, przepłynie na tratwie do wieczora o skalistych brzegach.
To nie jest dobry czas na stawianie ultimatum, żyletka Polsilver jest uwięziona w maszyncze, co nie znaczy, że niegroźna, ale matka nalega, maszyną do szycia sunie jak elektryczna kolejka, na pewno zbudzi panią Rajnerową ten miły terkot, który zapowiada śliczną falbankę na przyjęcie z okazji dnia działkowicza. Berta ręce chowa za siebie, co po prostu oznacza, że jest związana, chociaż wszyscy myślą, że to oznaka nieśmiałości. Berta ma związane ręce i pochyloną głowę, z której zaraz wypadną oczy jak szklane kulki i potoczą się pod fotel.

Długo to ćwiczyły, żeby nie wyszło broń boże tak, że „mama powiedziała, że jak nie przestaniesz pić, to…", że „mama ma coś do przekazania", nie – matka wyczerpała już wszystkie środki perswazji, straciła już również cierpliwość, jej życie od pewnego czasu to pasmo skarg i zażaleń, które owija sobie wokół szyi, co niebawem doprowadzi do uduszenia się w tym domu.
Matki proszę w to nie wplątywać. To jest zadanie Berty, nadszedł jej czas, jej głos musi być mocny i wyrazisty, żeby wywarł silne wrażenie, głos nie może się zawahać, Berta swoje wielkie imię – o czym nieraz uroczyście przypominał ojciec – otrzymała po Bercie Sabaudzkiej, królowej Niemiec, a to czegoś zobowiązuje.

Żyletka sunie z włosem, a czasem pod włos po każdej pochyłości, wokół wąsa, który występuje u mężczyzn. Dzisiaj ojciec może nawet poszaleć i zdecydować się na model z powracającymi do łask baczkami. Z rąk Berty odpływa cała krew, która jest teraz potrzebna matce, jej zwinnym palcom, które właśnie ustalają skomplikowany ścieg.
„Odejdę od Ciebie, jeśli nie przestaniesz pić, wszyscy odejdziemy." Stanie się to któregoś dnia, kiedy wrócisz z popijawy i znów nie trafisz kluczem do zamka, a my będziemy już za siedmioma górami, za siedmioma rzekami. Nie wiem, jak to jest dobijać się pół nocy do pustego mieszkania. W którym zostały tylko twoje rzeczy i żadna nie wskaże ci drogi.

Nogi ojca stoją nieruchomo, stopy tkwią w papciach, jakby się zrosły, ale język jest również przyklejony do podniebienia, nie wiadomo, czy coś z tego dzisiaj wyjdzie na światło dzienne, tak jak falbanka sukni pani Rajnerowej. Istnieje jednak obawa, że wyjdzie i przez całe życie Berta będzie pamiętać nogi pokryte pajęczynką żylaków a wyżej zaciętą twarz człowieka, który nie zdążył zmyć resztek pianki do golenia marki WARS o zapachu miętowo-migdałowym.

«А пам'ятаєш, як було в Піраміді? Були лише травневі свята, не? Боже, який хардстайл, а я так набралася…»

Поля робить здоровецький ковток мохіто через таку ж зелену трубочку; скибочка лимону, листок м'яти й кубики льоду сповзають на дно склянки, поки Кріс Лібінґ грає свій перший, годинний сет. Його смугасті штани-трубочки облягають божественні боксерки, чорне трико приховує чарівні мускулисті рельєфи й татуювання на біцепсі. Утім, воно ледь проступає назовні, ніби таємнича інфекція у фільмі «Аполлон 18». Здається, саме тому, окрім кацапів, більше ніхто не висадився на Місяці, думає Поля. Каміння нарешті заговорило, після стількох еонів мовчання. І звісно ж, іманентно вкоренилося всередині людського тіла. Що би зробив Кріс Лібінґ, якби усвідомив, що він – лише інкубатор, а антропоцентричний сон, який дотепер йому снився, виявився б кошмаром? Це одна з багатьох непотрібних асоціацій, яку Кріс викликає в цю мить, Поля жодної не відкидає.
Тому очі Полі виражають зараз неймовірно важливі питання. «Де ще є такі чоловіки? Чому нас завжди розділяє кордон охоронців чи віконце Ютубу?». Від такого чоловіка Поля не змогла би втекти, таку жінку, як Поля, такий чоловік, як Кріс, не зміг би покинути. Чоловіки кидають, жінки тікають. Непогано звучить, але якби було навпаки, то стосунки б теж псувалися. Берті не має заважати зацікавлення Полі Крісом лише тому, що вона має чоловіка, на доказ чого на її підмізинному пальці сяє золоте свідоцтво, чоловіка, якому належиться вся ніжність; однак, було б нечесно, якби Поля стверджувала, ніби Кріс Лібінґ їй не подобається. Що він не влучає одразу в усі її точки джі. Він має в собі щось від Шимона Бобровського, чи навпаки. За Шимоном Бобровським у версії психолог-терапевт Поля йде буквально в вогонь. У вогонь його обіймів, звісно, аби вони її врятували. Вогонь жадання, інші тілопалiння залишмо історії, яка ніколи не перестає тліти.
Треба вміти самовиражатися, навіть якщо це заважає іншим. Берта, в принципі, погоджується з таким вердиктом, промуркотівши «мгмммм», бо рот її зайнятий безалкогольним кавовим лікером. Поля також хотіла б чимось зайняти свій рот. Не тільки рот, зрештою. Найкраще би Крісом Лібінґом. Молитва має відбуватися без слів, але з цілковитим самозреченням.

«Навіть не нагадуй! Я два дні поверталася до Битома по азимуту, якимись лісами, здається, через Пньоки. Я там удень боялася ходити… суцільне бездоріжжя, ями, неосвітлені вулиці, всюди запах сечі. Я ночувала в якомусь типу бункері…» – Берта й сьогодні здригається від цього спогаду, хоча він давно й застарілий. Ворухнулась на це й дитина в її лоні, штовхнувши злегка десь близько селезінки чи там, де Берта її собі уявляє.
«У бункері? Ти ніколи про це не згадувала…
Оце жестяк!»
«Колишній кордон, повно криївок… Битом був колись у бундеслізі (сміх). Неважливо. Я, мабуть, виглядала, як зомбі-повія, розмазаний мейкап, порвані колготки, заліплені глиною лодочки, міні-мозок і минулорічне листя у волоссі. Люди зупинялися на вулицях, ніби на лобі в мене було написано, скільки осіб мене трахало».
«Мабуть, ти мала…»
«Ну що ти, кожен хотів бути першим» (сміх).
«Чекай-чекай, а це не тоді ти познайомилась із Оскаром?»

У цьому місці варто зазначити, що Поля також володіє спогадами, пов'язаними з Оскаром і туалетом у Піраміді; щоправда, вони геть нечіткі, надто вже затерті, аби можна було їх використати як доказову базу. Але чомусь нероздільні. У сенсі, Оскар і туалет. У сенсі, жорстка музика техно, якась мелодія Вестбама, мабуть, «Agartha», лазери й неони, якийсь цілком передбачуваний ритм, під який первісна людина покидала Африку, а Оскар скидав штани й труси марки «Atlantic». Якраз цей фірмовий спогад дуже виразний. Хоча немає причин не визнати його конфабуляцією, котра цілком може виникнути після того, як колеса запити бурбоном без льоду, натомість швидкий секс після колес часто неможливий, особливо для хлопців, у яких не встає, хоча це не рідкість, це видно неозброєним оком, якби не факт, що Поля все ж знічена й відводить погляд у бік святині жадання, яка нагадує зараз надто важку корону на голові Кріса Лібінґа.
Це добре перевірений спосіб уникнути ближчих порівнянь. Слава, на жаль, буває щонайменше тягарем, щось про це Поля не знає. На цьому погляді Полі можна було б зараз розвісити прання, це досить тривка й міцна в'язка, або зіграти якусь індустріальну мелодію Жарра з альбому «Революшнз»…

Як у цю мить виглядає Поля? She is very atractive. Її шкіра добре зволожена й гладенька, зовсім без зморщок і плям у зоні декольте, ніби хтось тут застосував штамп для клонування здорового клаптика шкіри. Готовий журнал мод, будь ласка. Целюлітом її теж не налякаєш. Навіть після вагітності. Вона ніколи не була в солярії, а в такий день, як сьогодні, вона користується кремом із фільтром мінімум 30. Графітово-чорна блузка з таким глибоким вирізом, щоб з-під неї непокірно проглядав бюстгальтер пурпурового кольору, помада, тіні й сережки (у формі дошки для серфінгу) такого ж відтінку. На додачу волосся, баклажан від «Palette». Нерівна, рухлива й креативна гривка; і хай тільки хтось скаже, що до цього образу не пасують її зелені очі плюс вираз обличчя, в якому й розгублена дівчинка з сірниками, й жінка-вамп, яка тримає її за ручку?

Поля нещодавно виросла на високих підборах і зараз була суттєво вища від Берти на кілька сантиметрів. Ще вона швидко навчилася лупити каблуками об асфальт, що має приголомшливий ефект і допомагає розпізнати усіх чоловіків із комплексом Едіпа. Такі, як відомо, найкраще маскуються, але від підсвідомого, від безумовних рефлексів ще не винайшли дієвого захисту. Тому головне профілактика. Покоцаний тротуар – як внутрішньо покалічений мужик, яким, звісно ж, керують усі вищі сили водночас, як би ж він міг сам собою керувати?!

Раніше Берта цього не помітила, тому що не встигла встати (читала «Твій стиль», аби вдати здивування) й зняти офіційні мірки face to face перед боєм. По ній взагалі не видно ані пологів, ані післяпологового періоду, ані етапу лактації, хіба що вона носить бюстгальтер «пуш ап», який має перетворити будь-які груди на взірець розміру, що знаходиться в Севрі під Парижем, вдягає труси, що роблять її стрункішою, по тридцять разів щодня качає прес і відрізає шматок жиру з талії пилкою марки «Stihl». Для Берти це важлива інформація, ось живий доказ того, що можна все повернути. На жаль, розвиток завжди завершується сповільненням функціонування. Тому зовнішність Полі повчальна, на цьому фундаменті можна будувати тверду й надійну віру. «Ніхто бо не може покласти іншої основи, окрім покладеної».
Навіть зірки не мають ідеальної шкіри.

Як же добре, що вони знову зустрілися через стільки років, думає Берта, допиваючи свій кавовий дрінк, оманливо схожий на шеріданс без алкоголю, й за мить замовляє наступний. На неї находить ностальгійний настрій, що як кліщ учепився в формулювання «зустріч через стільки років». Вона почувається так, ніби щойно грала в рекламі пива «Босман» чи «ЕБ», у якій чоловіки за сорок, із дводенною щетиною і в теплих светрах із неживої англійської шерсті, з гольфом, теплим, як Гольфстрім, відновлюють давній племінний зв'язок.

З якогось часу кожну зустріч потрібно підготувати, думає Берта, потрібна низка телефонних дзвінків і обов'язково якась випадкова зустріч на вулиці – типу наткнутися один на одного з повними пакетами з «H&M-у». Звичайно, якщо хочемо себе розгледіти крізь ці завали амнезії, які ми виробляємо, як димову завісу… Врешті-решт можна вдало зіграти роль далекозорого й швиденько перекинути погляд, ніби блешню рухом спінінга, з нечіткого контуру колись-близької-людини на ряд баночок з помідорами без шкірки від «Dawtona» чи з маринованими рижиками «Rolnik» .

Ніхто ні на що не має часу, постійно лиш робота, дім, садочок, косметолог, «Silesia City Center», робота, чоловік, добре мати чоловіка, який сам встановить супутникову тарілку «Польсату» чи домовиться про безкоштовні п'ять кілограмів штучного добрива для газону, але що далі? А тут, прошу, приємний сюрприз, мало того, що натикаємося один на одного, що є знаменням долі, то ще й нема ані сліду звичного для таких ситуацій збентеження, яке ми негайно маскуємо кількома брехливими фразами у вигляді питань про що-робиш і чим-зараз-займаєшся. Ніби нам справді важливо це знати. Ми домовляємося на завтра, тобто на сьогодні в парку, ніби ми ніколи одна з одною не зіштовхувалися.

Лібінґ міксує вже другу годину, й не видно на ньому жодної плями поту. Але повітря важке, скоро зовсім загусне, як харчовий желатин, і можна буде його розрізати у пошуках ніші з киснем. Урешті починається дощ, і Поля з Бертою пересідають під парасольку. Тепер у них більше того, що їх не поєднує, цілі п'ять років, і це досить важко, особливо спочатку. Потім уже легше, треба тільки знайти спільні точки, які колись були. Колись вони ділили одну парту в класі, а на фізрі – шафку, яка повінчала їхні запахи навічно. Вони вміли одна одній передбачити місячні за відтінком шкіри. Серйозно. Ніхто інший цього не вмів, тільки наділені шостим чуттям Поля і Берта. Це був дуже зручний механізм, точний, як швейцарський нейтральний барометр. Тому вони обрали однакову спеціальність у виші, тобто обрала Поля й пішла за покликом розуму, який всередині дев'яностих велів опинитися на факультеті права й менеджменту або в економічній академії. (Розум у родині Полі завжди уособлював батько, для Берти розум був і залишається католицьким, трансльованим по радіо).
Берта підлаштувалася, хоча була переконана, що це її власний і єдиний вибір.

Принаймні до того часу, коли під кінець першого курсу її не почало раптом кидати в жар, не з'явилася надмірна пітливість і калатання серця, що було точно діагностовано родинним лікарем як ендокринологічне захворювання й записане знову шифром на картці з історією хвороб. Вузловий зоб, наслідок Чорнобильської катастрофи й надмірного споживання грибів, що, як відомо, є носіями цезію і світяться в темряві, але тільки для обраних.

Тут їхні шляхи розійшлися, Берта вирішила все ж обрати педагогічну освіту й переїхала до Цешина. Знайшла собі житло біля кордону, на Стромій. Звідти автобусом вона їздила на Бельську на заняття, на вихідні навідувалася додому. Відтоді нечасті зустрічі в Піраміді набули несподіваної насиченості.

«Оце були часи! Було справді круто, і наші білі рукавички…»

Які освітлював Елджей Томас-молодший. Їхні білі рукавички, білий порошок над верхньою губою, не згадуючи вже про біле трико Оскара з написом Міннесота, який виступав із темряви як сяйво наднової. Таке сяйво в темряві, хоч і не надто темній, може вразити. Осліпити сповна, хоча окуліст і не знайде жодних фізичних пошкоджень. Оскар був танцюючою ілюмінацією, начинений світлом, як фігурка Божої Матері з фосфору. Хіт вісімдесятих. Берта справді радо би з ним тоді ущільнилась. У Тіснину з Фосфору.
Не довелося довго чекати. Вони саме танцювали в клітці, лазери розрізали цей збитий людський торт на шматки, непроглядне місиво матерії, з якої лише мали вийти якісь одноклітинні організми, коли її раптом побило громом, наелектризувало, поселилося на ній, на її талії або навіть на сідницях, не питаючи її думки, якої в ту мить вона при собі не мала, не питаючи про ключ до неї, який – як стверджував напис на її трусиках кольору індиго – був у «руках тата». Воно вдерлося чоловічим самонасильством і вирвало з неї останній листок оголошення «Віддамся в добрі руки, що обернуть мене на порох… на перину».
До речі, вона купила цю білизну на якомусь розпродажі в Ашані, одному з перших розпродажів, які супроводжувались облогою вхідних дверей, а може, в одному з секондів у Цешині, бо їй сподобався фасон, а також блакитний відтінок. Лише потім вона побачила напис «Ключ у тата», що спочатку нічого їй не говорило.

Вона просто вирішила, що трусики дотепні.
Оскар і ця його погана слава… Поля, звісно, про все знала, Берта також, але воліла вдавати перед собою самою, що не знає, аби щось із цього вийшло й ніщо не зіпсувало її планів. Задум був такий, щоби спуститися нарешті з небес, щодня підтримуваних і відновлюваних мамою, й приземлитися з кимось у ліжку. В одній постелі. Ефект приземлення завжди збуджує. У горизонтальній позиції, ні – у вертикальній в тісному сортирі, в який Поля, здається, ходила підправити собі макіяж і припудрити майбутню ніч, яка після змиття макіяжу завжди виявляється неабиякою драмою. Вона працювала в третю зміну, щоб заробити на навчання, або ж заради чистого задоволення, яке зовсім не було аж таке чисте. У першу зміну Поля приймала в супербудинку , коли в понеділок мала вікно з політології.

Вона могла відкривати усі кімнати й ними користуватися, але один ключ, той найменший, найнепомітніший, загублений у в'язці, відкривав двері, заборонені для Оскара, а може, він був великий, латунний, з трьома зубцями, на яких уже встигла висхнути кров і історія крові? Дивно, що колір індиго одразу нагадав їй про ключ, хоча не так дивно, як дозвіл облапати себе чужому чуваку в клітці, у всіх на очах. I went to the North pole. I went to the South pole. I stepped in a dark hole… І спільні дрінки після концерту Вестбама. «До речі, прибрати до рук такого мужика, як Оскар», – продовжує Поля, коли Кріс Лібінґ завершує гарти в потоках дощу, що аплодує по парасолях.
– «Респект. Просто диво».
«Що ти маєш на увазі, коли кажеш такого мужика як Оскар?» –випитує Берта, надкушуючи скибку лимона, чим виправдовує свій кислий вираз обличчя. Вона не раз чула, що сік лимона шкідливий для зубної емалі, але це дрібниця в порівнянні зі шкідливим ефектом деяких питань. Берта вдає, що не розуміє, що Поля хоче сказати, що вона нічого не знає, але це продуманий хід, повне занурення з паралельним підняттям перископа.
«Ну знаєш… Оскар міняв дівчат, як рукавички (білі). Я хочу цим сказати, що ти маєш бути уважна. Тобто, пильна. З такими ніколи нічого не відомо».
Поля зараз доп'є свій другий коктейль, розгладить складки на спідничці, навмисне закороткій, аби вдавати, що вона закоротка і вперто її поправляти під тягарем хтивого погляду. Вона гляне на годинник з чарівним циферблатом, стрілки якого саме доповзають до години «о боже, як я засиділась». Їдеться про те, щоб вийти у відповідну мить, крапля скоро сточить камінь, яким є Берта. Вона вже поточена потоками крапель.

Виринає вона лише вдома, після того, як замкнула вхідні двері й кинула сумочку на крісло. У телевізора просте завдання – нанести остаточний удар тиші, добити цього звіра, що завжди знову оживає. Може бути навіть «Агробізнес». «Щоб уникнути поїдання хімії, варто їсти сезонні місцеві овочі і фрукти… На думку експертів, уже немає шансів на швидке поліпшення ситуації на ринку птиці». Прийняти прохолодну ванну, змити з себе змішаний з потом підроблений запах «Ґерлену», купленого на площі Шевчика, ще до того, як він зник у кратері, повному жорстви й живих скелетів, подзвонити до Оскара, який має бути зараз у поїзді. Якщо не почує у тлі стукоту коліс, не повірить.

Ключ їй дістався від батька, невдовзі після того, як мама її вустами пригрозила йому розлученням, ховаючись за воланом, який дошивала до сукні пані Райнерової. Це гарне укриття: за торохтінням машинки й дубовими дверима, які добре приглушують будь-які відголоси. Оригінальна сукня напевно набуде жаданої елегантності, хоча це лише немодний день дачника, відмираюче світське свято. Однак навіть відмираюче світське свято треба якось нарядити. Можливо, це вже востаннє. Марія надає перевагу релігійним святам, які мають властиву їм глибину, форму, старшу на два тисячоліття традицію, а не соцреалістичним реліктам у вигляді танцюльок і конкурсів на позолочений заступ.

Мама встановлює лапку на першу позицію й отримує густо зібрану тканину. Берта також закодована, мова програмування проста, не треба жодних курсів, довготривалих навчань, сертифікатів. Тканини крихкі, цупкі краще спершу зволожити, з м'якими можна працювати одразу, з них миттєво все виходить. Вони обидві одночасно будуть виконувати замовлення, Марія – замовлення пані Райнерової, Берта – доручення Марії. Це двоособова організована мануфактура, точний механізм, незамінний колектив, хоча Марія воліє слово спільнота.

Це власне той ключ, який Берта тепер помічає на дні останньої коробки між стосом кореспонденції з часів ліцею, прибором для манікюру, купленим за копійки в кацапів, і світлиною в антирамі з ІКЕА. На фотографії чоловік у розквіті сил, із зачесаним назад сивуватим волоссям і великою залисиною. Погруддя. Схожий на Гамфрі Богарта в «Касабланці» чи терориста в акції Коппе . Бракує лиш плаща, під яким сяє холодний чорний «стен» . І капелюха, який делікатним колом кидає тінь на його високе, зажурене чоло й глибоко посаджені очі. Може, він уже встиг його зняти, даючи таким чином знак Ельжуні, псевдонім Девайтіс , а та передала сигнал хлопцям на площі Коссака? Сьогодні ми обстріляємо Віллі, який їхатиме мерседесом, завтра нас відстріляють, як фазанів, що жирують у житі. Десь під Вольбромом.
Капелюха немає, зате він у твідовому піджаку, замовленому й пошитому у Доскоча на Вольці, у білій сорочці з битомських швейних майстерень і краватці з м'якої англійської шерсті, в чорний і коричневий горошок. Теж добре. Через брак інших фото Леона, спалених мамою в саду, у вогні димарні, яку він зробив із паном Новаком, цей єдиний, вирваний із контексту, знімок неавторитетний – оскільки, зроблений задовго до народження Берти, – виконує особливу роль. Латунний ключ із трьома зубцями. Поки мама торохтить своєю довоєнною машинкою, яку пан Рейнер переробив на електричну, Берта відкриває двері до передпокою й робить важкі кроки, ніби за ніч вона набрала півтонни, аж дивно, що підлога під нею не провалюється, не роззявляє пекельну прірву для неслухняних дівчаток, адже Берта готова провалитися від сорому.

«Ти найстарша, кохана татусева дівчинка», – чує вона шепіт нахиленої мами, цей шепіт однак тріпотить в її голові, як прапор, який відважно відбиває шторми. «Мене він не послухає, він ніколи мене не слухав, але з думкою малої Берти завжди рахувався, правда?»
Батько вже гоїться після відкриття усіх ран. Коли тверезіє під ранок, усвідомлює власне становище, безнадійне, сухий кашель, який він теж запив, якісь уривки почуттів, якісь варіанти поведінки, раптово з'являється обурення, яке він або ж миттєво залле, якщо має чим, або перетерпить, допливе на плоті до вечора зі скелястими берегами.

Це не найкращий час для того, щоб ставити ультиматум, лезо «Польсілвер» ув'язнене в бритві, що не значить, що воно безпечне, але мама наполягає, суне швейною машинкою, як електричний поїзд, пані Райнерову точно розбудить це приємне торохтіння, яке провіщає появу чарівного волана для прийому з нагоди дня дачника. Берта ховає руки позад себе, що просто значить, що вона зв'язана, хоча всі думають, що це ознака сором'язливості. У Берти зв'язані руки й похилена голова, з якої зараз випадуть очі, як скляні кульки, й покотяться під крісло.
Вони довго тренувалися, щоби, боронь Боже, не вийшло так, що «мама сказала, що як не припиниш пити, то…», що «мама хотіла щось передати», ні – мама вже вичерпала всі засоби вмовляння, втратила терплячість, її життя з якогось часу – це моток скарг і нарікань, які вона намотує собі навколо шиї, що скоро доведе її до удушення у цьому домі.

Маму прошу сюди не вплутувати. Це завдання Берти, прийшов її час, її голос має бути міцний і виразний, щоб справити сильне враження, у її голосі не може звучати сумніву, Берта своє велике ім'я – про що не раз урочисто нагадував тато – отримала на честь Берти Савойської, королеви Німеччини, а це зобов'язує.

Бритва рухається за волоссям, а часом проти волосся, по кожній впадині, навколо вусів, що виростають у чоловіків. Сьогодні батько може навіть подуріти й наважитись на модель із бакенбардами, що знову стають популярними. Від рук Берти відтікає вся кров, яка зараз потрібна мамі, її моторним пальцям, які саме налаштовують складний шов.

«Я покину тебе, якщо ти не перестанеш пити, ми всі покинемо». Це станеться якогось дня, коли ти по-вернешся з пиятики і знову не потрапиш ключем у замок, а ми вже будемо за сімома горами, за сімома ріками. Я не знаю, як це – півночі добиватися до пустої квартири. У якій лишились лише твої речі, і жодна з них не вкаже тобі шляху.

Ноги батька стоять нерухомо, стопи ховаються в капцях, ніби вросли, але й язик ніби приклеєний до піднебіння, невідомо, чи щось із цього вийде сьогодні на денне світло, так, як волан сукні пані Райнерової. Однак є побоювання, що вийде, й усе життя Берта пам'ятатиме ноги, вкриті павутинкою вен, а вище – перерізане горло людини, яка не встигла змити рештки піни для гоління марки «WARS» із м'ятно-мигдальним запахом.

[Переклад: Олена Шеремет]

RADOSŁAW KOBIERSKI (1971, Polska) – poeta, prozaik, krytyk literacki, fotografik, autor m.in. tomów wierszy *Niedogony* (1997), *Rzeź winiątek* (1999), *Lacrimosa* (2008), *Drugie ja* (2011), zbioru opowiadań *Wiek rębny* (2000), powieści *Harar* (2005), *Ziemia Nod* (2010); nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia i Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus. Mieszka w Mysłowicach.

РАДОСЛАВ КОБЄРСЬКИЙ (1971, Польща) – поет, прозаїк, літературний критик, фотограф, автор поетичних збірок «Незручний» (1997), «Побиття не немовлят» (1999), «Лакримоза» (2008), «Друге я» (2011), збірки оповідань «Час вирубання» (2000), роману «Харер» (2005), «Земля Нод» (2010); номінований на Літературну премію Ґдиня і Літературну премію Центральної Європи Ангелюс. Живе в Мисловіцах.

Łukasz Saturczak Лукаш Сатурчак

(fragment powieści *Peryferie naszych przykrych rewolucji*)
(фрагмент роману «Задвірки наших прикрих революцій»)

Nadia opowiadała później Elenie, że wszystko zaczęło się dzień przed rzekomym zaginięciem Magdy Pogorzelec, kiedy bezradne Karpaty przegrały dwunasty mecz z rzędu. Żadna niespodzianka, dodawała, bo w pierwszy weekend grudnia uległy niepokonanemu Dynamu. Zdziwienie snujących się po stołecznych ulicach lwowian budziła raczej pogoda. Mecze obchodziły niewielu, a i w wolę walki miejscowych piłkarzy wierzyli tylko najstarsi kibice. Spadek do niższej ligi był już przesądzony, ale i do tego wszyscy w kraju przywykli. Od sześciu lat nieszczęsne Karpaty z pierwszej ligi wypadały i do niej wracały. Taka karma. Za silni na przeciwników drugiej dywizji, za słabi na pierwszą. Więc jeszcze porażki rundy wiosennej i po wakacjach znów na Arena Lwów zaczną się okrzyki radości, gdy przyjdzie łoić Zirkę Kirowograd, FC Odessę czy Bukowinę. A dziś? Po sromotnych porażkach z Charkowem i Donieckiem przyszło kolejne dziewięćdziesiąt minut spektaklu bezradności, zakończonego oczywistą przegraną. Na domiar złego publiczność ze Stadionu Olimpijskiego przegoniona została nie tylko przez buczenie tysięcy fanów Dynama, lecz także przez brunatne chmury, które według wczorajszej prognozy miały przynieść kolejną dawkę gęstych opadów śniegu, paraliżujących ruch w całej stolicy. Jak się niedługo potem okazało, ciemne bałwany, śledzące odjeżdżających w stronę dworca kibiców, nie przyniosły zapowiadanego puchu, a jedynie lekką mżawkę. Mżawka w grudniu nie mogła zwiastować nic oczywistego, myślała zapewne Nadia.

Zanim jednak lśniące od kałuż, mokrych szyb, metalowych ścian i szyldów miasto jeszcze przed zachodem słońca zostało przykryte szeleszczącą bibułą koloru brudnego Dniepru; nim zmarznięci kibice lwowskiej drużyny pospiesznie zwinęli monumentalny portret Stepana Bandery, aby po przerobieniu go w zrolowany dywan, ruszyć z mokrym całunem w ekspresową procesję do najbliższej stacji metra; nim miasto rozświetliło się reflektorami samochodów stojących w wielokilometrowych korkach, rozciągających się symetrycznie na obu brzegach stolicy, zagubiona w labiryncie urzędowych korytarzy Nadia raz na zawsze znienawidziła Polski i wszystkiego, co z tym krajem związane.

Maksym Surżyk
Departament przesiedleń i osiedleń
Łysiejący i rudy, w dodatku podstarzały i gruby urzędnik, ledwo łapiący powietrze w ciasnym jak kantorek na szczotki gabinecie, krzyczał: Sensacja, sensacja! I nic. Wpatrywał się w płaski ekran monitora i krzyczał, że nawet po śmierci starego Leonida takiego zamieszania nie było. Po czym mierzył wzrokiem sekretarkę i dodawał z grymasem uśmiechu:
– Prawda pani Andżelino, pamięta pani?
Jeden z tych urzędników, pamiętający zapewne wszystkie poprzednie systemy, a już na pewno w nich szkolony, dla którego największą męką w życiu, oprócz wstania rano i tłumaczenia dzieciom szkolnych zadań, było uczenie

się języka ukraińskiego. Ale dziś to wszystko miał gdzieś. Dziś Maksym błyszczał i to nie tylko przez kapiącą mu z czoła brylantynę wymieszaną z potem wydobywającym się ze wszystkich porów jego pucułowatej twarzy. Błyszczał przy swojej sekretarce, której z nieznanych jej przyczyn podarowano dwa metry kwadratowe królestwa kabli i kawy.
Więc królowa do niego – jak mogłaby nie pamiętać. A ten znów hyc do komputera, żeby odświeżyć witrynę strony sportowej, bo mecz przecież, a on biedny w biurze musi siedzieć, a błyszczenie nie wychodzi, gwiazdorzenie, znaczy się, popis władzy i wiedzy. Staranie, znaczy się, skaranie boskie.
– Dziś z Karpatami, więc spacerek, drugi skład wypuścili, ale co ja? Aha, Leonid, właśnie, widzi pani, Andżelina pamięta i ja też, bo starszy od niej jestem, tak ze...
Ile ma pani właściwie lat?
I znów na sekretarkę, która nie odrywając wzroku od dokumentów, wysyłała w jego stronę uśmieszki, minki, zalotne takie spojrzenia same, co od podwyżki czy wcześniejszego wyjścia z pracy są. No i ona do niego, że w lutym skończy dziewiętnaście, dziewiętnaście panie Maksymie, przepraszam, zapomniałam się.
– No. To wolę nie mówić, nawet ile. Jednak mnie chodzi o to, że proszę pań… – i popatrzył w końcu na Nadię.
– No, cholerne czasy, że takimi bublami wszyscy się dziś posiłkują.
Kaszlnął w zaciśniętą pięść. Po czym, opierając dłonie o blat, w absolutnej ciszy, nie licząc chrobotania elektrycznego grzejnika, podniósł się, złapał głęboki oddech, wyprostował kości i wyciągając ręce do przodu, choć ani przez chwilę nie odrywał wzroku od monitora, wykonał obok zawalonego stertami papierów biurka nieporadny przysiad. Przetarł twarz chusteczką i ponownie zmierzył Nadię wzrokiem przez przybrudzone szkiełka wielkich okularów.
– Stawy nie te i lekarz kazał mi się więcej ruszać.
– Pan Maksym choruje przez siedzący tryb życia, tak mu doktor powiedział. Szef jest zapracowany i nie ma czasu po wyjściu z biura biegać czy chodzić na basen, więc czasem tutaj zrobi pompkę, przysiad czy skłon. Proszę się nie przejmować – spokojnym tonem powiedziała sekretarka i zaproponowała herbatę.
A Maksym w krzyk:
– Pani Andżelino, awaria wodociągów przecież jest, więc mamy tylko wodę z butelki, znaczy się, gazowaną.
– Czy z gazowanej też można herbatę zrobić? Muszę sprawdzić w internecie, a nie, internet też nam dziś padł.
– Komu padł, temu padł – wyszczerzył kły i znów kliknął „odśwież".
Gol, radość, no mówię ci kurwa cyrk na kółkach
– myślała Nadia i bała się, że te myśli jej z głowy wyjdą i werbalnie się objawią. Więc zaciska zęby i trzyma dłonie na kolanach jak głupia. Ja głupia? Kpiny! Nie zamierzała nawet skinąć palcem, choć marzyła, jasne, co będzie kłamać, nie będzie. I marzyła głównie przez ogrzewanie, ale też nerwy, bo denerwowała się w tym całym pierdolniku urzędniczo-administracyjnym jego mać straszliwie, aby podrapać się po głowie, nosie, udzie czy nadgarstku chociaż. Paraliż od pięt po nos, Nadia-warzywo, uśmierćcie ją, prosi! Eutanazja na własne życzenie, rozczłonkujcie jej młode ukraińskie ciało i rozrzućcie nad Dnieprem, nic ją już nie obchodzi.

Pierwszy dzień grudnia a kropelki potu spływały po jej gęstych brwiach, skroniach i policzkach. I jeszcze w tej skórzanej kurtce od mamy siedziała, tak, w takiej samej chodzi też Elena. Z kieszeni zwisał jej czerwony beret, choć nie miało to przecież żadnego znaczenia. Wrócić do domu, do swojego łóżka, przebrać się, zapalić, wyjść na miasto i spić jak nigdy. Boże – myślała – jak mnie nosi niemiłosiernie, nawet sobie nie wyobrażacie, nikt z was, nigdy. A ta tępa suka – jak ją nazywała w myślach, zamkniętych szczelnie za szczęką i zatkanym nosem – mówiła do Nadii, że wygląda ona jak z tego starego angielskiego serialu, no *Allo, Allo!* Michelle, francuski ruch oporu. Skrzeczący budzik jej głosu.
– Brakuje połamanych palców i wyrwanych paznokci.
– Ale panie Maksymie, nikt tam nikomu paznokci nie wyrywał, wiem, bo powtarzają teraz o jedenastej, to czasem obejrzę. Zaraz, ale ta Michelle miała czarny beret chyba, wszystko mi się myli.

Po nodze się Nadia drapała, ot wszystko, co mogła zrobić. A ten spocony znów do niej:
– No nie milcz tak i powiedz lepiej po cholerę nam ta cała Europa? – głos nawet podniósł i na podwyższeniu już ciągnął: – Że wcześniej za Sanem to niby Azja? Eurazja? Ukreurazja? Jeśli mają o takich bzdurach pisać, żeby obywateli od polityki odciągnąć, to ja mam w dupie taką władzę. Za radzieckiej lepiej było, tak sobie przypominam, ale tego pani Andżelina już pamiętać nie może, bo ja ledwo sobie w zakamarkach umysłu, moją młodość, tak, młodość proszę pani… – błądzi wzrokiem po sali – wygrzebuję sceny tej młodości.
Od tej chwili gapiły się na niego obie. I pewnie obie chciały wybuchnąć śmiechem, ale żadna nie miała odwagi. Zachować twarz, zachować twarz, powtarzała w myślach Nadia, a ten znów za biurkiem i chrząkając coś tam, podsuwa mi pod nos jakąś kartkę.
– Ty nie milcz – mówił – tylko pisz, od początku: „Nadzieja". Poprawienie. Sieroto, jak ty się z jednym językiem uchowałaś? Powoli, za mną: „Ukrainka z Kijowa. Wrócić po swoje". Po swoje, bo tak ci mówię. Sama nie wiesz, czym twoje jest?
Sekretarka wróciła do rutynowych obowiązków, on dalej machał tą kartką jak chorągiewką.
– Dla ciebie i tak to stek bzdur, bezużytecznych informacji. No pobudź swoją wyobraźnię! A zresztą, ty jesteś jedną z tych, co nie są stworzone do myślenia, jakiegokolwiek wysiłku intelektualnego, bo wszystko na tacy, w domu podane pod nos, do łóżka, ciepłe, zimne, gorące i słodkie. „Jak sobie księżniczka zażyczy?", „Nie piecze w podniebienie?", „Nie za słone?", „Podmuchać w talerzyk?" Naśladując najpewniej jej matkę, co wychodziło mu raczej nieporadnie, ciągnął dalej:
– Więc do chuja pana pisz, zanim mi wszystkie kartki zabazgrzesz! „Swoje!". Tutaj, kreśl, masz miejsce: SWOJE! Ja też za Polakami nie przepadam, ale pożyjesz tam, pobawisz się, ludzi poznasz, to ci się zmieni i wracać nie będziesz chciała. Każdy tak ma. Granica otwarta. Ja o takiej szansie mogłem marzyć. Ale nie myśl sobie, że jak razem, to po swoje wrócić nie musisz. Tym bardziej księżniczko! Wszyscy na ciebie Nadziejo Antonycz liczą. O, widzisz! Nawet imię pasuje. Nadia. Jeszcze raz: „Po swoje"! Aj, lepiej idź, bo się na pociąg spóźnisz. Poczekaj! Twarzą do mnie! Dobrze już? I uśmiechu więcej! Umierać przecież nie jedziesz, skaranie boskie, czemu ty nie grzmisz? Wykonał kilka dziwacznych ruchów i puścił oczko do sekretarki, która odwzajemniła się szerokim uśmiechem.
– Bo widzi pani, moim zdaniem rewolucja ciągle trwa.
– Co pan znowu wymyśla?
– O! Już dwa do zera, długo się z tymi Karpatami pierdolili, mam nadzieję, że zaraz padnie kolejna, bo końcówka. Jakby co, nie ma mnie dla nikogo.
Socjalistyczne gmaszysko. Schodami w dół, czerwone wykładziny, szerokie korytarze, automaty z kawą i zerowa orientacja w terenie. Jak tylko weszła do łazienki, z miejsca zwymiotowała. Do pisuaru.
Krzyczała ze złości, ale po chwili machnęła ręką, oparła pośladki o umywalkę i skończyła porannego papierosa.
Tyle mi z kijowskiego życia zostało – powtarzała pod nosem – skończyły się imprezy, chłopaki i tylko spania poza domem będę mieć, ile tylko zechcę. Też mi opcja, nie ma co.

Zemdliło ją jeszcze dwukrotnie, przemyła usta, założyła słuchawki, podciągnęła rajstopy, i wprost na rozkopany chodnik. Z biura na ulicę, dokumenty prawie wypadły jej z dłoni. Jeszcze jeden silniejszy podmuch i urzędowe druczki zginęłyby w gęstej chlapie grudniowego błota. Przyciskała te pogniecione strony do piersi. Mocniej. Schodami w dół, stacja „Arsenalna". W górę i „Teatralna" do Opery – pożegnać matkę. Chociaż powinna się powkurwiać, nie ściskać jej, jakby szła na wojnę.
– Sama bym pojechała, ale rozumiesz obowiązki, występy, poradzisz sobie.
Czerwona szminka na policzku. Nazad. Tłumy kibiców w biało-zielonych bluzach i pociąg. Szukając swojego miejsca w przedziale, nawet nie ukrywała nerwów i ściskała zmarzniętymi dłońmi grubą spódnicę. Granatowa, ręcznie szyta, choć zawsze wolała kratę. Zagubiona Nadia. Nadzieja. Całego narodu ukraińskiego ze zgubionym flekiem od kozaka. Psia mać. I już nienawidziła tej Polski bardziej niż całej zasranej Ukrainy, a to naprawdę trudna rzecz. Głową w brudną szybę.
– Panienka się nie smuci. My to dopiero mamy przesrane. Dziś nawet błogosławiony Bandera płakał nad losem biednych Karpat.
Później było tylko gorzej.
– Nie śpi, bo ukradną! Wolne tutaj? – patrzyła chętna do rozmowy i zwierzeń.
Kiwnęła niepewnie. I to był jej największy błąd w czasie całej podróży.
– No głupio pytam, rezerwacja przecież jest. Głupia się robię od tego zmęczenia, rozumiesz. Ja z Mińska do was. Do chłopaka przyjechałam, kawał drogi. A jeszcze Lwów, przez Przemyśl i do Wrocławia, cały dzień, jak nic. Pokaż bilet. O, ty też do Lwowa! Nie przeszkadza ci moje gadanie kochana? Długo tak mogę, poczekaj, zaraz wrócę, chłopakowi odmacham.
Stukot obcasów zwiastujący zagładę.
– Za chłopakiem tęsknić będę, bo my rzadko ze sobą. On tancerz, po świecie jeździ. Tu, zdjęcie ci pokażę zaraz, tylko w szpargałach znajdę. Zawsze włożę tak, że znaleźć ciężko. Biletu szukałam z pół godzimy chyba. Ledwo zdążyłam. O, widzisz, w rajtkach takich śmiesznych, jajka zgniecione, to chyba ich boli, nie? W Rzymie zrobione, tutaj, trzeci po prawej na dole. Mówi, że mnie kiedyś tam zabierze.
– Mediolan.
– Co?
– Na zdjęciu.
– No mówię przecież, że Włochy. Opowiadał o tym wszystkim i sobie to tak bardzo wyobrażałam, bo wiesz, on mówi jak poeta. Tak sugestywnie, że obrazy same ci się wyświetlają przed oczami. Te place, drogie sklepy, moda, piękne kobiety. No, magia. Aha, jestem Polsza. Z Mińska, ale to już mówiłam.
Cięcie. Wdech po wizytówkowym monologu. Zanim zaczęła część kolejną, Nadia oparła głowę o jej ramię. Zakłopotanej przez chwilę, bo dystans mniejszy i skróciła go w dodatku ta cicha, ta nie przedstawiona. Ale dobrze, myślała wtedy zapewne Polsza. Dobrze, mówić wszystko będzie mogła, historię życia opowiedzieć. Traumy, okupacje, poświęcenia i pogrzeby. Nawet jak Nadia zaśnie i nic nie usłyszy. Przecież rozmowy w czasie podróży nie są po to, aby je przechowywać skrzętnie w pamięci, ale żeby droga szybciej mijała. To też jeszcze dziś usłyszała. I to, że Polsza urodziła się i wychowała na Białorusi, ale pracuje we Wrocławiu. Choć w Mińsku lepiej niż kiedyś, czego nie omieszkiwała podkreślać, wciąż nie ma tam zamiaru wracać.

– Wy w Kijowie dobrze macie, bo Europa u was. Druga Polska, ba, lepiej nawet niż u nich...
Zasnęła. Wina zmęczenia i aury. Wchodziła do pociągu przemoczona a teraz to denerwujące słońce, jakby był przełom lata i jesieni. Schowa się gwiazda za drzewami, gdzieś w głębi horyzontu. Najwyraźniej padało tylko w mieście. Przygaszony pomarańcz smagany dymem polnych palenisk. Co można palić w grudniu na ziemi skutej lodem? Umiecie to wyjaśnić? Później przytrafiła się najdziwniejsza rzecz w jej krótkim życiu. Wszystkim bohaterom zresztą też.

Потім Надія розповідала Елені, що все почалося за день до уявного зникнення Маґди Поґожелець, коли безпорадні «Карпати» програли дванадцятий матч поспіль. Вона додала також, що в цьому не було нічого дивного, бо у перші грудневі вихідні вони програли непереможному «Динамо». Львів'ян, що снували містом, більше дивувала погода. Матчі цікавили небагатьох, а в бойовий дух місцевих футболістів вірили лише найстарші вболівальники. Падіння до нижчої ліги було вже вирішене, але усі з цим змирилися. Вже протягом шести років нещасні «Карпати» випадали з прем'єр ліги, а потім знову до неї поверталися. Така вже їхня карма. Вони занадто сильні для своїх противників із другої ліги, але занадто слабкі для противників із першої. Отже, залишилося ще кілька поразок у весняному турі, а потім після канікул на «Арені Львів» знову залунають радісні вигуки, коли «Карпати будуть» гнобити «Зірку» Кіровоград, ФК «Одеса» чи «Буковина». А сьогодні? Після ганебних поразок у матчах із Харковом і Донецьком настали чергові дев'яносто хвилин безпорадного спектаклю, який завершився явним програшем. На довершення всіх нещасть публіку зі стадіону «Олімпійський» вигнало не лише гудіння фанатів «Динамо», але й бурі хмари, котрі, якщо вірити вчорашньому прогнозу погоди, мали принести чергову порцію снігових опадів, які

паралізують рух по всій столиці. Як виявилося пізніше, темні снігові хмари, які стежили за вболівальниками, котрі їхали в бік вокзалу, не принесли очікуваного пуху, а лише легку мряку. Груднева мряка не могла сповіщати нічого конкретного, мабуть, думала Надія.

Але доки блискуче від калюж, мокрих шибок, металевих стін і щитів місто ще до заходу сонця прикрила шелестка бібула кольору брудного Дніпра; поки змерзлі вболівальники львівської команди поспіхом згорнули монументальний портрет Степана Бандери, щоб після перетворення його на скручений килим, рушити з мокрим саваном швидкою процесією в бік найближчої станції метро; доки місто освітилося фарами автомобілів, котрі стояли у кількакілометрових заторах, що симетрично розтягувалися на обох берегах столиці, Надія, котра загубилася в лабіринтах офіційних коридорів, раз і назавжди зненавиділа Польщу і все, що пов'язане з цією країною.

Максим Суржик
Департамент переселень і поселень
Лисіючий і рудий, а на додаток підстаркуватий і повний чиновник, ледве дихав у тісному, як комірка для швабр, кабінеті, і кричав: «Сенсація, сенсація!» І все. Він вдивлявся у плаский екран монітору і кричав, що навіть після смерті старого Леоніда не було такої розгубленості. Після чого від міряв секретарку поглядом і додавав із насмішкуватою гримасою:
- Правда, пані Анджеліно, пам'ятаєте?
То був один із таких чиновників, котрі напевно пам'ятають усі попередні системи і напевно вчилися за них; для них найбільшою мукою в житті, крім необхідності рано вставати і робити уроки з дітьми, було вивчення української мови. Але сьогодні йому було до всього байдуже. Сьогодні Максим блищав, і не лише через брильянтин, котрий капав із його чола і змішувався з потом, що виступав із усіх пор його щокатого обличчя. Він виблискував поряд зі своєю секретаркою, котрій із невідомих їй причин, подарували два квадратні метри королівства кабелів і кави.
Отже, королева йому каже: «Чому ж не пам'ятаю?!»
А він знову зиркнув у комп'ютер, щоб обновити спортивний сайт, адже сьогодні матч, а він бідолашний має сидіти в кабінеті, а зірково блищати не виходить, тобто не виходить демонструвати владу і знання.
Старання – це кара Божа.
– Отже, сьогодні променад з «Карпатами», випустили другий склад, але про що це я? Ага, Леонід, отже, бачите, Анджеліна пам'ятає, і я теж, бо я старший за неї, тож..., а скільки Вам, власне, років?
Він знову глянув на секретарку, котра не відводячи погляду від документів, надіслала в його бік усмішки, гримаси, якісь такі кокетливі погляди, які з'являються після надбавки до зарплати чи як вийдеш раніше з роботи. А вона йому відповідає, що цього лютого їй виповниться дев'ятнадцять, дев'ятнадцять, пане Максиме, вибачте, щось я відволіклася.
– Ну. То краще навіть не казати, скільки. Але йдеться про те, що… – І поглянув нарешті на Надію.
– От кляті часи настали, всі сьогодні харчуються таким мотлохом.
Він кашлянув у затиснутий кулак. А тоді, спираючись долонями об стільницю, в абсолютній тиші, якщо не брати до уваги шарудіння електричного обігрівача, встав, глибоко вдихнув, випростався і, витягаючи руки вперед, але не відриваючи ані на хвилину погляду від монітору, безпорадно присів біля заваленого купами паперів столу. Протер обличчя хустинкою і знову зміряв Надію поглядом крізь брудні скельця великих окулярів.
– Суглоби вже не ті, й лікар велів мені більше рухатися.
– Пан Максим хворіє через сидячий спосіб життя, так йому пояснив лікар. Начальник дуже зайнятий і після роботи не має часу бігати чи ходити а басейн, тож іноді робить тут віджимання, нахили, присідає.
Не хвилюйтеся, будь ласка, – спокійно сказала секретарка і запропонувала випити чаю.
А Максим у крик:
– Пані Анджеліно, адже через аварію на водопровідній мережі, у нас є тільки вода. Тобто вода з пляшки, газована.
– Чи можна зробити чай із газованої води? Зараз гляну в Інтернеті, а не можу, Інтернету в нас сьогодні теж немає.
– У кого немає, у того немає, – він вискалив зуби і знову натиснув «обновити».
– Гол, радість, але ж кажу, чорт забирай, цирк на колесах – думала Надія і боялася, що ці думки вилізуть із її голови і вербалізуються. Тож вона стискає зуби і тримає руки на колінах, як дурна. Як дурна? Глузування! Вона навіть не збиралася поворухнути пальцем, хоча мріяла, звісно, що буде брехати, не буде. І мріяла переважно через опалення, але також через нерви, бо, чорт забирай, жахливо нервувала в тому урядово-адміністративному балагані, почухати голову, ніс, стегно чи хоча б зап'ясток. Паралізована з голови до п'ят, Надія-овоч, вбийте її, будь ласка. Евтаназія за власним бажанням, розчленуйте її молоде українське тіло і розкидайте над Дніпром, їй до всього байдуже.
Був перший грудневий день, а краплини поту стікали по її густих бровах, скронях і щоках. Ще й сиділа в цій маминій шкіряній куртці, так, Елена теж таку носить. З її кишені звисав червоний берет, хоча це не мало жодного значення. Повернутися додому, до свого ліжка, переодягнутися, запалити, піти в місто і напитися, як ніколи. Боже, – думала вона, – ніхто і ніколи не зможе уявити, що зі мною діється. А ця тупа сука – так називала її подумки, а думки були ретельно заховані за щелепою і закладеним носом – говорила Надії, що вона схожа на Мішель зі старого британського серіалу «Алло, алло!», французький рух опору. Рипучий будильник її голосу.
– Бракує тільки зламаних пальців і вирваних нігтів.
– Але пане Максиме, ніхто там нікому нігтів не виривав, знаю, бо тепер об одинадцятій іде повтор, я часом дивлюся. Зараз, а Мішель була в чорному береті, щось я плутаюся.
Надія чесала ногу, і це все, що вона могла зробити.
А цей спітнілий звернувся до неї знову:
– Ну, не мовчи так і скажи краще, на холеру нам здалася та Європа? – він навіть підвищив голос і продовжував далі на високих тонах: Не знають навіть, що знаходиться за Сяном. Азія? Євразія? Укразія? Якщо вони писатимуть такі дурниці, щоб відволікти громадян від політики, то чихав я на таку владу. За радянських часів краще жилося, наскільки я пам'ятаю, але пані Анджеліна цього вже не може пам'ятати, бо я із закамарків свідомості…. – блукає поглядом залою,
– вже ледве можу видобути сцени своєї молодості.
З того моменту вони обидві на нього витріщалися.
І мабуть, обидві хотіли вибухнути сміхом, але жодна не наважилася цього зробити. Не осоромитися, не осоромитися, повторювала Надія подумки, а той знову сів за стіл і, щось там рохкаючи, підсовує мені під ніс якийсь папірець.
– Не мовчи, – сказав, – пиши, все від початку: «Надія».
Виправлення. Бідолахо, як ти вижила, знаючи одну мову? Повільно, за мною: «Українка з Києва. Повернутися по своє». По своє, бо так треба. Сама не знаєш, що твоє?
Секретарка повернулася до виконання своїх щоденних обов'язків, а він далі махав тим папірцем, як прапорцем.
Для тебе це однаково нагромадження дурниць, непотрібної інформації. Ну, розбуди свою уяву! А зрештою ти одна з тих, хто не створений для того, щоб думати, хто не здатний на будь-яке інтелектуальне зусилля, бо маєш все готове, вдома все тобі подають під ніс, до ліжка, тепле, холодне, гаряче і солодке. «Чого бажає принцеса?», «Не пече піднебіння?», «Не солоне?», «Подмухати в тарілку?»
Наслідуючи її матір, а вдавалося йому це не дуже добре, він вів далі:
– Пиши, чорт забирай, доки ще не всі бланки побазграла! «Своє!» Тут закресли, є місце: СВОЄ! Я теж не надто люблю поляків, але поживеш там, порозважаєшся, познайомишся з людьми, передумаєш і не захочеш повертатися. Так у всіх буває. Кордон відкритий. Я міг тільки мріяти про такий шанс. Тільки не думай, що не мусиш повернутися по своє. Треба це зробити, принцесо! Надіє Антонич, усі на тебе покладають надії. Бачиш! Почекай! Подивися на мене! Ну, все добре? Посміхайся! Адже не помирати їдеш, каро Господня, коли ж ти грянеш?
Він зробив кілька дивних рухів і моргнув до секретарки, котра відповіла йому широкою усмішкою.
– Розумієте, я вважаю, що революція триває досі.
– Що Ви знову придумали?
– О, вже два нуль, довго з тими «Карпатами» панькалися, сподіваюся, що зараз буде черговий гол, бо збігає час. Як хтось мене шукатиме, мене немає.
Величезний соціалістичний будинок. Сходами вниз, червоне килимове покриття, широкі коридори, автомати з кавою і нульова орієнтація на місцевості. Щойно вийшла з туалету, її одразу вивернуло. До пісуару. Кричала від злості, але за хвилину махнула рукою, сперлася сідницями на умивальник і докурила ранкову сигарету. Ось і все, що залишилося мені від київського життя, – бурмотіла собі під ніс, – кінець вечіркам, хлопцям, тепер зможу лише спати не вдома, скільки завгодно. Теж мені варіант.
Її знудило ще двічі, вона сполоснула рота, вставила у вуха навушники, підтягла колготи й попрямувала на розбитий тротуар. З установи – на вулицю, документи мало не випали з її руки. Вистачило б трохи сильнішого пориву вітру, і офіційні бланки зникли б у густій кваші з грудневого болота. Тулила ті пожмакані листки до грудей. Сильніше. Сходами вниз, станція метро «Арсенальна». Вгору – і «Театральна», до опери – попрощатися з матір'ю. Варто було б розсердитися, не обіймати її, так наче йдеш на війну.
– Я б теж поїхала, але розумієш, обов'язки, виступи, впораєшся сама.
Червона помада на щоці. Назад. Натовпи вболівальників в біло-зелених спортивних куртках і потяг.
Шукаючи своє місце в купе, вона навіть не приховувала хвилювання і стискала змерзлими руками спідницю. Темно-синя, шита вручну, хоча я завжди надавала перевагу клітинці. Розгублена Надія. Втрачена Надія. Усього українського народу із загубленою набійкою від чобота. Чорт забирай. Вже ненавиділа Польщу, навіть більше, ніж всю засрану Україну, а це дійсно важко. Притулилася головою до брудного вікна.
– Не сумуйте. От ми точно програли. Сьогодні навіть благословенний Бандера плакав над долею бідних «Карпат».
Далі було тільки гірше.
– Не спи, бо вкрадуть. Тут вільно? - Дивилася на неї, готова до розмови і сповіді.
Невпевнено кивнула. І це була її найбільша помилка протягом усієї подорожі.
– Навіщо питаю, адже є квиток. Здуріти можна від втоми, розумієш? Я до вас з Мінська. До хлопця приїхала, далека дорога. А ще Львів, через Перемишль і до Вроцлава, цілий день. Покажи квиток. О, ти теж до Львова! Сонечко, мої теревені тобі не заважають? Я довго можу говорити, зачекай, зараз я повернуся, помахаю хлопцеві.
Цокіт підборів, що сповіщає загибель.
– Сумуватиму за хлопцем, ми нечасто бачимося.
Він танцюрист, їздить світом. Ось, зараз покажу тобі фото, тільки знайду в папірцях. Завжди кудись засуну і не можу знайти. Півгодини шукала квиток. Ледь встигла. О, дивися, в таких кумедних колготах, яйця стиснені, боляче їм, мабуть? Фото з Риму, ось, третій справа знизу. Каже, що колись мене туди повезе.
– Мілан.
– Що?
– На знімку.
– Кажу ж, що це Італія. Він про це все розповідав, а я уявляла, знаєш, він говорить, як поет. Так яскраво розповідає, що образи стають тобі перед очима. Усі ці площі, дорогі магазини, мода, гарні жінки. Магія якась. Ага, я Польша. З Мінська, але я тобі вже казала.
Стоп-кадр. Вдих після монологу-візитівки. Ще до початку чергової частини оповіді Надія поклала голову їй на плече. На секунду зніяковіла, бо скоротилася дистанція, і скоротила її ця тиха дівчина, яка навіть не представилася. Але добре, подумала тоді, навпевно, Польша. Добре, я зможу говорити про все, розповім історію свого життя. Травми, окупація, самопожертви й похорони. Навіть якщо Надія засне і нічого не почує. Адже попутники провадять розмови не для того, щоб їх старанно берегти в пам'яті, а для того, щоб швидше минала подорож. Це вона теж сьогодні почула. А ще почула, що Польша народилася і росла в Білорусі, але працює у Вроцлаві. Хоча Мінськ кращий, ніж був колись, що вона постійно підкреслювала, але повертатися туди вона не збирається.
– Вам у Києві добре, бо у Вас там Європа. Друга Польща, навіть краще, ніж у них…
Заснула. Усе через втому і настрій. До потягу входила мокра, а тепер світить надокучливе сонце, можна було б подумати, що то перехід від літа до осені. Зірка

заховається за деревами, десь за горизонтом. Сильний дощ був лише в місті. Потьмянілий мандарин, залитий димом польових вогнищ. Що можна палити в грудні на землі, скутій льодом? Можете пояснити? Пізніше станеться найбільш дивна річ у її короткому житті. І у житті решти персонажів.

[Переклад: Людмила Бербенець]

ŁUKASZ SATURCZAK (1986, Polska) – urodził się w Przemyślu. Debiutował w 2005 roku na łamach „Lampy". Doktorant na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego, gdzie wcześniej skończył dziennikarstwo i komunikację społeczną oraz *creative writting*. Opowidania, szkice i recenzje publikował m.in. w „Studium", „Toposie", „Nowych Książkach", „Czasie Kultury", „Ha!arcie" i „Take me". W 2010 roku wydał powieść *Galicyjskość*, którą w 2011 roku przełożył na język ukraiński Taras Prochaśko.

ЛУКАШ САТУРЧАК (1986, Польща) – народився в Перемишлі. Дебютував 2005 року на шпальтах «Лампи». Навчається в аспірантурі на Філологічному факультеті Вроцлавського університету, де раніше здобув диплом за спеціальністю «Журналістика, суспільна комунікація і літературна творчість». Публікував оповідання, нариси і рецензії у часописах «Студіум», «Топос», «Нові Книжки», «Час Культури», „Ha!arcie" і «Take me». 2010 року видав роман «Ґаліція», котрий у 2011 переклав українською Тарас Прохасько.

* «Helena kresowa» – так польський історик і письменник Францішек Равіта Ґавронський назвав нібито (насправді сам Богдан Хмельницький ніколи про це не казав) основну причину сварки між Даніелем Чаплинським і Богданом

© Ania Jaworska-Kruk

Олег Криштопа Ołeh Krysztopa

МАФ* І Я
MAF* I JA

Вчора увечері, повертаючись додому, побачив у дворі автофургон із блакитними номерами. Міліція. Біля дерева, на розі будинку, зігнувшись, стояло кілька людей у формі. Вони розглядали тіло. «Труп», – подумав я, паркуючи машину. До мене майже підбіг молодий лейтенант.
– Можна вас?
«Ну от, зараз попросять бути свідком і, вважай, вечір зіпсований», – встиг подумати я.
– А що сталося?
– Та от, п'яний лежить, може, ви його знаєте?
Я підійшов. Чоловік напівсидів, припершись спиною до дерева, і гикав; поруч у болоті валявся пакет із продуктами; голову опустив. Я схилився і заперечливо похитав головою:
– Не пам'ятаю такого. У будинку понад 100 квартир. Багато алкоголіків.
– Визивай скору! – порадив лейтенанту старший за віком, але молодший за званням – сержант. – Бабушка, сасєдка, говорила, шо з ним такі самі живуть. Ще удавиця блювотиною, будем проблеми мати.
– Почекай, у нього телефон десь має бути, попробуєм по останньому виклику когось набрати.
Лейтенант був ще зовсім молодим і совісним – таке в українській міліції нечасто зустрінеш.
– А відколи міліція на виклик до п'яних їде? Ще й такими великими групами, по 4 чоловіки? – поцікавився я.
– Та ми через дорогу на пожар виїжджали, а тут почали кричати, що труп у дворі, то прийшли подивитися… – Лейтенант уже був не радий, що вплутався у цю історію.
Він дістав із кишені п'яного телефон і марно набирав якусь ОКСАНУ. Сержант між тим зі свого телефону уже викликав «швидку»:
– Епілєпсія, да, епілепсія, дьоргається, мужчина, лєт 50.
З балкона другого поверху висунулася колишня двірничка, а нині продавчиня кіоску.
– Підніміть йому голову, – попросила вона, придивилася і сказала: – це з п'ятого поверху, кутова квартира.
Хвилин за 10 лейтенант таки знайшов співмешканців п'яного і задоволено, з почуттям виконаного обв'язку, пакувався у фургон. Кобура йому не личила.
По п'яного вийшла його більш тверезa жінка і ще якийсь підпилий чоловік.
– Там щось є? – запитав він, поки жінка дивилася в пакет з продуктами.
– Та є, але всьо не то, потєряв, навєрно, або спиздили, поки тут валявся, прийдеться пиво брати в кіоску.
– То греби в кіоск, поки я тєло приволоку.
Підпилий чоловік закинув непритомне тіло товариша собі на плече і, похитуючись, поволік його у під'їзд, а жінка рушила до кіоску. Я пішов за нею.
Темніло. Кіоск був оазою світла в сутінках, і на нього, наче метелики, линули жителі мікрорайону.
– Пиво.
– Два піва і чіпси.
– Пиво і сухарікі.
– Пиво.
Нарешті моя черга:
– У вас непастеризоване є?
– А, добрий вечір! – впізнає мене теж підпила продавчиня. – Спеціально для вас заказали, но буде тіки завтра.
Я їй не вірю – що саме для мене. У кіоску їх працює двоє – ось ця життєрадісна і постійно підпила блондинка та сувора непитуща колишня двірничка.
– Сигарет нема? – запитую про всяк випадок, хоча відповідь уже знаю.
– Нє, я ж вам говорила, ліцензія дорога, і проблєм повно с провєрками. Ми патаму і не берем ні водкі, ні сігарєт.
Я беру хліб, воду і якусь консерву. Курю біля під'їзду. Усі лавки, навіть на дитячому майданчику, зайняті. Діти бавляться на розгойданих качелях, а їхні мами п'ють пиво і курять. Недопалки, корки та пляшки кидають просто на землю. Тати стоять окремим гуртом – метрів за 20.
Об одинадцятій кіоск зачиняється. Просто біля нього ще стоїть якась компанія і допиває останнє пиво. Потім двір порожніє. По сигарети треба йти далі – майже кілометр. Там теж кіоск, він працює цілодобово. Черга велика. Пара з собачкою, компанія молодих людей, і два дядьки в шкіряних куртках. Удень до кіоску можна зайти через двері, але вночі замовлення приймають лише через вікно. Прилавок виглядає убого – почорніла

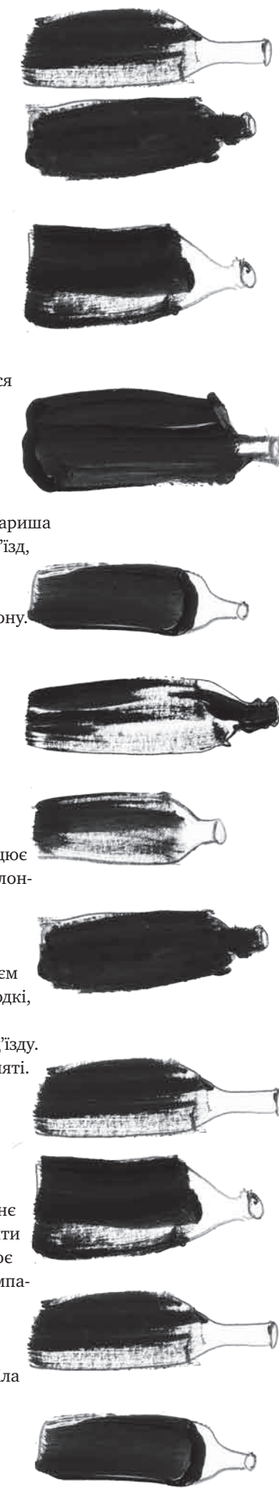

ковбаса, розплавлені сири. На холодильнику пара в'ялих помідор і два банани. Позаду – стелажі з міцним алкоголем.
– Два коньяка, – замовляє один із двох чоловіків, що стоять в черзі переді мною.
– І закусь! – кричить другий.
– Лимон? – питає перший.
– І лимон тоже. І колбаску. І сир. І помідорчик. Два.
– Не отравимся? – питає перший у другого.
– Під коньячок пойдьот. Всьо перетравіцця.
Я купую сигарети, непастеризованого пива знову немає, і я прошу сухе вино. Вибір невеликий – залишилася лише одна пляшка дешевого українського Шардоне.
– У нас його майже ніхто не бере, – виправдовується продавчиня, молода жінка. – Всі по крєпкому виступають.
– Тоді поки що не треба. Якщо що, я повернуся.
Відходжу, відкриваючи пачку сигарет. За мною уже добряче черга спраглих. Закурюю, і одразу закашлююсь – враження таке, що в цигарці горить сміття. Придивляюся до пачки: наче все гаразд, є акцизна марка, але колір трохи не такий, як завжди, і, здається, бракує якогось напису. Тютюн теж підозрілий – він майже білий. Сумнівів у тому, що сигарети не з заводу, у мене вже немає. Я поволі спускаюсь вулицею далі – до цілого мікрорайону кіосків, так званого «базарчику». Вечорами тут дуже людно. Повертаючись із роботи, тільки на «базарчику» люди можуть купити відносно свіжі овочі чи фрукти. Між кіосками та дорогою, просто на тротуарі, сидять кілька пенсіонерів із передмістя, які продають власну городину з перевернутих догори дном ящиків. Їх ганяє міліція. У кіосках дорожче, крім того, там постійно дурять. Ваги стоять так, що продавчині затуляють табло своїми спинами. Моя колишня дружина була схиблена на справедливості. Одного разу, накупивши овочів, раптом зрозуміла, що її обрахували. Поволі відходячи від кіоску, проводила в голові підрахунки. З математикою в неї було погано, але з інтуїцією все гаразд. Повернулася. Перечекала чергу і ввічливо поросила переважити. Чорноволоса продавчиня розлючено кинула товар на ваги. Почала рахувати. Не сходилось. Продавчиня підвищила голос, мовляв, вона уже не пам'ятає, тут сотні людей. Калькулятор щоразу видавав іншу цифру. Нарешті продавчиня забрала раніше видану здачу, і віддала ще менше. Тут моя колишня дружина не витримала, і зі сльозами в очах почала жбурляти в неї копійками, пояснюючи, що не потрібна їй здача, потрібна лише повага. Продавчиня спокійно це вислухала і не полінувалася зібрати копійки.
Власники кіосків із так званого «базарчику» – азербайджанці. Іноді вони приїздять на фургонах зі свіжим товаром і допомагають його вивантажувати. Коротко стрижені, люблять золоті прикраси – по персневі на кожній руці і ланцюжкові на шиї.
Я між тим іду далі вниз вулицею, там – новий ряд кіосків. У двох продають м'ясопродукти, сир, та рибу. Коли продавці відчиняють «чорний» хід, звідти виривається їдкий запах хлору.
Між «м'ясними» кіосками і так званим «базарчиком» – ще один цілодобовий кіоск. Про його існування треба знати – він схожий на фортецю: захований від тротуару рядом холодильників із пивом. У його внутрішньому дворику завжди людно і галасливо.
Зараз там стоїть компанія молоді і дудлить пиво.
Час від часу з'являються нові люди. Типовий нічний Київ на околиці. Я дивлюся в холодильники, але свого улюбленого пива не бачу. Про всяк випадок питаю у продавчині – молодої дівчини, яка жваво перегукується з компанією на вулиці.
– Аякже! Є! – і дістає мені звідкись із надр кіоску пластикову літрову пляшку пива – з кубиками льоду всередині і конденсатом назовні.
Якусь хвилину я вагаюся, але, зрозумівши, що далі в цьому районі кіоски закінчилися, махаю рукою:
– Давайте два.
Я відходжу убік – подалі від галасу – і попри законодавчу заборону та загрозу адміністрафу, пробую пиво просто на вулиці. Воно мені не смакує – так, як мало би. «Мабуть, теж несправжнє», – думаю я. Навпроти – невеликий пустир. Колись тут стояв ще один кіоск. Його життя було недовгим. Тиждень чи два. Торг ішов жваво. Потім хтось червоною фарбою українською мовою написав на фасаді: «ЗАБЕРІТЬ, БО СПАЛИМО». Ще за кілька днів погрозу здійснили. Увечері після роботи я побачив чорний кіоск. Усередині були чорні прилавки, на одному з них ще збереглася чорна ґумова лялька. За кілька днів кіоск прибрали.
Неофіційна статистика «Київенерго» (мусять же вони звідкілясь електрику брати!) стверджує – у Києві 24 тисячі МАФів. У 2007му їх було лише 4 тисячі. Рік тому – 13 тисяч. Зараз вони скрізь. Поруч зі станціями метро, довкола ринків, на самих ринках, у спальних мікрорайонах, і в не зовсім спальних. Мої друзі живуть на Подолі – історична частина столиці – і що? – куди ми йдемо пізно ввечері по «живе» непастеризоване пиво? – так, саме туди – на Контрактову площу, яка перетворилася на суцільну малу архітектурну форму. Темні вікна кіосків. «Закрито», «зачинено», попри це в одному таки горить світло, і нам відчиняють. По той бік віконця поміж холодильників і ящиків сидять два чоловіки. Вочевидь, їм нудно – намагаються з нами жартувати. Працюють тут давно і їм подобається. Які-не-які гроші, в часи кризи треба тішитися і цьому, плюс робота не особливо виснажлива.
– Кожен кіоск – це 2-3 робочі місця, – імпульсивно захищає МАФи жіночка з якоїсь асоціації захисту підприємців; її офіс, до речі, – теж у кіоску. – Врешті, кіоски – це податки в бюджети, це доступ людей до товару. Для малого бізнесу МАФи в нинішніх умовах – єдиний спосіб інвестицій. Стартові витрати невеликі, середній кіоск виходить на прибуток усього через три місяці роботи, ризики мінімальні.
У супротивників МАФів свої аргументи: це спотворює місто – раз; це тіньовий бізнес і кримінал – два; податки ніхто ніякі не платить – три; працюють там нелегально – чотири; антисанітарія – п'ять. «Більше того, мережі МАФів використовуються для продажу наркотиків, особливо в Деснянському, Оболонському і Подільському районах. Значна кількість кіосків перетворилися з магазинів крокової доступності на "притони" крокової доступності» – пише у статті про МАФи журналіст Юрій Бутусов.
Іноді кіоски безслідно зникають. Щоправда, зазвичай, після цього на їхньому місці з'являються нові, часто замість одного – як мінімум два. Якось я був свідком спроби ліквідації МАФу. Серед зелені парку стояла огороджена тином залізна шашлична. Власник – грузин – гарячково розмахував якимись паперами перед обличчями міліціонерів. Ті відверталися. Так само відводив очі і відбігав убік представник виконавчої служби. У мене є припис, – тільки і сказав він. – Демонтаж.
Працівники київської служби благоустрою курили біля крану на платформі. Дебелі дядьки зі смаглявими лицями очікували, коли доведеться братися за справу.
– МАФ тут стоїть незаконно, його треба знести, – дав між тим короткий коментар пресі їхній начальник – молодий хлопець у шкіряній куртці. – Крім того, це парк, надходять скарги від місцевих мешканців на шум, продають алкоголь – а навколо діти.
– Ану покажіть ці скарги! – озивається імпульсивна жінка з асоціації підприємців. – Що – немає ніяких скарг? А, з собою немає?! Я на 100, на 200% упевнена, що завтра–післязавтра на місці знесеного кіоску з'явиться новий. Або і два нових. Тільки потрібних людей. Я чула про заступника прокурора району. Прокуратура ж із грузина гроші хотіла. Він, бідолаха, навіть мову ще не встиг вивчити: одружився з українкою і переїхав сюди два роки тому.
Дядьки з управління благоустрою між тим закінчили курити і взяли до рук залізяки. Озброєні ломами, вони впритул наближаються до огорожі. Там, з'єднавшись за руки, живим ланцюгом стали друзі грузина і його родичі.
– Міліція, міліція, б'ють, убивають!!! – кричить жіночка з асоціації, яка теж приєдналася до живого ланцюга захисників.
Ошелешені дядьки з монтуванням відступають, потім, за командою хлопчини в шкірянці, пробують обійти з тилу, але і цього разу невдало. Міліція відвертається, потім просить друзів грузина не заважати виконувати рішення суду. Хлопчина в шкірянці нервується і комусь телефонує. За якийсь час він махає рукою – його підлеглі ховають ломи в бусик, сідають туди самі. Першим від'їжджає кран, потім бус, нарешті і хлопчина в шкірянці – на Тойоті з водієм; хлопчина відчиняє вікно і кричить грузину та імпульсивній жіночці:
– Я ще повернуся!
Підозрюю, що він виконав свою обіцянку, і без присутності журналістів благоустрій таки було виконано – кіоск завантажили на платформу та вивезли.
Так само імовірно, що за якийсь час на тому ж місці з'явився новий кіоск, іншого власника.
З початку 2012-го київська влада змінила свою політику щодо кіосків. Їх вирішили просто легалізувати. Для цього достатньо було сплатити так звану пайову участь – і жодних дозволів уже не потрібно. Ішлося про великі суми – додатковий місцевий податок складав десятки тисяч. Спочатку гроші потекли в бюджет рікою. Але далі почалась знайома корупційна історія. З понад 20 тисяч кіосків легалізувалася п'ята, максимум четверта частина. Решта, очевидно, вирішили, що дешевше і надійніше платити безпосередньому «даху»: чи то в міліцію, чи в прокуратуру, чи депутату Київради. Або й блатним. Безпрецедентна історія трапилася того ж таки 2012 року на Печерську – просто під будівлею Центрвиборчкому. Кіоск з'явився під стінами установи. Коли те саме управління благоустрою з краном приїхало на демонтаж, їх зустріли люди зі специфічною зовнішністю і манерами. Коротко стрижені, в спортивних костюмах, поводилися виклично і агресивно. Під роздачу потрапив міліціонер – йому порвали сорочку, та ще й кілька разів ударили – посеред білого дня, при скупченні народу. Міліція ледве впоралася з «підприємцями». Але вже через дві години уся четвірка, регочучи, вийшла з відділку – на клопотання народного депутата, борця Ельбруса Тедеєва. Ще через день проти міліціонерів, які затримували нападників, порушили кримінальну справу. Невідомо, чим би закінчилася історія, якби не було відеозапису подій. Із побитого дільничного звинувачення зняли, проте його кривдників не покарали.
…
Якийсь дотепник свій кіоск-наливайку назвав просто – Гендель. І над входом повісив портрет композитора. Так і живемо. Країна поволі перетворюється на один велетенський Генделик. Сьогодні увечері я знову стою в черзі до свого «рідного» кіоску. Переді мною – учорашній п'яний. Живий, але виглядає пом'ято і знову гикає. Замовляє чотири літри пива.
Моя черга. Бачу просто над віконечком табличку – «СТОП ДЕМОНТАЖ! Кіоск під охороною такої–то асоціації підприємців».
– Непастеризоване? – замість привітання питає мене колишня двірничка, а нині продавець кіоску. – Якраз привезли. Вам скільки?
– Давайте чотири літри, – кажу я.
Адже більше ніде, крім кіосків, я не зможу купити своє улюблене пиво.

МАФ – так звана мала архітектурна форма; усілякі кіоски та тимчасові магазинчики.*

Kiedy wczoraj wieczorem wracałem do domu, zobaczyłem na podwórku furgon na niebieskich blachach. Milicja. Obok drzewa, w rogu budynku, stało kilku ludzi w mundurach. Pochyleni oglądali ciało. „Trup" – pomyślałem, parkując samochód. Szybkim krokiem podszedł do mnie młody lejtnant.
– Można pana prosić?
„No tak, zaraz zostanę wezwany na świadka i wieczór z głowy" – przeleciało mi przez myśl.
– A co się stało?
– A ten tu, leży pijany, może pan go zna?
Podszedłem. Plecami o drzewo na wpół oparty siedział człowiek i czkał, obok w błocie walała się reklamówka z zakupami, głowę miał spuszczoną. Pochyliłem się i przecząco pokręciłem głową:
– Nie kojarzę nikogo takiego. W budynku jest prawie sto mieszkań i mnóstwo alkoholików.
– Wezwij karetkę! – poradził lejtnantowi starszy wiekiem, ale niższy rangą sierżant. – Babcia, sąsiadka, mówiła, że z nim mieszkają sami tacy. Jeszcze się udławi rzygami i tylko będziemy mieli problem.
– Poczekaj, powinien mieć gdzieś telefon. Spróbujemy oddzwonić na ostatnio wybierany numer.
Lejtnant był całkiem młody i uczciwy – takich nieczęsto

spotyka się w ukraińskiej milicji.
– A od kiedy to milicja jedzie na wezwanie do pijanego? I to jeszcze z taką obstawą, po cztery osoby? – zainteresowałem się.
– Jechaliśmy tędy do pożaru, a tu raptem zaczęli wołać, że trup na podwórku, no to przyszliśmy zobaczyć…
– Lejtnant już nie był taki zadowolony z powodu historii, w którą się wplątał.
Wyciągnął z kieszeni pijanego telefon i bezskutecznie próbował się dodzwonić do jakiejś Oksany. Sierżant w tym czasie ze swojego telefonu wezwał karetkę:
– Padaczka, tak, padaczka, telepie się, mężczyzna, koło pięćdziesiątki.
Z balkonu na pierwszym piętrze wychyliła się była dozorczyni, a obecnie sprzedawczyni w kiosku.
– Podnieście mu głowę – poprosiła. Przyjrzała się i powiedziała: – Z czwartego piętra, mieszkanie na rogu.
W ten sposób w ciągu dziesięciu minut oficer odnalazł współlokatorów pijanego i zadowolony, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku zbierał się do furgonetki. Tym razem – interwencja bez komplikacji. Po pijaka wyszła niewiele trzeźwiejsza kobieta i jeszcze jakiś podchmielony mężczyzna.
– Jest tam coś? – zapytał, widząc, że kobieta gapi się na torbę z zakupami.
– Jest wszystko, tylko nie to. Pewnie zgubił albo zajebali, kiedy tu się walał, trzeba będzie iść po piwo do kiosku.
– To leć do kiosku, a ja to cielsko zawlokę.
Podpity mężczyzna zarzucił sobie na plecy nieprzytomne ciało kumpla, pokuśtykał powoli w stronę klatki, a kobieta poszła w stronę kiosku. Ruszyłem za nią. Robiło się ciemno. Kiosk był oazą światła w mroku. Niczym ćmy zlatywali się do niego mieszkańcy osiedla.
– Piwo.
– Dwa piwa i czipsy.
– Piwo i sucharki.
– Piwo.
Wreszcie moja kolej:
– Ma pani niepasteryzowane?
– O, dobry wieczór! – rozpoznaje mnie też podpita sprzedawczyni. – Specjalnie dla pana zamówiłam, ale będzie dopiero jutro.
Nie wierzę jej – jak to specjalnie dla mnie? W kiosku pracują dwie – ta wiecznie zadowolona z życia i podchmielona blondynka oraz surowa, niepijąca od dawna dozorczyni.
– Papierosów nie ma? – pytam na wszelki wypadek, choć znam odpowiedź.
– Nie, już mówiłam panu, że koncesja jest droga i tylko kupa problemów z kontrolami. Dlatego nie zamawiamy ani wódki, ani papierosów.
Biorę chleb, wodę i jakąś konserwę. Palę koło klatki. Wszystkie ławki, nawet na placu zabaw, są zajęte. Dzieci bawią się na rozklekotanych huśtawkach, a ich mamy piją piwo i palą. Niedopałki, korki i butelki rzucają prosto na ziemię. Tatusiowie stoją w oddzielnej grupie ze dwadzieścia metrów dalej. O jedenastej zamykają kiosk. Tuż obok niego stoi jeszcze jakaś ekipa i dopija ostatnie piwo. Potem podwórze pustoszeje. Po papierosy trzeba iść prawie kilometr dalej. Tam też jest kiosk, otwarty całą dobę. Kolejka spora. Para z psem, grupka młodych ludzi, dwóch gości w skórzanych kurtkach. W dzień do kiosku można wejść drzwiami, ale w nocy zamówienia przyjmują tylko przez okienko. Zaopatrzenie wygląda średnio – pociemniała kiełbasa, roztopione sery. Na lodówce kilka zgniłych pomidorów i dwa banany. Z tyłu półki z mocniejszymi trunkami.
– Dwa koniaki – zamawia jeden z dwóch mężczyzn stojących przede mną w kolejce.
– I coś na zagrychę! – woła drugi.
– Cytrynę? – pyta pierwszy.
– Cytrynę też. I kiełbaskę. I ser. I pomidorka. Dwa.
– A nie potrujemy się? – pyta pierwszy drugiego.
– Do koniaku pasuje. Wszystko się przetrawi.
Kupuję papierosy, niepasteryzowanego piwa znów brak, więc proszę o wino wytrawne. Wybór niewielki – została tylko jedna butelka taniego ukraińskiego chardonnay.
– U nas praktycznie nikt tego nie kupuje – usprawiedliwia się młoda sprzedawczyni. – Wszyscy tu przychodzą po coś mocniejszego.
– To w takim razie dziękuję. Jakby co, jeszcze wrócę.
Odchodzę, otwieram papierosy. Za mną ustawiła się już spora kolejka spragnionych. Zapalam i od razu zaczynam kaszleć – uczucie, jakby do papierosa ktoś napchał śmieci. Przyglądam się paczce, niby wszystko gra, jest akcyza, ale kolor jakiś taki jak nie zawsze i chyba brakuje któregoś z napisów. Tytoń też podejrzany – prawie biały. Przestaję mieć jakiekolwiek wątpliwości, to nie są oryginalne papierosy. Powoli schodzę dalej ulicą do całego zagłębia kiosków, tak zwanego bazarku. Tu nawet wieczorami są tłumy. Wracając z pracy, tylko na bazarku ludzie mogą kupić w miarę świeże warzywa czy owoce. Między kioskami a ulicą na chodniku siedzi kilku emerytów z przedmieść, którzy sprzedają własne jarzyny na odwróconych skrzynkach. Milicja ich przegania.
W kioskach jest drożej, poza tym non stop oszukują. Wagi stoją tak, że sprzedawcy zasłaniają plecami ich wskazania. Moja była żona miała obsesję na punkcie uczciwości. Pewnego razu, nakupiwszy warzyw, raptem zorientowała się, że ją oszukano. Powoli odchodząc od kiosku, liczyła wszystko jeszcze raz. Z matematyki może była kiepska, ale intuicję miała dobrą. Wróciła. Przeczekała kolejkę i grzecznie poprosiła o zważenie. Czarnowłosa sprzedawczyni ze złością rzuciła towar na wagę. Zaczęła liczyć. Nie zgadzało się. Sprzedawczyni podniosła głos, mówiąc, że już nie pamięta, przecież przychodzą do niej setki ludzi. Kalkulator za każdym razem pokazywał inną liczbę. W końcu sprzedawczyni wzięła wcześniej wydaną resztę i oddała jeszcze mniej. Wtedy moja żona nie wytrzymała i ze łzami w oczach zaczęła ciskać w nią drobnymi ze słowami, że nie trzeba jej reszty, chodziło o szacunek. Sprzedawczyni spokojnie wysłuchała i nie kwapiła się zebrać drobniaków.
Właściciele kiosków z tak zwanego bazarku są Azerami. Czasem przyjeżdżają furgonetkami ze świeżym towarem i pomagają go rozładować. Zawsze krótko ostrzyżeni, lubią złote błyskotki – po pierścieniu na każdą rękę i łańcuszek na szyi.
Pomiędzy tym wszystkim idę sobie dalej ulicą, a tam rośnie nowy rząd kiosków. W dwóch sprzedają mięso, ser i ryby. Kiedy sprzedawcy otwierają tylne wyjście, wyrywa się stamtąd gryzący zapach chloru.
Między mięsnymi kioskami i tak zwanym bazarkiem jest jeszcze jeden kiosk całodobowy. O jego istnieniu wie każdy. Z wyglądu przypomina fortecę – od chodnika przesłania go rząd lodówek z piwem. W jego wewnętrznym podwóreczku non stop jest ludno i głośno. Zawsze tam stoi jakieś towarzystwo i dudli piwo. Systematycznie pojawiają się nowi. Typowe przedmieścia nocnego Kijowa. Przyglądam się lodówkom, ale mojego ulubionego piwa nie widzę. Na wszelki wypadek jeszcze pytam młodą sprzedawczynię, której skutecznie udaje się przekrzyczeć ekipę na ulicy.
– Oczywiście, że jest! – i wyłuskuje gdzieś z głębi plastikową litrową butelkę piwa – z bryłkami lodu w środku i kroplami na wierzchu.
Chwilę się waham, ale wiedząc, że więcej kiosków na tym osiedlu już nie ma, macham ręką:
– Proszę dać dwa.
Odchodzę na bok dalej od hałasu – i wbrew zakazowi i groźbie mandatu – próbuję piwa prosto na ulicy. Jak się można łatwo domyślić, nie smakuje mi. „Być może też jest oszukane" – myślę sobie. Naprzeciw – niewielki pusty placyk. Kiedyś stał tu jeszcze jeden kiosk. Jego żywot był krótki. Tydzień lub dwa. Interes kręcił się dobrze. Potem ktoś czerwoną farbą po ukraińsku napisał na fasadzie: „Zabrać, bo spalimy". W ciągu kilku dni pogróżka się urzeczywistniła. Wieczorem po pracy zobaczyłem czarny szkielet. W środku były czarne lady, na jednej jeszcze leżała czarna gumowa lalka. W ciągu kilku dni uprzątnięto zgliszcza.
Nieoficjalna statystyka „Kijów-Energo" (muszą przecież skądś ciągnąć prąd!) mówi, że w Kijowie działa dwadzieścia cztery tysiące MAF-ów. W 2007 roku było ich tylko cztery tysiące. Rok temu – trzynaście tysięcy. Teraz są wszędzie. Przy stacjach metra, wokół rynków, na rynkach, na osiedlach mieszkalnych, i niemieszkalnych. Moi przyjaciele mieszkają na Podole – historyczna część stolicy – i co? – dokąd idziemy późnym wieczorem po „żywe" niepasteryzowane piwo? Tak, właśnie tam – na plac Kontraktowy, który przeobraził się w jednolitą małą formę architektoniczną. Ciemne okna kiosków. „Zamknięte", „nieczynne", a mimo to w jednym się świeci i nam otwierają. Po tamtej stronie okienka, między lodówkami a skrzynkami, siedzi dwóch mężczyzn. Wyraźnie im się nudzi, bo usiłują sobie z nami pożartować. Pracują tu od dawna i im się podoba. Pieniądze średnie, ale w czasach kryzysu trzeba się cieszyć i z takich, poza tym praca nie jest jakoś specjalnie męcząca.
– Każdy kiosk – to dwa-trzy miejsca pracy – odruchowo broni MAF-ów kobieta z jakiegoś towarzystwa ochrony przedsiębiorców; jej biuro, tak na marginesie, też mieści się w kiosku. Wreszcie kioski to podatki do budżetu, to dostęp ludzi do towaru. W skali małego biznesu taki MAF stanowił kiedyś pierwszą inwestycję. Początkowe koszty nie są wielkie, średnio kiosk zaczyna przynosić dochody po trzech miesiącach pracy, a ryzyko jest minimalne.
Przeciwnicy MAF-ów mają swoje argumenty: szpecą miasto – raz; ciemne interesy i kryminał – dwa; żadnych podatków nikt nie płaci – trzy; ludzie pracują tam nielegalnie – cztery; zerowe warunki sanitarne – pięć.
„Co więcej, MAF-y sprzyjają sprzedaży narkotyków, szczególnie na osiedlu Desniańskim, Obołońskim i Podolskim. Większość kiosków szybko zmienia się z osiedlowego sklepiku w siedlisko ciemnych interesów" – pisze w artykule o MAF-ach dziennikarz Jurij Butusow.
Czasem kioski znikają bez śladu. Najczęściej jednak chwilę po tym na ich miejscu pojawiają się nowe, a często zamiast jednego wyrastają przynajmniej dwa. Tak się złożyło, że byłem świadkiem próby likwidacji MAF-u. Pośród zieleni parku ogrodzona wiklinowym płotkiem stała żelazna buda z szaszłykami. Właściciel, Gruzin, gorączkowo wymachiwał jakimiś papierami przed nosem milicjantów. Ci się odwracali. Tak samo odwracał się facet z nadzoru budowlanego z rozbieganym wzrokiem. Powiedział tylko:
– Ja mam tu wyraźnie napisane: rozbiórka. – Pracownicy służb miejskich palili obok dźwigu na platformie. Otyłe chłopaki o smagłych twarzach czekały, kiedy wreszcie będą mogli zabrać się do roboty.
– MAF tu stoi nielegalnie, trzeba go usunąć – tymczasem przekazał do prasy krótki komentarz ich szef, młodziak w skórzanej kurtce. – Oprócz tego to jest park, napływają skargi od okolicznych mieszkańców na hałas. Sprzedajecie alkohol, a dookoła pełno dzieci.
– No to pokażcie te skargi! – odzywa się nerwowa kobieta z towarzystwa przedsiębiorców. – Co? Nie ma żadnych? A, przy sobie nie macie?! Jestem pewna na sto, ba! na dwieście procent, że jutro, pojutrze na miejscu rozebranego kiosku pojawi się nowy. Albo i dwa nowe. Tylko ludzi trzeba. Słyszałam o zastępcy prokuratora okręgowego. Prokurator chciał pieniędzy od Gruzina. On, bidak, nawet języka się dobrze nie zdążył nauczyć: ożenił się z Ukrainką i przeprowadził tu dwa lata temu.
Goście ze służb miejskich w tym czasie skończyli palić i wzięli do rąk narzędzia. Uzbrojeni w łomy podeszli tuż pod ogrodzenie, gdzie trzymając się za ręce, niczym żywy łańcuch, stali przyjaciele i krewni Gruzina.
– Milicja, milicja, biją, mordują!!! – woła kobieta z towarzystwa przedsiębiorców, która też dołączyła do żywego łańcucha obrońców.
Zaskoczona ekipa wstrzymuje się z demontażem, potem, na polecenie chłopaka w skórze, próbuje jeszcze wejść od tyłu, ale bezskutecznie. Milicja podchodzi i prosi przyjaciół Gruzina, żeby nie przeszkadzali w wykonaniu orzeczenia sądu. Młodzieniec w skórze zaczyna się denerwować i dzwonić do kogoś. Po jakimś czasie macha ręką – jego ekipa chowa łomy do busa, wszyscy wsiadają. Pierwszy odjeżdża dźwig, potem bus, wreszcie chłopak w skórze – toyotą z kierowcą. Otwiera okno i krzyczy do Gruzina i nerwowej kobiety:
– Ja tu jeszcze wrócę!
Podejrzewam, że spełnił swoją obietnicę, już bez obecności dziennikarzy, i tak został zaprowadzony porządek – kiosk załadowano na platformę i wywieziono. Tak samo pewne jest, że za jakiś czas na tym samym miejscu pojawiła się inna buda i nowy właściciel.
Na początku 2012 roku władze miejskie Kijowa zmieniły swoją politykę wobec kiosków. Postanowiono je po prostu zalegalizować. Żeby tego dokonać, wystarczyło tylko wpłacić tak zwany udział i żadne pozwolenia już nie były potrzebne. W grę wchodziły pokaźne kwoty – dodatkowy podatek dla miasta opiewał na dziesiątki tysięcy.
Początkowo do budżetu popłynęła rzeka pieniędzy. Potem jednak zaczęła się dobrze znana polityka korupcyjna. Z ponad dwudziestu tysięcy kiosków zalegalizowana została może jedna piąta, maksimum jedna czwarta. Reszta, oczywiście, doszła do wniosku, że taniej i pewniej płacić bezpośrednio „wierchuszce", czy to milicji, czy prokuraturze, czy miejskim deputowanym. Albo złodziejom.
Bezprecedensowa historia wydarzyła się w tym właśnie 2012 roku na Peczersku – tuż pod budynkiem Centralnego Komitetu Wyborczego. Kiosk wyrósł bezpośrednio przy ścianie urzędu. Kiedy na miejsce przyjechała ta sama ekipa z wydziału zagospodarowania przestrzennego z dźwigiem, by dokonać rozbiórki, na spotkanie im wyszli ludzie o specyficznym wyglądzie i manierach: krótko

ostrzyżeni, w dresach. Zachowywali się prowokująco i agresywnie. Dostało się milicjantowi – podarli mu koszulę, i jeszcze oberwał parę razy – w biały dzień, przy ludziach. Milicja ledwo sobie dała radę z „biznesmenami". Tymczasem już po dwóch godzinach cała czwórka, rechocząc, wyszła z posterunku – dzięki staraniom posła, zapaśnika Elbrusa Tedejewa. Jeszcze tego dnia milicjantom, którzy zatrzymywali napastników, założono sprawę w sądzie. Nie wiadomo, jakby się zakończyła ta cała historia, gdyby nie zapisy z kamer wideo. Pobitego dzielnicowego oczyszczono z zarzutów, ale jego oprawców nie ukarano.
…
Jakiś dowcipniś swój kiosk-pijalnię nazwał po prostu – Händel. I nad wejściem powiesił portret kompozytora. Tak właśnie żyjemy. Kraj powoli zamienia się w jeden wielki Handel.
Dziś wieczorem znów stoję w kolejce do mojego „rodzinnego" kiosku. Przede mną pijak z wczoraj. Żyje, ale mocno wymięty, i znów ma czkawkę. Zamawia cztery litry piwa.
Moja kolej. Tuż nad okienkiem widzę tabliczkę – „Stop rozbiórkom! Kiosk chroni takie a takie towarzystwo przedsiębiorców".
– Niepasteryzowane? – zamiast powitania pyta mnie była dozorczyni, a obecnie sprzedawczyni. – Właśnie przywieźli. Ile panu dać?
– Poproszę cztery litry – mówię.
Przecież nigdzie poza kioskami nie dostanę mojego ulubionego piwa.

MAF – tak zwana mała architektoniczna forma; wszystkie kioski i tymczasowe sklepiki.*

[Tłumaczenie: Ksenia Kaniewska]

ОЛЕГ КРИШТОПА (1978, Україна) – письменник, журналіст. Зараз мешкає у Києві. Автор чотирьох книг прози: «Сурдокамера» (2001), «Мистецтво склеювати черепки» (2002), «Кохання, секс і смерть гарантовані» (2006), «Усі жінки курви» (2013). Багато років працював у жанрі журналістського розслідування («Закрита зона», «Попередження») та сценаристом історичної програми Машина часу. Автор кількох документальних фільмів. Лауреат премії видавництва «Смолоскип» (2000), переможець конкурсу художнього репортажу «Самовидець» (2013).

OŁEH KRYSZTOPA (1978, Ukraina) – pisarz, dziennikarz. Obecnie mieszka w Kijowie. Autor czterech książek prozatorskich: *Dźwiękoszczelny pokój* (2001), *Sztuka sklejania kawałków* (2002), *Miłość, seks i śmierć gwarantowane* (2006), *Wszystkie kobiety to kurwy* (2013). Przez wiele lat pracował jako dziennikarz śledczy („Strefa Zamknięta", „Uwaga") i scenarzysta programu historycznego „Maszyna czasu". Autor kilku filmów dokumentalnych. Laureat nagrody wydawnictwa Smołoskyp (2000), zwycięzca konkursu na reportaż artystyczny „Samowydec" (2013).

© Paula Bochenek

Олена Шеремет Ołena Szeremet

МОЖЛИВІСТЬ РЕАЛЬНОГО
MOŻLIWOŚĆ REALNEGO

Ідея літератури як документу геть не нова. Пройшовши внутрішньожанрові трансформації й різні хвилі популярності, сьогодні на Заході вона почувається як ніколи впевнено й складає серйозну конкуренцію так званій фікційній прозі. Коли ще в 1920-их роках у Росії ЛЕФ-івці проголошували принцип підпорядкування літератури фактам на противагу вигадці чи поетиці жанрів, ідею своїх колег в Україні підхопила футуристична група «Нова генерація» на чолі з Михайлем Семенком. Щоправда, невдовзі соцреалізм перекреслив усі ЛЕФ-івські постулати, із настановою на служіння пролетаріату включно. Якщо Осип Брік писав, що задля правдивого змалювання життя робітників безглуздо вивчати досвід трьох заводів, а потім вигадувати четвертий, якого не існує насправді, то нова радянська дійсність запустила свою репресивну машину й показала, наскільки небезпечною була така позиція. Соціалістична правда виявилася зовсім іншою.

Сьогодні, озираючись на західний досвід, ми скрушно констатуємо численні пробіли в українській літературі – бракує їй як проговорення багатьох тем, пов'язаних, скажімо, з травматичним досвідом минулого, так і жанрів, що за своєю природою до цього реального досвіду відсилають. Звісно, що класичні біографії, мемуари чи листування нікуди з літератури не зникли, але чи то через надмірну академічність, чи через художню незграбність, вони приваблюють здебільшого лише вузьке гроно фахівців. Функцію ж віддзеркалення «дійсності» наразі повністю перебрали на себе журналістика й масове непрофесійне письменство, що поширилося останнім часом завдяки блогам і соціальним мережам. Як показує той же західний досвід, саме на перетині цих письменницьких практик і виник новий документальний жанр – репортаж.

Можна сміливо говорити про читацьке зацікавлення репортажем в Україні на підставі популярності перекладних текстів, зокрема представників польської школи репортажу – Ришарда Капусцінського, Маріуша Щиґела, Яцека Гуґо-Бадера чи Вітольда Шабловського. Натомість власних репортажів українська література поки не виробила. Здається, ми лише підходимо до розуміння, чим є цей жанр, адже ще нещодавно до нього могли зарахувати тексти Максима Кідрука («Мексиканські хроніки», 2009, «Подорож на Пуп Землі», 2010) чи Артема Чапая («Авантюра. Практичні реалії мандрів по-бідняцьки», 2008, «Подорож із Мамайотою в пошуках України», 2011). Обидва автори вийшли із блогосфери, що легко прочитується в їхніх текстах, і обидва пишуть класичні травелоги, або ж подорожні нотатки. Головною темою цих книжок є перебіг мандрівок і подолання різноманітних перешкод на шляху, а автентичність переживань забезпечується відавторською нарацією. Описи ландшафтів і особливостей місцевого побуту, як і соціальної ситуації чи її історичних передумов – це важливий, але зовсім не сюжетотворчий елемент. Він виступає своєрідною мотивацією для автора-наратора в його подорожі й екзотичним тлом до цікавих пригод для читача. Без небезпечних вулканів, старих еквадорських автобусів, що одним колесом завжди нависають над прірвою, або озброєних бандитів чи не на всіх кордонах Південної Америки Кідрукові пригоди втратили б свою гостроту. Без спроби передати мову різних регіонів України оповідь Чапая не мала би свого колориту. В обох випадках це дає певне уявлення про життя місцевих, але досить поверхове, без заглиблення у суть речей і явищ. Власне, це й не є метою травелогів, для нас вони цікаві передовсім як історичне джерело репортажистики й перша спроба поновити традицію нефікційної літератури в Україні. А також – для проведення хай умовної (як це завжди є, коли йдеться про сучасну літературу), але все ж межі між травелогом і репортажем.

До другого вже певніше можна зарахувати зовсім свіжу книжку відомого журналіста Сергія Лещенка. Його «Американська сага Павла Лазаренка» (2013), названа видавцем просто публіцистичним виданням, – це серія статей про перебіг судового процесу над найвідомішим українським політиком-утікачем, що виходила в інтернет-часописі «Українська правда». На понад трьохстах сторінках автор ретельно відтворює хронологію подій з фрагментів інтерв'ю й стосів документів, наданих йому каліфорнійським судом.

Прискіпливий автор цитує телеграми Інтерполу, розшифровки допитів, довіреності на офшорні компанії і навіть звіти Лазаренка про відвідування супермаркету під час його домашнього арешту (фото документів служать ілюстраціями до книжки). Як окремі деталі в тексті вони не виростають до рівня метафор, однак нагромадження їх створює вичерпне уявлення про механізми дії американської судової системи. А вона також може претендувати на роль головної героїні тексту – такого собі антагоніста Лазаренка, корупціонера-невдахи, який до кінця не вірив у ймовірність покарання. Доповнюють його образ інтерв'ю і спогади колишніх соратників та ворогів – від методів торування шляху в велику політику до переживання власного падіння. Він, безумовно, є творінням своєї епохи, періоду дикого нагромадження капіталу в буремні 1990-ті на руїнах СРСР, але ця тема порушена в книжці досить побіжно. Журналіст зазначає, що розкрадання державного бюджету Лазаренком у порівнянні з оборудками нинішньої олігархічної влади видаються дитячою забавкою, але з тексту ми не дізнаємося нічого про корупційні дії, скажімо, цитованого ним Леоніда Кучми. Ніби справді можна було стати президентом, залишаючись чистим у тій системі. Передбачається, що український читач цілком обізнаний у ситуації, і тому логічними є ці відсилання до нового покоління політиків. Зрештою, закиди щодо відсутності ширшого історичного тла можна відкинути, автор неоднозначно говорить, що в центрі його оповіді – невідворотність покарання, що можливе лише за демократичного ладу, а Україні до нього ще дуже далеко. Стилістично тексти Сергія Лещенка ближчі до статей-розслідувань, лаконічні й максимально інформативні, але не бракує тут особистих вражень і моральних оцінок.

Назбирати зразків таких геть негазетних текстів можна по багатьох виданнях – від російськомовного «Есквайра» до локальних часописів на кшталт «Галицького кореспондента». Репортаж в Україні зараз активно присвоює собі художні техніки й розширює тематику поза актуальні новини, а в літературу він може принести багатий матеріал із нашої дійсності.

Першою насправді знаковою для розвитку репортажу подією стало проведення у лютому минулого року конкурсу «Самовидець», заснованого видавництвом «Темпора». До складу журі увійшли письменникий перекладачі Антон Санченко та Андрій Бондар (який у свою чергу також представляє новий і присвоєний з медіа жанр – колонки) й літературна критикиня Тетяна Трофименко. Спершу вони обрали десять найкращих текстів, які увійдуть до антології конкурсу, а потім з-поміж них визначили переможця. Цікаво, що серед десятки є відомі українські письменники Олег Коцарев і Олександр Гаврош, але перші місця зайняли все ж професійні журналісти, хоча Олег Криштопа – переможець – має ще й літературний бекґраунд.

Власне його репортажі «Україна. Масштаб 1:1» постали як результат роботи на телебаченні й розповідають про зовсім невиняткові в Україні випадки безпорадності жертв і безкарності винних. Молоді «мажори», діти впливових батьків, спровокувавши страшну аварію зі смертельним фіналом, легко уникають будь-якої відповідальності, а чиновники державних служб нехтують своїми обов'язками, посилають людей на смерть, а потім прикриваються формальними відписками. З іншого боку – родини загиблих, яких залякують і платять за мовчання. «Як він все одно сидіти не буде, то хай його Бог судить», – така мудрість невтішної вдови. Олег Криштопа зачіпає в своїх текстах нагальні проблеми, які потоками ллються на нас зі шпальт газет і телеекранів. На хвилі посилення авторитаризму в країні права людини тут порушуються щодня, але їх неможливо захистити: суди, керовані хабарами – це не суди, проста істина, висловлена вустами жінки з села, якого навіть немає на картах.

Світ цих репортажів гнітючий і моторошний, забарвлений містицизмом у порівняннях винних до вурдалаків і загадковим зникненням серця із тіла загиблого моряка. Автор свідомо розставляє акценти, епатуючи горем жертв і байдужістю кривдників, а сприйняття читачів може бути лише одне, наперед ним визначене. Щось схоже на поєднання горрору і української сентиментальної літератури – відомо, в який момент читач має боятися, а в який плакати. Попри те, це не заперечує важливості приговорювання цим складних тем, особливо коли монополію на них мають цілком лояльні до режиму ЗМІ.

Як переможець конкурсу Олег Криштопа має право видати збірку своїх репортажів, тож після антології це буде друга книга художнього репортажу в Україні. Про неї репортер уже розповів на зустрічі в Інституті репортажу в Варшаві.

Власне, з одного боку поки доводиться говорити про український репортаж як про потенційно можливий, а з іншого – можемо ігнорувати формальності літератури й звернутися до вже згадуваних блогів. Денис Казанський, який посів зі своїм текстом «Санітарна зона» на конкурсі третє місце, це відомий донецький блогер frankensstein і репортер інтернет-видання «Остров». У своєму Живому журналі під назвою «Усе буде Донбас!» він поширює власні журналістські розслідування, що стосуються переважно зловживань місцевої влади. При цьому географія його репортажів справді охоплює весь шахтарський регіон – тут можна прочитати про ромів у Сніжному, пам'ятник сталевару в Маріуполі, знищення трамвайних шляхів у Стаханові. Природно, що багато Казанський пише про нелегальні шахти, так звані копанки, що наприкінці 1990-их, після закриття легальних підприємств, почали масово з'являтися у багатьох містечках і селах просто в людей під ногами – на дорогах, у дворах, під чиєюсь хатою. Улюблена тема іноземних журналістів, які приїжджають в Україну знімати депресивні постіндустріальні пейзажі, і далі потребує висвітлення, бо вугільна мафія, покровителем якої називають старшого сина президента-узурпатора, має міцний захист правоохоронних органів, а люди продовжують гинути під землею, заробляючи буквально на шматок хліба й чарку горілки.

Та цінність цього блогу полягає в тому, що увага його автора не оминає різноманітні дивацтва, як то латання доріг брудом з узбіч, створення своєрідного «ахметівського села» навколо школи, де навчався найбагатший український олігарх, вручення медалей «50 років перемоги в Великій Вітчизняній Війні» (що, очевидно, залежалися з 1995 року) учасникам бойових дій в Афганістані чи луганський музей жертв Помаранчевої революції. Усе це могло би здатися сюрреалістичним карнавалом, якби це не була та дійсність, яку ми бачимо щодня. Світ цих текстів так само безпросвітний, репортерові ж вистачає здорової іронії й почуття гумору, щоби пишучи про весь цей треш, утриматися від пафосу: «Я давно жалівся, що на Донбасі досі немає свого Стівена Кінґа чи Діна Кунца. Ніби й сюжетів купа, а описати нікому. А потім подумав і вирішив – а нащо? [...] Можна просто видати альманах головних новин за рік (переклад із російської мій – ОШ)». Вистачає Франкенштайну й майстерності добирати промовисті цитати, а формат блогу дозволяє висловлювати сміливі судження й вживати гострі слівця про «бандитську республіку Донбас, де держава існує лише на папері й в телевізорі».

Зовсім іншим стилістично є блог Наталі Гуменюк (друге місце в конкурсі «Самовидець» із текстом «Як звучить пустеля там, де починається вода») – значно поетичніший, часто базований на власних відчуттях. Хоча пише вона про ті самі речі – права людини, корупціонерів при владі, насилля в міліції, але як журналістка-міжнародниця має ширшу перспективу й географію. Її блог «So far, so close» (Про світ, який так далеко й так близько) присвячений переважно Близькому Сходу, що впродовж багатьох років не перестає бути центром історичних подій, а тому авторці доводиться часом мірятися зі значно важчими темами, як то війна чи теракти, а отже смерть близьких. Її героями є жителі бідняцького району Багдада Садр-сіті, бійці Вільної сирійської армії, активісти на єгипетському майдані Тахрір, правозахисники й колеги-журналісти. Окремою великою темою є мистецький спротив, Наталя Гуменюк широко висвітлює діяльність художників і музикантів, заангажованих у боротьбу проти диктатури, які попри цензуру стають голосами протестів. Авторка пише про складний світ, де жорсткі рамки традиції накладаються на реалії сучасного світу, попри блокування інтернету молоді ліберали заходять у соціальні мережі через VPN-сервери, але де навіть найпрогресивніші дотримуються вже мертвих для них ритуалів. Її тексти цінні тим, що пояснюють ці культурні різниці, хоча сама блогерка не проводить поділів між людьми й у всьому схильна шукати спільне. «Взагалі-то в цьому записі варто не звертати уваги на географічні назви та імена», – пише вона, коли йдеться про боротьбу людей в різних країнах за власні права, й часто відсилає до українського досвіду.

Репортаж як вид документалістики фіксує динамічні й мінливі процеси, що відбуваються навколо, а це стає потребою сучасної людини – поглянути на світ зблизька, мати час розібратися, пережити. Коли ж репортаж стає літературою? Вочевидь, має значення тільки добрий стиль, особлива оптика бачення і читачі.

Лінки до теми:
http://frankensstein.livejournal.com/ – блог Дениса Казанського
http://sofarsoclose.net/ – блог Наталки Гуменюк

© Mikołaj Łoziński

Pomysł na literaturę jako formę dokumentalną nie jest nowy. Po licznych przeobrażeniach w obrębie gatunku oraz przejściu przez kolejne etapy popularności, obecnie na Zachodzie ma się ona dobrze jak nigdy dotąd i stanowi poważną konkurencję dla tzw. prozy fabularnej. Już w latach 20., gdy członkowie rosyjskiego ugrupowania LEF głosili koncepcję podporządkowania literatury faktom, co miało stanowić przeciwwagę dla fabuły, pomysł swoich kolegów podchwyciła na Ukrainie futurystyczna grupa „Nowa heneracija" na czele z Mychajłem Semenką. W praktyce socrealizm miał już wkrótce przekreślić wszystkie postulaty LEF, włączając w to służebną rolę wobec proletariatu.
O ile Osyp Bryk pisał, że dla wiernego oddania charakteru życia robotników nie ma sensu zdobywać doświadczenia w trzech zakładach, aby później wymyślić czwarty, który tak naprawdę nie istnieje, to nowa radziecka rzeczywistość uruchomiła aparat represji i pokazała, jak niebezpieczne było takie stanowisko. Socjalistyczna prawda okazała się być zupełnie inna.

Dziś, bazując na świadomości Zachodu, z przykrością musimy stwierdzić fakt istnienia licznych luk w literaturze ukraińskiej – brakuje w niej zarówno przepracowania pewnych tematów, związanych np. z traumatycznymi doświadczeniami z przeszłości, jak i gatunków, które ze względu na swoją specyfikę odnosiłyby się do tych realnych doświadczeń. Owszem, klasyczne biografie, pamiętniki czy listy nigdy nie zniknęły z literatury, ale, czy to przez nadmierną akademickość, czy przez swoją artystyczną ociężałość, przyciągają one głównie wąski krąg specjalistów. Funkcję odzwierciedlania „rzeczywistości" pełni jak dotąd jedynie dziennikarstwo i masowo tworzona literatura amatorska, która rozwinęła się ostatnio dzięki blogom oraz mediom społecznościowym. Jak możemy zaobserwować na przykładzie doświadczeń Zachodu, właśnie na przecięciu wspomnianych praktyk pisarskich zrodził się nowy gatunek literacki – reportaż.

Na podstawie popularności przekładów tekstów, zwłaszcza przedstawicieli polskiej szkoły reportażu – Ryszarda Kapuścińskiego, Mariusza Szczygła, Jacka Hugo-Badera czy Witolda Szabłowskiego, możemy śmiało mówić o zainteresowaniu reportażem wśród ukraińskich czytelników. Co się zaś tyczy rodzimych reportaży – ukraińska literatura jeszcze się ich nie doczekała. Wydaje się, że dopiero co dojrzewamy do zrozumienia, czym jest ten gatunek, gdyż jeszcze niedawno zaliczano do niego teksty Maksyma Kidruka (*Kroniki Meksykańskie* 2009, *Podróż na pępek świata* 2010) czy Artema Czapaja (*Awantura. Praktyczne realia wędrówek bez pieniędzy* 2008, *Podróż z Mamayotą w poszukiwaniu Ukrainy* 2011). Co łatwo zauważyć w powyższych tekstach – obydwaj autorzy wywodzą się z kręgu blogosfery i obydwaj piszą klasyczne opowiadania czy to notatki z podróży. Głównym tematem tych książek jest przebieg wyprawy oraz przeciwności, z którymi autor zmaga się na trasie. Autentyzm jest podkreślony narracją pierwszoosobową. Opisy krajobrazów, charakteru życia miejscowej ludności, jak również sytuacji socjalnej lub jej uwarunkowań są elementem ważnym, choć nie tworzącym fabuły. Element ten pojawia się w charakterze motywacji do podjęcia podróży przez autora-narratora, a także pełni rolę egzotycznego tła dla ciekawych przygód. Bez niebezpiecznych wulkanów, starych ekwadorskich autobusów, które zawsze jednym kołem zawisają nad przepaścią, tudzież bez uzbrojonych opryszków na prawie każdej granicy w Ameryce Południowej, przygody Kidruka straciłyby swoją siłę. Z kolei bez próby oddania języka charakterystycznego dla różnych regionów Ukrainy, opowieści Czapaja nie miałyby swojego kolorytu. W obydwóch przypadkach daje to pewne wyobrażenie na temat życia tubylców, aczkolwiek dosyć powierzchowne, bez zagłębiania się w istotę rzeczy i zjawisk. Właściwie nie jest to sednem tych opowiadań, z naszej perspektywy są one interesujące przede wszystkim jako historyczne źródło reportażu, a także pierwsza próba odnowienia tradycji literatury non-fiction na Ukrainie. Także dla ustalenia choćby i umownej (jak to ma miejsce zawsze, kiedy mówimy o literaturze współczesnej), ale jednak – granicy między opowieściami z podróży, a reportażem.

Do drugiego gatunku z pewnością zaliczyć można wydaną niedawno książkę znanego dziennikarza Serhija Leszczenki. Jego *Amerykańska saga Pawła Łazarenki* (2013), nazwana przez wydawcę po prostu publicystyką, to seria artykułów, które ukazywały się w czasopiśmie internetowym „Ukraińska Prawda", będących relacją z przebiegu procesu sądowego w sprawie najbardziej znanego ukraińskiego polityka-uciekiniera. Na przeszło 300 stronach Leszczenko w rzetelny sposób zebrał i chronologicznie uporządkował wydarzenia, bazując na fragmentach wywiadów i stosach dokumentów, które zostały mu przekazane przez sąd w Kalifornii. Dociekliwy autor cytuje telegramy Interpolu, stenopisy przesłuchań, upoważnienia dla zagranicznych firm, a nawet sprawozdania Łazarenki z wizyt w supermarkecie podczas jego aresztu domowego (zdjęcia dokumentów posłużyły w książce za ilustracje). Szczegóły te nie są podniesione do poziomu metaforycznego, ale ich nagromadzenie składa się na pełny obraz mechanizmów działania amerykańskiego systemu sądowniczego. I może on także pretendować do roli głównego bohatera tekstu – antagonisty Łazarenki, który będąc skorumpowanym pechowcem, do końca nie wierzył w możliwość poniesienia kary. Całokształt dopełniają wywiady i wspomnienia niegdysiejszych współpracowników i oponentów – poprzez sposoby torowania sobie drogi do wielkiej polityki, po przeżycie własnego upadku. Bohater jest niewątpliwe dzieckiem swojej epoki, burzliwych lat 90., okresu dzikiego kapitalizmu na gruzach ZSRR, aczkolwiek ten wątek jest podjęty w książce dosyć pobieżnie. Dziennikarz podkreśla, że defraudacja budżetu państwa, której dopuścił się Łazarenko, w porównaniu z machinacjami ówczesnej oligarchicznej władzy, wydaje się być dziecinną igraszką. Z książki nie dowiemy się jednak nic o korupcji w szerszym kontekście, np. w kontekście cytowanego przez autora Leonida Kuczmy. Czy naprawdę można było zostać prezydentem pozostając „czystym" wewnątrz tego systemu? Założeniem autora jest fakt, że ukraiński czytelnik będzie zorientowany w sytuacji i stąd odniesienia do nowego pokolenia polityków. Zresztą, zarzuty dotyczące braku szerszego kontekstu historycznego można odrzucić, autor zapewnia, że w centrum jego opowieści jest nieuchronność kary, która to możliwa jest jedynie w państwie o dobrze funkcjonującym demokratycznym ładzie, a Ukrainie do niego jeszcze daleko. Stylistycznie tekstom Serhija Leszczenki bliżej jest do artykułów śledczych, są lakoniczne i o charakterze maksymalnie informacyjnym, ale nie brakuje im też osobistych refleksji i ocen moralnych.

W wielu publikacjach znajdziemy przykłady tekstów o ambicjach więcej niż dziennikarskich – od rosyjskojęzycznego „Eskvayra" po lokalne czasopisma na kształt „Korespondenta Galicyjskiego". Na dzień dzisiejszy reportaż na Ukrainie dynamicznie czerpie z technik artystycznych oraz poszerza krąg tematyczny wykraczając poza aktualne informacje. Do literatury może on wnieść bogaty materiał zaczerpnięty z naszej rzeczywistości.

Pierwszym naprawdę znaczącym wydarzeniem z punktu widzenia rozwoju reportażu stało się przeprowadzanie w lutym ubiegłego roku konkursu „Samowydec", ogłoszonego przez wydawnictwo „Tempora". W skład jury weszli pisarze i tłumacze: Anton Sanczenko i Andrij Bondar (który swoją drogą także reprezentuje nowy, wywodzący się z mediów gatunek – kolumnę) oraz krytyczka literacka Tetjana Trofymenko. W pierwszym etapie wybrano dziesięć najlepszych tekstów, które złożyły się na antologię konkursu, a następnie spośród nich wyłoniono zwycięzcę. Co ciekawe, wśród tej dziesiątki znaleźli się znani ukraińscy pisarze Ołeh Kocarew i Oleksandr Hawrosz, jednak czołowe miejsca zajęli zawodowi dziennikarze, aczkolwiek zwycięzca – Ołeh Krysztopa posiada także literacką przeszłość.

Jego reportaże *Ukraina w skali 1:1* powstały w rezultacie współpracy z telewizją i dotyczą przypadków bezradności ofiar i bezkarności przestępców, które to na Ukrainie nie są odosobnione. „Mażorzy" – dzieci wpływowych rodziców, spowodowawszy wypadek ze skutkiem śmiertelnym, z łatwością unikają jakiejkolwiek odpowiedzialności, a urzędnicy państwowi lekceważąc swoje obowiązki, wysyłają ludzi na śmierć, a potem zasłaniają się pokrętnymi formalnymi odpowiedziami. Z drugiej zaś strony mamy zastraszone rodziny ofiar, którym płaci się za milczenie. „Jeśli nie zostanie skazany, to już niech Bóg go osądzi" – mówi niepocieszona wdowa. Ołeh Krysztopa porusza w swoich tekstach palące kwestie, które zalewają nas z ekranów telewizorów i z gazet. Na fali umocnienia się w kraju autorytaryzmu, prawa człowieka są łamane codziennie i nie ma możliwości ich ochrony. Sądy, zdominowane przez łapówkarstwo, to nie są sądy – szczera prawda, wypowiedziana przez kobietę ze wsi, która nawet nie widnieje na mapie.

Świat tych reportaży jest przygnębiający i niepokojący, zabarwiony mistycyzmem przejawiającym się w porównaniach winnych do wilkołaków czy też opisie zagadkowego zniknięcia serca z ciała zmarłego marynarza. Autor świadomie stawia akcenty, epatując nas smutkiem ofiar i obojętnością przestępców, z góry określając tylko jeden możliwy sposób odbioru przez czytelnika. Coś na kształt połączenia horroru i ukraińskiej literatury sentymentalnej – wiadomo w których momentach czytelnik ma się bać, a w których płakać. Jednakże nie umniejsza to znaczenia komentarza do niełatwych tematów, w szczególności gdy monopol na ten komentarz posiadają media, całkowicie podporządkowane władzy.

W nagrodę za zajęcie pierwszego miejsca w konkursie Ołeh Krysztopa ma możliwość wydania tomu swoich reportaży, a zatem, zaraz po antologii będzie to drugi zbiór literackich reportaży na Ukrainie. Reporter opowiadał już o nim na spotkaniu w księgarni Instytutu Reportażu w Warszawie.

Z jednej strony wciąż mówimy o ukraińskim reportażu jak o zjawisku teoretycznie możliwym, z drugiej – możemy zignorować formalne wymogi literackie i zwrócić się do wspomnianych już wcześniej blogów. Denys Kazanskyj, który za swój tekst *Sanitarna zona* zdobył w konkursie trzecie miejsce, to znany doniecki blogger „Frankenstein", a także reporter internetowego wydania „Ostrow". Na swoim blogu, który nosi nazwę „Wszystko będzie Donbasem!" upublicznia własne dziennikarskie śledztwa, które najczęściej dotyczą nadużyć ze strony lokalnych władz. Trzeba zaznaczyć, że jego reportaże obejmują obszar całego górniczego regionu – można w nich przeczytać o Cyganach ze Śnieżnego, o pomniku hutnika w Mariupolu, o likwidacji systemu komunikacji tramwajowej w Stachanowie. Rzecz jasna, autor poświęca też sporo miejsca nielegalnym kopalniom, tak zwanym biedaszybom, które pod koniec lat 90., po zamknięciu legalnych przedsiębiorstw, zaczęły masowo pojawiać się w wielu miasteczkach i wsiach, wyrastając dosłownie pod nogami – na drogach, na podwórkach, obok domów. Ten ulubiony temat zagranicznych dziennikarzy, którzy przyjeżdżają na Ukrainę robić zdjęcia ponurych postindustrialnych pejzaży, wciąż wymaga naświetlenia, ponieważ mafia węglowa, za której szefa uchodzi starszy syn prezydenta-samozwańca, ma silne wsparcie ze strony instytucji stojących na straży prawa, a ludzie w dalszym ciągu giną pod ziemią, zarabiając dosłownie na kromkę chleba i kieliszek wódki.

Wyjątkowość tego bloga polega na tym, że uwaga jego autora skupiona jest na różnorakich przejawach dziwactw, jak np. łatanie dziur na drogach brudem z pobocz, stworzenie szczególnej „achmetowskiej wsi" wokół szkoły, w której uczył się najbogatszy ukraiński oligarcha, wręczenie medali w „50 rocznicę zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej" (które oczywiście leżały od 1995 roku) uczestnikom działań zbrojnych w Afganistanie czy też muzeum ofiar Pomarańczowej Rewolucji w Ługańsku. Wszystko to mogłoby wydawać się surrealistyczną maskaradą, gdyby nie była to rzeczywistość, którą obserwujemy każdego dnia. Świat tych tekstów jest ponury, reporterowi nie brakuje jednak ironii i poczucia humoru, aby pisząc o całym tym bałaganie wystrzec się patosu: „Kiedyś żaliłem się, że rejon Donbasu jak dotąd nie doczekał się swojego Stephena Kinga czy Deana Koontza. Niby historii jest bez liku, a nie ma ich kto opisać. A potem przemyślałam sprawę i doszedłem do wniosku – a po co? […] Można przecież opublikować przegląd głównych wydarzeń roku". Frankenstein w mistrzowski sposób dobiera też sugestywne cytaty, a format bloga pozwala na wyciąganie odważnych wniosków i używanie ostrych słów w stosunku do „bandyckiej republiki Donbas, gdzie państwo istnieje tylko na papierze i w telewizorze".

Całkowicie inny pod względem stylistycznym jest blog Natalii Humeniuk (drugie miejsce w konkursie „Samowydec" za tekst „Jak brzmi pustynia w miejscu, gdzie pojawia się woda") – w większym stopniu jest on poetycki, częściej bazujący na własnych odczuciach. Chociaż

autorka porusza te same kwestie – prawa człowieka, korupcję wśród władz, przemoc w milicji – jako dziennikarka z międzynarodowym doświadczeniem ma ona szerszą perspektywę. Jej blog „So far, so close" (o świecie, który jednocześnie jest tak daleko i tak blisko) poświęcony jest w większości Bliskiemu Wschodowi, który na przestrzeni wielu lat pozostaje wciąż w centrum wydarzeń historycznych, co powoduje, że autorka musi nierzadko mierzyć się z dużo poważniejszymi tematami, jak wojna czy akty terroru, a zatem też śmierć bliskich. Jej bohaterami są: mieszkańcy biednego rejonu Bagdadu As-Saury (Sadr City), który oddzielony jest od reszty miasta betonowym murem; żołnierze Wolnej Armii Syrii; aktywiści z Egipskiego Placu Tahrir; obrońcy prawa i koledzy dziennikarze. Osobnym ważnym tematem jest bunt artystyczny. Natalia Humeniuk szczegółowo naświetla działalność twórców i muzyków, zaangażowanych w walkę z dyktaturą, którzy na przekór cenzurze stają się głosem protestujących. Autorka pisze o skomplikowanym świecie, w którym surowe ramy tradycji nakładają się na realia współczesnego świata, a pomimo blokowania Internetu młodzi liberałowie podłączają się do sieci za pomocą VPN, ale gdzie nawet najbardziej wyzwoleni hołdują pustym dla nich rytuałom. Jej teksty są cenne dlatego, że pokazują różnice kulturowe, a jednocześnie sama blogerka nie wprowadza podziałów pomiędzy ludźmi i wszędzie jest skłonna znaleźć wspólny mianownik. „Właściwie to w tych tekstach nie warto zwracać uwagi na nazwy geograficzne czy imiona" – pisze w kontekście walki ludzi o ich prawa w różnych krajach i nierzadko odsyła do ukraińskich doświadczeń.

Reportaż jako gatunek dokumentalny utrwala dynamicznie zmieniające się procesy, które mają miejsce dookoła nas, a to wychodzi naprzeciw potrzebom współczesnego człowieka – przyjrzeć się światu z bliska, mieć czas na przeanalizowanie, przeżycie. Kiedy reportaż staje się literaturą? Tak naprawdę, liczy się tylko dobry styl, szczególny sposób patrzenia oraz czytelnik.

Linki:
http://frankensstein.livejournal.com/ – blog Denysa Kazanskiego
http://sofarsoclose.net/ – blog Natalii Humeniuk

[Tłumaczenie: Zuzanna Sipior]

ОЛЕНА ШЕРЕМЕТ (1987, Україна) – перекладачка, аспірантка в Інституті літератури НАН України, де досліджує сучасну польську репортажистику. Лауреатка V Конкурсу ім. Єжи Ґедройця (2011), стипендіатка Інституту міждисциплінарних досліджень Artes Liberales Варшавського університету. Перекладала для часописів «Радар», «Критика», «Простори».

OŁENA SZEREMET (1987, Ukraina) – tłumaczka, doktorantka w Instytucie Literatury Narodowej Akademii Nauk Ukrainy, gdzie zajmuje się badaniem współczesnego polskiego reportażu. Laureatka V Konkursu im. Jerzego Giedroycia (2011), stypendystka Instytutu Badań Interdyscyplinarnych Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. Przekładała dla czasopism „Radar", „Krytyka", „Prostory".

Robert Ostaszewski **Роберт Осташевський**

(MORDERSTWO) TYLKO WE LWOWIE... (УБИВСТВО) ТІЛЬКИ ВІ ЛЬВОВІ...

W ostatnich latach proza kryminalna jest najbujniej rozwijającą się – obok reportażu – odmianą literatury w Polsce, na rynku rodzimych „kryminalistów" robi się coraz ciaśniej, więc pisarze prześcigają się w nowinkach i pomysłach, chcąc za wszelką cenę przyciągnąć uwagę czytelników. Nie poprzestają przy tym na wymyślaniu coraz mroczniejszych intryg kryminalnych i kreowaniu coraz atrakcyjniejszych postaci policjantów – detektywów czy dziennikarzy śledczych… – zmagających się z całym złem tego świata. Ważną rolę w świecie przedstawionym kryminału odgrywa miejsce akcji; gdy jest właściwie, ciekawie, z pietyzmem i dbałością o uchwycenie genius loci ukazane, staje się dla czytelnika równie intrygujące, jak sama historia krwawych zbrodni. Dość rzec, że świetnie rozwija się podgatunek, którym jest kryminał miejski a książki kryminalne wykorzystywane są jako swoiste literackie przewodniki po miastach czy całych regionach. Dla przykładu – wycieczki śladami bohaterów serii kryminalnych szwedzkich pisarzy Camilli Läckberg czy Henninga Mankella cieszą się w ostatnich latach ogromną popularnością. W Polsce ten typ turystyki literackiej nie jest jeszcze zbytnio rozpowszechniony, co nie zmienia faktu, że cykl Marka Krajewskiego o komisarzu Eberhardzie Mocku spowodował wzrost zainteresowania przedwojennym Breslau, zaś bestsellerowa powieść Zygmunta Miłoszewskiego *Ziarno prawdy* (2011) przypomniała czytelnikom o urokach Sandomierza. Na mapie kraju miejsc „zagospodarowanych" przez autorów kryminałów z każdym rokiem jest coraz więcej. Co pozostaje im w takim przypadku? Mogą podążyć mocno wydeptanymi już ścieżkami i po raz kolejny umieszczać historie zbrodni w scenerii Warszawy, Wrocławia czy Trójmiasta, szukając własnych patentów na miejski sztafaż; mogą również postawić na słabiej opisane, prowincjonalne miasta i miejscowości (tak uczyniła Aneta Ponomarenko, która w swoim cyklu kryminałów retro przedstawia dziewiętnastowieczny Kalisz). Jest jeszcze jedna możliwość – osadzić akcję kryminału poza granicami kraju. Choć akurat polscy pisarze decydują się na takie rozwiązanie niechętnie, w odróżnieniu na przykład od Skandynawów czy też twórców z obszaru kryminału niemieckojęzycznego. Zdarza się jednak od czasu do czasu, że wybierają się wreszcie za granicę, na przykład do Lwowa. Choć właściwie jest to Lwów mało zagraniczny…

Współczesna Ukraina pojawia się w polskiej prozie kryminalnej/sensacyjnej jedynie incydentalnie, w odległym tle fabuł. Kilka epizodów thrillera szpiegowskiego Vincenta V. Sewerskiego *Nielegalni* (2011) rozgrywa się we Lwowie i w Kijowie, zaś jeden lwowski znaleźć można w najnowszej powieści Miłoszewskiego *Bezcenny* (2013) – zresztą z pyszną kreacją upiornej, chutliwej staruszki. Za to przestrzeń miejska Lwowa stała się pełnoprawnym bohaterem w cyklach powieściowych Pawła Jaszczuka i Marka Krajewskiego. Jaszczuk otworzył serię o perypetiach dziennikarza Jakuba Sterna powieścią *Foresta Umbra* (2004), która przyniosła mu prestiżową Nagrodę Wielkiego Kalibru za najlepszy kryminał roku, potem opublikował jeszcze *Plan Sary* (2011) i *Marionetki* (2012). Krajewski już w powieści *Głowa Minotaura* (2009) wprowadził wątek lwowskiego śledztwa Mocka, a na dobre przeniósł się na dawne Kresy południowo-wschodnie w swoim drugim cyklu kryminalnym z komisarzem Edwardem Popielskim (*Erynie,* 2010, *Liczby Charona*, 2011, *Rzeki Hadesu*, 2012). Tyle tylko że obaj autorzy przenieśli się do Lwowa okresu Międzywojnia. „Pojechali" więc do Lwowa, ale pozostając wciąż w granicach Polski. Nie przez przypadek twórcy kryminałów retro tak dobrze zadomowili się w realiach tego kresowego miasta. Nawiązywali przecież do wyrazistego, rozpoznawalnego i swego czasu cenionego przez czytelników nurtu w naszej prozie.

Ze względu na uwarunkowania historyczno-społeczno-polityczne Ukraina bardzo często trafiała na karty polskiej prozy. W XX wieku – dla przykładu – popularny był nurt prozy kresowej, w którym mocno zaznaczyły się książki ukazujące przestrzenie – tak rzeczywiste, jak i przestrzenie pamięci – Ukrainy, w czym celowali choćby Andrzej Kuśniewicz czy Włodzimierz Paźniewski. U schyłku ubiegłego wieku pojawiła się natomiast tzw. proza małych ojczyzn, której autorzy w wyidealizowanej formie opisywali tereny i miejsca po-graniczne, gdzie koegzystowały obok siebie rozmaite nacje, kultury i religie, w tym także obszary dawnych Kresów południowo-wschodnich (jedną z nich była Anna Bolecka, która w powieści *Biały kamień* [1994] udanie przedstawiła zmitologizowany obraz przedwojennego Podola). I to właśnie po autorach prozy „małych ojczyzn" schedę w dużym stopniu przejęli

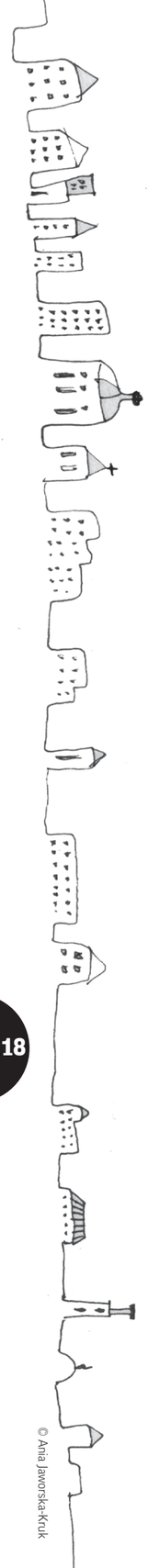

© Ania Jaworska-Kruk

rodzimi twórcy kryminałów retro. Co ma zarówno swoje plusy, jak i minusy.

Charakterystyczna dla prozy „małych ojczyzn" była staranność w dokumentowaniu przeszłości, dbałość o nasycanie tekstów detalami, przybliżającymi historię, nie tylko materialną, miejsc, które w ciągu dziesięcioleci albo bardzo się zmieniły, albo wręcz przestały istnieć. Jaszczuk i Krajewski z równym pietyzmem podchodzą do odtwarzania realiów przedwojennego Lwowa. Przygotowują się do pisania bardzo sumiennie, opierając się na dokumentacji archiwalnej, gazetach i książkach z epoki, odwiedzając współczesny Lwów, aby jak najlepiej poznać topografię miasta, zobaczyć miejsca, w których rozgrywa się powieściowa akcja, poczuć ich klimat. Do powieści umiejętnie wprowadzają elementy miejscowej gwary, czyli bałaku, dodają różnego rodzaju ciekawostki z historii, jak chociażby informacje o słynnej lwowskiej szkole matematycznej, o której Krajewski wspomina w *Liczbach Charona*. Mają wprawdzie świadomość, że ich opowieści są swoistymi literackimi wyprawami do zaginionego świata, który przeorała, zniszczyła Historia. Jaszczuk mówi o tym wprost w jednym z wywiadów: „Lwowa, o którym piszę, już nie ma". Robią jednak wszystko, aby miasto w ich tekstach nie prezentowało się jak widoczek na starej, wyblakłej fotografii – próbują, łącząc dokumentacyjną solidność z pisarską wyobraźnią, ów widoczek ożywić.

Większość tekstów należących do prozy „małych ojczyzn" naznaczona jest wyraźną skazą – w rekonstrukcje historycznych miejsc wplatano mit o dawnych, dobrych latach; najczęściej chodziło o sielski, anielski czas dzieciństwa, ponieważ pisarze z tego nurtu z lubością posługiwali się wątkami inicjacyjnymi. Nałożenia na obraz historii mitograficznego filtru skutkowało idealizacją przeszłości albo – nieco ostrożniej rzecz ujmując – przemilczeniem tego, co nie pasowało do idyllicznej jej wizji. Również Jaszczuk i Krajewski nakładają na opowieści o Lwowie lat 20. i 30. ubiegłego wieku filtr, lecz innego rodzaju – filtr konwencji gatunkowej. Obaj pisarze odwołują się do tego samego, klasycznego wzorca powieściowego, którym jest kryminał noir. Nie ma w nim zbyt wiele miejsca – w odróżnieniu od jakże ostatnio popularnego kryminału skandynawskiego – na rozbudowywanie tła społeczno-politycznego kryminalnej intrygi. I Jaszczuk, i Krajewski skupiają uwagę na kreśleniu fabuł o krwawych mordach, wiwisekcji zbrodniczych umysłów seryjnych zabójców i perypetiach bohaterów, którzy z mniejszymi bądź większymi problemami rozwiązują kryminalne zagadki. Świetnie przybliżają specyfikę lwowskiego światka i półświatka (w końcu nie na darmo wczytywali się w kroniki kryminalne starych gazet). Jednak pokomplikowana historia Kresów południowo-wschodnich w okresie międzywojennym czy trudne a momentami bolesne relacje polsko-ukraińskie albo nie interesują pisarzy wcale, albo spychane są na marginesy opowieści. Dla jasności – nie czynię z tego Jaszczukowi i Krajewskiemu zarzutu, na taką a nie inną konwencję postawili, taki a nie innym filtr narracyjny zastosowali. Koniec końców piszą kryminały a nie powieści historyczne. Dzięki ich książkom czytelnik może odbyć nieco sentymentalną podróż do przedwojennego Lwowa, poczuć klimat tego miasta, a że nie dowie się o nim wszystkiego? Może stanie się to inspiracją do własnych poszukiwań.

Już dzisiaj jest dla mnie jasne, że wyprawa Jaszczuka i Krajewskiego do Lwowa czasów II Rzeczypospolitej skończyła się powodzeniem. Pisarze zdają się być coraz lepiej zadomowieni w tym miejscu, wciąż nie brakuje im pomysłów i finezji, potrzebnych do tworzenia zmyślnych, przykuwających uwagę intryg kryminalnych. A przecież – z tego co wiem – nie jest to jeszcze koniec ich kryminalnej przygody ze Lwowem…

© Mikołaj Łoziński

За останні роки детективна проза разом із репортажем перетворилися на найбільш показові жанри у польській літературі, вони ж найактивніше розвиваються, на ринку польських «детективістів» стає все тісніше, тож письменники намагаються переплюнути одне одного, продукуючи новинки та оригінальні ідеї, щоб за будь-яку ціну привернути увагу читачів. Вони не обмежуються лише тим, щоб вигадувати щораз похмуріші детективні сюжети і створювати все більш привабливі постаті детективів чи журналістів, які спеціалізуються на кримінальній тематиці… – і змагаються з усім злом цього світу. Важливу роль у цьому кримінальному світі відіграє місце дії. Якщо воно вибране правильно, цікаве, описане з піететом і увагою до *genius loci*, то стає для читача не менш захоплюючим, ніж сама історія кривавих злочинів. Достатньо сказати, що чудово розвивається жанр так званого міського детективу, а детективні книги часто використовуються як своєрідні літературні путівники містами чи навіть цілими регіонами. Наприклад – екскурсії слідами героїв серії шведських авторів детективів Камілли Лекберґ чи Геннінґа Манкелля за останні роки набули неабиякої популярності. У Польщі тип літературної туристики ще не надто поширений, але це не міняє того факту, що цикл книг Марека Краєвського про комісара Ебергарда Мока викликав спалах зацікавлення довоєнним Вроцлавом, а роман-бестселер Зиґмунта Мілошевського «Зерно правди» (2011) нагадує читачам про приваби Сандомежа. Але кількість міст на карті, *освоєній* авторами детективів, зростає з кожним роком. Що їм у такому випадку залишається? Вони можуть продовжувати ходити уже сильно витоптаними стежками і вчергове поміщати історії злочинів у декораціях Варшави, Вроцлава, Ґданська, Ґдині та Сопота, шукаючи власних патентів на міський стафаж, можуть також зробити ставку на рідше описувані провінційні міста і місцевості (так зробила Анета Пономаренко, яка у своєму циклі ретро-детективів представляє Каліш дев'ятнадцятого століття). Існує ще одна можливість – помістити дію детективного роману за межами Польщі. Але польські письменники неохоче так чинять, на відміну від, наприклад, скандинавів, чи авторів детективів із німецькомовного простору. Та час від часу трапляється і польським детективістам вирушити за кордон, наприклад, до Львова. Хоча якраз Львів і не такий уже й закордон.

Сучасна Україна з'являється у польській детективній та гостросюжетній прозі лише між іншим, віддалено, на тлі фабул. Кілька епізодів шпигунського трилера Вінсента В. Северського «Нелегальні» (2011) розігруються у Львові та Києві, один львівський епізод можна знайти у найновішому романі Зиґмунта Мілошевського «Безцінний» (2013) – і то розкішний епізод, постать моторошної і хтивої бабці. Зате міський простір Львова став повноправним героєм у циклах романів Павела Ящука і Марека Краєвського. Ящук розпочав серію про життєві перипетії журналіста Якуба Штерна романом «Foresta Umbra» (2004), за який отримав престижну нагороду Великого Калібру за найкращий детектив року, потім опублікував ще романи «План Сари» (2011) і «Маріонетки» (2012). Краєвський починаючи ще з роману «Голова Мінотавра» (2009) впровадив сюжетну лінію львівського розслідування Ебергарда Мока, а потім і зовсім переніс на колишні південно-східні креси дію свого другого детективного циклу з комісаром Едвардом Попельським ("Еринії", 2010, «Числа Харона», 2011, «Ріки Аїда», 2012). Але обидва автори описують міжвоєнний Львів. Тож вони „поїхали" до Львова, у той же час залишаючись на території Польщі. Не випадково автори ретро-детективів так добре почуваються у реаліях цього кресового міста. Адже вони продовжили виразний, впізнаваний і свого часу оцінений читачами напрямок у польській прозі.

З огляду на історично-суспільно-політичні умови Україна дуже часто потрапляла на сторінки польської прози. У XX столітті, наприклад, користувався популярністю напрямок кресової прози, у якому посіли важливе місце книги, які позначали простори – як простори географічні, так і простори пам'яті України, взяти для прикладу хоча би Анджея Кусьнєвіча чи Влодзімєжа Пазнєвського. Наприкінці минулого століття з'явилася натомість проза малих батьківщин, автори якої в ідеалізованій формі описували терени і прикордонні території, на яких співіснували одне біля одного різні нації, культури й релігії, в тому числі території колишніх південно-східних кресів (одною з них була Анна Болецька, яка у романі «Білий камінь» (1994) вдало описала міфологізований образ довоєнного Поділля). І автори ретро-детективів отримали цю традицію в спадок саме від авторів прози «малих батьківщин». А це має як свої плюси, так і мінуси.

Характерною для прози «малих батьківщин» була

старанність у документуванні минулого, увага до деталей у тексті, які наближують історію до читача, історію не лише матеріальну, до місць, які за кілька або і більше десятиліть сильно помінялися чи навіть припинили своє існування. Ящук і Краєвський з однаковим піететом беруться за описування реалій довоєнного Львова. Вони готуються до писання дуже сумлінно, спираючись на архівні документи, газети і книги з тієї епохи, відвідуючи сучасний Львів, щоб якнайкраще пізнати топографію міста, побачити місця, у яких відбувається дія роману, відчути їхню атмосферу. Вони вміло впроваджують до роману елементи місцевого діалекту, додають різноманітні цікавинки з історії, наприклад, інформацію про славнозвісну львівську математичну школу, про яку Краєвський згадує у «Числах Харона». Вони усвідомлюють, що їхні романи є своєрідними літературними екскурсіями до неіснуючого світу, який знищила Історія; Ящук говорить про це в одному з інтерв'ю: «Львів, про який я пишу, вже не існує». Але вони роблять усе, аби місто в їхніх текстах не виглядало як малюнок на старій пожовклій світлині – а намагаються, поєднуючи ретельність документування з письменницькою уявою, пожвавити цю світлину.

Більшість текстів, які належать до прози «малих батьківщин» мають ту саму ваду – в історичні реконструкції місць у них вплетено міф про добрі давні роки; найчастіше йдеться про сільський янгольський час дитинства, оскільки письменники цього напрямку охоче послуговувалися ініціаційними фабулами. Накладений на історичний образ мітографічний фільтр призводив до ідеалізації минулого, або якщо висловитися обережніше – до замовчування того, що не пасувало до ідилічної візії цього минулого. Ящук і Краєвський також накладають на романи про Львів 20-30 рр. минулого століття фільтр, але це фільтр іншого типу – фільтр жанрової специфіки. Обоє письменників працюють у конвенції одного і того ж, класичного зразка роману, яким є детектив у стилі нуар, або ж «чорний» детектив. У ньому – на відміну від популярного останнім часом скандинавського детектива – немає надто багато місця для розбудовування суспільно-політичної детективної інтриги. І Ящук, і Краєвський зосереджуються насамперед на створенні фабул про криваві вбивства, на вівісекції злочинної психології серійних убивць і на перипетіях у долі героїв, які з меншими або більшими проблемами врешті-решт розгадують кримінальні загадки. Вони чудово наближають до читача специфіку львівського півсвіту (зрештою, не даремно ж вони вчитувалися у кримінальні хроніки старих газет). Але складна історія південно-східних кресів міжвоєнного періоду чи подекуди складні польсько-українські стосунки не цікавлять письменників або взагалі, або опиняються на периферії роману. Уточнюю, що я зовсім не вважаю це недоліком книг Ящука чи Краєвського, бо вони обрали саме таку конвенцію і, відповідно, застосовують такий, а не інший нарраційний фільтр. Врешті-решт вони пишуть детективи, а не історичні романи. Завдяки їхнім книгам читач може вирушити у трохи сентиментальну мандрівку до довоєнного Львова, відчути настрій того міста, але ж не довідатися про нього все? Можливо, це стане натхненнямдля власних пошуків.

Сьогодні для мене вже цілком очевидно, що подорож Ящука і Краєвського до Львова часів II Речі Посполитої завершилася успіхом. Письменники виглядають щораз краще освоєними у цьому місті, і їм і далі не бракує ідей і витонченості, необхідних для створення хитромудрих детективних інтриг, які привертають до себе увагу читача. А це ще – наскільки мені відомо – далеко не кінець їхніх детективних пригод зі Львовом…

[Переклад: Наталка Сняданко]

ROBERT OSTASZEWSKI (1972, Polska) – pisarz, krytyk literacki. Redaktor kwartalnika „FA-art" i miesięcznika „Dekada Literacka". Były redaktor naczelny „Portalu Kryminalnego". Między innymi opublikował (wraz z Martą Mizuro) powieść kryminalną *Kogo kocham, kogo lubię* (W.A.B., 2010). W roku 2012, również nakładem W.A.B., wyszedł kolejny kryminał *Sierpniowe kumaki*, napisany wspólnie z Violettą Sajkiewicz.

РОБЕРТ ОСТАШЕВСЬКИЙ (1972, Польща) – письменник, літературний критик. Редактор щоквартального журналу «FA-art» і щомісячного журналу «Літературна декада». Колишній головний редактор «Детективного порталу». Опублікував разом із Мартою Мізуро детективний роман «Кого кохаю, кого люблю» (2010, видавництво W.A.B.). 2012 року у тому ж видавництві вийшов його новий детектив «Серпневі кумки», написаний спільно з Віолеттою Сайкевич.

Paweł Jaszczuk Павел Ящук

(fragment)
(фрагмент)

Jego śledztwo coraz bardziej się gmatwało. Były nowe ślady i kolejny bohater w kręgu podejrzanych, wywodzący się z „dwójki". Jakież to mogły być te niekonwencjonalne metody przeniesione do policji z wywiadu wojskowego, zastanawiał się. Bicie, topienie, przypalanie papierosem, łamanie palców i wbijanie pod paznokcie igieł, podłączanie prądu do oblanych wodą jąder? I co jeszcze nowego wymyślił w tym stuleciu kreatywny mózg ludzki, by sprytnie wyjąć z drugiego mózgu skrywane myśli?
Za operą zatrzymał się w poszukiwaniu dorożki. Niewidomy grajek oparty o mur wygrywał na rozstrojonej gitarze rzewną balladę o córce rzeźnika, która z kochankiem otruła się trychinami. Stern wrzucił mu do lnianego woreczka dwadzieścia groszy, nucąc: *Bo miłość może si skończyć lichu i jak tyn fryzjer strujesz si kichą*, a potem zamachał na przejeżdżającego fiakra. Jednokonna dorożka przystanęła przy hydrancie. Redaktor wskoczył miękko na jej tył i zamówił kurs na Kleparowską, do domu Pod Księżycem. Nie wiedział jeszcze, co tam zastanie, ale był pewien, że właśnie teraz musi uciąć sobie rozmowę ze śliczną gospodynią.

Paluch zastanawiał się przez moment, a potem wyjął z walizki naoliwiony wąski wytrych, włożył go w otwór zamka i precyzyjnie przekręcił. Stalowy mechanizm poddał się bezdźwięcznie, więc ostrożnie nacisnął klamkę i delikatnie pchnął drzwi, torując drogę inspektorowi i jego trzem aniołom, ubranym jak jeden w popielate płaszcze. Czwórka wpadła do środka z odbezpieczoną bronią, krzycząc na całe gardło, by nikt się nie ruszał, lecz nikt nie zamierzał się ruszać. W przestronnym kwadratowym salonie przebywały tylko dwie osoby: dziewczyna o pucułowatej twarzy i szpakowaty mężczyzna w stalowym garniturze i w drucianych okularach.
Dziewczyna w kremowej koszuli nocnej siedziała na dywanie pod kredensem i kołysała się na boki. Przetłuszczone ciemne włosy spływały jej na ramiona, zakrywając twarz. Mężczyzna trzymał ją za rękę, poprawiając nerwowo okulary. Mówił jej coś do ucha i pocieszał.
– Wszystko będzie dobrze – usłyszał policjant.
– Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.
Zięba kazał mu się zamknąć i rozejrzał się po zagraconym pokoju. Kossaki na ścianach, mosiężne kandelabry, stylowa dębowa biblioteczka i trzy obite brązową skórą fotele. Pod sufitem lampa z seledynową umbrą, rzucająca na owalny stół ostre, trupie światło. Na skotłowanym łóżku walały się zakrwawione prześcieradła, a przy wysokim piecu kaflowym stał kocioł do bielizny z parującą wodą. Inspektor rozglądał się nerwowo, jakby jeszcze czegoś szukał. Jego wzrok w końcu się zatrzymał. Pod oknem przysłoniętym miodowymi storami dostrzegł gałgan wyglądający jak zrolowany koc, wciśnięty pod drewniany kwietnik z wybujałą paprotką. Ostrożnie wyciągnął go i położył na stole. Przywołał gestem Palucha i kazał mu rozwinąć. Policyjny technik chwycił ostrożnie za koniec materiału i pociągnął.
– Boże ty mój przenajświętszy! – wyrwało się mu.
– To koniec świata, panie inspektorze.
Odwrócił prędko wzrok i ciężko nabrał powietrza. Ślina podeszła mu gwałtownie do ust i chciał splunąć, lecz powstrzymał się resztką woli i głośno przełknął. Zięba odsunął go. Na gęsto utkanej szmacie leżał mały chłopczyk, który jeszcze przed chwilą wyciągał rączki do życia. Owinięty był pod paszkami czarnym odpustowym różańcem

jak kolczastym drutem. Musiał dorwać tego drania, który był tu przed chwilą. Musiał go dorwać, skuć ostro mordę, a potem postawić przed sądem.

Stanął w rozkroku nad elegantem, zaciskając wielkie pięści.
– Mów, gdzie gad?
– Wyszedł, proszę pana.
– Gdzie wyszedł, gadaj prędko, ty skurwysynu! – Głos inspektora niebezpiecznie zmienił modulację.
– Wziął pieniądze i wyszedł, proszę pana, przez sąsiednie mieszkanie – odpowiedział mężczyzna grzecznie.
– Jakie mieszkanie? – Zbliżył się do typa, szturchając go szpicem buta w kostkę.
– To mieszkanie jest połączone z sąsiednim, a pokój po lewo jest przechodni – płaszczył się elegant.
– Coś powiedział? Nie kręć, do cholery, tylko mi pomóż!
– Żeby się nie martwić, bo wszystko poszło cacy.
– Kurwa, cacy?! – rzucił do tęgiego posterunkowego, który ze zgrozą obserwował scenę. – Sprowadź tu lekarza, ale prawdziwego lekarza. A ty, Paluch – zatrzymał rozbiegany wzrok na kurduplu – zajmij się elegantem, jak umiesz troskliwie.
– A co z dziunią? – zapytał tęgi posterunkowy, widząc w oczach dziewczyny obłęd.
Zięba się zamyślił. Zgadywał, kim była dla wystrojonego typa. Pewnie kochanką, bo chyba nie zgnębioną żoną? Facet wyglądał na szubrawego urzędnika z gębą pełną frazesów, biorącego od wystraszonych petentów oberchabki. Odpicowany, z jasnym krawatem w prążki pasował na wesele, a nie na pogrzeb. Mniejsza o to, kim byli, ważne, że skojarzyła ich zbrodnia.
– Dziunię odwieź z lekarzem na Pijarów do kliniki. Ma mieć dobrą opiekę, będzie nam potrzebna. Paluch, spiszesz obydwoje, zrobisz zdjęcia, zmierzysz chałupę, zabezpieczysz wszystkie ślady, zresztą sam dobrze wiesz, kurwa, co robić.
– A co z tym? – Knypek pokazał na zakrwawiony gałgan.
– Oddasz mamusi, przecież to jej dzidziuś!
Zirytowany podszedł do zaryczanej dziewczyny.
– Przestań się drzeć! Jak wyglądał wasz „lekarz"?
– Nie wiem – wyszeptała z przymkniętymi oczami.
Inspektor wyjął zdjęcie Charewicza z kieszeni i odchylił głowę dziewczyny.
– Ten? Spójrz! – zapytał, podsuwając fotkę pod oczy.
– Może ten? – zastanawiała się, zlizując z ust słone krople.
– Co, może?
– Miał maskę na twarzy – odezwał się mężczyzna, przyglądając się uważnie zdjęciu.
– Jaką znowu maskę? Ogłupiałeś czy co? To nie karnawał.
– Lekarską, proszę pana – dodał elegant grzecznie.
– Taką wiązaną za uszami na troczki.
– Niski, gruby, chudy, zapomniałaś, suko, języka? – Nie ustępował. – Gadaj, widzisz, że nie mam czasu!
– To ja, to ja… ona nie jest niczemu winna, proszę pana. Był wyższy od pana o pół głowy. Jasne włosy, przedziałek. Chyba nawet trochę podobny do tego ze zdjęcia.
– Coś jeszcze?
– Przyniósł ze sobą torbę. Skórzaną torbę lekarską, taką przez ramię, proszę pana – dodał, wycierając zaplamione szkła o krawat.
– A ubranie? Co nosił? Mam wydusić to z ciebie siłą?
– Nosił, jak pan, elegancki garnitur.
Zamierzał coś dodać, lecz widać było, że się waha.
– Czemu zaniemówiłeś, gadaj!
– Ruszał się dziwnie, proszę pana.
– Jak? Pokaż, do cholery! – Zięba stracił cierpliwość.
Mężczyzna stanął pod piecem i zakołysał się, jakby wykonywał jakiś indiański taniec. Inspektor nie chciał tracić czasu na pogawędkę z idiotą. Puknął się palcem w czoło. Potem zgarnął dwóch posterunkowych i przeszedł z nimi do sąsiedniego mieszkania przez pokój przechodni. Tam obejrzeli wszystkie pomieszczenia. Zajrzeli w pośpiechu pod łóżka, do szaf i nawet do pawlaczy, licząc na cud boski, lecz żaden cud się nie zdarzył. Inspektor szybko przerwał poszukiwania i pociągnął ekipę za sobą. Przedostali się na drugą klatkę schodową i zbiegli po schodach z pierwszego piętra na Akademicką, stawiając na nogi zdumionych lokatorów.

Drewniany, parterowy dom Malwiny Tarki stał na uboczu. Od sąsiedniego niemal bliźniaczego domku odgradzał go stary sad i zaniedbany ogród. Na granicy posesji, gdzie zatrzymała się dorożka, rósł szpaler tui tak gęstych, że już żaden płot nie był potrzebny. Stern polecił fiakrowi, by na niego zaczekał, a sam ruszył do furtki. Rozejrzał się czujnie, wypatrując psa, a gdy go nie dostrzegł, wszedł powoli do środka. Z bijącym sercem pokonał porośniętą trawą ścieżkę, wciąż rozglądając się czujnie za czworonogiem. Po lewej stronie domku stała drewniana sławojka z otworem w kształcie serduszka, a z prawej przylegała do niego drewutnia, przy której na drągach rozciągnięte były sznury do suszenia bielizny. Pod nimi stała na taborecie miednica z parującym praniem. Najwidoczniej Tarka weszła do domu i za chwilę wróci, by dokończyć pracę, pomyślał.
Stern obejrzał z zainteresowaniem różowe dessous gospodyni, przypięte żabkami do linki, i skierował się do drzwi. Chciał zapukać, lecz cofnął rękę, bo drzwi były uchylone. Spojrzał przez szparę i nasłuchiwał. W domu panowała cisza. Wszedł do zagraconej sieni i odkaszlnął znacząco. Potem zajrzał do kuchni. W niewysokim pomieszczeniu pod oknem stał drewniany cebrzyk.
Z mydlin sterczały szczypce do wyciągania bielizny.
Na rozpalonym piecu buzowała w rondlu woda. Redaktor dostrzegł swoim ciekawskim wzrokiem półkę, na której leżały miedziana patelnia i wielki tłuczek do mięsa, stało kilka kubków i żelazko na duszę. Pod półeczką wisiał dorodny sznur grzybów i miotełka z gęsich piór związanych konopnym sznurkiem, a obok dyscyplina – sarnia nóżka z długimi rzemykami zakończonymi supełkami.
Z prawej strony drzwi prowadzących do pokoju pod świętym obrazem z Matką Boską i Dzieciątkiem wisiała biała haftowana ściereczka, przyczepiona za rogi do deseczki. Przedstawiała dziewczynkę z warkoczykami, sypiącą gołąbkom ziarno. Stern podszedł bliżej. Kiedy przeczytał wyhaftowany napis: „Dzień dobry", niespodziewanie za jego plecami trzasnęły drzwi. Obrócił się, chcąc wyjaśnić gospodyni najście, lecz zanim zdążył wypowiedzieć słowo, poczuł piorunujące uderzenie pod lewym kolanem. Aż przysiadł z bólu. Byłby poleciał na rozgrzaną do czerwoności blachę, gdyby nie drewniany zydel. Podniósł się szybko i kątem oka dostrzegł zakrzywiony hak do przesuwania fajerek wycelowany w jego twarz i jakąś wysoką męską postać nad sobą.
Nie od razu rozpoznał nieznajomego. Przeszkadzało mu światło padające zza jego pleców. Dopiero po sekundzie wiedział, że stoi nad nim poszukiwany listem gończym zbieg. Wysoki, barczysty blondyn z przedziałkiem. Nie zauważył tylko koloru oczu i tego, że nosi się z pańska. Zbieg uśmiechał się pobłażliwie, pokazując hakiem, by Stern przesunął się do pieca. Redaktor przypomniał sobie opowieść doktora z Kulparkowa.
– Pozdrowienia od doktora Wawdysza – rzucił, próbując zyskać na czasie.
Charewicz znieruchomiał, przynajmniej tak mu się zdawało, a potem podniósł osmolone narzędzie. Jakub wykorzystał moment zawahania. Cofnął się w stronę pieca. Schwycił rondel i chlusnął wrzątkiem. Charewicz zawył. Marynarka i koszula przylepiły mu się do ciała. Opuścił hak na podłogę i wrzeszcząc, zaczął kręcić się w kółko jak pies za własnym ogonem, zdzierając z siebie okrycie. Stern nie odpuszczał. Zdjął z półki tłuczek i jednym ciosem w kark powalił szaleńca na podłogę. Potem przygwoździł go do podłogi zydlem, tak że jego głowa wystawała spomiędzy drewnianych nóg stołka. Przeciwnik nie reagował, gdy redaktor krępował mu ręce i nogi rzemieniami z sarniej nóżki.
Kiedy Charewicz leżał na podłodze, przetrząsnął mu kieszenie marynarki. Znalazł scyzoryk, zapalniczkę, okulary, portfel z pieniędzmi i dokumentami na nazwisko Szwed, o którym wspominał Wawdysz. Było coś jeszcze ważniejszego: papierowa torebka ze splątanym różańcem. Stern szturchnął Charewicza nogą, a ten ocknął się powoli.
– Mów, co tu robisz?
– To samo, co ty – wysapał ciężko. – Szukam…
– Kogo?
– Tego samego, co ty – odpowiedział z idiotycznym chichotem. – Nie może być na świecie dwóch Charewiczów. Jest tylko jeden, który zaprowadzi w tym mieście porządek.
– Kim jest ten drugi?
– Nie wiem, kim jest, ale obiecałem sobie, że go zabiję – powiedział, sycząc z bólu.
– Gdzie gospodyni?
– W psiej budzie. Zasłużyła na to, co jej pies – odpowiedział spokojnie mężczyzna, mrużąc oczy.
Stern podniósł tłuczek, lecz nie zrobiło to na więźniu wrażenia. Próbował się nawet roześmiać. Jego szyję i brzuch pokrywały podbiegłe surowicą bąble. Jakub podciągnął więźnia z podłogi i wyprowadził na tył domu, do psiej budy, znajdującej się za drewutnią. Pojmany dreptał grzecznie przed redaktorem.
– Panie pielęgniarzu? – zwrócił się kpiąco więzień do Sterna.
Jakub puścił to mimo uszu.
– Chciałbym zameldować, że wszystko już rozpracowałem. Mam już numery telefonów. Twój również. Tarka się wyspowiadała. Gadała, że byłeś tu niedawno z jakąś dziunią przy nadziei. Szukałeś podobno kontaktu z akuszerem, ale nie jestem hebesem, by w to wszystko uwierzyć.
– Jestem dziennikarzem, prowadzę śledztwo – powiedział obojętnym tonem Stern.
Charewicz ziewnął szeroko, przystając przy motocyklu, najpewniej tym, którego ukradł inżynierowi ze szpitala. Na kierownicy wisiała pilotka i gogle.
– Czuję, że się dogadamy. – Obrócił się. – Żeby ukraść obrączkę, nie trzeba obcinać ręki, wystarczy jeden paluszek.
Jakub w odpowiedzi na słowne sztuczki skręcił powróz, aż więzień zawył.
– Jeśli mnie puścisz, obiecuję, że do rana będę wiedział kto, a wtedy…
– Co?
– Szmata się przyznała. Przypiekłem ją dwa razy pogrzebaczem i zaraz puściła farbę…
Jakub nie dosłyszał końcówki. Poraził go widok. Przy psiej budzie leżała na ziemi Malwina Tarka ze skrępowanymi, zabłoconymi nogami, z obrożą na szyi i uwiązanym do niej łańcuchem. Miała podbite oczy i rozdartą koszulę, z której wylewały się na brzuch obfite różowe piersi. U jej stóp leżał martwy wilczur ze złamanym kręgosłupem.
Z jego pyska wystawał różowy język, a na zdeptaną trawę wyciekała krew. Charewicz zaśmiał się na ten widok, lecz ten śmiech przeszedł w gwałtowny kaszel.
– Doigrała się suka – wyszeptał. – Niedaleko pada jabłko od jabłoni.
Jakub pochylił się i odwiązał łańcuch z szyi kobiety. Odciągnął Tarkę na bok, posadził na wkopanej w ziemię beczce, a sam wrócił do Charewicza. Podprowadził go do budy, rzucił na ziemię, założył mu obrożę, zaciągając mocno na szyi, i przywiązał łańcuch.
– Gdzie Lea?
– W bezpiecznym miejscu. U mnie nic jej nie grozi.
– Stern pociągnął za łańcuch. – Musiałem ją zabrać od Bergerów – powiedział, kaszląc. – Dziewczynka widziała coś, czego nie powinna była widzieć.
– Co mianowicie?
– Nie domyślasz się, redaktorku? Śmierć Szczęściarza, przepraszam bardzo, jego egzekucję.
– Dlaczego…
– Dlaczego tu jestem? – Charknął głośno w przewróconą psią miskę. – Bo dom Pod Księżycem nie dawał mi spać przez lata! Kto jak kto, ale ty, redaktorku, powinieneś znać historię tego miasta. Pisał o niej nawiedzony jak ty Szarkowski. To była moja sprawa. Mówili, że podkomisarz zwariował, ale każdy, widząc te zakatrupione dzieci, poutykane w beczkach, zamurowane w ścianach i pod podłogą, szybciej ode mnie straciłby rozum. Czasem myślę, że oni…
– Kto oni?
– Oni – odpowiedział Charewicz, przewracając wymownie oczami. – Wypuścili mnie specjalnie, bym wyrównał rachunki. Myślałeś, pisarczyku, że to przypadek?
Stern nie brał do głowy kolejnych fantazji, które rodziły się w chorej głowie zbiega. Zostawił typa przy budzie i podszedł do Malwiny. Półnaga w rozerwanej halce nie miała sił, aby się podnieść. Jej śliczny czarny warkocz uwalany był w błocie. Stern wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Położył w sypialni na łóżku i podał wodę do picia w garnuszku. Jej widok niespodziewanie podniecił go. Czerwieniąc się, wytarł zwilżoną ściereczką jej zakrwawione, nabrzmiałe usta, wyraźnie czując od niej alkohol. Gospodyni patrzyła na niego ślicznymi niebieskimi oczami, raz po raz posyłając zza niebiańskich rzęs wściekłe błyskawice. Rozpoznała go. Dała mu się podejść jak dziecko, gdy przyszedł z wycwanioną pindą, i teraz sama była sobie winna. Stern doprowadził Malwinę do ładu i niemal siłą nałożył jej koszulę i spódnicę. Potem ubrał ją w płaszcz, który zdjął z wieszaka, wcisnął buty i okrytą kocem wyniósł na ulicę. Kopnął wściekle furtkę i zawołał do przysypiającego na koźle fiakra, by się wreszcie ruszył.
– Do Wiedeńskiej! – krzyknął, sadzając dziewczynę na wyścielonej derką ławce. – Ale z życiem!
Dorożkarz spojrzał na niego jak na wariata, lecz nie dyskutował, a szkapa popędzona batem dostała nagle wigoru.

Stern zerknął na zegarek. Był już kilka minut spóźniony. Minęli Dom Inwalidów, Górę Stracenia i stary cmentarz żydowski. Na rogu Kazimierza Wielkiego i św. Anny drynda zahamowała przed rozpędzonym tramwajem i wtedy leżąca dotąd spokojnie pasażerka niespodziewanie zeskoczyła na bruk i zaczęła uciekać, gubiąc płaszcz. Darła się przy tym na całe gardło, wyzywając współpasażera od złamanych chujów. Stern rzucił się za nią w pogoń. Po kilkudziesięciu krokach dopadł ją.
Na oczach zdumionych przechodniów wykręcił jej rękę i przyprowadził do dorożki. Uśmiechał się przy tym jak zdesperowany mąż, który napomina pijaną żonę podczas małżeńskiej kłótni.
Kiedy poobijana Malwina znalazła się znowu na siedzeniu, rozwścieczony zawołał do fiakra, by się wreszcie pośpieszył. Woźnica robił, co mógł, a znał się na rzeczy. Przeganiał inne pojazdy, lawirował między samochodami, dorożkami, rowerzystami i pieszymi wchodzącymi co rusz na jezdnię. Przy św. Stanisława Stern zastukał pięścią w ławkę, a gdy drynda się zatrzymała, zapłacił za jazdę i dał fiakrowi złotówkę ekstra, by zrobił jeszcze jeden krótki kurs.
– Pojedziesz pan na plac Mariacki – rzucił – i zajdziesz do dziesiątego komisariatu policji. Powiesz pan dyżurnemu, że redaktor Stern przekazuje pozdrowienia panu komisarzowi. Podasz pan adres z Kulparkowskiej i poprosisz, żeby natychmiast tam jechali. Zapamiętałeś pan?
– Co mam ni pamiętać! – odburknął woźnica, zeźlony.
– Redaktor Stern przekazuji puzdrowienia panu kumisarzowi! A co z dziunią? – zapytał przytomnie.
– Dziunię oddaję gratis!
– Oddaję gratis! – powtórzył ze śmiechem, pokazując pożółkłe zęby, i ostro strzelił z bata.

Fragment powieści kryminalnej Pawła Jaszczuka *Akuszer śmierci*, która ukaże się we wrześniu tego roku nakładem Wydawnictwa Prószyński i S-ka, publikujemy dzięki uprzejmości Wydawcy.

Rozślidowanie zaplutuvalos dedali dużche. Buli nowe śliди ta nowaczok u kolei pidozriuwanych, czerhowyj heroj, jakyj pochodyw iz drugoho widdiłu. Pro jaki netradycijni metody, pereneseni do policiji z wijśkowoji rozwidky, mohło jitysia, mirkuwaw win. Pobyttia, utoplenia, prypikania cygarkoju, łamania palciw ta wbywania holok pid nihti, pid'ednania struma do testykul, oblytych wodoju? Szo nowoho wyhadaw u cjomu stolitti tworczyj mozok ludyny, szob spryntno witiahnuty z inszoho mozku prychowani dumky?

Posadu opery win zatrymawsia u poszukach fiakra. Ślipyj muzyka, obpershyś na mur, wyhrawaw na rozładnanij hitari pechalnu baladu pro donku riznyka, jaka razom zi swojim kochanciem otruiłasia strychninom. Sztern ukynuw do jiho lnianoho miszeczka dwadcziat hroszi, mugykajuczy: *Bo miłość może si skończyć lichu i jak tyn fryzjer strujesz si kichą*, – a todi zamachaw do wiznyka, jakyj proiżdyw powz. Dorożka, zaprjażena odnym konem, zupynyłasia biła hidranta. Redaktor m'jako wystrybnuw na neji zsadu i zamowyw napriamok na Klepariwśku, do budynku «Pid Misiacem». Win ne znaw, szo zastane tam, ale buw upewnenyj: same tepier jomu slid wykroity sobi czas na rozmowu z wrodliwoju hospodynoju.

Palux jakuś myt wahawsia, a potim wyjniaw iz walizky zmaszczenu olijeju wuzku widmyczku, wstromyw ij do otworu zamka i prokrutyw czitkym ruchom. Stalewyj mechanizm piddawsia bez żodnoho zwuku, toż czołowik obereżno natysnuw na klamku j sztowchnuw dweri, prokładaczy szlach inspektorowi ta trjom jiho janholam, odiahnutym, jak odyn, u popeliasti płaszczi.

Wsi czetwero uwirwałysia dosereduny zi zbroieju napohotowi, wołaczy szczosyły, szob nichto ne ruchawsia z miscia – odnaczе nichto j ne zbyrawsia ruchatysia.
U prostoromu kwadratnomu saloni perebuwało wsioho dwi osoby: dziwczyna z puchkym obliczczam ta sywuwatyj czołowik u kostiumi stalewoho kolioru ta drotianych okularach.

Dziwczyna u kremowij nicznij soroczci syділa na kylimi pid kredensom i rozhojdywałasia u prizni boky. Masne temne wołossia spadało jij na pleczi, prykrywaczy obliczczia. Czołowik trymaw jij sa ruku, nerwowo poprawlaczy okuliary. Szoś howoryw jij na wuchо i zaspokojuwaw.
– Wse bude dobre, – pochuw policzijant. – Pobaczysz, use bude dobre.
Zjemba nakazaw jomu zatkatysia i rozzyrnuwsia po zaharaszczenij kimnati. Kartyny Kossaka na stinach, latunni kandelabry, stylizowana dubowa knyżkowa szafa ta try m'jaki krisła, obbyti koryczniewoju szkirkoju. Pid stelejeju – lampa z abażurom kolioru morśkoji chwyli, szo widkydała na owalnyj stił rizke trupne switło. Na rozburchanomu liżku zdymałysia zakrywawlені prostyradła, a biła wysokoji, wykładenoji kachlami, pechi stojała wywarka dla biłyzny z paruiuczoju wodoju.
Inspektor nerwowo rozzyrawsia, niby szukaw czohoś isze. Nareszti jiho pohlad zupynywsia. Pid wikonom, zatulenym medowymi szторami, win pomityw hanczirku, szo wyhlądała, jak zhornuta rulonom kowdra, uwibhana pid derew'janą pidstawku dla wazoniw iz bujnoju paporottju. Win obereżno witiahnuw kowdru i poklaw jij na stoli. Żestom pidkrykaw Palucha i nakazaw rozhornuty. Policejśkyj technik obereżno wchopywsia za kraj tkaniny i potiahnuw.
– Hospody mij najswiatisznyj! – wyrwałosia u nioho.
– Ce kinecz switu, pane inspektore.
Szwydko widwiw pohlad i tiażko wdychnuw. Rot riźko napownywsia slynoju, win chotiw splunuty, ale zibrał zalyszky syły woli ta strymawsia, hołosno kowtnuwszy. Zjemba widsunuw jiho nabik. Na hustо tkaniu szmati leżaw maleńkyj chłopczyk, jakyj szе chwylynu tomu prostiahaw do żyttia ruczenata. Pid pachwami win buw ohornutyj czornoju jarmarkowoju werwycieju, nacze kołuczym drotom.
Inspektor za budь-jaku ciną musyw schopyty wyrodka, prysutnioho tut isze chwylynu tomu. Powynen buw jiho schopyty, rozbyty mordu, a todi postawyty perед sudom.
Win stan nad żewżykom, szyroko rozstawywszy nohy, styskaiuczy weliki kułaky.

– Każi, de toj had?
– Win wyjszow, pane.
– Kudy wyjszow, każi szwydko, suczyj syny! – hołos inspektora nebezpecznо zmineb modulacziju.
– Wziaw hroszi i wyjszow, pane, cherez susidnie pomeszkannia, – chemno widpowiw czołowik.
– Jake pomeszkannia? – inspektor nabłyzywsia do typa, sztowchaczy jiho nosakom czerewyka w kisteczku.
– Ce pomeszkannia społuczene z susidnim, a kimnata liworuch – prochidna, – pidłabuznjuwawsia żewżyk.
– Win szoś skazaw? Ne kruty, czort tebe zabyraj, dopomoży meni!
– Szob ne żurytyś, bo wse piszło jak slid.
– Kurwa, jak slid? – kynuw win ohrjadnomu postowomu, jakyj iz żachom spostereihaw za scenoju. – Prywedy sjudy likarja, ale spraważnioho likarja. A ty, Palux, – win zupynyw nespokijnyj pohlad na kurdupliewi, – zajmyś żewżykom – tak turbotlywo, jak umieisz.
– A szo z dziwkoju? – zapytaw ohrjadnyj postowyj, rozhlediwszy w ochach dziwczyny bożewilla.
Zjemba zamysliwsia. Namahawsia whadaty, kym dziwczyna buła dla cjoho czepuruna. Mabuть, kochankoju, bo nawriad czy psychicznо znyszczenoju drużynoju? Czołowik maw wyhlyd slyzkoho urjadowcia: pysok, nabytyj rizнymy formułiuwannjamy, «podiaky u konwertach» wid zajawnykiw. Wyczyszczenyj, zi switłoju smuhastoju krawatkoju, win prirodniszе wyhlądaw by na wesiłli, nisz na pochoroni. Ale ne maje znaczennia, kym wony buły, ważlywo, szo jich poiednaw złoczyn.
– Dziwku widwezy z likarem na Piarow, do klinik. Nechaj neju dobre opikuiutsia, wona bude nam potribna. Palux, zapyszeszi ich obox, zrobysz znymky, wymirjaeszi chałupu, podbaeszi pro wsi śliди – zreszтoju, sam dobre znaeszi, kurwa, szo robyty.

–A szo z cym? – Knypek pokazaw na zakrywawlenu ganczirku.
– Widdasy mamuni, ce ż ij malatko!
Rozdratowanyj, win pidijszow do zaplakanoji dziwczyny.
– Prypyny rewity! Jak wyhlądaw waszi "likar"?
– Ne znaju, – proszepotiła wona, napiwzaplujuczywszy ochi.
Inspektor wyjniaw znymok Charewycza z kyszeni ta pidniaw hołowu dziwczyny.
– Cej? Poglanj! – zapytaw, pidsuwaczy foto jij pid ochi.
– Może i cej, – mirkuwała wona, zlizuczy z hub sołoni kraplі.
– Jak ce – może?
– Win maw na obliczczi maszku, – ozwawsia czołowik, uważno prydywlaczy do foto.
– Jaku szcze maszku? Ty szo, zdurew? Ce ne karnawał.
– Likarśku, pane, – chemno dodaw żewżyk. – Taku, szo za wuchami prywjazuietsia motuzoczkami.
– Nyzkyj, towstyj, chudyj – tobi, suko, mowu widniało?
– Win niak ne postupawsia.
– Howory – ty ż bachysz, szo ja ne maju czasu!
– Ce ja, ce ja… wona ni w czomu ne winna, pane. Win buw wyszczyj widwas na piwholowy. Switłe wołossia, proділ. Mabuть, taki schożyj trochy na cjoho z fotohrafiji.
– Szcze szoś?
– Prynis iz soboju sumku. Szkiriany likarśku sumku, taku, szo czerez plecze nosiat, – dodaw win, wytyraczy zaljapani skelia okulariw ob krawatku.
– A odiah? W czomu win buw odiahnutyj? Ja powynen syloju z tebe wytyskaty?

– Win buw odiahnutyj w elehantnyj kostium, jak i wy. Czołowik zbyrawsia szoś dodaty, ale buło widno, szo wahaietsia.
– Ty czoho onimiw, howory!
– Win jakoś dywno ruchawsia, pane.
– Jak? Pokażi, czort zabyraj! – Zjemba wtratyw terpinnia. Czołowik staw biła pechi i zahojdawsia, niby wykonuwaw jakijś indianśkyj tanecz. Inspektor ne chotiw witrataty czasu na bazikannia z idiotom. Postukaw sebe palcem po czoli. Todi wziaw dwox postowych i piszow iz nymy do susidnioho pomeszkannia cherez prochidnu kimnatu. Tam wony oglanuły wsi prymiszczennia. Pospichom zazyrnuły pid liżka, do szaf i nawit na antresoli, spodiwaiuczys na boże czudo, tilky żodnoho czuda ne stałosia.
Inspektor szwydko prypynyw poszuky j potiahnuw komandu za sobow. Wony proniknyły na inszu schodowu klitku i zbihły schodami dodoły z drugoho powerchu na Akademiczny, pidnimaiuczy na nohy zdywowanych meszkanciw.

Derew'janyj odnopowerchowyj budynok Malwiny Tarky stojaw na uzbicczi. Widsusidnioho budynku – majże bliznjuka – jiho widmeżowuwały starych sad i zanedbanyj horod. Na mezi maetku, de zupynywsia fiakr, rosło dwi szerenhy nastilky hustych tuj, szo w żodnomu parkani ne buło potreby. Sztern nakazaw wiznykowi, szob toj zaczekaw na nioho, a sam popriamuwaw do chwirtky. Pylno rozzyrnuwsia, szukaiuczy sobaku, a koły ne pomityw jiho, powilno uwijszow dosereduny.
Serce hupało, koły win minuw stiżku, porosłu trawoju, wse szе obachno rozzyraiuczys u poszukach twaryny. Liworuch widbudynoczka stojaw derew'janyj flihel iz otworom u formi serdeczka, a praworuch do nioho pry lahała drowitnia, biła jakoji buły rozstiahnuti na palicjach motuzky dla biłyzny. Pid motuzkami, na tabureti, stojała midnycia z paruiuczym pranniam. Ocewydno, Tarka uwijszła do budynku i za myt powernetsia, szob zakinczyty robotu, podumaw win.
Sztern zacikawlено oglanuw rożewu spidniu biłyznu hospodyni, prystebnutu do motuzka prycziпkami, i popriamuwaw do dwerej. Chotiw postukaty, ale widsmyknuw ruku, tomu szo dweri wyjawyłysia prochynenymy. Zazyrnuw krizь szparynu i prysłuchawsia. U budynku panuwała tyszа.
Win uwijszow do zachaszczenych sinej i huczno widkaszlawsia. Potim zazyrnuw do kuchni. Pid wikonom newysokoho prymiszczennia stojało derew'jane ceberce. Z myłnoji piny styrczały szczypci dla witiahannia biłyzny. Na rozżarenij pechi w kastrulі kypiła woda. Swoim cikawśkym poglądom redaktor rozhlediw policiju, na jakij leżały midna patelnia j weliki towkacz dla m'jasa, stojało kilka czaszok ta praska z bolwankoju. Pid policzkoju wysiw obważnilyj szнur iz hrybami ta wołoть iz husiaczoho pir'ja, zw'jazanoho konopliaoju motuzkoju, a poruch batiżok – niżka sarni z dowhymy pasoczkami, szo zakinczuwałysia wuzlykami. Z prawoho boku wid dwerej, szo weły do kimnaty, pid światym obrazom iz Matir'ju Bożoju ta Dytiatkom, wysiła biła wyszyta serwetka, za kraї przycheplena do doszczeczky. Na nij buło zobrażeno dziwczynku z kiskami, jaka sypała hołubam zerno. Sztern pidijszow bliżcze. Koły prochytaw wyszytyj napis: «Dobroho dnia», za jiho pleczima nesposidiwano traszнuły dweri. Win obernuwsia, bażaiuczy poiasnyty hospodini prycziny swoho wtorhnennia, ale perszh, niż ustyh wymowyty słowo, widczuw blyskawycznyj udar pid lywym

коліном. Від болю він аж присів. Полетів би на розпечену до червоного бляху, якби не дерев'яний стілець. Швидко підвівся і краєм ока помітив викривлений гак для переміщення жарівень, націлений у його обличчя, і високу чоловічу постать угорі.
Він не відразу впізнав незнайомця. Йому заважало світло, що падало з-за спини чоловіка. Щойно за якусь мить він зрозумів, що над ним стоїть утікач зі списку розшукуваних злочинців. Високий, широкоплечий блондин із проділом. Не вдалося розгледіти тільки кольору його очей і того, що поводить той себе по-панськи.
Утікач поблажливо усміхався, показуючи гаком, аби Штерн відсунувся до печі. Редактор пригадав собі розповідь доктора з Кульпаркова.
– Вам вітання від доктора Вавдиша, – кинув він, намагаючись виграти час.
Харевич завмер – принаймні, так здалось редакторові – а тоді підняв почорнілий інструмент. Якуб скористався цим моментом непевності. Позадкував до печі. Схопив каструлю і плеснув окропом.
Харевич завив. Піджак та сорочка прилипли до його тіла. Він упустив гак на підлогу і, продовжуючи верещати та здираючи одяг, почав крутитись на місці, як пес, що женеться за власним хвостом.
Штерн не відступав. Зняв із полиці товкач і одним ударом по шиї повалив божевільного на підлогу. Потім прибив його до підлоги стільцем – так, що голова чоловіка стирчала з-поміж дерев'яних ніжок. Противник не реагував, коли редактор зв'язував йому руки й ноги пасками, знятими з ніжки сарни.
Коли Харевич лежав на підлозі, редактор витрусив кишені його піджака. Знайшов складаний ніж, запальничку, окуляри, гаманець із грішми та документами на прізвище Швед, про якого говорив Вавдиш. Було щось іще важливіше: паперова торбинка зі сплутаною вервицею. Штерн штовхнув Харевича ногою, той поволі отямився.
– Кажи, що ти тут робиш?
– Те саме, що й ти, – тяжко видихнув той. – Шукаю…
– Кого?
– Того ж, кого й ти, – відповів, по-ідіотськи хихочучи.
– Не може бути на світі двох Харевичів. Є тільки один, він і наведе в цьому місті порядок.
– А той другий – хто він?
– Я не знаю, хто він, але я пообіцяв собі, що уб'ю його, – сказав він, засичавши від болю.
– Де господиня?
– В собачій буді. Заслужила того ж, що і її пес, – спокійно відповів чоловік, примруживши очі.
Штерн підняв товкача, але на в'язня це не справило жодного враження. Він навіть намагався засміятись. Його шию і живіт вкривали пухирі, наповнені сукровицею. Якуб підняв в'язня з підлоги і вивів його позаду будинку, до собачої буди, розташованої за дровітнею. Упійманий чемно шкутильгав перед редактором.
– Пане санітаре? – зі знущанням звернувся до Штерна в'язень.
Якуб пропустив це повз вуха.
– Я хотів би повідомити, що вже про все довідався. Маю номери телефонів. Твій також. Тарка висповідалась. Казала, що ти був тут недавно з якоюсь вагітною дівунею. Ніби ти шукав контакту з акушером, але я не телепень, щоб у це повірити.
– Я журналіст, веду розслідування, – з байдужістю в голосі сказав Штерн.
Харевич широко позіхнув, зупиняючись біля мотоциклу – найімовірніше, саме того, якого вкрав у інженера в лікарні. На кермі висів шолом та мотоциклетні окуляри.
– Відчуваю, що ми з тобою домовимось, – обернувся він. – Щоб украсти обручку, не треба відрізати руку, вистачить одного пальчика.
Якуб у відповідь на словесні вибрики скрутив мотузку так, що в'язень аж завив.
– Якщо ти мене відпустиш, обіцяю, що до ранку вже знатиму, хто, а тоді…
– Що?
– Ця шмата зізналась. Я двічі припік її кочергою – і вона негайно розклеїлась…
Якуб не почув закінчення. Його вразило те, що побачив. Біля собачої буди на землі лежала Мальвіна Тарка зі зв'язаними, вимащеними болотом ногами, з ошийником на шиї та прив'язаним до нього ланцюгом. У неї були підбиті очі й роздерта сорочка, з якої на живіт виливались рясні рожеві груди. Біля її ніг лежав мертвий вівчур зі зламаним хребтом. З його пащі стирчав рожевий язик, а на витоптану траву витікала кров.
Харевич, побачивши цю картину, тільки розсміявся, тільки той сміх перейшов у різкий кашель.
– Догралася сука, – прошепотів він. – Яблуко від яблуні недалеко падає.
Якуб нахилився і відв'язав ланцюг від шиї жінки. Відтягнув Тарку набік, посадив на бочці, вкопаній у землю, а сам повернувся до Харевича. Підвів його до буди, кинув на землю, одягнув на нього ошийника, туго затягнувши, і прив'язав ланцюга.
– Де Лея?
– В безпечному місці. У мене їй нічого не загрожує.
Штерн потягнув за ланцюг.
– Я мусив забрати її від Берґерів, – сказав в'язень, кашляючи. – Дівчинка бачила дещо, чого не повинна була бачити.
– Що саме?
– Не здогадуєшся, редакторчику? Смерть Щасливчика – тобто, перепрошую, його екзекуцію.
– Чому…
– Чому я тут? – він голосно харкнув до перевернутої собачої миски. – Тому що будинок "Під Місяцем" не давав мені спати роками! Хто-хто, а ти, редакторику, мусиш знати історію цього міста. Про неї писав Шарковський – так само одержимий, як і ти. Це була моя справа. Казали, що помічник комісара збожеволів, але кожен, хто побачив би тих убитих дітей, встромлених у бочки, замурованих у стіни та під підлогою, швидше від мене втратив би розум. Я іноді думаю, що вони…
– Хто вони?
– Вони, – відповів Харевич, багатозначно водячи навколо очима. – Випустили мене навмисне, щоб я зрівняв рахунки. Ти думав, письменничку, що це випадково?
Штерн не брав до голови фантазії, породжені хворою головою втікача. Він залишив його біля буди і підійшов до Мальвіни. Напівоголена, в розірваній нижній спідниці, вона не мала сили, щоб підвестися. Її гарна чорна коса була виваляна в болоті. Штерн узяв її на руки та заніс до будинку. Поклав у спальні на ліжку і подав у чашці води. Від її вигляду відчув несподіване збудження. Червоніючи, він витер зволоженою серветкою її закривавлені, розпухлі губи, виразно відчуваючи від неї запах алкоголю.
Господиня дивилась на нього гарними синіми очима, раз-по-раз посилаючи з-за небесних вій люті блискавки. Впізнала його. Дозволила обдурити себе, як дитина, коли він прийшов із тією пройдисвіткою-хвойдою, а зараз сама собі була винна.
Штерн привів Мальвіну до порядку і майже силою одягнув на неї сорочку та спідницю. Потім одягнув у плащ, який зняв із вішака, втиснув на неї черевики і, накриту ковдрою, виніс на вулицю. Розлючено копнув хвіртку і закричав до візника, який дрімав на козлах фіакру, щоб той нарешті рушав.
– На Віденську! – гукнув він, садячи дівчину на застелену ковдрою лавку. – Але в темпі!
Дорожкар поглянув на нього, як на вар'ята, але не сперечався. Шкапа, під'юджена батогом, раптом рвонула вперед.
Штерн зиркнув на годинника. Він уже на кілька хвилин запізнювався. Проминули Дім Інвалідів, Гору Страчених та старий єврейський цвинтар. На розі Казимира Великого та святої Анни фіакр загальмував перед трамваєм, що мчав на швидкості, і тоді пасажирка, яка до тієї миті лежала спокійно, несподівано зіскочила на брук і почала тікати, згубивши плащ. При цьому вона верещала на все горло, обсипаючи свого супутника образами типу «поламаний хуй».
Штерн кинувся за нею в погоню. За кількадесят кроків наздогнав. На очах вражених перехожих викрутив їй руки і допровадив до фіакра. При цьому посміхався як чоловік, доведений до розпачу, який намагається привести до тями п'яну дружину під час подружньої сварки.
Коли побита Мальвіна знову опинилася на сидінні, розлючений редактор закричав до візника, щоб той нарешті поспішив.
Візник робив усе, що міг, і знав свою справу добре. Переганяв інші транспортні засоби, лавірував серед автомобілів, фіакрів, велосипедистів та пішоходів, які всюди виходили на проїжджу частину. Біля костелу святого Станіслава Штерн кулаком постукав об лавку, а коли фіакр зупинився, заплатив за поїздку і дав візникові додатковий злотий, щоб той зробив іще один короткий маршрут.
– Поїдеш на площу Маріацьку, – кинув він, – і зайдеш до десятого комісаріату поліції. Скажеш черговому, що редактор Штерн переказує привітання панові комісару. Подаси йому адресу з Кульпарківської і попросиш, щоб вони негайно туди виїхали. Ти запам'ятав?
– А шо-с там не памнєтати! – відбуркнув візник, розізлившись.
– Редактор Штерн переказуї вітанє пануви комісару! А шо з дівкоу? – тверезо поцікавився.
– Дівку віддаю задурно.
– Віддаю задурно! – зі сміхом повторив візник, показуючи пожовклі зуби, і різко вдарив батогом.

Уривок із детективного роману Павла Ящука «Акушер смерті», який вийде у вересні 2013 у видавництві Prószyński i S-ka, опубліковано зі згоди видавництва.

[Переклад: Софія Андрухович]

PAWEŁ JASZCZUK (1954, Poska) – prozaik, dramaturg, autor m.in. powieści *Sponsor* (1995), *Testament* (2007), twórca cyklu kryminałów o lwowskim dziennikarzu śledczym Jakubie Sternie, na który składają się powieści F*oresta umbra* (2004), *Plan Sary* (2011), *Marionetki* (2012). Zdobywca Nagrody Wielkiego Kalibru dla najlepszej powieści kryminalnej roku (2005). Ostatnio wydał powieść *Ochronka Anioła Stróża* (2013). We wrześniu 2013 roku opublikuje kolejną powieść kryminalną z cyklu o Sternie, zatytułowaną *Akuszer śmierci*. Mieszka w Olsztynie.

ПАВЕЛ ЯЩУК (1954, Польща) – прозаїк, драматург, автор романів «Спонсор» (1995), «Заповіт» (2007), автор детективного циклу про львівського журналіста кримінальної хроніки Якуба Стерна, до якого увійшли романи «*Foresta umbra*» (2004), «План Сари» (2011), «Маріонетки» (2012). Лауреат Премії великого калібру за найкращий детективний роман року (2005). Нещодавно видав новий роман «Інтернат ангела-охоронця» (2013). У вересні 2013 року вийде черговий роман з циклу про Якуба Стерну – «Акушер смерті». Ящук живе в Ольштині.

© Mikołaj Łoziński